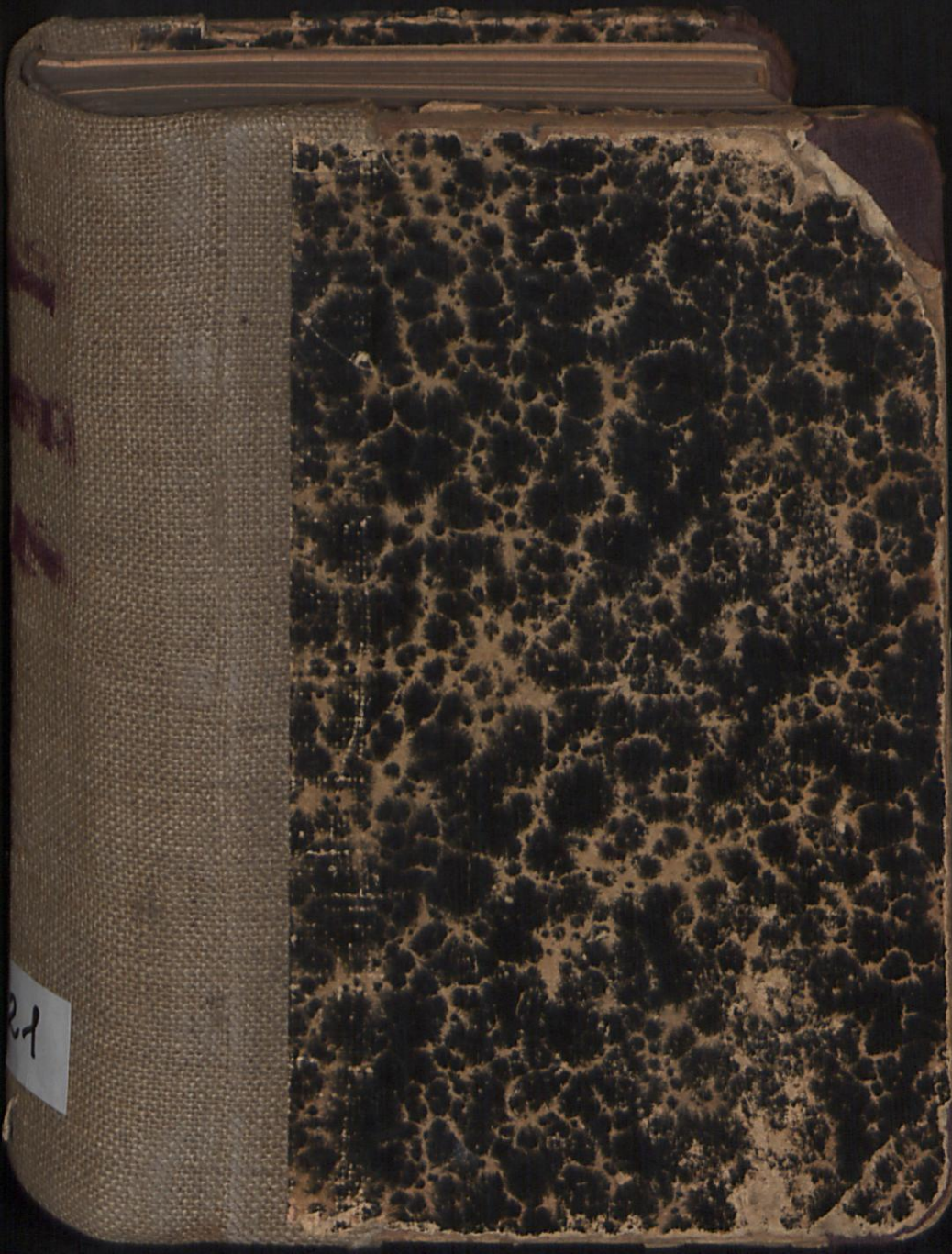
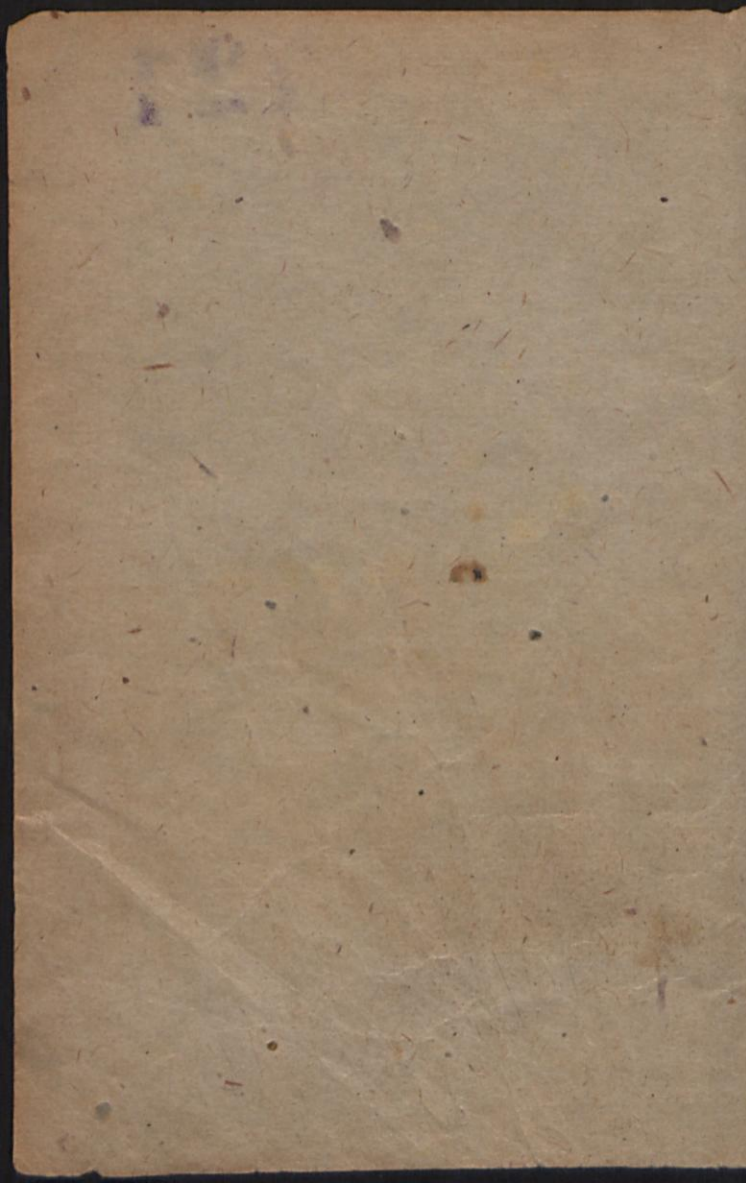




754

721



726
557
PISMA

HENRYKA SIENKIEWICZA

727

TOM IX.

Bez Dogmatu
in

NARZĄDZIE WYDAWCTWA TYGODNIKA ILUSTROWANEGO

(DODATEK BEZPŁATNY)

1899

Księgozbiór BP



10074548

Zamość ul. Pereca 14
Biblioteka Publiczna

BIBLIOTEKA PUBLICZNA
Miejskiej Rady narodowej
w Zamościu 884

7215

884

Дозволено Цензурою.

Варшава, 3 Февраля 1899 г.

13693/Ф

21 kwietnia.

Mieszkam niby w Warszawie, ale cztery dni z rzędu spędziłem w Płoszowie. Pani Celina ma się lepiej, natomiast ksiądz Łatysz umarł onegdaj. Doktor Chwastowski nazywa chorobę jego «wspaniałym przebiegiem gruźlicy płucnej» i z trudnością ukrywa zadowolenie, że koniec tego wspaniałego przebiegu przepowiedział niemal na godzinę. Odwiedzaliśmy nieboszczyka na dwanaście godzin przed śmiercią. Żartował z nami i był pelen otuchy z powodu zmniejszenia się gorączki, która zmniejszała się właśnie skutkiem osłabienia. Wczoraj rano siedzieliśmy z Anielką na ganku, gdy nadeszła matka biednego księżyka i zaczęła opowiadać o jego śmierci, w ten szczególny chłopski sposób, w którym żal miesza się z zupełnem zgodzeniem się na to, co zaszło. We współczuciu mojem była i ciekawość, bom się z ludem mało dotąd sty-

kał i mało na niego zwracałem uwagi. Jakim ci ludzie mówią dziwnym językiem! Staralem się zapamiętać jej słowa, by je sobie zapisać. Stara chlopka, na powitanie, podjęła w milczeniu pod nogi mnie i Anielkę, następnie zaś, przykrywszy oczy wierzchem dłoni, poczęła zawodzić:

— O Jezusińku mój serdeczny, o Maryjo Przynajświętsza! Pomer ci mój nieboraczek, pomer! Wolal ci do Pana Boga iść, niż z matką i ojcem ostawać. Na nic mu się dworski starunek nie przydał. Wina mu ta dawali po próżnicy, bo mu ta i wino nie pomogło. O Jezusińku Przynajświętszy, o Jezu! o Jezu!

W głosie jej był niezawodnie szczery żal macierzyński, ale co mnie uderzyło, to zachowanie w jękach i narzekaniu czegoś w rodzaju nuty obyczajowej. Nie słyszałem dotąd chlopek lamentujących po śmierci blizkich, a byłbym przysiągł, że wszystkie muszą podobnie lamentować, jakby na to istniał jakiś wiejski przepis.

Anielka miała lzy na rzęsach i z tą nieopisaną dobrocią, jaką posiadają tylko kobiety, poczęła wypytywać o okoliczności śmierci, odgadując, że opowiadanie przyniesie kobiecie ulgę.

Jakoż staruszka poczęła opowiadać niemal z chciwością:

— Kiej dobrodziej z Panem Jezusem od niego odszedł, ja mu powiadam tak: «Czy ta umrzesz, czy nie umrzesz, wola Boska! Przyrządzileś się na śmierć pięknie, a teraz śpij». On powiada: «Dobrze!» — i zdrzemnął, a ja też, bo, niech to nie będzie Panu Bogu wymowno, alem się też bez trzy noce nabiedowała. Dopiero o pierwszych kurach przyszedł mój stary, zbudził mnie, i siedzieliśmy oboje — a on śpi i śpi. Mówię staremu: «Ej, czy nie pomer?» — A stary mówi: «Może i pomer!» Pociągnął go, on się też obudził i mówi: «Lepiej mi». — Poleżał z pięć pacierzy spokojnie i wzion się uśmiechać do pulapu. Jakem to zobaczyła, tak złość mnie chwyciła i mówię: «A ty, kałtanie, to ty się mojej biedzie uśmiechasz?» A on się śmierci uśmiechał, nie mojej biedzie, bo zaraz potem poczęło dychać niebożátko, i tyle go było do wschodu słonka.

Tu znowu poczęła jęczeć, następnie wezwwała nas, byśmy poszli zobaczyć nieboszczyka, bo już go oblekła, i «taki piękny, jak malowanie». Anielka była gotowa pójść z nią, alem ją powstrzymał; zresztą babina, zapomniawszy

po chwili o swem żądaniu, przeszła do opowiadań o swojej biedzie. Mąż jej był niegdyś za-
możnym gospodarzem, ale całą chudobę stracili
na to, by syna wychować. Sąsiedni gospodarze
kupowali morgę za morgą, i dziś została im
tylko chalupa, a gruntu nic. Tysiąc dwieście
rubli wydali. Myśleli, że się na starość przy
synu przytulą, a tymczasem Pan Bóg go za-
brał. Staruszka z całą chłopską rezygnacją
oświadczyła nam, iż już się ułożyli z mężem,
że zaraz po pogrzebie pójdą «na dziady». Nie
zdawało się to jej wcale przestraszać; mówiła
nawet o tem, jakby z pewną utajoną satysfak-
cją, bała się tylko, czy w gminie nie będzie
mitregi ze świadectwem, które nie wiem do cze-
go jej było potrzebne. W opowiadaniu jej ty-
siączne szczegóły realne mieszały się z wezwa-
niami do Pana Jezusa i do Matki Boskiej, ze
łzami i żalem.

Anielka wbiegła do domu i po chwili wró-
ciła z pieniędzmi, które chciała wręczyć starej
kobiecie, lecz mnie przyszła inna myśl, którą
na razie uznałem za dobrą. Zatrzymałem rękę
Anielki i, zwróciwszy się do babiny, spytałem:

— Toście wydali tysiąc dwieście rubli na
wychowanie syna?

— Juści, proszę jaśnie pana. Myśleliśwa, jak ostanie proboszczem, przytulić się przy nim na probostwie, ale Bóg Najwyższy pokierował nas nie na probostwo, ino pod kościół.

— To ja wam podaruję tysiąc dwieście rubli. Zagospodarujcie się na nowo i życie spokojnie w chałupie.

Bylbym to zaraz uczynił, ale nie miałem z sobą pieniędzy; umyśliłem jednak wziąć potrzebną kwotę z kasy ciotki i kazałem babuli przyjść za godzinę. Była tak zdumiona, iż przez jakiś czas patrzyła na mnie wytrzeszczonemi oczyma, nie mówiąc ani słowa, następnie padła mi do nóg prawie z krzykiem. Potrafiłem się jej jednak pozbyć dość prędko, głównie dlatego, że pilno jej było lecieć do męża i powiedzieć mu dobrą nowinę. Zostaliśmy sami z Anielką, która również była wzruszona i na razie nie umiała znaleźć potrzebnych jej słów; dopiero po chwili poczęła powtarzać:

— Jakiś ty dobry! jakiś ty dobry!

Lecz ja wzruszyłem ramionami i odpowiedziałem Anielce takim tonem, jakbym mówił zarówno o rzeczy obojętnej, jak naturalnej:

~~J~~Ja, moja Anielko, bynajmniej nie uczynilem tego przez dobroć, ~~y~~ ani dla tych ludzi,

których pierwszy raz widzę. Zrobiłem to jedynie dlatego, że ty się nimi zajmujesz, i w tej myśli, że to tobie sprawi przyjemność. Inaczej zbyłbym ich pierwszym lepszym datkiem.

Tak mówiąc, powiedziałem szczerą prawdę. Ludzie ci tyle mnie obchodzili, ile każdy inny biedak; natomiast z równą łatwością dałbym dwa i trzy razy tyle dla zrobienia przyjemności Anielce. Powiedziałem to przytem umyślnie, bom doskonale rozumiał, że podobne słowa, mówione do kobiety, są niezmiernie doniosłe, nie mając bowiem formy wyznania, równają się niemal wyznaniu. Znaczy to samo, co powiedzieć jej: dla ciebie uczyniłbym wszystko, boś ty mi wszystkim. I co więcej, żadna na świecie kobieta nie może się obronić podobnym wyznaniem i nie ma prawa za nie się obrażać. A ja chciałem jeszcze i dlatego wyrazić to Anielce, żem to czuł. Złagodziłem tylko ukryte znaczenie moich słów w ten sposób, żem mówił takim tonem, jakby o rzeczy najzwyczajniejszej, która się sama przez się rozumie. Anielka jednak pojęła ich doniosłość, bo spuściła oczy i nie wiedziała, co mi odpowiedzieć. Z widocznem zmieszaniem rzekła wreszcie, że musi iść do matki, i zostawiła mnie samego.

Ja mam najzupełniejszą świadomość, że postępując w taki sposób, wprowadzam do duszy Anielki myśli obce jej i niepokojące. Ale ze zdziwieniem widzę, że jakkolwiek z jednej strony wzburza to moje sumienie i budzi dręczącą obawę o spokój istoty, za którą oddałbym życie, z drugiej jednak sprawia mi jakąś drapieżną radość, jak gdybym zaspokajał wrodzony człowiekowi instynkt niszczenia. Mam także przekonanie, że nic mi tu żadna świadomość zła, ni żadne skrupuły nie pomogą. Mam zbyt silny charakter, bym się umiał i mógł na tej drodze zahamować, zwłaszcza wobec tego nieprzepracowanego, niewypowiedzianego uroku, jaki wywiera na mnie ta kobieta. Teraz dopiero jestem naprawdę, jak ów Indyanin, który porwany przez prąd wodospadu, złożył wiosła i zdał się na wolę prądu. Nie rozmyślałam nawet o moich winach i o tem, że wszystko mogło być inaczej, że mi trzeba było wyciągnąć tylko rękę po tę istotę, o której teraz mówię sobie: dla kogo warto żyć, jeśli nie dla niej? kogo warto kochać, jeśli nie ją? Wpadam w determinizm i często zdaje mi się, że nie mogło być inaczej, że na tę nieudolność moją życiową składały się całe pokolenia, które już wyczerpały oddawna

zasób życia — że ja taki byłem i taki jestem, jak musiałem i muszę być — i że nie pozostaje mi nic innego, tylko złożyć wiosła.

Dziś zrana byliśmy z ciotką i Anielką na pogrzebie młodego kleryka. Pogoda dopisuje nam ciągle; pogrzeb odbył się zrana i nie utrudził tych pań, bo do kościoła i na cmentarz mamy niedaleko. Dziwny to widok takiego korowodu wiejskiego, poczynającego się od księdza i trumny na wozie, a kończącego zbitym tłumem chłopów i wieśniaczek. Wszystko to śpiewa pieśni niesłychanie posępne, przypominające jakąś chaldejską muzykę. W końcu orszakowi mężczyźni i kobiety rozmawiają sennym, wlokącym się głosem, poczynając zawsze swe uwagi od: „O, moiście wy!” Wyraz ten słyszałem co chwila. Równie dziwne wrażenie robi podczas takiego obrzędu, jak pogrzeb, jaskrawość chustek na głowach dziewcząt. Szliśmy aleją jarzębową do kościoła, i gdy pochód zasuwał się w przerwach między drzewami w słońce, chustki owe rozpały się w blasku żółto, czerwono, błękitnie, co dawało całemu temu orszakowi pozór weselości, tak, że gdyby nie ksiądz, nie wóz z trumną i nie zapach jałowcu, możnaby mniemać, że to wesele idzie. Zauważyłem także, z jakim zado-

woleniem ludzie na wsi idą za pogrzebem. W ogóle śmierć nie robi na nich żadnego wrażenia; może widzą w niej wieczyste świętowanie? Gdyśmy stanęli nad dołem, dostrzegłem w twarzach tylko skupioną uwagę nad ceremonią i ciekawość; ~~żadnego~~ śladu, żadnego cienia refleksyi, że jest to jednak nieublagane zakończenie, po za którem zaczyna się coś strasznego i nieznośnego. Patrzyłem na Anielkę w chwili, gdy schyliła się po garść piasku na trumnę. Była nieco blada, że zaś słońce padało właśnie na jej twarz, można było czytać w tych przezroczystych rysach, jak w książce. Bylbym przysiągł, że myślała w tej chwili o własnej śmierci. Mnie wydało się poprostu niepodobieństwem, jakąś dziką i potworną myślą, żeby ta twarz, taka czująca, taka pełna bujnej młodości, widnej w tym puszk nad ustami, w tych długich rzęsach, w tym swoim uroczym indywidualizmie, mogła kiedykolwiek zbieleć, skamienieć, pozostać w wiecznej ciemności.

A jednak było mi tak, jakby jakiś mróz zwarzył moje myśli. Oto przyszło mi do głowy, że pierwszy obrząd, w jakim uczestniczymy w Płoszowie z Anielką, jest to pogrzeb. Równie jak śmiertelnie chory człowiek, który stracił

wiarę w naukową medycynę, gotów jest uwierzyć w leki znachorów, tak śmiertelnie chora, o wszystkim wąpiąca dusza gotowa jest uwierzyć nawet w przesady. Prawdopodobnie nikt nie stoi bliżej od otchłani mistycyzmu, niż bezwzględny sceptyk. Ci, którzy zwątpili o idealach religijnych i socyologicznych, ci, którzy stracili zaufanie w potęgę wiedzy i ludzkiego rozumu, cała masa ludzi, właśnie najbardziej rozwiniętych, niepewna dróg, pozbawiona wszelkich dogmatów, szamocząca się, beznadziejna, zasuwa się obecnie coraz głębiej w mgły mistycyzmu. Występuje on wszędy, ze zwykłą siłą reakcyi przeciw dzisiejszemu życiu, polegającemu na pozytywnem ograniczeniu myśli ludzkiej, na potłumieniu ideałów, na użyciu, na bezdusznem bankierstwie. Duch ludzki poczyną rozsadzać budynek, w którym kazano mu mieszkać, dlatego, że budynek ów jest zbyt pod każdym względem gieldą. Kończy się jakaś epoka, nadchodzi jakaś ewolucya na wszystkich polach. Przychodziło mi to nieraz do głowy i napelniało mnie zdumieniem, że naprzykład najnowsi więksi powieściopisarze sami nawet nie wiedzą, jak niewiele brak im do tego, by się stali mistykami. Niektórzy mają już świa-

domość, że nimi są i głośno to wyznają. W każdej książce, którą w ostatnich czasach otwierałem, widziałem nie dusze ludzkie, nie wolę i namiętności osobiste, ale ogólne siły fatalne, mające cechy strasznych istot, niezależne od pojedynczych zjawisk, żyjące same w sobie, jak Goethowskie macierze.

Co do mnie, jestem zapewne także na granicy. Widzę to i nie lękam się. Otchłań pociąga; mnie osobiście pociąga nawet tak dalece, że gdybym już dziś mógł, zeszedłbym na samo dno — i zejść, jak tylko będę mógł.

28 kwietnia.

Upajam się tem życiem w Płoszowie, codziennym widokiem Anielki i zapominam, że ona należy do kogo innego. Ten Kromicki, który siedzi tam, w Baku, czy też jeszcze gdzieś dalej, wydaje mi się jakąś istotą nierzeczywistą, pozbawioną realnego bytu, jakimś złem, które kiedyś ma nadejść, tak jak na przykład nadejdzie śmierć, o której się przecie ciągle nie myśli. Ale wczoraj spotkało mnie coś w rodzaju memento. Drobną to na pozór i najzwyczajniejszą rzecz! Anielka odebrała rano, przy herba-

cie, aż dwa listy. Ciotka spytała jej, czy od męża, ona zaś odpowiedziała: «Tak!» Usłyszawszy to, doznałem takiego wrażenia, jakiego doznawać musi człowiek skazany, który w wigilię egzekucyi miał słodki sen, ale którego zbudzone oświadczeniem, że czas strzydz włosy i iść pod nóż gilotyny. Ujrzałem naraz, z niebywałą dotąd wyrazistością moje nieszczęście. Cały dzień zostało mi to złowrogie poczucie, tembardziej, że ciotka, jakby się uwzięła, żeby mnie męczyć. Anielka chciała odłożyć czytanie listów na wolną chwilę po herbacie, tymczasem ciotka kazała jej czytać je zaraz, następnie zaś poczęła wypytywać: jak się ma Kromicki?

— Dziękuję cioci, dobrze! — odpowiedziała Anielka.

— A jak mu tam idzie?

— Chwała Bogu! Pisze, że nadspodziewanie.

— Kiedy wróci?

— Mówi, że jak tylko będzie mógł.

I ja, ze swą wrażliwością, musiałem wysłuchać tych pytań i tych odpowiedzi. Gdyby ciotka z Anielką zaczęły jaką nieprawdopodobną, cyniczną rozmowę, nie więcej poszarpałaby mi ona nerwy. Po raz pierwszy od czasu przyjazdu do Płoszowa poczułem niechęć i głęboką urazę

do Anielki. «Miejże przynajmniej trochę in-
 tynktu litosnego i nie gadaj przy mnie o tym
 człowieku — nie dziękuj w odpowiedzi na pyta-
 nie o jego zdrowiu i nie mów: «Chwała Bogu!» —
 pomyślałem sobie w duszy. Tymczasem ona otwo-
 rzyła drugi list; spojrzawszy na datę, powie-
 działa: «To dawniejszy» — i zabrała się do czy-
 tania. Spoglądałem na pochyloną jej głowę, na
 rozbiór włosów, na czoło i spuszczone powieki —
 i wydawało mi się, że to czytanie trwa nieznoś-
 nie długo. Zarazem zrozumiałem, że tych ludzi,
 to jest ją i Kromickiego, łączy cały świat wspól-
 nych interesów i celów, że oni są związani nie-
 rozerwalnymi węzłami, że z koniecznych po-
 wodów oni muszą się poczuwać do związku
 z sobą i do wzajemnej przynależności. Pojąłem,
 że ja stoję i będę stał siłą rzeczy nazewnątrż,
 nawet choćbym pozyskał jej wzajemność. Dotąd,
 od pierwszego widzenia Anielki, czułem tylko
 głębię mojej nędzy tak, jak się czuje głębię
 przepaści, którą przesłania tuman. Teraz mgły
 się rozdarły i ujrzałem bezdeń w całej rozciąg-
 łości.

Mam to jednak do siebie, że pod nadmier-
 nym uciskiem poczynam się odprężać. Miłość
 moja nie śmiała dotychczas chcieć czegokolwiek,

ale w tej chwili zawiść poczęła rozpaczliwie pożądać zniszczenia i potępienia tych wszystkich nieublaganych praw, tych węzłów i tych przynależności. Anielka czytała zaledwie parę minut; przez ten czas przeszedłem przez całą skalę udręczeń, tembardziej, że jak zwykle, gnębiły mnie i inne myśli, będące analizą i krytyką zasadniczego bólu. Oto mówiłem sobie, że to wzburzenie i ta gorycz, którą odczuwam, mają jednak śmieszne niemal cechy jakichś kobiecych dąsów; dalej myślałem, że z takimi nerwami niepodobna żyć, a nakoniec stawiałem sobie pytanie: Jeśli taka prosta rzecz, jak to, że mąż pisze do żony, a ona czyta jego listy, przyprawia cię o zupełną utratę równowagi, co będzie, gdy on tu przyjedzie, i gdy co chwila będziesz widział i stwierdzał wzajemną ich przynależność?

Odpowiadałem w duchu: zabiję go! — i jednocześnie czułem całą śmieszność i głupotę tej odpowiedzi.

Łatwo zrozumieć, że podobne pytania nie uspokajały mnie. Anielka, skończywszy czytać, spostrzegła zaraz, że jestem w jakimś niezwykłym stanie, i poczęła mi rzucać niespokojne spojrzenia. Jest to jedno z tych słodkich uspo-

sobień, które potrzebuje koniecznie koło siebie atmosfery przyjaznej, inaczej i źle mu i straszno. Płyńie to z niezmiernej delikatności serca. Pamiętam, że za czasów, gdy stary Chwastowski nie jadał u syna, piwowara, ale w pałacu, i ciotka klóciła się z nim co obiad, Anielka, nim przekonała się o błahości tych klótni, bała się ich i nie mogła ich znosić. Teraz widocznie zaniepokoiło ją moje wzburzenie, chociaż nie umiała się domyślić jego powodów. Kilkakrotnie zagadnęła mnie niby o koncert Klary, a jednocześnie wzrok jej pytał: Co tobie jest?

Lecz ja odpowiadałem zimnem spojrzeniem, nie mogąc jej wybaczyć ani tych listów, ani rozmowy z ciotką. Zaraz po herbacie wstałem i oświadczyłem, że muszę jechać do Warszawy.

Ciotka chciała, żebym został na obiad, po którym mieliśmy, wedle pierwotnego układu, jechać razem na koncert. Lecz ja odpowiedziałem, że mam kilka spraw do załatwienia w Warszawie, a i naprawdę pragnąłem zostać sam. Dałem rozkaz, by zaprzęgano, tymczasem ciotka rzekła:

— Chciałabym się wywdzięczyć jakoś Hil-

stównie i namyślam się, czy jej nie zaprosić na jeden dzień do Płoszowa?

Widocznie ciotka uważała zaproszenie do Płoszowa za tak wielką nagrodę, że wahała się, czy to jednak nie będzie dla Klary zbyt wiele.

Po chwili ozwała się znowu:

— Gdybym była pewna, że to jest osoba zupełnie dobrego towarzystwa...

— Hilstówna jest przyjaciółką królowej rumuńskiej — odrzekłem z niecierpliwością — i co rok spędza u niej po kilka tygodni. Jeśli dla kogo będzie zaszczyt, to dla nas.

— No, no! — mruknęła ciotka.

Na samem odjeździe zwróciłem się do Anielki:

— A ty, wybierasz się z ciotką na koncert?

— Muszę być przy mamie, a przytem muszę pisać listy.

— Jeśli chodzi o uczucia stęsknionej małżonki, to nie przeszkadzam.

Na razie ironia tych słów przyniosła mi ulgę. Niech wie, że jestem zazdrosny, pomyślałem; ona tak, jak ciotka i jej matka, należy także do kobiet «anielskiego gatunku», nie dopuszczających istnienia złego. Niechże zrozu-

mie, że ją kocham, niech ta myśl wstąpi w nią, niech się oswaja z tem pojęciem, niech się po-
cznie niem niepokoić, niech z niem walczy. Wprowadzić do jej duszy taki obcy, rozklada-
jący pierwiastek, taki ferment — to już jest
pewne zwycięstwo. Obaczymy, co dalej będzie.

Była to dla mnie ulga chwilowa, ale duża,
podobna do złej radości. Zaraz jednak w po-
wozie ogarnął mnie gniew na samego siebie
i niesmak. Niesmak ów pochodził stąd, iż czu-
łem, że to wszystko, com powiedział i pomyślał,
jest swoją drogą małostkowe, oparte na przera-
finowanych i grymaśnych nerwach, godne histe-
rycznej kobiety, nie mężczyzny. Miałem ciężką
drogę do Warszawy, cięższą, niż wówczas, gdy
po ostatnim powrocie z za granicy jechał po raz
pierwszy do Płoszowa. Zastanawiałem się nad
tem, że owa straszna nieudolność życiowa, która
cięży, jak fatum, nad podobnymi do mnie ludźmi
w ogóle, a nade mną w szczególności, pochodzi
stąd, że pierwiastek kobiecy przeważa w na-
szych charakterach nad męskim. Nie chcę po-
wiedzieć, byśmy byli zniewieściałymi fizycznie,
tchórzami, ludźmi bez energii na razie. Nie! to
wcale co innego; przedsiębiorczości i odwagi
mamy, jeśli nie więcej, to przynajmniej tyle, co

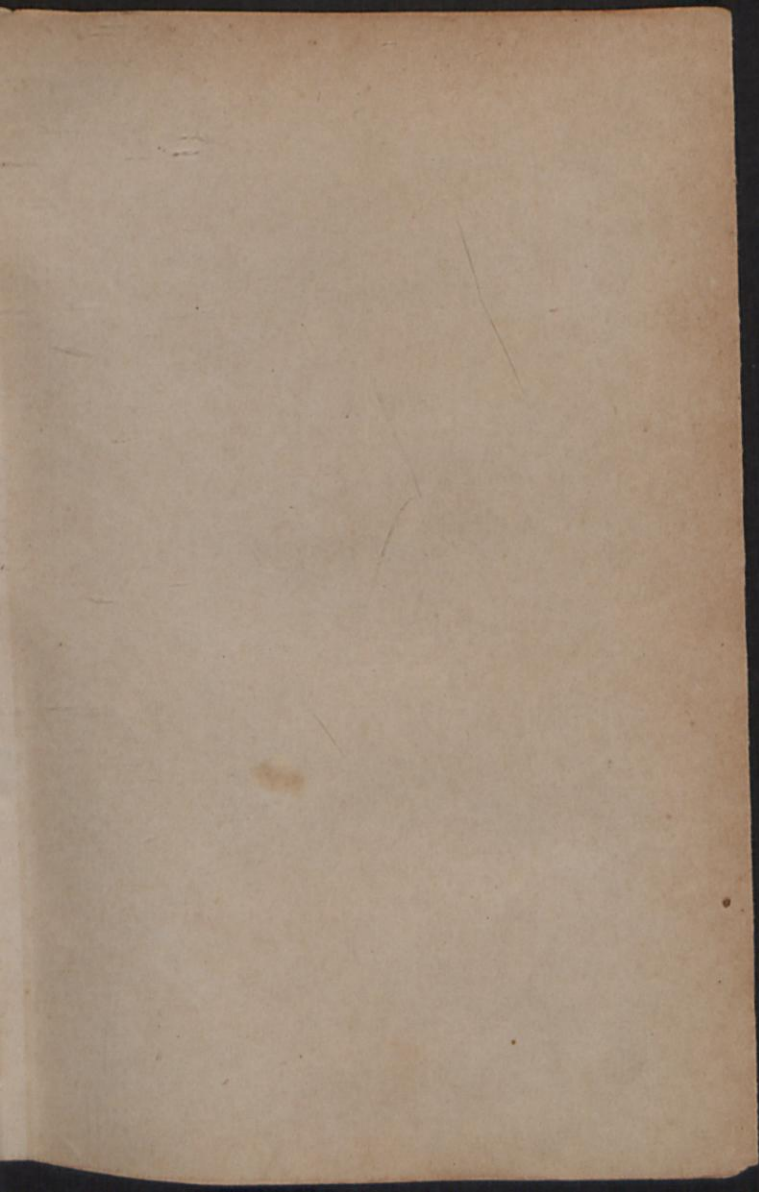
i wszyscy; każdy z nas gotów jest wsiąść na nieokielzanego konia i jechać, gdzie potrzeba. Ale pod względem psychicznym o każdym można powiedzieć: *ona*, nie *on*. Brak w naszym ustroju duchowym jakiejś spokojnej, syntetycznej równowagi, pomijającej drobiazgi. Lada co nas razi, zniechęca i zraża, skutkiem czego co krok poświęcamy rzeczy niezmiernie wielkie dla niezmiernie małych. Moja przeszłość jest tego dowodem. Przecie ja poświęciłem niewypowiedziane szczęście całego życia, swoją przyszłość i przyszłość ukochanej kobiety, dlatego tylko, żem w swoim czasie wyczytał w liście ciotki, jakoby Kromicki miał zamiar starać się o rękę Anielki. Nerwy moje wzięły na kiel i poniosły mnie tam, gdzie nie chciałem. Nie było to nic innego, tylko objaw choroby woli. Ale w ten sposób chorują *one*, nie *oni*. Cóż dziwnego, że i teraz postępuję, jak histeryczka! Jest to nieszczęście, które z sobą na świat przyniosłem, a na które składały się całe pokolenia, z dodatkiem wszystkich warunków życia, jakim musimy żyć.

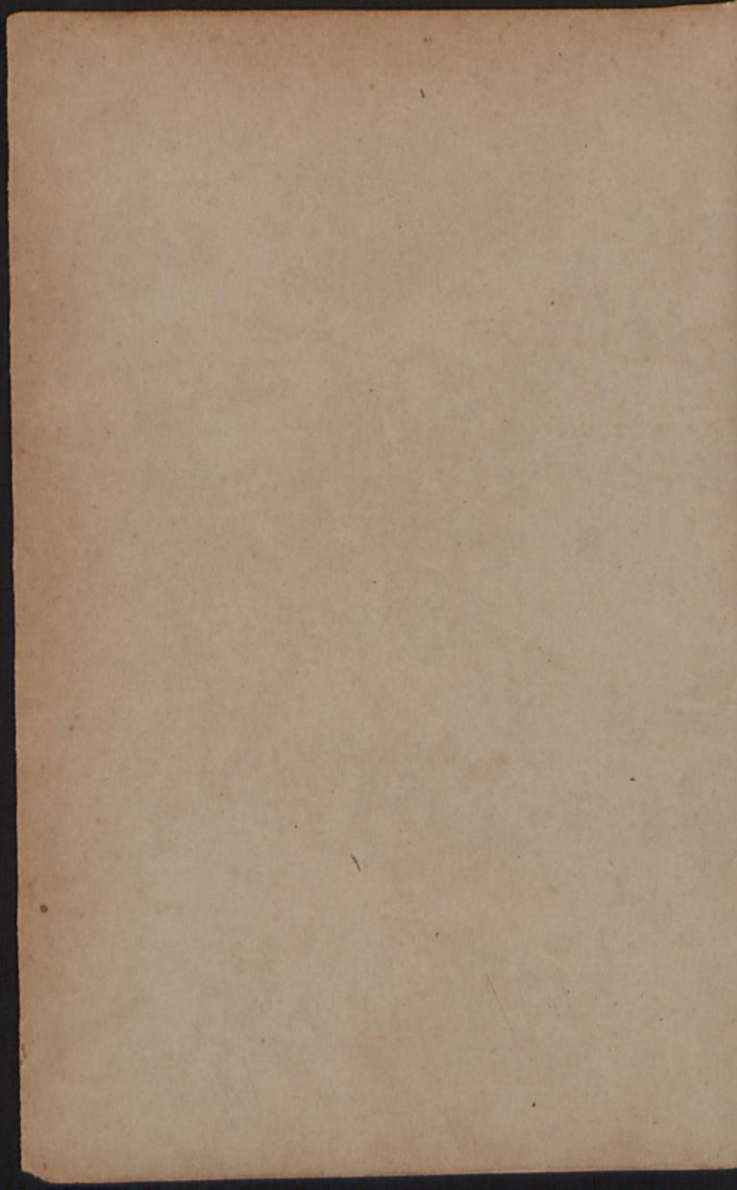
To zdjęcie z siebie odpowiedzialności nie przyniosło mi jednak żadnej pociechy. Przyjeżdżając do Warszawy, miałem naprzód zamiar odwiedzić Klarę, ale napadł mnie gwałtowny

ból głowy, który przeszedł dopiero wieczorem, przed samem przybyciem ciotki.

Ciotka zastała mnie już ubranego, i wkrótce pojechaliśmy na koncert, który udał się świetnie. Sława Klary ściągnęła świat inteligentny i muzyczny, cel zaś dobroczynny sprowadził całe wyższe towarzystwo. Widziałem mnóstwo znajomych, między innymi Śniatyńskich. Sala była nabita. Ale byłem tak źle usposobiony, i nerwy moje były w takim rozstroju, że wszystko mnie gniewało. Nie wiem sam dlaczego, ogarnęła mnie obawa, że Klara zrobi fiasco. W chwili, gdy weszła na estradę, zdarzyło się, że ciągnęła za sobą po podłodze afisz, który uczepił się do garnirowania jej sukni. Wydawało mi się, że to ją ośmiesza. Sama ona, przybrana w balową toaletę, odłączona od czarnego tłumu pustą przestrzenią estrady, czyniła mi wrażenie raczej obcej artystki, niż blizkiej znajomej i przyjaciółki. Mimowoli pytałem siebie: czy to jest ta sama Klara, z którą łączyła mnie serdeczna niemal zażyłość? Tymczasem powitalne oklaski umilkły. Na twarzach zjawilo się owo niby rozumne skupienie i powaga, za pomocą których ludzie, nie mający żadnego pojęcia o sztuce, udają znawców i sędziów. Klara siadła do for-

tepianu, i chociaż byłem zły na nią, równie jak na cały świat, musiałem jednak przyznać w duchu, że ma głowę szlachetną, lekko osadzoną, i układ artystyczny, pelen prostoty i wolny od przesady. Poczęła grać koncert Mendelsohna, który umiem na pamięć — i czy to dlatego, że czuła, iż oczekują od niej niezmiernie wiele, czy że była wzruszona niezwykle serdecznem przyjęciem, dość, że zaczęła grać gorzej, niżem się spodziewał. Uczyniło mi to wielką przykrość; spojrzałem na Klarę ze zdziwieniem, i oczy nasze spotkały się na jedną chwilę. Wyraz mej twarzy zmieszał ją do reszty, i znów usłyszałem kilka uderzeń mętnych, bez należytej siły i wyrazistości. Byłem już pewny fiasca. Nigdy fortepian ze swymi tonami, w których brak ciągłości zwiększa się jeszcze przez odległość i przygluszoną tłokiem akustykę sali, nie wydał mi się nędzniejszym koncertowym instrumentem. Chwilami miałem wrażenie, że słyszę urywane dźwięki harfy. Po jakimś czasie Klara odzyskała równowagę, ale podług mnie, cały koncert grała źle. Ogarnęło też mnie prawdziwe zdziwienie, gdy po zakończeniu rozległy się takie oklaski, jakich nie słyszałem nigdy w Paryżu, gdzie Klarę przyjmowano z wyjątkowym zapalem.





Gdy skończyła grać, pozostała czas jakiś z głową i oczyma podniesionemi w górę, z twarzą pobladłą i rozchyłonemi ustami. I nie był to efekt estradowy, było to proste, wyższe tym razem nad wszelką wątpliwość, natchnienie i zapamiętanie. W sali trwała głucha cisza, jakby ludzie oczekiwali jeszcze czegoś, jakby zdrewnieli ze smutku, lub łowili ostatnie echa tej lękającej rozpacz, którą porwał zaświatowy wicher. Później stało się coś takiego, co prawdopodobnie nie zdarzyło się nigdy na żadnym koncercie. W sali podniesiono taki okrzyk, jakby zgromadzonym zagroziła katastrofa. Kilku sprawozdawców i muzyków zbliżyło się do estrady. Widziałem głowy, pochylające się do rąk Klary. Ona miała lzy na rzesach, ale twarz natchnioną, jasną i spokojną. Poszedłem wraz z innymi uściskać jej rękę.

Od pierwszej chwili naszej znajomości, aż do tego czasu, Klara mówiła do mnie zawsze po francusku; dziś dopiero po raz pierwszy, oddając mi gorąco uścisk dłoni, spytała po niemiecku:

— Haben Sie mich verstanden?

— Ja, — odpowiedziałem — und ich war sehr unglücklich.

Było tak rzeczywiście. Dalszy ciąg koncertu stał się dla Klary jednym wielkim tryumfem. Po skończeniu Śniatyńscy zabrali ją do siebie na wieczór. Ja nie chciałem jechać. Wróciwszy do domu, czulem się tak zmęczony, że w ubraniu rzucił się na sofę i przeleżałem z godzinę, nie śpiąc. Dopiero na chwilę przed rozpoczęciem pisanja spostrzegłem się, że rozmyślam ciągle o pogrzebie księdza, o Anielce i o śmierci. Następnie kazałem podać światło i zabrałem się do pióra.

28 kwietnia.

Listy Kromickiego pognębiły mnie do tego stopnia, że to wrażenie trwa dotąd. Nieuzasadniony żal mój do Anielki mija wprawdzie; im bardziej czuję, że niezasłużenie byłem dla niej tak szorstki, tem większa ogarnia mnie skrucha i z tem większą tkliwością myślę o niej. Ale za to coraz jaśniej widzę, jak nieublaganie łączy tych ludzi sama siła faktów. Od wczoraj jestem w szponach tej myśli i dlatego nie pojechałem dziś do Płoszowa. Tam trzeba mi czuć nad sobą, trzeba być spokojnym lub udawać spokój; w tej chwili nie wymógłbym tego na sobie. Wszystko, co jest we mnie: myśli,

uczucia, wrażenia, zmieniły się w jeden bunt przeciw temu, co się stało. Nie wiem, czy może istnieć stan bardziej rozpaczliwy, niż nie zgadzać się na coś, protestować każdym kawałkiem mózgu i serca, a jednocześnie czuć się wobec spełnionego faktu bezsilnym. Rozumiem także, że to jest zaledwie przedsmak tego, co mnie czeka. Nie do zrobienia, jedno nic! Poszła za męża, jest panią Kromicką, należy do niego i będzie należała na zawsze — ja zaś, który nie mogę na to przystać, bo przystawszy, nie mógłbym istnieć — muszę przystać. ~~X~~ Z równym skutkiem mógłbym protestować przeciw sile przyciągania ziemi, jak przeciw takiemu porządkowi rzeczy, na mocy którego kobieta, która raz za męża poszła, należy do męża. Więc co? Zgodzić się z tym porządkiem? Co mi pomoże puste, czeze, bezmyślne słowo: «zgadzam się», — skoro w mojej istocie niema ani atomu zgody? ~~X~~ Chwilami przychodzi mi do głowy, żeby wyjechać, ale czuję doskonale, że po za tą jedyną kobietą, świat ma dla mnie tyle znaczenia, ile śmierć, to jest tyle, ile nicość — i co więcej, wiem z góry, że nie wyjadę, bo nie znajdę na to dość siły. Nieraz miałem jakby rozumienie, że nędza ludzka może być większą od ludzkiego wyobrażenia

o niej, i że może być taki stan, w którym myśli o nędzy kończą się, a ona, jakby morze, idzie jeszcze i jeszcze dalej. W tej chwili wydaje mi się, że żegluję po tem morzu.

A jednak nie. Jest coś, co mi zostaje. Czytałem niegdyś w pamiętniku Amiela, że czyn to tylko zgęszczona aż do stanu materji myśl. Ale myśl może pozostać w stanie oderwanym; uczucie — nie. Teoretycznie byłem tego świadom i przedtem, dopiero teraz jednak sprawdziłem ten pewnik na sobie samym. Od czasu mego powrotu do Płoszowa, aż do tej chwili nie powiedziałem sobie jasno i wyraźnie, że pragnę wzajemności Anielki, ale była to kwestya słów. W rzeczywistości wiedziałem o tem, że jej chcę i chciałem. Każde moje spojrzenie, każde słowo, wszystkie postęпки — zdążały tylko do tego celu. Uczucie, które nie jest jednoznaczne z żądaniem i czynem — jest niczem. Niechże więc te słowa będą wymówione: chcę! Chcę dla Anielki stać się najbardziej upragnioną i najbardziej ukochaną istotą, jak ona jest dla mnie; chcę posiadać jej wzajemność, jej wszystkie myśli, jej duszę — i nie myślę stawiać granicy dla moich pragnień; uczynię wszystko, co mi nakaze serce, i użyję wszystkich środków, jakie

mój rozum uzna za najskuteczniejsze, aby jej wzajemność zdobyć. Zabiorę Kromickiemu tyle z Anielki, ile będę tylko mógł — a odbiorę ją całkowicie, jeśli tylko ona na to się zgodzi. W ten sposób będę miał cel w życiu, będę wiedział, dlaczego budzę się rano, dlaczego przyjmuję pokarm we dnie, dlaczego krzepię się snem. Nie będę zupełnie szczęśliwy, bo na to trzebaby mi nietylko zabrać ją całkowicie dla siebie, ale pomścić się na tamtym za to, że ją posiadał — będę jednak miał czem żyć. W tem mój ratunek. I nie jest to postanowienie powzięte w tej chwili; to tylko słowne stwierdzenie tych wszystkich sił, które poruszają się we mnie, tej woli i tych pragnień, które leżą w naturze uczucia i stanowią nierozdzieloną część jego istoty.

Rozpędzam na cztery wiatry wszelkie skrupuły. ~~Ob~~awa, że Anielka będzie nieszczęśliwa, gdy mnie pokocha, musi ustąpić przed tą wielką jak cały świat prawdą, że sama obecność w sercu miłości, już wypełnia życie, już daje mu pokarm i jest sto tysięcy razy więcej warta, niż pustka i nicość życiowa.

Tysiące temu lat wiadano już na świecie, że dobrem i moralnem jest tylko to, co potęguje życie, a pustka i nicość leżą w królestwie zła.

Chwila, w której ta ukochana głowa oprze się mi na piersiach, w której te drogie usta spoczną na moich, będzie aktem dobra i prawdy. Wśród zwątpień, jakie zalegają mi mózg, ta jedna świeci jasno — o tej jedynie mogę powiedzieć: wierzę, że tak jest. Znalazłem coś przecie pewniejszego w życiu. Wiem doskonale, jaki rozbrat leży między tą moją wiarą a ową zdawkową konwencyonalną moralnością, wyrabianą na codzienny użytek ogółu ludzi; wiem, że i dla Anielki będzie to świat obcy, przestraszający, ale wezmę ją za rękę i poprowadzę w ten świat, bo ze szczerem przekonaniem będę jej mógł powiedzieć: Tam jest dobro i prawda!

Znajduję pokrzepienie w podobnych myślach. Większa część dnia zeszła mi jednak bardzo źle, bo w poczuciu własnej niemocy, wobec tych wszystkich warunków, w jakich znajdujemy się oboje z Anielką. Przychodzi mi nawet do głowy i to, że ona może kocha Kromickiego. Na szczęście, przybycie po południu doktora Chwastowskiego przerwało bieg tego rodzaju przypuszczeń. Przyjechał on z Płoszowa na naradę ze starszym lekarzem, którego w swoim czasie wzywano do pani Celiny. Na odjezdnem przyszedł mnie odwiedzić. Powiedział, że pani Celina ma

się tak samo jak zawsze, ale że pani Kromicka miała zrana mocny ból głowy i nie pokazywała się przy rannej herbacie.

Następnie zaczął długo mówić o Anielce, a ja słuchałem go chętnie, bo zastępowało mi to niejako jej obecność i jej widok. Mówił zresztą, jak człowiek inteligentny, lubo młody. Oświadczył mi, że woli patrzeć na ludzi z niedowierzaniem, nie dlatego, żeby takie stanowisko uważał za jedynie słuszne, ale że na razie uważa je za bezpieczniejsze. Co do pani Kromickiej, sądzi jednak, iż może z całą pewnością policzyć ją do natur wyższych pod każdym względem. Odzywał się o niej w ogóle z taką żywością, iż przez głowę przemknęło mi przypuszczenie, że w głębi serca żywi dla niej coś więcej, niż podziw.

Przypuszczenie to nie sprawiło mi najmniejszej przykrości, zapewne ze względu na ogromną przestrzeń, dzielącą tego niedawnego studenta od Anielki. Owszem, byłem mu wdzięczny, że się na niej poznał, i zatrzymałem go dłużej, bo oprócz tego rozmowa z nim chroniła mnie od zbyt ciężkich myśli. W toku gawędki spytałem go, co zamierza robić na przyszłość. Odpowiedział mi, że naprzód musi zebrać trochę grosza

na wyjazd do klinik zagranicznych, następnie wróci do kraju i ustali się w Warszawie.

— Co pan rozumiesz przez ustalenie się w Warszawie?

— Pracę naukową przy jakim szpitalu i możliwą praktykę.

— I zapewne ożenisz się?

— Przyjdzie czas i na to, ale nie zaraz.

— O ile nie przyjdzie jakieś uczucie i nie opanuje woli. Pan, jako doktor, wiesz, że miłość jest potrzebą fizyologiczną.

Młody Chwastowski chciał jednak widocznie uchodzić za trzeźwą i tęgą głowę, wyższą ponad słabości ludzkie, wzruszył więc swemi szerokimi ramionami, pogladził ostrzyżoną w szczotkę czuprynę i powiedział:

— Potrzebę uznaję, ale nie chcę jej przyznać więcej miejsca, niż jej się należy. Na każdą potrzebę jest rada.

Tu uśmiechnął się zwycięzko, lecz ja odrzekłem poważnie:

— Zastanowiwszy się nieco głębiej nad kwestyą uczucia, kto wie, czy warto dla czego innego żyć?

Chwastowski pomyślał przez chwilę.

— Nie! jest pełno innych rzeczy: choćby nauka,

choćby obowiązki społeczne. Nie mówię nie przeciw małżeństwu: człowiek powinien się ożenić i dla siebie samego i dlatego, żeby mieć dzieci — bo to też obowiązek społeczny. Ale małżeństwo to co innego, a ciągły romans znów co innego.

— Jak pan to rozumiesz?

— Rozumiem tak, że my, panie, jesteśmy mrówki, które budują mrowisko. My, ludzie od roboty, nie mamy na to czasu, żeby życie poświęcać głównie kobietom i kochaniu się w nich. To dobre dla tych, którzy mogą nie robić, albo którzy nie chcą nic innego robić.

To rzekłszy, spojrzał na mnie, jak człowiek, który przemawia w imieniu najtęższych w kraju ludzi i przemawia równie silnie, jak mądrze. Patrzyłem z pewnem zadowoleniem na ten zdrowy okaz ludzkiego rodzaju — i przyznaję, że pominawszy pewną młodocianą, prawie studencką pychę — to, co mówił, nie było wcale głupie. Prawdą jest, że kobieta i miłość dla niej nie odgrywają ani w polowie takiej niezmiernej roli w życiu ludzi pracy, lub życiu ludzi mających przed sobą poważne zadania, poważne cele. Chłop żeni się, byle się ożenić i założyć gospodarstwo. W rzeczywistości zdolność jego do głębokich uczuć jest mała, chociaż poeci i no-

weliści wmawiają w nas co innego. Człowiek naukowej pracy, mąż stanu, wódz, polityk, poświęcają kobiecie zaledwie małą część życia. Wyjątek stanowią artyści. Tych fachem jest kochać, albowiem sztuka sama istnieje przez miłość i kobietę. W ogóle zaś tylko w społeczeństwach bogatych, w których mnóstwo ludzi usuwa się od pracy, kobieta panuje wszechwładnie i wypełnia takim ludziom życie od wierzchu do dna. Opanowująca ona w nich wszystkie myśli, staje się motorem wszystkich czynności, wyłącznym celem zabiegów. I nie może inaczej być. Biorę oto siebie za przykład. Społeczeństwo, do którego należę, nie jest wprawdzie bogate tak, jak inne, ale ja osobiście jestem człowiekiem zamożnym. Z tej zamożności skorzystałem w ten sposób, że nigdy nie nie robił, skutkiem czego nie miałem i nie mam określonego celu w życiu. Może byłoby inaczej, gdybym się był urodził Anglikiem lub Niemcem, ale ciążył jeszcze nade mną ten fatalny grzech pierworodny, który nazywają: «l'improductivité slave». Żaden ze składowych czynników dzisiejszej cywilizacji nie pociągnął mnie i nie wypełnił mi duszy, z tej prostej przyczyny, że ta cywilizacja jest mdlejąca i przesiąknięta

sceptycyzmem. Jeśli ona sama czuje, że się kończy, i wątpi o sobie, trudno wymagać, abym ja w nią uwierzył i poświęcił jej życie. W ogóle więc żyłem jakby zawieszony w powietrzu, bom nie mógł przyczepić się do ziemi. Gdybym był człowiekiem suchym, zimnym albo bardzo głupim, albo zwierzęco-zmysłowym, byłbym ograniczył życie aż do roślinnego wegetowania, lub do zaspokajania zwierzęcych potrzeb — i istniałbym jakoś, ale zdarzyło się właśnie przeciwnie. Przyniosłem na świat żywy umysł, naturę bujną i siły żywotne niepowszednie. Siły te musiały znaleźć jakieś ujście — i mogły je znaleźć tylko w miłości dla kobiety. Nic innego mi nie pozostało. Jestem tego świadom — i poddaję się — bo zresztą próżno byłoby przeciw tej potędze walczyć. Miłość do kobiety — oto jedyna racya, jedyna podstawa mego życia. Całe moje nieszczęście polega na tem, że jako dziecko chorej cywilizacji, wyrosłem krzywo, więc i ta miłość przyszła mi krzywo.

Prostota pojęć byłaby mi dała szczęście, ale o tem szkoda mówić. Każdy garbus radby się pozbyć swego garbu — jeno, że nie może, bo garbatym już był w łonie matki. Tak samo moje garby spowodowało nienormalne łono cy-

wilizacyi i epoki, która mnie na świat wydała. Ale krzywy, czy prosty, muszę kochać — i chcę.

4 maja.

Rozum mój poszedł zupełnie na służbę uczucia i stał się już tym woźnicą, który czuwa jedynie nad tem, by się wóz nie połamał. Od kilku dni znów jestem w Płoszowie i wszystko, co mówię i czynię, jest tylko taktyką miłości. Doktor Chwastowski miał rozum, że kazał Anielce chodzić, dla zdrowia, po parku. Znalazłem ją tam dziś rano. Bywają chwile, że uczucie, noszone w sercu, choćby z zupełną świadomością, ujawnia się z niezwykłą siłą i niemal przestrasza swoim ogromem. Taką chwilę miałem dziś, gdy na skrócie alei zobaczył Anielkę. Nigdy nie wydała mi się piękniejszą, więcej upragnioną, konieczniej mi należną. To jest właśnie ta, jedyna w świecie kobieta, której, z mocy tajemnych, zaledwie dopiero nazwanych przez naukę sił, przeznaczono pociągnąć mnie, jak magnes pociąga żelazo, opanować, przywiązać do siebie, stać się moim celem i wypełnieniem życia. Jej głos, postać, spojrzenie, upajają mnie. Dziś, gdy się do niej zbliżał, zdawało mi się, że ona nosi w sobie wdzięk nietylko swój własny, ale też

porannej godziny, tej wiosny, tej pogody, tej radości ptaków i roślin, skutkiem czego jest dla mnie więcej, niż kobieta, bo zarazem wcieleniem piękności, ponęt i rozkoszy całej natury. I przyszło mi na myśl, że jeśli natura stworzyła ją tak, iż ona mocniej działa na mnie, niż na jakiegokolwiek innego mężczyznę, to tem samem przeznaczyła ją dla mnie — i że to moje prawo zostało podeptane przez jej zamażpójście. Kto wie, czy wszystkie krzywizny świata nie pochodzą właśnie z niespełniania takich praw i czy nie w tem leży niedoskonałość życia?

Miłość źle sobie ludzie wyobrażają z zawiązanymi oczyma. Przeciwnie: nie, żaden najdrobniejszy szczegół nie uchodzi jej wzroku; ona wszystko w istocie ukochanej widzi, wszystko zauważy — tylko wszystko stapia swym płomieniem w jedno wielkie i proste: kocham! Zbliżając się do Anielki, zauważyłem, że ma oczy błyszczące jeszcze, jakby ze snu, że na jej twarz i jasną perkalową suknię pada złoto-zielonawe światło przecedzonych przez młode grabowe liście promieni słonecznych; zauważyłem, że włosy jej związane są niedbale, że lekko puszczona bluzka zarysowywa, z niewypowiedzianym urokiem, wysmukły jej stan i ramiona, że

jest w jej uczesaniu i ubiorze jakieś zaniechanie poranne, a zarazem jakaś świeżość, która potęguje tysiąckrotnie jej ponęty. Nie uszło mej baczności, że w tej alei wysokich grabów postać jej wydaje się drobniejsza niż zwykle i tak młoda, że prawie dziecinna — słowem, nie nie wymknęło się mej uwadze, ale wszystkie spostrzeżenia zmieniły się w jeden zachwyt człowieka, który kocha bez pamięci.

Na moje «dzień dobry» odpowiedziała z pomieszaniem. Od kilku dni ona się mnie boi, bo hypnotyzuję ją każdym słowem, każdym spojrzeniem. Pogoda jej myśli jest już zmacona, ferment wprowadzony do duszy. Nie mogła nie spostrzedz, że ją kocham, a jednocześnie widzę wyraźnie, że nie chce przyznać się do tej myśli za żadne skarby świata, nawet sama przed sobą. Czasami uczuwam takie wrażenie, jakbym trzymał w ręku gołębia i czuł pod palcami jego załęknione, bijące niespokojnie serce. Szliśmy w kłopotliwym milczeniu, którego nie przerywałem umyślnie. Wiem, że takie zakłopotania są dla niej ciężkie, ale czynią ją już poniekąd moją współniczką i zbliżają mnie do celu. W ciszy, jaka nas otaczała, słyszeliśmy tylko skrzy-

pienie piasku pod naszymi nogami i wesołe pogwizdywania wilg, których pełno było w parku.

Począłem wreszcie rozmowę. Kierowałem nią, jakem sam chciał, bo jakkolwiek umysł mój zamknięty był na wszystkie wpływy zewnętrzne, nie mające związku z uczuciem, za to w zakresie mego uczucia posiadałem niemal zdwojoną przytomność i bystrość taką, jaką posiadają ludzie, pogrążeni w śnie magnetycznym, którzy w danym kierunku widzą jaśniej od ludzi normalnych. Przeszliśmy prędko na tory osobiste. Mówilem o sobie tym tonem poufnych zwierzeń, jakim się mówi do istoty najbliższej, która jedyna na świecie ma prawo wiedzieć wszystko. Wytwarzał się przez to między nami cały świat porozumień i wspólności, należący tylko do nas dwojga. Ponieważ zaś taki związek powinien być, z mocy małżeństwa, istnieć tylko między nią a mężem, więc wiodłem ją tem samem do duchowego przeniewierstwa krokami tak nieznacznymi, że ich nie mogła dostrzedz.

Subtelna ta natura przeczuwała jednak, iż idziemy jakąś niezwykłą drogą. Prowadziłem ją jakby za rękę, coraz dalej i dalej, lecz prowadząc, czułem pewien moralny opór. Zdawałem sobie doskonale sprawę i z tego, że opór ten

zwiększyłby się natychmiast, gdybym ją pociągnął silniej, lub gdyby niebezpieczeństwa nie były tak nieuchwytnie. Ale widziałem jasno, że przewaga jest po mojej stronie, i że zwolna zaprowadzę ją, dokąd zechcę.

Tymczasem mówiłem umyślnie o przeszłości.

— Pamiętasz, — rzekłem — jak za dawnych, lepszych czasów pytałaś mnie niegdyś, czemu nie siedzę w kraju i pozwalam marnować się tym zdolnościom, które ludzie widzą we mnie. Co do mnie, pamiętam każde twoje słowo. To było wówczas, gdy wróciłem późno z miasta, a ty czekałaś na mój powrót... Trudno mi nawet powiedzieć, jakiś ty miała na mnie ogromny wpływ. Nie mogłem się zabrać odrazu do jakiejś roboty, bo musiałem wyjechać; potem przyszła śmierć ojca... Ale słowa twoje zapadły we mnie, i powiem ci szczerze, że jeżeli wróciłem, jeżeli zamierzam stale tu osiąść i coś robić, jeżeli wreszcie czegoś dokażę — to będzie twój wpływ i twoja zasługa...

Przez chwilę trwało między nami milczenie — słyszałem tylko ciągle pogwizdywanie wilg. Anielka widocznie szukała odpowiedzi, наконец odrzekła:

— Niepodobna mi temu uwierzyć, żeby taki

człowiek, jak ty, nie miał innych, ważniejszych powodów. Ty doskonale wiesz, że to jest obowiązek, a tamto minęło i teraz jest zupełnie co innego.

— Jest co innego i nie jest — odpowiedziałem. — Może, jak zacznę jakąś robotę, to z czasem znajdę w niej samej i zachętę i zamilowanie. Ale człowiek jak ja, który wbrew temu, co mówisz, nie poczuwał się nawet do obowiązku zajęcia się czemśkolwiek, musi mieć jakieś osobiste powody do gruntownej odmiany życia... I im mu gorzej na świecie, tem mu potrzebniejsza taka osobista pobudka... A po co mam przed tobą klamać?... Ja wcale nie jestem szczęśliwy... Poczucie obowiązków społecznych to bardzo piękna rzecz — tylko na nieszczęście, ja go nie mam. Ty, która jesteś lepsza i szlachetniejsza ode mnie, mogłaś była mnie tego nauczyć... stało się inaczej... Ale i dziś jeszcze, tylko przez pamięć, żeś ty niegdyś chciała ode mnie pracy, tylko przez ciebie i dla ciebie potrafiłbym cośkolwiek przedsięwziąć.

Anielka przyśpieszyła kroku, jakby pragnęła zaraz wracać do domu, i odpowiedziała mi, prawie szepecząc:

— Nie mów tak, Leonie, proszę cię, nie mów

tak. Przecie ty rozumiesz, że ja nie mogę przyjąć takiej intencji.

— Czemu nie możesz? Nie chciej mnie źle rozumieć. Jesteś i zostaniesz dla mnie zawsze bardzo kochaną siostrą. Nic więcej nie chciałem ci powiedzieć.

Anielka podała mi rękę prawie gorączkowo, którą podniosłem do ust zwolna i z największą czcią.

— Tak, zostanę, zawsze zostanę! — odpowiedziała pośpiesznie.

A ja widziałem, że jakby kamień spadł jej z serca, tak ją uspokajał, ujmował i wzruszał ten jeden wyraz: siostra. To sprawiło, że i ja zdołał zapanować nad sobą, bo w pierwszej chwili, gdy ustami dotknął tej najdroższej ręki, prawie mi w oczach pociemniało, i chciałem objąć ją, przytulić do siebie i wyznać całą prawdę.

Tymczasem twarz Anielki stała się jaśniejsza i weselsza. W miarę, jak zbliżaliśmy się do domu, niepokój jej niknął, ja zaś, widząc, jak bardzo ją sobie ujmuję, idąc taką drogą, mówiłem dalej tonem spokojnej, zwykłej rozmowy:

— Widzisz, siostrzyczko, koło mnie jest ogromna pustka. Ojciec mój nie żyje, ciotka jest

święta kobieta, ale nam trudno się zrozumieć, bo ona ani nowych czasów, ani nowych ludzi nie pojmuje. Jej wyobrażenia są zupełnie inne od moich. Nie ożenie się nigdy, więc — pomyśl tylko, jaki ze mnie samotnik! Nikogo naokoło! Nikogo, z kimby się podzielić, czy to myślą, czy zamiarem, czy zwierzyć się ze zmartwie-
niem... Pustka i pustka... Powiedz-że sama: co w tem dziwnego, że szukam współczucia tam, gdzie spodziewam się je znaleźć?... Jestem, jak dziad kaleka, który staje przed bramą, czekając, czy mu nie wyniosą parę groszy. W tej chwili ten dziad, naprawdę bardzo biedny, staje pod twojem oknem i żebrze o trochę życzliwości, przyjaźni i miłosierdzia. Ani mu w głowie coś więcej, niż jałmużna, ale przecie jałmużny mu nie odmówisz?... prawda? 

— Prawda, Leonie — odpowiedziała Anielka — prawda; tembardziej, że jeśli ci tak źle...

Tu słowa urwały się jej i usta poczęły drżeć. Znów potrzebowałem całej siły, żeby jej nie upaść do nóg. Wzruszyłem się sam jej widokiem do tego stopnia, iż i mnie gardło ścisnęło się jakby płaczem.

— Anielko! Anielko! — ozwał się, nie wiedząc, co mam jej powiedzieć.

Lecz ona poczęła potrząsać dłońmi, jakby się chciała ode mnie odpędzić, wreszcie powiedziała wśród łez:

— Zaraz, zaraz!... uspokoję się. Nie mogę tak wrócić... pozwól mi...

I odeszła szybko.

— Przepraszam cię, Anielko! — zawolałem za nią.

Naprzód chciałem koniecznie biedz w jej ślady, alem pomyślał, że trzeba ją zostawić samą, gonilem ją więc tylko wzrokiem. Wróciła się pośpiesznie w tę samą aleję, po której chodziliśmy poprzednio, potem skręciła w bok. Czasem gąszcz przesłaniał ją, to znów jasna jej suknia ukazywała się w przerwach drzew, błyszcząc bardzo w słońcu. Zdawało mi się, że widziałem, jak składała, rozpinała i znów składała parasolkę, pragnąc widocznie tem fizycznym zajęciem rozproszyć wzruszenie. Przez ten czas wołałem na nią w duszy wszystkimi najslodszyimi wyrazami, jakie może podyktować miłość. Nie mogłem wymóżyć na sobie, by odejść, nie spojrzawszy raz jeszcze w jej twarz; musiałem jednak czekać dość długo. Wróciła wreszcie, ale przeszła koło mnie prędko, jakby się bojąc poownego wzruszenia; uśmiechnęła się tylko po

drodze do mnie z anielską przyjaźnią i słodyczą — i rzekła:

— Już dobrze! już dobrze!

Jakoż na zarumienionej od prędkiego ruchu jej twarzy nie znać było lez. Zostałem sam, i chwyciła mnie szalona, nieopisana radość, nadzieja przepelniła mi serce, w głowie miałem tylko jedną myśl: ona mnie kocha, broni się, nie poddaje, ludzi się sama, ale kocha. Czasem najbardziej świadomy siebie człowiek staje pod nadmiarem uczuć prawie na granicy szaleństwa — ja zaś byłem jej tak blisko, że chciało mi się lecieć w głąb parku i tarzać się w trawach i krzyczeć na cały głos, że ona mnie kocha.

W tej chwili, gdy już spokojniej rozmyślałem nad tą radością, widzę, że składała się ona z Bóg wie ilu czynników. Było w niej między innymi i szczęście mistrza, który czuje, że mu się arcydzielo udaje, było może i zadowolenie pajaka, pewnego, że mucha wpadnie w jego sieć — ale była i dobroć i litość i tkliwość i to wszystko, z czego, jak mówi poeta, radują się anieli w niebie. Żal mi było, że to bezbronne biedactwo musi wpaść w moje ręce, i zarazem żal ten wzmagał miłość, a więc i chęć zdobycia

Anielki; jednocześnie doznawalem wyrzutów, że ją oszukuję, i jednocześnie miałem poczucie, że nigdy w życiu nie mówił tak szczerze i tak z głębi serca.

Bom przecie nie kłamał, prosząc jej o współczucie i o przyjaźń. Potrzeba mi i tego, jak zdrowia. Nie wypowiedziałem tylko wszystkich żądań, bo nie przyszedł na to czas; nie wypowiedziałem całej prawdy, by nie przestraszyć tej drogiej a bojaźliwej duszy. Wreszcie zdążam do mego i jej dobra drogą, która najprościej do niego wiedzie.

10 maja.

Pogoda na niebie i pogoda między nami. Anielka jest spokojna i szczęśliwa. Uwierzyła głęboko słowom moim, że nie chodzi mi o nic więcej, niż o braterskie uczucia, że zaś sumienie pozwala jej kochać mnie miłością siostry, więc dała folgę sercu. Ja jeden wiem, że to jest lojalny sposób oszukiwania samej siebie i oszukiwania męża, bo pod stemplem tego siostrzanego uczucia kryje się i wzrasta w niej inne; ale naturalnie nie myślę wywodzić jej z błędu, póki owo uczucie nie stanie się nieprzepartem... Ogarnie ją ono wkrótce, jak płomień, którego

nie przytłumi ni wola, ni poczucie obowiązku, ni wstydlivość tej kobiety białej, jak labędź. Tymczasem i mnie jest dobrze, tak dobrze, że chwilami mam poczucie, iż mógłbym niczego więcej nie żądać, pod tym jednym tylko warunkiem, żeby nikt nie miał do niej żadnych praw. ~~+~~ Ciagle wraca mi do głowy myśl, że ponieważ ja kocham ją najbardziej, więc moje prawo jest najlepsze. Co może być nad to logiczniejszego i słusznieszego? Wszakże w etyce wszystkich ludów i wszystkich wyznań przy należność wzajemna mężczyzny i kobiety wspiera się na miłości. ~~+~~

Ale dziś taki jestem uciszony i szczęśliwy, że wolę czuć, niż rozumować. Panuje teraz między nami wielka serdeczność, swoboda i zażyłość. Jak my jednak byliśmy dla siebie stworzeni, jak nasze istoty lgną do siebie, jak to kochane biedactwo wygrzewa się i rozkoszuje w tem zwodniczem cieple braterskich uczuć! Nigdy, od czasu powrotu, nie widziałem jej tak wesolą. Nieraz poprzednio, gdym na nią patrzył, przypominał mi się Szekspirowski «poor Tom». Taka natura, jak jej, potrzebuje miłości, jak powietrza do oddychania, a ów Kromicki, zajęty spekulacyami, nie kocha jej dostatecznie i nie

jest zdolny kochać. Ona słusznie mogłaby się skarżyć i powtarzać za Szekspirem: «Biednemu Tomkowi zimno». Myśląc o tem, nie mogę się oprzeć rozrzewnieniu i przyrzekam jej w duszy, że jej nie będzie zimno, póki ja żyję.

Gdyby miłość nasza była złą, nie mógłby się unosić nad nami taki spokój. Bo, że Anielka nie nazwała swego uczucia po imieniu — to wszystko jedno: niemniej ono istnieje. Cały dzisiejszy dzień zeszedł nam jak sielanka. Nie lubilem dotąd niedzieli; teraz spostrzegam, że niedziela od rana do wieczora może być jednym poematem, zwłaszcza na wsi. Zaraz po herbacie poszliśmy do kościoła na ranną wotywę. Ciotka szła z nami, a nawet i pani Celina, korzystając z cudnej pogody, kazała się przy nas toczyć w fotelu. Ludzi było niewiele, bo lud zbiera się tłumnie dopiero na sumę. Siedząc w ławce, obok Anielki, miałem jakieś błogie złudzenie, że siedzę obok mojej narzeczonej. Chwilami spoglądałem na jej słodki, kochany profil, na ręce, które trzymała oparte przed sobą na ławce, i to skupienie, jakie było widać w jej postawie i twarzy, udzielało mi się mimowoli. Zmysły moje uśpiły się, myśli stały się czyste, i kochałem ją w tej chwili zupełnie idealną miłością, bom czuł,

jak nigdy, że to jest bezwzględnie inna kobieta od tych, które spotykałem dotychczas — sto-kroć lepsza i czystsza.

Dawno nie zaznałem podobnych wrażeń, jak w tym wiejskim kościele. Złożyła się na nie i obecność Anielki i powaga kościelna i łagodne migotanie świec w mroku ołtarza i smugi kolorowe światła z okien i świegot wróbli przy szymbach i cicha msza. Wszystko to miało w sobie jeszcze jakąś senność poranną, a oprócz tego było ogromnie kojące. Myśli moje zaczęły się układać tak równo i spokojnie, jak obłoki dymu z kadzielnicy przed ołtarzem. Zbudziło się we mnie coś, jakby chęć ofiary z siebie, i głos wewnętrzny jał mi mówić: «Nie mać tej jasnej wody, uczcij jej przezroczystość».

Tymczasem msza się skończyła i wyszliśmy z kościoła. Przed progiem kościelnym spostrzegłem z niemałym zdumieniem oboje starych Łatyszów, siedzących na ziemi, z drewnianymi miseczkami w rękę i proszących o jałmużnę. Ciotka, która wiedziała o moim datku, wpadła na ich widok w wielki gniew i poczęła ich lajać, lecz stara Łatyszowa, nie przestając wyciągać ku nam swojej miseczki, odrzekła spokojnie:

— Co je pańska hojność, to pańska hojność, a co wola Boska, to wola Boska. Woli Boskiej nie trza się przeciwić. Kiejś nam, Jezusicku, kazał tu siedzieć, to ostaniem, teraz i na wieki wieków, amen.

Z tego rodzaju rozumowaniem nie było się co spierać. Zwłaszcza owo «na wieki wieków, amen» zaimponowało mi do tego stopnia, że dałem im jałmużnę dla samej oryginalności. Ten lud wierzy w gruncie rzeczy w przeznaczenie; poddając się mu ślepo, chrystyanizuje je tylko na własny sposób. Tacy Łatyszowie, którym dałem tysiąc dwieście rubli, są teraz zamożniejsi, niż byli kiedykolwiek, a jednak poszli pod kościół, w przekonaniu, że im tak kazało przeznaczenie, które staruszka nazywa po swojemu: wolą Boską.

Wracaliśmy teraz do domu. Dzwoniono właśnie na sumę. Drogą ciągnęły gromady mężczyzn i kobiet. Ludzie z dalszych folwarków szli gęsiego przez pola, ścieżkami w zbożu, które, lubo jeszcze zielone, wyrosło już tej wczesnej wiosny dość wysoko. Jak okiem sięgnąć, widać było w jasnych głębiach powietrznych jaskrawe chustki dziewcząt, jak różnobarwne kwiaty

maku, rosnącego wśród zieleni. Mówiąc nawiasem, takich szerokich przestrzeni powietrznych niema w całej Europie, jak u nas. Co mnie także uderzyło, to ów wybitny charakter niedzielny, widoczny zarówno w ludziach, jak w naturze. Prawda, że pogoda była przepyszna, ale zdawało się, że wiatr nie wieje dlatego, że to niedziela, że zboże nie kołysze się lanem i liście nie trzęsą się na topolach, bo niedziela; wszędy wielki a wesóły spokój, cisza, odświeżne stroje i w bród światła.

Wyjaśniałem Anielce, ze stanowiska sztuki, piękności widoku i tych barwnych plam, harmonizowanych przez błękitny ton powietrza. Potem zaczęliśmy mówić o chłopach. Ja przyznaję się, że widziałem w nich tylko wielki zbiór mniej lub więcej malowniczych modeli. Anielka za to patrzyła na nich zupełnie inaczej. Opo-wiadala mi o nich mnóstwo charakterystycznych rzeczy, smutnych i wesółych, przyczem ożywiła się opowiadaniem i ruchem i tak była urocza, że mimowoli począłem, spoglądając na nią, powtarzać trzy ostatnie wiersze poematu, który pisałem jeszcze w uniwersytecie, a którego całej reszty zapomniałem zupełnie:

»I dziwię się tylko, że kwiaty
»Pod twemi stopami nie rósł,
»Ty maju, ty raju, ty wiosno!»

Rozmowa zeszła znów na Łatyszów, a raczej na starą Łatyszową, której podkościelne rozumowania rozśmieszyły nas w końcu. Po-
cząłem stosować je do siebie. Ponieważ ciotka
pozostała z panią Celiną, którą służący toczył
w wózku o kilkanaście kroków za nami, mogłem
z całą swobodą wspomnieć o naszej ostatniej
przechadzce po parku.

— Niedawno — rzekłem — ja prosiłem cię
o jałmużnę, a ty mi ją dałaś. Widzę teraz, że
mnie to nie obowiązuje do niczego i że mogę
iść pod kościół.

— Aha! — odpowiedziała Anielka — i prosić
inne dusze miłosierne o to samo. Ciocia wybie-
rze się dziś, by jedną taką duszyczkę zaprosić
na jutro do Płoszowa; rozumiem!

W odpowiedzi rzekłem, że Hilstówna jest
za duża, żeby ją jedno serce zdolalo pomieścić,
i że trzebaby się co najmniej we trzech w niej
kochać, ale Anielka nie przestała się ze mną
przekomarzać i, wygrażając mi palcem, po-
wtarzała:

— Coś ja tam podejrzewam, coś podejrzewam!

— Na teraz niesłusznie, — odpowiedziałem — bo serce moje jest składem tylko braterskich uczuć, i panuje w niem wyłącznie to złośliwe stworzenie, które mi w tej chwili dokucza.

Anielka przestała mi wygrażać i śmiać się, a jednak zwolniła kroku, i po chwili połączyliśmy się ze starszemi paniami. Zresztą cały dzień zszedł nam bez chmurki i tak wesolo, iż często wydawało mi się, że jestem studentem. Oczywiście mówilem jej wprawdzie, że ją kocham — ale pożądanie spalo we mnie. Była mi na to tego dnia zbyt droga. Ciotka zaraz po śniadaniu pojechała do Warszawy; ja resztę dnia przesiedziałem w pokoju pani Celiny, czytając jej listy Montalamberta, z którym ojciec mój był swego czasu w korespondencyi. Listy owe nudziłyby mnie dosyć, gdyby nie obecność Anielki. Podnosząc oczy od książki, spotykałem jej wzrok, który napelniał mnie radością, bo albowiem zupełnie stracił dar sądu, albo patrzyła na mnie, jak patrzy kobieta niewinna i czysta, ale nieświadomie całą duszą kochająca. Co to był za dobry dzień! Ciotka przyjechała wieczó-

rem z zapowiedzią gości. Będą jutro Śniatyńscy i Klara Hilst.

Jest już dość późno, ale nie chcę spać, bo mi szkoda rozstawać się z wrażeniami dzisiejszego dnia. Sen nie może być od nich piękniejszy. Przytem park trzęsie się literalnie od śpiewu słowików, a we mnie tyle jeszcze siedzi starego romantyka! Noc przyszła równie pogodna, jak był dzień. Niebo nabite gwiazdami. Myśląc o Anielce, mówię jej w duszy: dobranoc! Powtórzyłem ten wyraz ze sto razy. Widzę, że obok «l'improductivité slave» jest we mnie w dodatku jakiś wyłącznie polski sentymentalizm. Nie znałem się dotąd z tej strony. Ale co mi to szkodzi... Kocham ją bardzo! ✕.

13 maja.

Klara i Śniatyńscy nie przyjechali. On dał znać, że wybiorą się jutro, jeżeli pogoda będzie odpowiednia. Dziś srożyła się nad Płozowem taka burza, jakiej nie pamiętają tu dawno. Około dziesiątej rano zerwał się gorący wichur, który przesłonił świat kłębam kurzu. Nie wiał on ciągle, ale uderzenia przychodziły do południa jedno po drugim tak gwałtowne, że przyginały drzewa do ziemi. Nasz piękny park napelnił

się trzaskiem łamanych gałęzi, a wśród tumanów kurzu unosiły się chmury zerwanych liści. Wielka lipa, stojąca przed prawym pawilonem, w którym umarł ksiądz Łatysz, rozszczepiła się na dwie połowy. Było nieznosnie duszno; płucom naszym brakło powietrza; zdawało się, że ten wichur wychodził z jakichś rozpalonych czeluści i niesie z sobą czad węgla. Mnie, przy wyklemu do siroko we Włoszech, niewiele to szkodziło, ale pani Celina cierpiała ogromnie, Anielka z nią razem, ciotka zaś zrobiła awanturę staremu Chwastowskiemu o szkody w parku. Czupurny szlachcic, którego zapewne nieraz w szkołach wytargano za uszy z powodu Homera, nie zapominał widocznie ani Odysei, ani języka w ustach, bo zapowiedział ciotce, że gdyby był Eolem, toby nie służył u niej za rządcę i nie narażał się na niesłuszne napaści. Ciotka ustąpiła tym razem, zdaje się, głównie z powodu nowych gróźb ze strony nieba. Oto od południa uciszyło się nagle, natomiast poczęły się toczyć olbrzymie wały chmur, naprzemian czarnych, jak kir, lub bramowanych złotem, o tułowiach koloru miedzi. Chwilami robiło się ciemno, jak w nocy, tak, że pani Celina prosiła o zapalenie lamp, to znów padał na świat złowrogi rudy

blask. W całej naturze był jakby przestrch. Pan Chwastowski poleciał na folwark, by kazać sprowadzić bydło z pola, ale pastusi przygnali je sami przed otrzymaniem rozkazów, wkrótce bowiem usłyszeliśmy żalosny ryk krów, który wśród tej ciszy przed burzą dochodził aż do zabudowań folwarcznych. Ciotka, chwyciwszy loretański dzwonek, poczęła obiegać cały pałac i dzwonić zawzięcie. Nawet nie próbowałem tłumaczyć jej, że dzwonienie, wśród atmosfery tak nieruchomej, może raczej sprowadzić, niż oddalić pioruny — i pomimo doskonałej świadomości, że w danym razie nie potrafię jej nic dopomódz, towarzyszyłem jej w tej wycieczce, bo mi wstyd było, żeby narażała się sama. Ciotka była poprostu pyszna, gdy z głową podniesioną spoglądała wyzywająco w te czarne i miedziane zwały chmur — i przygrażała im swoim dzwonkiem. Nie żałowałem, żem z nią poszedł, bom miał przed sobą jakby symboliczny obraz: w chwili, gdy wszystko drży przed grozą, przylega w przerażeniu i drętwieje, wiara jedna nie boi się, wyzywa — i dzwoni! Jest to, bądź co bądź, pierwiastek nieobliczonej potęgi w duszy ludzkiej.

Wróciliśmy, gdy pierwsze grzmoty jęły rozta-

czać się naokół po niebie. W kilka minut huk stał się nieustający. Miałem takie wrażenie, że gdy się grzmot toczy po podścielisku chmur, pułap ich zarywa się co chwila pod nim i wszystko razem zwala się z nieopisanym łoskotem na ziemię. Piorun palnął w staw, leżący w końcu parku, a zaraz po nim drugi, jeszcze bliżej, tak, że aż ściany naszego płoszkowskiego domu zadygotały w podstawach. Panie moje poczęły odmawiać litanie, ja zaś miałem chwilę wielkiego niesmaku, wydało mi się bowiem, że jeśli ją będę odmawiał razem z niemi, będzie to z mojej strony hipokryzja; jeśli nie, to będzie wyglądało na popis źle wychowanego mędrka, nie biorącego w rachubę zwykłego wiejskiego obyczaju i przedewszystkiem strachu kobiet. Niebawem spostrzegłem jednak, że myłę się, posądzając je o strach; twarze ich były spokojne, a nawet pogodne. Widocznie ta obyczajowa litania wydała im się tak warownym puklerzem przeciw wszelkim niebezpieczeństwom, że na obawę nie było już miejsca w ich sercach. Przyszła mi wówczas do głowy także i inna myśl, a mianowicie, jakim ja jestem obcym duchem wśród tych trzech polskich kobiet, z których każda wie dziesięć razy mniej, a jest, wedle zwykłej ludzkiej miary,

warta dziesięć razy więcej ode mnie. One są jak książki, o stosunkowo niewielkiej liczbie stronnic, ale pełne jasnych i prostych prawideł — gdy tymczasem we wszystkich tych tomach, z których się ja składam, niema ani jednej niewątpliwej prawdy — i ja pierwszy gotówem zwątpić o każdej.

Ale była to krótka chwila, bo rozpędziła ją burza, która istotnie przybierała coraz straszniejsze rozmiary. Wicher zerwał się znów z taką siłą, że park kładł się pod jego uderzeniami. Były chwile, że nagle ustawał, a wówczas strumienie dżdżu lały się na ziemię. Widziałem nie krople, ale nieprzerwane sznury wody, łączące niebo z ziemią. Aleje parku zamieniły się w rwące potoki. Czasem niespodziany, straszliwy podmuch rozbijał w pył wszystką wodę, zawieszoną między niebem a ziemią — i świat przesłaniał się tak zbitym tumanem mgły, że o krok nie można było nic dojrzeć. Ogluszająca kanonada grzmotów trwała bez przerwy. Powietrze było przeładowane elektrycznością. Pulsa moje były ciężko; nawet w pokojach dawał się czuć ów drażniący zapach burzy, który powstaje z uderzeń piorunów. Nakoniec, za przykładem zewnętrznych żywiołów, rozpętały się moje myśli

i pragnienia. Zapomniałem o burzy, widziałem tylko przed sobą Anielkę; straciłem zupełnie panowanie nad sobą, i zbliżywszy się do niej, rzekłem:

— Chcesz patrzeć na burzę?

— Dobrze — odpowiedziała.

— Pójdź obok, do tamtego pokoju... Tam jest okno weneckie...

Poszła, i stanęliśmy w oknie. W tej chwili mrok uczynił się prawie zupełny, ale co kilka sekund rozdierały go błyskawice, białe i czerwone, odsłaniając głębiny nieba, a zarazem rozświecając nasze twarze i cały świat, zasnuty falą. Anielka była spokojna, tylko za każdym błyskiem wydawała mi się bardziej pożądana.

— Nie boisz się? — spytałem, szepcząc.

— Nie...

— Daj mi rękę...

Ona spojrzała na mnie ze zdziwieniem. Chwila jeszcze, a byłbym ją porwał i usta przycisnął do jej ust — poczem niechby się Płoszów zapadł w ziemię, ale ona złękła się — nie burzy — tylko mego wyrazu twarzy i tego szeptu, bo cofnąwszy się szybko od okna, wróciła do pokoju, w którym siedziały starsze panie.

Zostałem sam — z poczuciem gniewu i upo-

korzenia. Bylbym niewątpliwie nadużył ufności Anielki, a jednak zdawało mi się, że tym brakiem zaufania wyrządziła mi obelgę. Postanowiłem dać jej to uczuć. Wśród podobnych wrażeń nie prędko odzyskałem równowagę; z godzinę jeszcze stałem przy oknie, patrząc bezmyślnie w oślepiające błyskawice. Tymczasem na świecie stawało się coraz jaśniej, na koniec chmury przerwały się, i w przerwie zajaśniało słońce, świetne, jakby wykąpane i jakby zdziwione spustoszeniami, które narobiła burza.

Były one bardzo znaczne; alejami parku płynęła jeszcze żółta i zapieniona woda, nad którą sterczały odłamane gałęzie. Gdzieś widać było zwalone drzewa lub widne zdaleka na pninach odarcia, naksztalt wielkich ran. Jak okiem sięgnąć, wszędy zniszczenie i ruina, niby po bitwie.

Gdy woda nieco spłynęła, wyszedłem ku stawom, chcąc bliżej obejrzeć szkody. Nagle cały park zaroił się ludźmi, którzy z jakąś dziwną energią i radością poczęli porywać odłamane gałęzie i rąbać zwalone pnie. Pokazało się, że to komornicy wiejscy, nie mający własnego lasu, zbiegli się z siekierami do parku przez połamane siłą burzy sztachety, by zaopa

trzyć się w drzewo. W gruncie rzeczy było mi to wszystko jedno, ale ponieważ uczynili to bez pozwolenia i w jakiś dziki sposób, ponieważ zresztą byłem w złem usposobieniu, więc począłem ich wypędzać z wielkim gniewem, który wzrastał w miarę ich oporu. Zagroziłem już im wójtem, gdy nagle ozwał się za mną najslodszy w świecie dla moich uszu głos, pytając po francusku:

— Czy to naprawdę co szkodzi, Leonie, że oni uprzątną park?

Obróciłem się i ujrzałem Anielkę w chusteczce na głowie, podwiązanej pod brodę. Obiema rękoma podtrzymywała sukienkę, odsłaniając do kostek swoje małe stopy, przybrane w wysokie buciki — i pochyłona nieco, patrzyła na mnie jakby z prośbą.

Na jej widok gniew mój zniknął w jednej chwili — zapomniałem o tych przykrych wrażeniach, przez które przeszedłem niedawno — i tylko patrzyłem na nią, nie mogąc oczu nasycić.

— Każesz? — spytałem.

I zwróciwszy się do ludzi, rzekłem:

— Podziękować pani i brać drzewo.

Tym razem spełnili mój rozkaz chętnie. Nie-

którzy, nie znając widocznie stosunków dworskich, nazywali ją, dziękując, «jasną panienką», co mi sprawiało niewysłowioną rozkosz. Gdyby Płoszów był mój, byłbym pozwolił na jedno jej słowo wyrąbać cały park. W pół godziny wszystko, co pęłamała burza, było uprzątnięte, i park rzeczywiście przybrał weselszy pozór. Chodząc z Anielką po alejach, znaleźliśmy pełno jaskółek i innych ptaków, albo zupełnie pobitych przez burzę, albo nawpół żywych i nawskroś przemoczonych. Zbierając je i oddając Anielce, dotykałem jej ręk, spoglądałem jej w oczy, i znów było mi dobrze. Sielanka poprzedniego dnia wróciła dla nas obojga, a z nią swoboda i weselość. Ja miałem serce do dna rozradowane, bom widział to, czego nie widziała Anielka, to jest, że było między nami, w tych niby braterskich stosunkach, dwa razy tyle tkliwości, ile mogło i powinno było być między, choćby najczulszem, rodzeństwem. Byłem zupełnie pewny, że ona kocha mnie nieświadomie, ale kocha zupełnie tak, jak ja ją. W ten sposób większa część moich nadziei i moich zamiarów była już spełniona — pozostawało mi tylko doprowadzić ją do świadomości i do poznania tego uczucia.

Gdy o tem teraz myślę, przypominam sobie z bijącym ze szczęścia sercem to, com niegdyś już w tym pamiętniku napisał, że żadna w świecie kobieta nie oprze się mężczyźnie, po którego stronie stoi jej serce.

15 maja.

Goście nasi przyjechali dopiero dziś, nie wczoraj, i słusznie zrobili, bo dziś dopiero obeschło należycie i pogoda była prześliczna. Ten piętnasty maja. będzie jednym z najpamiętniejszych dni w mojem życiu. Teraz jest już po północy, a nie śpię i nie położę się spać; sen odbiegł ode mnie gdzieś za dziesiątą granicę; zmysły moje są tak rozbudzone, że nie czuję najmniejszego znużenia i zamierzam pisać do rana. Wysiłam się tylko na to, by nie rozpocząć od końca i zanotować wszystko po porządku. Pomaga mi w tem bardzo przyzwyczajenie.

Ciotka wysłała powóz po Sniatyńskich i po Klarę bardzo rano, tak, że już przed południem byli w Płoszowie. Te panie przyjechały świeże, wesole i rozszczebiotane, jak wróble, tak je cieszyła pogoda i ta wycieczka. Co za tualety! co za fantazyjne kapelusze! Klara doskonale była ubrana w jakąś paskowatą, jasną suknię, gdyż

wyglądała w niej nie taka ogromna, jak zwykle. Spostrzegłem, że Anielka, od pierwszej chwili przywitania, przypatrywała się jej badawczo, i że była jakby zdziwiona jej pięknnością, o której prawie nie wspominałem w naszych rozmowach o Klarze. Nie uczynilem tego z żadnego wyrachowania, ale poprostu umysł mój tak jest przesłonięty przez Anielkę, że wiele rzeczy nie przychodzi mi na myśl, wielu nie widzę. Oto na przykład, pomimo dwukrotnej bytności u Śniatyńskich, teraz dopiero, w Płoszowie, zauważyłem, że pani Śniatyńska ma krótko obcięte włosy, z czem jej zresztą bardzo do twarzy. Ta jasna, opadająca na czoło czupryna daje jej minę równie rezolutnego, jak różowego chłopca. Żyjemy z sobą teraz w wielkiej przyjaźni. W swoim czasie byłaby mnie w łyżce wody utopila za Anielkę. <Widocznie jednak musiał jej mąż później powiedzieć, ilem przecierpiał, że zaś kobiety mają wogóle największą słabość do ludzi, którzy cierpieli z miłości, więc przebaczyła mi wszystkie winy i darzy mnie swą łaską. Obecność tak milej a żywej i swobodnej kobiety bardzo przydała się do złamania pierwszych lodów między Anielką a Klarą — zauważyłem bowiem, że ciotka, która poczuwała się do wdzięcz-

ności względem Klary, przyjęła ją nadzwyczaj serdecznie, Anielka natomiast, mimo całej uprzejmości i wrodzonej słodyczy, była jakby onieśmielona i trochę sztywna. Dopiero przy śniadaniu, wśród ogólnej wesołej rozmowy, nastąpiło między temi paniami pewne zbliżenie. Klarę uderzyła niezmiernie piękność Anielki, że zaś jest pełna prostoty i przywykła do wypowiedzania swych myśli z całą swobodą artystyczną, wypowiadała Anielce w oczy swe zachwyty, ale z takim wdziękiem i z takim szczerem zapalem, że Anielkę musiało to ująć. Obecna przy śniadaniu pani Celina rosła jak na drożdżach, i jakkolwiek zapewne po raz pierwszy w życiu znalazła się w towarzystwie kobiety ze świata artystycznego, poczęła spoglądać na Klarę coraz milej.

Nakoniec, zwróciwszy się do niej, oświadczyła, że chociaż jest matką Anielki, musi jednak przyznać, że Anielka była zawsze bardzo niebrzydkim dzieckiem, i że można się było po niej jeszcze więcej spodziewać. Oboje Sniatyńscy wmieszali się także do rozmowy. On wszczął zaraz spór z Klarą o rozmaite typy kobiece, przyczem rozprawiał o typie Anielki i jego estetycznej doskonałości w sposób tak

zabawnie obiektywny, jakby Anielka była portretem, wiszącym na ścianie, nie zaś żywą i obecną osobą. Ona, słuchając tego, czerwieniła się i spuszczała swoje cieniste rzęsy, zupełnie jak mała dziewczynka, przez co stawała się istotnie jeszcze śliczniejsza, niż zwykle.

Ja milczałem, ałem porównywałem w duchu te trzy twarze kobiece, starając się patrzeć na nie także obiektywnie, to jest usuwając na bok wzgląd, że Anielka jest kobietą przeze mnie kochaną, a więc tem samem najbardziej wyróżnioną i pociągającą. Lecz porównanie nawet w tych warunkach wypadło na jej korzyść. Pani Sniatyńska, teraz zwłaszcza, gdy nosi włosy obcięte, jest to bardzo wdzięczna głowa, ale każdy «keepsake» angielski zawiera mniej więcej podobne; na piękność Klary składają się pogodne rysy, głównie zaś błękitne oczy i przezroczysta cera, jaką powszechnie miewają Niemki; gdyby jednak nie jej powołanie, które sprawia, że patrząc na nią, myśli się zarazem o muzykę, twarz uchodziłaby, co najwyżej, za hożą. Anielka nie tylko ma regularne rysy, nie tylko jest pomysłem artystycznym w stylu niezmiernie szlachetnym, ale ma w sobie coś tak indywidualnego, że nie może być podciągnięta pod żaden

ogólny wzór. Może ten indywidualizm polega na tem, że ona, nie będąc ani brunetką, ani blondynką, robi fizyczne wrażenie brunetki, a duchowe blondynki; może sprawia to wyjątkowa bujność jej włosów, przy stosunkowo drobnej twarzy, dość, że jest ona unikatem w swoim rodzaju. Przewyższa nawet pod tym względem Davisową, która była piękna bez zarzutu, ale pięknoscią posągów. Davisowa budziła we mnie tylko podziw i zmysły, Anielka budzi we mnie prócz tego idealistę, który się zachwycą poezją jej wyrazu, i to poezją nową, dotąd nieznaną.

Ale nie chcę nawet porównywać dwóch tak różnych istot. Oddałem się podczas śniadania tym rozmyślaniom dlatego, że się o podobnych rzeczach zgadalo, i że analiza piękności Anielki sprawia mi zawsze wielką przyjemność. Ciotka przerwała tę rozprawę, sądząc, że jako gościnniej gospodyni, wypada jej pomówić z Klarą o ostatnim koncercie. Mówiła wiele i dobrze; nie przypuszczałem nawet, że posiada tyle znajomości muzyki; wypowiadała przytem swe komplementa z taką uprzejmością wielkiej damy, w sposób tak potoczysty i miły, jak umięją je wypowiadać tylko ludzie starszego pokolenia,

którzy przejęli jeszcze nieco ducha ośmnastego wieku. Jednem słowem, ze zdziwieniem spostrzegłem, że moja weredyczna ciotka potrafi, gdy chce, przypomnieć sobie czasy peruk i muszek. Klara, którą to ujmowało, nie pozostała jej dłużną w uprzejmościach.

— W Warszawie — rzekła — będę zawsze dobrze grała, bo publiczność mnie rozumie, ale najlepiej grywam w małych kółkach znajomych, gdzie mi są wszyscy sympatyczni — i jeśli państwo pozwolicie, to was przekonam o tem zaraz po śniadaniu.

Ciotka, której bardzo chodziło o to, by pani Celina i Anielka słyszały Klarę, ale która nie była pewna, czy wypada sadzać ją u siebie do fortepianu, wpadła w doskonały humor. Ja począłem opowiadać o wystąpieniach Klary w Paryżu i jej tryumfach w sali Erarda, Śniatyński zdawał sprawę z tego, co mówią w Warszawie, i w ten sposób zeszedł nam czas aż do końca śniadania. Gdyśmy wstali, Klara sama chwyciła za poręcz fotelu, w którym siedziała pani Celina, aby przetoczyć ją do salonu, i nie pozwoliła się nikomu wyręczyć, śmiejąc się i mówiąc, że pewno jest najmocniejsza w całym towarzystwie i nie boi się zmęczyć rąk. W chwilę

potem siedziała przy fortepianie, i tym razem widocznie Mozart odpowiadał najbardziej jej usposobieniu, bo usłyszeliśmy «Don Juana». Zaledwie ozwały się pierwsze dźwięki, już była to inna Klara: nie owo hoże i wesołe dziecko, z którym rozmawialiśmy podczas śniadania, ale jakby uosobiona święta Cecylia. Wytwarzało się powinowactwo między jej zewnętrzną postacią a muzyką; splywała na nią jakaś duchowa powaga i harmonia, które czyniły ją wyższą od zwykłych kobiet. Zrobiłem przytem jedno spostrzeżenie, mianowicie, że zakochane serce mężczyzny umie podsycać swoje uczucie nawet tem, co wypada na niekorzyść kobiety kochanej. Gdym pomyślał, jak daleko mojej Anielce do tego, by mogła być podobną Sybillą, gdym ją ujrzał siedzącą w kącie salonu, cichą, małą, niejako przytłumioną, uczulem, że ją kocham tem więcej, i że mi jest tem droższa. Przyszło mi także do głowy, że kobieta nie jest w rzeczywistości taką, jaką się ogółowi ludzi przedstawia, ale taką, jaką ją widzi zakochany w niej mężczyzna, że zatem bezwzględna jej doskonałość jest w stosunku prostym do siły miłości, jaką potrafiła wzbudzić. Nie miałem czasu zastanawiać się nad tym pomysłem, ale

przypadł mi on bardzo do smaku, bom jak przez mgłę ujrzał i ten wniosek, że w imię owej doskonałości kobieta winna zgodzić się na przynależność do serca, które najbardziej ją kocha.

Klara grała cudownie. Szukałem wrażeń na twarzach innych, niebawem jednak spostrzegłem, że Anielka szuka ich na mojej. Była li to prosta ciekawość, czy też mimowiedny niepokój serca, które nie umiałoby powiedzieć, czego się obawia, a jednak się obawia? Powiedziałem sobie, że gdyby to ostatnie przypuszczenie było prawdziwe, stanowiłoby nowy dowód, że ona mnie kocha. Myśl ta przejęła mnie radością, i postanowiłem znaleźć w pozostającym ciągu dnia odpowiedź na owo pytanie.

Od tej chwili nie odstępowałem Klary. Mówiłem z nią więcej i byłem dla niej serdeczniejszy, niż kiedykolwiek w życiu. W lesie, do którego pojechaliśmy wszyscy razem, chodziłem z nią ciągle, spoglądając tylko od czasu do czasu na Anielkę, idącą opodal ze Śniatyńskimi. Klara zachwycała się lasem, który istotnie był bardzo piękny, z powodu obfitości drzew liściastych, tworzących pod ciemnem sklepieniem sosen drugie, nierównie weselsze sklepienie.

Słońce wnikało obficie do wnętrza lasu przez

szczeliny między liśćmi, kładąc na paprocie, rosnące na podłożu, jakby haft złoty i drgający. Naokół rozlegały się, jak zwyczajnie wiosną, głosy kukulek; tu i owdzie dzięcioł kul w drzewo.

Gdyśmy połączyli się ze Śniatyńskimi i z Anielką, prosiłem Klary, by za powrotem do domu przetłómaczyła nam na język muzyki ten las, słońce, szum drzew i całą tę wiosnę. Powiedziała mi, że już jej się w duszy śpiewa jakiś «Frühlingslied» i że popróbuje go wygrać. Rzeczywiście widać było po jej wyrazie, że w niej coś śpiewa — bo zresztą ona jest jak wielka harfa, która wypowiada się tylko dźwiękami.

Twarz miała rozjaśnioną i palające rumieńce; natomiast Anielka wyglądała jakby zgaszona, choć czyniła widocznie wszystko, żeby się przezwyciężyć i dotrzymać towarzystwa Śniatyńskim, którzy rozswawolili się zupełnie, jak żaki szkolne. W końcu poczęli się oboje gonić po lesie; Klara wzięła w tem także udział, czego nie powinna była robić, ruchy jej bowiem, przy ogromnej jej postaci, nie mogły być zgrabne; zwłaszcza kołysanie się jej szerokich bioder wydało mi się wprost komiczne.

W chwili, gdy tamci upędzali się za sobą, zostałem z Anielką sam na sam. Wedle mojej

taktyki, trzeba mi było doprowadzić jej niepokój do świadomości, więc rzekłem:

— Tobie coś dzisiaj jest, Anielko, nie prawdaż?

— Mnie? Nic a nic!

— Bo chwilami mam takie wrażenie, jakbyś była z czegoś niezadowolona. Czy może nie podoba ci się Klara?

— Ona mi się bardzo podoba i wcale się nie dziwię, że się nią tak ludzie zachwycają.

Dalszą rozmowę przerwało nam zbliżenie się Klary i Śniatyńskich. Czas był wracać do domu. Po drodze spytał Śniatyński Klarę, czy rzeczywiście jest zadowolona, jak mówi, ze swej wycieczki do Warszawy.

— Najlepszy dowód, że nie myślę o odjeździe — odpowiedziała wesoło.

— Postaramy się, — wtrąciłem — by pani na zawsze z nami została.

Klara, mimo całej prostoty, z jaką zwykle przyjmuje to, co się do niej mówi, spojrzała tym razem na mnie pytającym wzrokiem, poczem zmieszała się nieco i odrzekła:

— Wszyscy tu dla mnie tak dobrzy!...

Ja wiedziałem, że moje słowa są poniekąd szelmostwem, mogą bowiem wprowadzić w błąd Klarę, ale chodziło mi przede wszystkim o wra-

żenie, jakie one wywrą na Anielce. Na nieszczęście, nie mogłem nic widzieć; Anielka w tej właśnie chwili poczęła zapinać rękawiczkę i spuściła głowę tak nisko, że kapelusz zasłonił mi zupełnie jej twarz. Nagły ten ruch wydał mi się jednak dobrą wróżbą.

Wróciliśmy do domu. Starsze panie czekały nas z obiadem, który przeciągnął się do dziewiątej w wieczór. Potem Klara improwizowała przy fortepianie swój «Frühlingslied». Zapewne Płoszów, od czasu jak istnieje, nie słyszał takiej muzyki, ale tym razem mało na nią zważałem, gdyż myśli moje zbyt były napelnione Anielką. Zająłem blisko niej miejsce, i siedzieliśmy w półmroku, albowiem Klara nie pozwoliła wnieść lamp do salonu. Śniatyński wymachiwał ręką, jak batutą, żona jego, której widocznie to zawadzało, pociągała go od czasu do czasu za rękaw, Anielka zaś siedziała nieruchomie. Być może, iż pogrążona we własnych myślach, nie słyszała również, jak i ja, tej Pieśni wiosennej. Byłem prawie pewien, że w tej chwili myśli o mnie i o Klarze, a zwłaszcza, że zastanawia się nad znaczeniem słów, jakie powiedziałem do Klary. Łatwo mi było zgadnąć, że choćby mnie nie kochała, choćby nie miała cienia świado-

mości, że moje uczucie dla niej jest czemś więcej niż przywiązaniem braterskiem, to i tak, podejrzewając teraz, że inna może jej je zabrać, doznaje uczucia żalu, osamotnienia i gorczy. Kobieta, która nie jest w małżeństwie szczęśliwa, obwija się koło każdego uczucia, chociażby koło uczucia przyjaźni, jak bluszczyk koło drzewa, i boi się utracić tej podpory. Nie miałem najmniejszej wątpliwości, że gdybym w tej chwili klęknął przed nią i wyznał, że ją jedną kocham, to mimo całego przerażenia, jakimby ją napelniło wyznanie, ogarnęłaby ją zarazem i taka radość, jakiej doznaje się z odzyskania rzeczy drogiej. A jeśli tak, — pomyślałem w duchu — to czy nie należy przyspieszyć wyznania, byle tylko wynaleźć sposób, któryby ją jak najmniej przeraził, a jak najwięcej uradował?

I zaraz zacząłem rozmyślać o tym sposobie, od którego mogło wszystko zależeć. Rozumiałem, że to trzeba uczynić tak, by zarazem rozbroić Anielkę i odjąć jej możność odepchnięcia mnie raz na zawsze. Umysł mój pracował ciężko w tej chwili, gdyż zadanie nie było łatwe. Stopniowo ogarniało mnie coraz większe wzruszenie, i dziwna rzecz: byłem wzruszony więcej za

Anielkę, niż za siebie, zdawałem sobie bowiem sprawę, że to będzie ogromny przełom w jej życiu — i bałem się o nią.

Tymczasem w salonie zrobiło się widniej; księżyc wydostał się nad drzewa parku i rzucił na podłogę cztery jasne odbicia okien. Nuty Pieśni wiosennej napelniały ciągle salon. Słowik odpowiadał Klarze z gęstwiny przez otwarte drzwi szklane. Był to niezwykle wieczór, na który złożyły się: ciepła majowa noc, muzyka i miłość. Pomyślałem mimowoli, że jeśli życie nie daje szczęścia, to często daje przynajmniej gotowe na nie ramy.

W tym świetlistym mroku począłem szukać oczyma wzroku Anielki, ale ona patrzyła wciąż na Klarę, która w tej chwili robiła istotnie wrażenie zjawiska. Światło księżyca, wnikając coraz dalej w głąb salonu, oświeciło wreszcie ją i fortepian, że zaś przybrana była w jasną suknię, więc wyglądała teraz jak jakiś srebrny duch muzyki.

Wizya jednak nie trwała już długo. Klara skończyła swoją Pieśń wiosenną, poczem zaraz pani Śniatyńska, której pilno było do domu, dała hasło do odwrotu. Ponieważ wieczór był dziwnie ciepły, zaproponowałem, byśmy poszli

piechotą aż do szosy, odległej o pół wiorsty od naszego domu. Uczynilem to dlatego, by odwrotną drogę odbyć z Anielką sam na sam. Jej nie wypadło wymawiać się od odprowadzenia tych pań, wiedziałem zaś że ciotka nie pójdzie z nami, więc wyrachowanie nie mogło mnie zawieść.

Wydałem polecenie, by powóz czekał na szosie, my zaś, wkrótce potem wyruszyliśmy aleją lipową, prowadzącą od palacu do publicznego gościńca. Podąłem rękę Klarze, ale szliśmy wszyscy jedną gromadką, odprowadzani przez rzechotanie żab w ploszowskich stawach.

Klara przystanęła nieco i poczęła wsłuchiwać się w owe chóry, które chwilami uciszały się, chwilami odzywały jeszcze rozgłośniej, wreszcie rzekła:

— Finał mojej Pieśni wiosennej.

— Co za pyszna noc! — ozwał się Śniatyński.

I zaraz począł deklamować śliczny ustęp z «Kupca weneckiego»:

»..... Jak cicho

»Spi na pagórku tam światło miesiąca!

»Spoczniemy trochę, i niech dźwięk muzyki

»Płynie nam w ucho: noc i nocna cisza

»Godzą się z słodkim urokiem harmonii...

Dalej nie mógł sobie przypomnieć, lecz ja pamiętałem, więc kończyłem za niego:

- »Usiądź, o miła! patrz jak przestwór nieba
- »Gęsto w złociste gwiazdki jest utkany,
- »A każdy krążek z tych, które tam widzisz,
- »Bieg odbywając, dołącza pieśń swoją
- »Do jasnoookich chóru cherubinów.
- »Tak są harmonii pełne czyste duchy;
- »Tylko my, których duch jest spowinięty
- »W skorupę prochu, słyszeć jej nie możemy«.

I następnie powtórzyłem Klarze, która nie rozumiała po polsku, cały ustęp we francuskim, zaimprovizowanym naprędce przekładzie. Ona, słuchając, mimowoli podniosła oczy ku górze, wreszcie rzekła, ukazując na gwiazdy:

— Byłam zawsze pewna, że to wszystko gra.

Okazało się, że i pani Śniatyńska była również tego pewna; twierdziła nawet, że nieraz o tem rozmawiała z mężem, który jednakże nie mógł sobie absolutnie tego przypomnieć. Powstała stąd sprzeczka małżeńska, z której uśmialiśmy się oboje z Klarą. Anielka przez cały czas nie mieszała się prawie wcale do rozmowy. Przechodziło mi przez myśl, że może to drogie stworzenie dąsa się na mnie za to, że prowadzę pod rękę Klarę i że się nią głównie zajmuję. Samo podobne przypuszczenie napel-

niało mnie szczęściem. Staralem się wszelako nie stracić zupełnie głowy i mówiłem do siebie w duchu: «Nie pochlebiaj sobie, aby ona wiedziała, iż doznaje uczucia zazdrości: czuje tylko smutek, może trochę urazy — i oto wszystko». Oddałbym był w tej chwili cały zastęp takich artystek, jak Klara, byle móżdż Anielce powiedzieć, że wszystko, co jest we mnie, należy do niej. Tymczasem Śniatyński począł coś mówić o astronomii, czego słuchałem piąte przez dziesięć, chociaż nie umiem nawet wypowiedzieć, jak dalece zajmuje mnie ta nauka, która z natury rzeczy nie może ani sobie, ani duchowi ludzkiemu, stawić granic ciaśniejszych od nieskończoności.

Doszliśmy wreszcie do bitej drogi, gdzie Śniatyńscy z Klarą siedli do powozu. Po chwili koła zaturkotały; do uszu naszych doszły ostatnie: «do widzenia!» — i zostaliśmy z Anielką sam na sam.

Zwróciliśmy się zaraz ku domowi i długi czas szliśmy w milczeniu. Rzechotanie żab już ucichło, tylko zdawała od zabudowań folwarcznych dolatywały gwizdania stróżów nocnych i szczekanie psów. Nie mówiłem umyślnie do Anielki, bo owe chwile milczenia są jakby dowodem, że się między nami coś dzieje, i podsuwają myśl

o tem Anielce. Wreszcie jednak w połowie drogi odezwałem się:

— Jak doskonale zeszedł dzień dzisiejszy nie prawda?

— Dawno już takiej muzyki nie słyszałam — odpowiedziała Anielka.

— A jednak byłaś jakby z czegoś nierada: tego mi nie wytłumaczysz. Ja tak uważam na to, co się z tobą dzieje, że widzę najmniejszy cień na twojej twarzy.

— Dziś musiałeś się zajmować gośćmi... Jesteś bardzo dobry, ale zaręczam ci, że mi nic nie jest.

— Dziś zajmowałem się, jak zawsze, tylko tobą, a na dowód tego, jeśli mi pozwolisz, to powiem ci, o czem myślałaś w ciągu dnia.

I nie czekając jej pozwolenia, mówiłem dalej:

— Myślałaś, że jestem podobny trochę do Łatyszów; myślałaś, żem cię zwiódł, mówiąc ci o pustce, jaka mnie otacza; myślałaś wreszcie, żem niepotrzebnie prosił cię o przyjaźń, bom ja sobie poprzednio znalazł gdzieindziej. Czy nie tak było? powiedz mi szczerze...

Anielka odpowiedziała z pewną trudnością:

— Skoro koniecznie chcesz, więc... być może... Ale to mnie mogło tylko cieszyć...

— Co cię mogło cieszyć?

— Wasza wzajemna przyjaźń z Klarą.

— Może być, że mam dla niej wiele życzliwości, ale zresztą Klara, jak wszystkie inne kobiety, jest mi obojętna. A wiesz dlaczego?

Tu począłem trochę drzeć, bom uznał, że chwila nadeszła; czas jakiś czekałem, by Anielka powtórzyła pytanie, następnie ozwałem się głosem, który usiłowałem uczynić bardzo spokojnym:

Przecież ty musisz widzieć i rozumieć, że cała moja istota należy do ciebie, że ja ciebie jedną kochałem i kocham dziś jeszcze, jak szalony!

Anielka stanęła, jak wryta. Ja po zimnie w twarzy uczulem, że błędne, bo jeżeli pod tem biedactwem ziemia rozstępowała się w tej chwili, to przecie i o moją duszę chodziło. Ale wiedząc, z jaką kobietą mam do czynienia, musiałem się śpieszyć, by ją obezwładnić, nim przyjdzie do siebie i nim mnie odepchnie.

Więc począłem mówić prędko:

— Nie odpowiadaj mi, bo ja niczego nie chcę, niczego nie żądam — niczego, słyszysz? Chciałem ci tylko powiedzieć, żeś mi zabrała życie, i że ono jest twoje. Zresztą, tyś już sama do-

strzegła, że tak jest, więc wszystko jedno, czy o tem mówię, czy nie. Powtarzam ci raz jeszcze, że niczego nie pragnę, ani oczekuję. Ty nie możesz mnie odtrącić, bo ja się sam odtrącam... Wyznaję ci to tylko tak, jakbym wyznał przyjaciółce, albo siostrze. Przychodzę i skarżę się przed tobą, bo nie mam przed kim innym; przychodzę i powiadam, że mi jest bieda, bo kocham kobietę, która należy do innego, a kocham bez pamięci, moja Anielko, bez granic! ~~X~~

Byliśmy już przy bramie, ale jeszcze w głębokim mroku drzew. Przez chwilę miałem złudzenie, że ona pochyli się ku mnie, jak kwiat złamany, i że pochwycę ją w ramiona, alem się mylił. Anielka, ochłonawszy z wrażenia, poczęła nagle powtarzać z jakąś nerwową energią, o którą jej nawet nie podejrzywałem:

— Ja nie chcę tego słuchać, Leonie! nie chcę, nie chcę, nie chcę!

I wbiegła na oświecony księżycem dziedziniec. Prostu uciekła ode mnie, od moich słów i wyznań. Po chwili znikła w ganku, ja zaś pozostałem sam, z uczuciem niepokoju, strachu, wielkiej litości nad nią, ale zarazem i tryumfu, że te słowa, od których zaczęło się dla nas obojga nowe życie, zostały już wymówione. Bo

naprawdę, ~~na~~ na razie nie mogłem się niczego więcej spodziewać, a tymczasem ziarno, z którego coś musi wyrosnąć, było rzucone.

Wróciwszy do domu, nie znalazłem już Anielki. Zastąłem tylko ciotkę, która, chodząc po pokoju, mruczała różaniec, rozmawiając z sobą głośno, w przerwach między pacierzami. Pożegnałem ją zaraz, by jak najprędzej znaleźć się u siebie. Myślałem, że spisywanie wrażeń dnia uspokoi mnie i przyprowadzi do ładu moje roztargane myśli. Ale zmęczyłem się tylko jeszcze bardziej. Postanawiam jutro (a raczej dziś, bo już biały dzień na dworze) wyjechać do Warszawy. Chcę, by Anielka mogła umocnić się w przekonaniu, że niczego nie żądam, a przedewszystkiem, by miała czas uspokoić się i oswoić z tem, co jej powiedziałem. Mówiąc jednak całą prawdę, postanawiam wyjechać i dlatego, że boję się jutrzejszego z nią spotkania — i pragnę je odwlec. Chwilami zdaje mi się, że popełniłem coś niesłychanego, wprowadzając pierwiastek mego własnego zepsucia w ten świat, dotąd tak czysty. Lecz właściwie, czy zło zasadnicze nie leży w tem, że ona została poślubiona człowiekowi, którego nie kocha i nie może kochać? Co jest niemoralniejsze: czy moja miłość, która jest

objawem wielkiego prawa natury, czy przynależność Anielki do tamtego człowieka, która jest beziecem tegoż prawa podeptaniem? Najbardziej uprawniony związek staje się sromotnym, jeśli nie wspiera się na miłości. I ja, który to jasno rozumiem, jestem jednak tak słaby, że strach mnie chwyta, gdy mi przyjdzie potrącić nogą tę trupią moralność. Szczęściem, jest to chwilowy strach. Choćbym nawet nie był pewien, czy po mojej stronie jest słuszność, nie mam najmniejszej wątpliwości, że niema jej po przeciwnej. Zresztą tego rodzaju skrupuły rozprasa siłą faktyczną rzeczy jedno słowo: kocham!

A jeśli serce taje poprostu we mnie na myśl, że ona może także w tej chwili nie śpi, że może płacze i szarpie się z własnymi myślami — to tylko nowy dowód, że kocham. Wobec tego wszystko, co się dzieje i dzieć będzie, jest koniecznością.

19 maja.

Pierwszy dzień po przyjeździe do Warszawy przespalem kamiennym snem. W Płoszowie żał mi każdej minuty dnia, którą mogę spędzić w towarzystwie Anielki, a nocami pisuję. Znużyło mnie to w końcu śmiertelnie. I teraz je-

stem jeszcze ocieężały, ale przynajmniej mogę już myśleć. Trochę mi wstyd, żem uciekł z Płoszowa i zostawiłem Anielkę samą, pod ciężarem mego wyznania. Ale gdy się ma do czynienia z kobietą kochaną, trochę tełórzostwa nie przynosi ujmy. A i tak nie byłbym pewnie zmykał, gdyby mi nie nakazywało tego przyszłe dobro mojej miłości. Bo oto od kilku dni, Anielka, wstając rano, odmawiając pacierze, chodząc po parku, doglądając chorej matki, musi jednak, choćby nie chciała, powtarzać sobie: «On mnie kocha» — i z konieczności myśl ta wydaje się jej coraz mniej niesłychaną, coraz mniej straszną. Natura ludzka oswaja się ze wszystkim, kobieta zaś prędko godzi się z myślą, że jest kochaną, zwłaszcza gdy sama kocha. To pytanie: czy ona mnie kocha? — zadałem sobie od pierwszej chwili, w której zeznałem sam przed sobą, że ja ją kocham; obracam je odtąd na wszystkie strony w mojej głowie, staram się rozważać wszystkie okoliczności, tak, jak gdyby nie o mnie chodziło — i dochodzę do przekonania, że tak jest. Wychodząc za mąż, kochała mnie, nie Kromickiego; zgodziła się na oddanie mu ręki tylko z rozpaczy. Gdyby jeszcze była wyszła za człowieka niepospolitego,

któryby ją pociągnął sławą albo ideją, gdyby jeszcze była trafiła na jakiś wyjątkowy charakter — możeby była o mnie zapomniała. Ale przecie Kromicki nie mógł jej pociągnąć swoją pieniężną newrozą. Prócz tego, odjechał ją wkrótce po ślubie; prócz tego, sprzedał ów Głuchów, który był celem życia tych dwóch kobiet. Sądząc Kromickiego najobjektywniej, jest to człowiek mały, i niema w nim nic takiego, czemby mógł zjednać sobie tę istotę, pełną idealnych uczuć i porywów. Tymczasem przyjechałem ja, dla którego miłość prawdopodobnie jeszcze w niej nie wygasła, i od samego przyjazdu brałem ją za serce i wspomnieniami i każdym słowem i każdym spojrzeniem; ciągnąłem ją ku sobie, nie tylko z tą umiejętnością, jaką daje doświadczenie życiowe, ale przede wszystkim z tą siłą magnetyczną, jaką mi dawała obecność i w mojem sercu prawdziwej miłości. Dodawszy do tego, że Anielka wiedziała przecie, ilem cierpiał z powodu jej postanowienia, w chwili, gdy wysyłał do niej Śniatyńskiego, że jej przecie musiało być żal mnie, że ta litość nie mogła dotąd zgasnąć — powiedziałam sobie: gram o życie, ale gram w takich warunkach, że tej gry nie mogę przegrać.

Jestem o tyle w mojem prawie, o ile w prawie jest każdy, kto broni swego życia. Powiadam to nie w żadnem uniesieniu, ale rozumując spokojnie. Ja nie mam nic, żadnych przekonań, żadnych wierzeń, żadnych zasad, żadnego gruntu pod nogami, bo te podstawy wyjadła we mnie refleksya i krytyka. Mam tylko wrodzone każdemu sily życiowe, które, nie mając się gdzie podziąć, skupiły się w uczuciu dla tej kobiety. Więc chwytam za tę miłość, jak tonący chwytą za deskę. Jeżeli mi i tego zbraknie, przestanę chyba istnieć. Gdy mnie rozum pyta: dlaczego nie ożeniłem się poprostu z Anielką? — odpowiadam mu to, com już raz powiedział: nie ożeniłem się poprostu, bom nie prosty, ale krzywy. Takim wyniańczyły mnie moje dwie niańki: refleksya i krytyka. Dlaczego ta, a nie inna kobieta, stała się dla mnie deską ocalenia — nie wiem. Prawdopodobnie właśnie dlatego, że ta, a nie inna. To nie zależało ode mnie.

Gdyby ona dziś stała się wolną — pochwyciłbym ją dla siebie bez wahania — ale gdyby wcale nie była wyszła za męża... kto wie... wstyd mi wypowiedzieć tę myśl, a jednak, być może, żebym jej mniej pożałował.

I byłoby tak nie przez żaden romantyzm, nie dlatego, bym miał uważać, że małżeństwo jest powszednią prozą życia. Śmieję się z takich przestarzałych poglądów. Wspierając się wszelako na faktach spełnionych, przypuszczam, że począłbym kontrolować do nieskończoności siebie i Anielkę — póki by mi jej ktoś nie zabrał.

Wolę o tem nie myśleć, bo mi się chce kłać.

20 maja.

Zastanawiałem się dzisiaj nad tem, co będzie, gdy uzyskam wzajemność Anielki, a raczej wyznanie z jej strony? Widzę przed sobą szczęście, ale nie widzę możliwego czynu. Zdaje mi się, że gdybym wymówił w Płoszowie, wobec tych kobiet, słowo: rozwód, toby się dom zapadł pod ziemię. Nie może być o tem nawet mowy, bo wyobrażenia ciotki i pani Celiny są tego rodzaju, że żadna z nich nie potrafiłaby przeżyć podobnego ciosu. Nie ludzę się i co do Anielki. Pojęcia jej są takie same, jak starszych pań. A jednak z chwilą, gdy wyzna, że mnie kocha — wymówię ten wyraz, i ona musi się oswoić z myślą rozwodu. Niema innego wyjścia, na to zaś jedyne trzeba będzie czekać aż do śmierci

ciotki i pani Celiny. Po za tem nie nie pozostaje do zrobienia. Kromicki albo się na to zgodzi dobrowolnie, albo nie. W tym ostatnim razie zabiorę Anielkę i wywiozę ją choćby do Indyi; rozwód zaś, czy też unieważnienie małżeństwa, będę przeprowadzał wbrew jego woli. Na szczęście, nie brak mi środków. Co do mnie, jestem gotów na wszystko, i to wewnętrzne głębokie przekonanie usprawiedliwia mnie zupełnie w moich oczach. Tym razem nie jest to pospolity romans, ale uczucie, w którym się zesrodkowyywa cała istność. Jego szczerość i siła uprawniają również moje postępowanie z Anielką. Ja wiem, że zwodzę ją, wmawiając, że mi tylko chodzi o jej siostrzane uczucia; zwodzę, zapewniając, że niczego nie żądam — ale to wszystko byłoby złem kłamstwem tylko w takim razie, gdyby kłamstwem była sama miłość. Wobec jej prawdy, jest to tylko taktyka, tylko dyplomacya uczucia. To należy do procesu miłości. Jest rzeczą pewną, że nawet narzeczeni mają swoje podstępny, za pomocą których wydobywają z siebie wyznania. Co do mnie, jestem szczery nawet wówczas, gdy zmyślam.

21 maja.

Powiedziałem Anielce, że chcę się czemś zająć — i chcę rzeczywiście, choćby dlatego, żem jej to mówił. Postanawiam przedewszystkiem sprowadzić zbiory ojca do Warszawy — i założę tu muzeum Płoszowskich. Będzie to zasługa Anielki — i pierwszy pożyteczny czyn, jaki wypłynie z naszej miłości. Przewiduję, że rząd włoski będzie mi stawiał przeszkody, istnieje tam bowiem jakieś prawo, zabraniające wywożenia dawnych zabytków i cennych dzieł sztuki. Ale to rzecz mego adwokata. Ach! przypominam sobie, że i owa Madonna Sassoferrata, którą ojciec przeznaczył dla przyszłej synowej, znajduje się w moim zbiorze. Każę ją wysłać zaraz, bo mi się tu przyda.

22 maja.

Jaka natura ludzka jest złośliwa! Ten Kromiecki, przewracający gdzieś tam na dalekich stepach koziołki dla zyskania milionów, podczas gdy tu szepeczą słowa miłości do ucha jego żonie — wydaje mi się, bądź co bądź, śmieszny; napelnia mnie to zadowoleniem, że ta myśl musi przyjść do głowy i Anielce, a jeśli nie przyjdzie, to ja

jestem od tego, aby ją wyluszczyć ze wszystkich obsłon. Cały Kromicki maluje się wybor-
nie w tem, że, sprzedawszy Głuchów, zostawił
te kobiety bez własnego dachu nad głową...
Myślał zapewne, że zamieszkają w Odesie lub
Kijowie; tymczasem choroba pani Celiny spro-
wadziła Anielkę do Płoszowa.

Lecz on przecie wiedział, jak dalece wątle
jest zdrowie pani Celiny, powinien był przewi-
dzieć, że ona może ciężko zachorować, i wów-
czas Anielka pozostanie sama z brzemieniem
zmartwień i kłopotów. Być może, iż jego sprawy
wymagają niezbędnie jego obecności na dale-
kim Wschodzie — ale w takim razie czemu się
żenił?

Jutro wracam do Płoszowa. Zbyt tu tęsk-
nię — i przytem chce mi się już spojrzeć
w oczy Anielce, bo czasem mam takie uczucie,
jakbym się wymykał przed odpowiedzialnością.
Trzeba było wyjechać po wyznaniu — ale teraz
trzeba wrócić. Kto wie, może moje szczęście
jest większe, niż przypuszczam? może i ona
tęskni do mnie?...

Byłem dziś u Śniatyńskich, u Klary, której
nie zastałem, i u słynnej tu piękności, pani Ko-
ryckiej. Ta ostatnia nosi historyczne nazwisko,

jak dżokejską czapkę, a dowcip, jak szpicrutę, którą przecina twarze. Wyszedłem jednak bez pregi — owszem, byłem nawet nieco kokietowany. Następnie odbyłem kilkanaście wizyt za pomocą biletów. Pragnę, by ludzie myśleli, że stale mieszkam w Warszawie.

Ponieważ sprowadzenie zbiorów ojcowskich mi nie wystarcza, jest to bowiem kwestya mojej woli i mego worka, nie zaś pracy, zastanawiałem się więc nad tem, co mógłbym robić prócz tego. Ludzie mego położenia poprzestają u nas ogólnie na administrowaniu swą fortuną, co, mówiąc nawiasem, robią, z nielicznymi wyjątkami, źle, daleko gorzej ode mnie. Zaledwie kilku z pomiędzy nas odgrywa jakąś rolę w życiu publicznem. Powiedziałem już wyżej, że tu się ludzie bawią jeszcze w arystokrację i demokrację, są więc między nami tacy, którzy, jako cel życia, postawili sobie walkę z prądami demokratycznymi i obronę hierarchii społecznej. Co do mnie, uważam to za sport taki dobry, jak każdy inny, ponieważ jednak nie jestem sportsmanem, zatem nie mogę należeć do zabawy. Gdyby nawet nie była to zabawa, gdyby krył się w tem jakiś sens praktyczny, jestem nadto sceptykiem względem obu obozów, bym potrafił do którego

przystać. Demokracji nerwowo nie znoszę — to jest, nie ludzi gminnego pochodzenia, ale takich, którzy uważają się za patentowanych demokratów. O arystokracji myślę, iż jeśli istotnie rację jej bytu stanowią historyczne zasługi przodków, to większość tych zasług jest u nas tego rodzaju, że spadkobiercy ich powinni włożyć włosiennice i posypać sobie głowy popiołem. Zresztą, naprawdę, to te obozy same w sobie nie wierzą, z wyjątkiem może kilku indywiduów, nader głupich. Inni udają szczerłość w celach osobistych, że zaś ja nigdy nic nie udaję, więc udział w podobnej walce, to robota nie dla mnie.

Istnieją także syntetyści w rodzaju Śniatyńskiego, którzy stoją ponad obydwoma obozami, gotowi zaś są oba stopić w swojej syntezie. Są to wogóle tędzy ludzie, ale choćbym się na ich sposób widzenia rzeczy nawrócił, to jeszcze musiałbym coś obok tego robić, bo samo uczucie nie jest pracą — i trzeba je jakoś uzewnętrznić. Śniatyński pisze przecie dramata... Naprawdę, przypatrując się rzeczom i położeniu bliżej, to ja jestem jakoś za nawiasem i nie wiem, jak dostać się w nawias. Jest to, bądź co bądź, dziwne, żeby człowiek, który ma znaczne środki,

wykształcenie, pewne zdolności i wolę, nie miał o co rąk zaczepić. Znów mi się chce kłaść, bo widzę jasno, że i tego powodem jest moje prze-
rafinowanie umysłowe. Na mnie powinni robić
dyagnozę choroby starczej wieku i cywilizacyi,
bo przybrała ona we mnie typowy charakter.
Kto jest sceptykiem względem wiary, scepty-
kiem względem wiedzy, konserwatyzmu, postępu
etc., temu istotnie trudno coś robić.

A w dodatku jeszcze aspiracye moje są nie-
równie większe, niż możność ich zaspokojenia.
Wszędzie życie wspiera się na pracy, pracują
więc ludzie i tu; temu trudno zaprzeczyć. Jest
to jednak praca fornalskich koni, zwożących
z wysileniem snopki do stodoły. Ja choćbym
chciał, tego nie potrafię. Ja, jestem paradyer —
mógłbym ciągnąć jakąś karete, ale zwykły wóz,
po piaszczystej drodze, lada szkapa pociągnie
równiej i spokojniej ode mnie. Przy budowie
domu nie potrafiłbym żadną miarą nosić cegły;
przydałbym się może do ornamentyki; na nie-
szczęście, tam, gdzie chodzi o prostą budowę
i zwykły dach nad głową, takich majstrów nie
potrzeba.

Gdybym zresztą czuł w sobie popęd wewnętrz-
ny do pracy, lub pragnął coś robić z mocy do-

gmatów Śniatyńskiego — być może, iż zdołałbym się zmusić do prostej roboty. Ale w gruncie rzeczy mnie chodzi o pozory. Chcę pracować dlatego, że to ujmie dla mnie kobietę kochaną. Anielka jest pod tym względem bardzo egzaltowana, i ujęłoby to ją z pewnością. Ale właśnie dlatego, zarówno miłość własna, jak i wyrachowanie nakazują mi zająć stanowisko wybitne, któreby mnie mogło podnieść w jej oczach. Zobaczę, potrzeba mi jeszcze się rozpałtrzyć. Tymczasem niech pracuje mój worek. Sprowadzę zbiory ojcowskie, będę wspierał rozmaite instytucje i dawał pieniędzy, gdzie wypadnie.

Co za dziwny wpływ jest takiej kobiety, jak Anielka! Oto styka się z nią prawdziwy «geniusz bez teki», tak wyjątkowy nieużytek, jak ja — i zaledwie się zetknął, bez jakiegokolwiek apostołowania z jej strony, już poczuwa się do różnych rzeczy i obowiązków, do których się dawniej nie poczuwał. Niech mnie dyabel porwie, jeśli mi choć przez głowę przeszło ujmować sobie Paryżankę lub Wiedenkę przez sprowadzanie zbiorów moich do Paryża lub Wiednia!

Wracam już do Płoszowa, bo mi pilno do mego dobrego ducha.

23 maja.

Oddalilem się na pewien czas z Płoszowa jeszcze i dlatego, by zostawić Anielce czas do jakiegokolwiek postanowienia. W Warszawie i w czasie powrotnej drogi do Płoszowa, starałem się odgadnąć, co mianowicie postanowi. Wiedziałem, że nie mogła wprost napisać do męża: «Przyjeżdżaj i zabieraj mnie, bo Płoszowski napastuje mnie swoją miłością». Nie uczyniłaby tego nawet, gdyby mnie nienawidziła. Natura jej zbyt jest na to delikatna. Pominąwszy, że wynikłoby z tego koniecznie jakieś zajście między mną a Kromickim, Anielka musiałaby porzucić chorą matkę, albowiem zdrowie pani Celiny nie pozwala jej na opuszczenie Płoszowa.

Położenie Anielki jest istotnie trudne, i ja wziąłem to w rachubę przedtem, nim uczyniłem jej wyznanie. Ale wracając tu, zląkłem się, czy jej nie przyjdzie do głowy zamknąć się w pokoju matki i unikać mnie, ile możliwości. Po chwili jednak uspokoilem się. Na wsi i pod jednym dachem jest to zupełnie niemożliwe, a w ka-

ostatnie i

żdym razie stałoby się nadto widoczne i zwróciłoby uwagę ciotki i pani Celiny, następnie zrodziłoby jakieś podejrzenia i mogłoby źle wpłynąć na zdrowie tej ostatniej.

Prawdę mówiąc, wyzyskuję położenie bez skrupułu, ale kto go nie wyzyskuje, gdy kocha? Odgadywałem, że Anielka, choćby najmocniej była mi wzajemną, nie zechce jednak pozwolić, bym w przyszłości powtarzał jej wyznania, że będzie się opierała nawet daleko silniej, niż opierają się zwykle kobiety zamężne, bo wobec jej zasad, wobec jej skromności, każde najmniejsze ustępstwo będzie się jej wydawało niesłychaną zbrodnią. Lecz jakimże sposobem mogła mi zabronić, bym jej nie mówił o swojej miłości? Jeden miała tylko środek: uzyskać moją dobrowolną na to zgodę; przypuszczałem, że zechce rozmówić się ze mną stanowczo — i nie myliłem się.

Przybywszy do Płoszowa, znalazłem ją mierną, ale spoglądała na mnie dość raźnie. Widocznie, miało kochane biedactwo gotowe w zapasie argumenty i wierzyło w ich siłę; wierzyło, że gdy je wypowie, nie pozostanie mi nic innego, tylko położyć uszy po sobie i umilknąć raz na zawsze. Anielskie złudzenie, że prawda może

Handelmann

Oskarżenie Stawo
— 99 —
Oskarżenie Stawo

być tylko jedna na świecie! Nie wdawaj się ze mną nigdy, moja Anielko, w żadne rozumowania, bo ja, jeśli wierzę w jaką prawdę i w jakie argumenty, to chyba w prawdę i prawa miłości, a przytem i dość jestem przebiegły, by każdy twój argument przewrócić, jak rękawiczkę, i uczynić z niego broń przeciw tobie. Nie ocalać cię ani twoje rozumowania, ani moja dla ciebie litość, bo im się okażesz bielszą, doskonalszą, im bardziej mnie wzruszysz, tem cię będę kochał więcej, a im bardziej cię pokocham, tem będziesz mi pożądaną. Mam dla ciebie tylko krokodyle lzy, które płynąc, zaostwiają zarazem moją drapieżność. To jest błędne koło miłości.

Na sam widok Anielki poczułem się w tem kole. Po południu, w dniu mego powrotu, gdy pani Celina usnęła głęboko na werendzie, Anielka dała mi znak, bym poszedł za nią w głąb ogrodu. Zmiarkowałem po jej twarzy, która uderzyła mnie swą niezwykłą powagą, że teraz właśnie chce się ze mną rozmówić, poszedłem więc za nią skwapliwie. W miarę, jak oddalaliśmy się od werendy, animusz Anielki począł jednak niknąć. Spostrzegłem, że przybladła, że widocznie przestrasza ją własna energia, ale że nie mogła

Joachim

się już cofnąć, więc poczęła mówić niepewnym głosem:

— Żebyś ty wiedział, jaka ja byłam nie-szczęśliwa przez te kilka dni...

— Czy myślisz, że i mnie lekko żyć? — odpowiedziałem.

— Nie, nie myślę — i dlatego mam do ciebie wielką prośbę... Wiem, że ty wszystko rozumiesz, że jesteś wspaniałomyślny i dobry — więc mi nie odmówisz; jestem tego pewna, bo cię znam.

— Powiedz mi, czego żądasz?

— Trzeba, Leonie, żebyś ty wyjechał za granicę i nie wracał, póki mama nie będzie w stanie opuścić Płoszowa.

Byłem pewny, że tego właśnie zażąda, przez chwilę jednak milczałem, jakbym szukał odpowiedzi.

— Możesz mną rozporządzać, jak zechcesz, — rzekłem — ale powiedz mi przynajmniej, czemu skazujesz mnie na wygnanie?

— Ja cię nie skazuję na wygnanie, ale ty wiesz dlaczego...

— Wiem — odpowiedziałem z nieudanym smukiem i rezygnacją: — dlatego, że oddałbym za ciebie ostatnią kroplę krwi; dlatego, że gdyby

piorun miał w tej chwili w jedno z nas uderzyć, to jabym ciebie osłonił, a swoją głowę nadstawił; że wziąłbym na siebie wszystko złe, jakie cię może spotkać; dlatego, że cię kocham nad życie — to istotnie są ciężkie grzechy...

— Nie, — przerwała, z wysiłkiem energii, Anielka — ale dlatego, że ja jestem żoną człowieka, którego kocham i szanuję — i że nie chcę słuchać takich słów!

Zniecierpliwienie i gniew wstrząsnęły mną nagle, jak iskra elektryczna. Wiedziałem, że Anielka nie mówi prawdy, że miłością i szcunkiem dla męża osłaniają się wszystkie kobiety zameżne, gdy zdarzy im się stanąć na rozdrożu życia — wszystkie, o zakład! — choćby ani cienia tych uczuć nie miały w sercu; a jednak słowa Anielki tak zgrzytnęły po moich nerwach, że ledwie zdołał powstrzymać wykrzyk: «Kłamiesz, bo ani go kochasz, ani szanujesz!» Lecz jednocześnie przyszła mi myśl, że ta jej energia wkrótce się wyczerpie, więc odpowiedziałem niemal pokornie:

— Nie gniewaj się na mnie, Anielko — ja wyjadę!

I wiedziałem, że ją ta pokora moja rozbraja, że jej mnie żal. Nagle zerwała liść z niskiej

galezi i poczęła go rozrywać nerwowo. Czyniła nadludzkie wysilenia, żeby się nie rozplakać, a miała pełne piersi łkań.

Ja byłem także poruszony do dna duszy i mówilem dalej z pewną trudnością:

— Nie dziw się jednak, że się ociagam, bo to przecie okropna krzywda dla mnie. Ja ci już powiedziałem, że nie żądam niczego więcej, prócz tego, żebym mógł oddychać tem samem powietrzem i patrzeć na ciebie. Bóg widzi, że to chyba niezbyt wiele. I to jest całe moje dobro... A ty mi i to odejmujesz! Pomyśl tylko: każdy może tu przyjechać, rozmawiać z tobą, patrzeć na ciebie — tylko ja nie — i to dlatego, żeś mi droższa, niż innym. Co to za wyrafinowane okrucieństwo losu! Wejdźże na chwilę w moje położenie. Tobie to jest trudno, bo ty nie znasz tej pustki, ty kochasz męża, albo się ludzisz, że kochasz, a to prawie wszystko jedno — ale wyobraź sobie na minutę, że jesteś mną, a zobaczysz, że to jest gorsze od wyroku śmierci. Trzeba i nade mną mieć trochę litości. Czy ty wiesz o tem, że odpędzając mnie od siebie, pozbawiasz mnie nie tylko swego widoku, ale usuwasz mi jedyną podstawę życia. Mówilem ci, że wróciłem do kraju z postanowieniem, by

dla niego pracować. Możebym w tem znalazł i zapomnienie i spokój, możebym tem odkupił moje winy dawniejsze; świeżo oto zamierzyłem sprowadzić zbiory ojcowskie — ty mi każesz teraz tego wszystkiego się wyrzec, wszystko porzucić i jechać przed siebie i rozpocząć znów to bezcelowe życie, bez jednego promienia słońca! Dobrze, wyjadę! Ale wyjadę, jeśli mi za trzy dni ten rozkaz powtórzysz, bo w tej chwili przypuszczam jeszcze, żeś ty nie wiedziała, czem on będzie dla mnie. Teraz już wiesz! Proszę cię o trzy dni — o nic więcej!

Anielka zakryła oczy dłonią i poczęła powtarzać:

— Ach! Boże! Boże! Boże!

Było w tem coś tak poruszającego, taka skarga dziecka na swoją bezradność, że i mnie pochwycił żal ogromny. Nastąpiła chwila, że chciałem jej upaść do nóg i przystać na wszystko, czego żądała, lecz właśnie w tej skardze dojrzałem zapowiedź mego blizkiego zwycięstwa i pożałowałem jego owoców.

— Słuchaj mnie — rzekłem: — w jednym razie wyjechałbym natychmiast, dziś jeszcze! i przedzieliłbym się od ciebie morzami: oto, gdybym wiedział, że ci to nietylko dlatego potrzeb-

ne, żeby nie mieć sobie spokoju widokiem nie-
szczęśliwego człowieka, ale i dla twego własnego
serca. Mówię do ciebie, jak przyjaciel i brat:
wiem od ciotki, żeś mnie kochała; jeśli to uczu-
cie żyje jeszcze w tobie — to mnie tu jutro nie
będzie.

Zupełnie szczery ból dyktował mi te słowa,
a jednak były one straszną zasadzką względem
Anielki, bo mogły wyrwać z jej ust wyznanie;
gdyby zaś to było się stało — nie wiem — mo-
żebym istotnie wyjechał, ale na razie byłbym,
jak Bóg na niebie, pochwycił ją w objęcia. Lecz
ona wzdrygnęła się tylko, jak gdybym dotknął
nieostrożnie jej rany; twarz jej zapłonęła w je-
dnej chwili rumieńcem gniewu i oburzenia.

— Nie! — zawołała z rozpaczliwem uniesie-
niem: — to nieprawda! nieprawda! Jedź sobie, czy
zostań, ale to nieprawda! nieprawda!

Ja zaś z samego jej uniesienia poznałem, że
to może być prawdą. Porwała mnie dzika ochota,
żeby jej to powiedzieć z całą brutalnością,
wprost w oczy, ale zdala ujrzałem zbliżającą
się ku nam ciotkę. Anielka nie zdołała już opa-
nować wzruszenia, tak, że ciotka, spojrzawszy
na nią, spytała odrazu:

— Co tobie jest? O czem mówiliście z Leonem?

— Anielka — odrzekłem — opowiadała mi, jak źle wpłynęła na zdrowie jej matki sprzedaż Gluchowa — i nie dziwię się, że to ją wzruszyło...

Czy siły Anielki były już zupełnie wyczerpane, czy też to kłamstwo moje, do którego musiała się milczeniem przyłączyć, przepelnilo i tak już pełny kielich goryczy, dość, że w tej chwili wybuchnęła niepowstrzymanym płaczem; lkania wstrząsały jej ciałem naksztalt spazmów; ciotka pochwyciła ją w ramiona i przytuliła do siebie, jak dziecko.

— Moja Anielko! — rzekła — moje kochanie! Cóż na to poradzić... Wola Boska we wszystkim! Mnie pięć folwarków grad poniszczył w czasie ostatniej burzy, a nawet panu Chwastowskiemu marnego słowa nie powiedziałam!

Nie wiem, dlaczego ta wzmianka o gradzie i pięciu folwarkach wydała mi się czemś egoistycznym i tak marnem w porównaniu do jednej z Anielki, że porwała mnie złość na ciotkę.

— Mniejsza o folwarki, — odpowiedziałem szorstko — jej idzie o zdrowie matki.

I odszedłem w męce, bom czuł, że zadaję mękę

kobiecie, którą kocham nad wszystko. Wygra-
łem niby na całej linii, a czuję ogromny smu-
tek, jak gdyby przyszłość groziła mi czemś nie-
znanem a strasznem.

25 maja.

Dziś trzeci dzień od naszej ostatniej rozmowy.
Anielka nie powtórzyła mi swego żądania, więc
zostaje. Mało do mnie mówi, przesiaduje więcej
w swoim pokoju, ale nie unika mnie zbyt często;
boi się zwrócić tem uwagę starszych pań. Ja
staram się być dla niej dobry, troskliwy, przy-
jazny, ale nie narzucam się jej. Chcę, by jej
się wydawało, że miłość moja sama się zdra-
dza, ale że ja robię, co mogę, by ją w sobie
zamknąć. Musi też widzieć, że uczucie moje się
wzmaga, bo rzeczywiście wzmaga się z każdą
chwilą. Niopodobna, żeby to nie miało na nią
działać. Bądź co bądź, mamy już nasz świat
odrębny, w którym jest nas tylko dwoje; mamy
nasze wspólne tajemnice względem ciotki i pani
Celiny. Gdy mówimy o rzeczach obojętnych,
gdy usiłujemy, wobec ludzi, utrzymać pozory
dawnego stosunku, czujemy tak samo oboje, że
na dnie dusz naszych jest coś innego; mam
wreszcie słowa i spojrzenia, które rozumie tylko

ona. Przyszło do tego samą siłą rzeczy — i jakkolwiek przyszło raczej wbrew woli, niż z wolą Anielki — jednakże nas to łączy. Czas, przywyknienie z jej strony i moja cierpliwość dokonają reszty. Ja z mojej miłości wysnuję tyśiące takich nici, któremi ją omotam i które będą nas łączyły coraz mocniej. Byłaby to próżna robota tylko w takim razie, gdyby ona kochała męża. Wówczas wzbudziłbym w niej namiętność nienawiści dla siebie. Lecz przeszłość jest za mną, a teraźniejszość nie należy do Kromickiego. Rozmyślam nad tem z całą siłą obiektywizmu, jak gdybym był kimś trzecim, i zawsze dochodzę do tego przekonania, że ona go kochać nie może. Opór Anielki — to walka wewnętrzna duszy wyjątkowo czystej, która nie dopuszcza nawet myśli o wiarołomstwie. Ale nie jej nie wspiera w tej walce. Ja też nie luję się: wiem, że opór będzie długi i do złamania trudny. Muszę być zawsze czujnym, wszystko ogarniać myślą, ze wszystkiego zdawać sobie jasno sprawę; muszę tkać moją sieć z nici tak misternych, że prawie niewidocznych. Nie wolno mi będzie nigdy przycisnąć ani przedwcześnie, ani zbyt mocno, żadnego klawisza — ale też będę się strzegł omyłek i nie ustane

póty, póki nie urobię tej duszy na moją modłę. Wreszcie, jeśli mi się zdarzy popełnić jakie błędy, to one wypłyną z miłości, i mam nadzieję, że dlatego samego wyjdą na moją korzyść.

26 maja.

Zawiadomilem dziś Sniatyńskiego, że stanowczo zamierzam sprowadzić zbiory ojcowskie do Warszawy. Uczynilem to z tem wyrachowaniem, że przez niego wieść ta dostanie się do redakcyi dzienników, które nie omieszkają podnieść mego zamiaru do znaczenia wielkiej obywatelskiej zasługi. Anielce mimowoli nasunęło się porównanie między mną a Kromickim, które wypadnie na moją korzyść. Wysłałem też stąd depeszę, by mi jak najprędzej i osobno wyprawili ową główkę Sassoferata.

W czasie śniadania powiedziałem Anielce umyślnie przy wszystkich, że ojciec zapisał jej ten obraz w testamencie, co ją zmieszało, domyśliła się bowiem natychmiast, że ojciec uważał ją wówczas za przyszłą swoją synową. Rzeczywiście w testamencie nazwisko jej nie było nawet wymienione; było powiedziane tylko: «Głowę Madonny, Nr. taki a taki, przeznaczam

150
260

dla przyszłej mojej synowej». Ale właśnie dla tego chciałem ją oddać Anielce. Tymczasem wzmianka o tym zapisie wywołała w nas obojgu cały świat wspomnień. Po to też ją uczynilem, by zwrócić myśl Anielki do owych dawnych czasów, w których mnie kochała i mogła kochać z całym spokojem. Wiem, że zostało w jej sercu z tamtej epoki i wiele goryczy i wiele serdecznego żalu do mnie. Inaczej nie może być. Bylbym też zgubiony w jej sercu bez ratunku, gdyby nie owa prośba, którą w ostatniej chwili zanieślem do niej przez Sniatyńskiego. Ale to jest okoliczność, łagodząca moje winy. Bo jednak Anielka, myśląc o tem, musi pomyśleć, żem chciał wszystko naprawić, żem ją kochał, żem cierpiał, żem pokutował i pokutuję dotąd, jeśli zaś oboje jesteśmy teraz nieszczęśliwi, to i ona przyłożyła się do tego. Tego rodzaju myśli muszą ją doprowadzić do odpuszczenia mi grzechów, do żalu po tej przeszłości i do upajania się obrazami szczęścia, jakieby było dziś naszym powszednim chlebem, gdyby nie moje winy i nie jej surowość.

Dostrzegłem i teraz na jej twarzy, że ona się boi tych upajających widzeń i że pragnie je rozproszyc rozmową o rzeczach obojętnych.

Ciotka ma obecnie tak zajętą głowę blizkimi wyścigami i spodziewanem zwycięstwem naszego «Naughtyboy'a» w gonitwie o nagrodę rządową, że nie może myśleć o czem innem; Anielka poczęła więc rozmawiać z nią o wyścigach. Ale mówiła, byle mówić, zatem z wielką dystrakcyą, i zadała kilka pytań tego rodzaju, że zgorszona ciotka rzekła jej wreszcie:

— Moje dziecko, widzę, że nie masz najmniejszego pojęcia, co to są wyścigi.

Ja powiedziałem jej oczyma: «Wiem, że w tej chwili chcesz się tylko zagłuszyć» — i ona zrozumiała mnie tak dokładnie, jakbym to wypowiedział słowami. I rzeczywiście, jestem prawie pewien, że ona tak samo jest pochłonięta naszym wzajemnym stosunkiem, jak i ja. Idea o miłości po za małżeństwem jest już wszczepiona w jej duszę, tkwi w niej i nie opuszcza jej ani na chwilę. Anielka musi z nią żyć i zżywać się. W takich warunkach serce kobiety, nawet kochającej męża, mogłoby się od niego odwrócić. Kropla wody, spadająca ciągle, wydrąży kamień. Jeśli Anielka mnie choć trochę kocha, jeśli kocha tylko przeszłość naszą, to musi być moją. Nie mogę o tem rozmyślać spokojnie, bo mnie przecucie szczęścia dławi.

Gdzieniegdzie nad brzegami mórz znajdują się piaski chłone. Dla wędrowca, który na nie wstąpi, niema ratunku. Czasem zdaje mi się, że moja miłość podobna jest do owych piasków. Ja wciągam na nie Anielkę, ale też i sam zapadam się coraz głębiej.

Byle razem!

28 maja.

Ciotka przesiaduje teraz po sześć do ośmiu godzin dziennie w Burzanach, jednym ze swoich folwarków, odległym o milę od Płoszowa, gdzie trawi czas na zachwycaniu się «Naughty-boy'em» i doglądaniu Anglika, Weba, który trenuje konie. Byłem tam wczoraj przez godzinę lub półtorej. «Naughty-boy» jest naprawdę obiecującym koniem, i może być, że nie okaże się zanadto «naughty», gdy przyjdzie pora popisów. Ale co mnie to może obchodzić! Różne sprawy powołują mnie do miasta, żal mi jednak opuszczać Płoszowa. Pani Celina czuje się słabsza, niż przed paru dniami. Młody Chwast, jak go nazywa ciotka, uważa to wprowadzie za przemijający objaw, każe tylko, żeby zawsze był ktoś przy chorej i rozrywał ją; inaczej poczyną biedna kobieta zaraz rozmyślać o stra-

cie ukochanego Gluchowa i nerwuje się coraz bardziej. Staram się jej okazywać synowską niemal troskliwość, bo w ten sposób zjednywam sobie wdzięczność Anielki i przyzwyczajam ją do uważania mnie za kogoś bliższego. Nie żywię już w sercu dawnej urazy do pani Celiny: zbyt jest na to nieszczęśliwa, a przytem, ja już poczynam kochać wszystkich, należących do Anielki — wszystkich — prócz jednego! Dziś i wczoraj spędziłem kilka godzin u chorej, w towarzystwie Anielki i Chwasta. Czytaliśmy i rozmawiali. Pani Celina nie sypia po nocach, że zaś doktor nie daje jej chloralu, więc w dzień, po każdej dłuższej rozmowie, wpada zwykle w głęboki sen, z którego — rzecz szczególna — budzi ją tylko cisza. Z tego powodu czytamy i rozmawiamy w dalszym ciągu. Tak było i dziś. Gdyby nie obecność doktora, mógłbym być zupełnie swobodnie rozmawiać z Anielką.

Właśnie dzienniki przyniosły wiadomość o ostatecznym przebiegu i ukończeniu sprawy rozwodowej pięknej pani Koryckiej. Cała Warszawa zajmuje się bardzo tą sprawą, a w szczególności ciotka, która jest daleką powinowatą Koryckiego. Ja postanowiłem skorzystać zaraz ze sposobności, by zaszcześcić w duszy Anielki

kilka takich pojęć, które w niej dotąd nie powstały.

— Ciotka — rzekłem tonem głębokiego przekonania — niesłusznie oburza się na postępowanie pani Koryckiej. Podług mnie, ona postępuje jak kobieta rozumna i prawa. Wola ludzka kończy się tam, gdzie zaczyna się miłość; nawet i ciotka musi się na to zgodzić. Jeśli pani Korycka kocha innego, to nie pozostaje jej nic, tylko rozstać się z mężem. Wiem, co powiedziałaby ciotka i co ty, prawdopodobnie, myślisz w tej chwili, Anielko: myślisz, że pozostaje jej obowiązek — czy nie prawda?

— Ja myślę, że i ty jesteś tego zdania — odpowiedziała Anielka.

— Niewątpliwie. Kwestya tylko, po której stronie jest obowiązek pani Koryckiej?

Nie rozumiem dobrze, dlaczego młody doktor zastrzegł się w tej chwili, że nie uznaje wolnej woli, następnie jednak zaczął słuchać uważnie, bo mu się podobala śmiałość moich poglądów,

Ja zaś, widząc zdziwienie na twarzy Anielki, mówiłem dalej:

— Co może być dzikszego i bardziej przeciwnego naturze, niż wymagać od kogoś, by istotę więcej kochaną poświęcił dla mniej ko-

chanej? Rozmaite wyznania religijne mogą być najsprzeczniejsze z sobą, wszystkie jednak mają jednakową etykę; małżeństwo zaś, według tej etyki, powinno się wspierać na miłości. Czemże więc ono jest? Albo czemś niezłomnem i istotnie świętem, jeśli wspiera się na takiej podstawie; albo, w przeciwnym razie, tylko sprzecznym z moralnością i religią kontraktem, który, jako niemoralny, winien być rozwiązany. Inaczej mówiąc, obowiązki kobiety wypływają z uczucia, nie zaś z całego szeregu mniej lub więcej uroczystych obrzędów, które same przez się są tylko szeregiem formalności. Mówię to dlatego, że jestem człowiekiem, który istotę rzeczy wyżej ceni od formy. Wiem, że wyraz «wiarołomstwo» brzmi bardzo przestraszająco. Ale nie ludźcie się, że kobieta staje się wiarołomną dopiero wówczas, gdy porzuca męża: ona nią jest — i jest całkowicie — już w chwili, w której poczuwa, że miłość jej dla niego przestaje istnieć. Co potem następuje, to już jest kwestyą tylko jej zdolności do logicznego postępowania, jej odwagi i jej serca, które umie albo nie umie kochać. Pani Korycka człowieka, dla którego się dziś rozwodzi, kochała jeszcze, nim wyszła za dzisiejszego swego męża — i nie oddała

mu swej ręki tylko wskutek nieporozumień, tylko dlatego, że wybuch jego zazdrości poczytała za obojętność. To był jej główny błąd, ale że dziś chce ten błąd naprawić, że zrozumiała, iż nie wolno jej poświęcać istoty ukochanej dla obojętnej — i że obowiązki jej są nie po stronie konwenansu, ale uczucia, to mogą jej wziąć za złe albo hipokryci, albo ludzie, mający przepaskę na oczach.

Było w tem, com mówił, tyleż kłamstwa, ile i szczerości. Wiedziałem, że ciotka nigdy w świecie nie zgodziłaby się na tę teorię, że wola tam się kończy, gdzie zaczyna się miłość; alem powiedział tak umyślnie, by tę prawdę wrazić Anielce, jako nie podpadającą żadnej wątpliwości. Wiedziałem, że pani Korycka jest osobą lekkomyślną, z powodu której nie warto wytać ciężkich dział zasad; zmyśliłem wreszcie historię o jej pierwszej miłości tylko dlatego, by analogię uczynić podobniejszą. Natomiast byłem szczery w tem, com mówił o prawach i obowiązkach, wypływających z uczucia. Inna rzecz, że może nie uznawałbym tej teorii tak szczerze, gdyby mi mniej dogadzała, ale człowiek zawsze jest subiektywny, a zwłaszcza

człowiek, który zwątpił o wszystkich prawdach obiektywnych.

Przemawiałem za sobą, i byłbym głupi, gdybym przemawiał przeciw sobie. Liczyłem, że wdrażając Anielkę w tego rodzaju pojęcia, przyspieszam pożądaną dla mnie ewolucję w jej duszy, bo mogą ją one ośmielić i rozgrzeszyć we własnych oczach. Mając na uwadze wielką jej wrażliwość, przypuszczałem, że szczepienie moje przyjmie się choć w części. Jakoż ona rozumiała mnie doskonale, i łatwo mi było spostrzedz, że każde słowo moje gra na jej nerwach, jak na strunach. W miarę, jakem mówił, na twarzy jej zjawiały się coraz widoczniejsze różowe piętna; przyłożyła kilkakroć rękę do palających policzków, jakby chcąc je ochłodzić, wreszcie, gdym skończył mówić, rzekła:

— Wszystkiego można dowieść, ale gdy się źle robi, sumienie zawsze powie: źle! źle — i niczem nie da się przekonać.

Młody Chwastowski musiał zapewne w tej chwili pomyśleć, że Anielce brak zupełnie filozoficznego wykształcenia, ja jednak wyznaję, że w pierwszej chwili doznałem takiego uczucia, jak gdybym na przykład fechtując się, trafił ostrzem szpady w ścianę. Odpowiedź Anielki,

przez swoją prostotę i przez swoją dogmatyczność, uczyniła jedno nic ze wszystkich moich wywodów. Bo jeżeli zasada, że wola tam się kończy, gdzie zaczyna się miłość, może ostatecznie podlegać wątpieniu, to natomiast zupełnym pewnikiem jest, że gdzie zaczyna się dogmat, tam kończą się rozumowania. Kobiety w ogóle, zwłaszcza jednak Polki, póty zgadzają się na logikę, póki nie staje się ona dla nich groźną. Gdy ujrzą niebezpieczeństwo, chowają się za ową fortecę prostych wierzeń i prawd katechizmowych, którą może zburzyć samo tylko uczucie, ponieważ rozum jest wobec niej bezsilny. Jest to ich słabość i zarazem ich moc, albowiem myślenie ich posiada przez to mniej tęgości od myślenia mężczyzn, natomiast świętość ich może być w pewnych warunkach niepokonana. Dyabel potrafi przywieść do upadku kobietę tylko w razie, jeśli ją rozkocha; drogą rozumowania nic z nią nie wskóra, choćby wyjątkowo miał rację.

Wobec podobnych uwag, ogarnęło mnie wielkie zniechęcenie. Pomyślałem, że każdy gmach, który ja najmisterniej i najmozolniej wzniosę, Anielka przewróci jednym okrzykiem: «Źle! su-mienie na to nie pozwala!» I wobec tego pozo-

stanę bezsilny. Potrzeba mi przytem wielkiej ostrożności, by jej nie przestraszać zbytnią śmiałością wyobrażeń, które staram się jej wszcześcić, i nie zrazić jej dla siebie.

A jednak nie mogę się wyrzec i tego rodzaju usiłowań. Nie odegrają one nigdy głównej roli w procesie przyswajania jej duszy — prawda! Ale mogą odegrać pomocniczą — i przyspieszyć rozwiązanie. Na nic się nie przydadzą tylko w tym razie, jeśli ona mnie nie kocha. Byłaby to straszna pomyłka, lecz i wówczas musiałoby nastąpić jakieś rozwiązanie.

29 maja.

Zastąłem dziś Anielkę w sali jadalnej, stojącą na krześle przed wielkim zegarem gdańskim, w którym się coś popsulo. W chwili, gdy wspięła się na palce, chcąc nastawić wskazówkę, stolek zagibotał się pod nią. Miałem tylko czas wykrzyknąć: «Spadniesz!» — i porwawszy ją na ręce, postawiłem na ziemi. Przez jedno mgnienie oka przyciskałem do piersi to drogie ciało; włosy jej musnęły mnie w przelocie, i uczulem na twarzy jej oddech. Dostałem takiego zawrotu głowy, że sam musiał się chwycić za poręcz krzesła, by nie upaść — i ona to wi-

działa. Ona wie, że ją kocham bez pamięci! Nie mogę dziś pisać dłużej.

30 maja.

Miałem dzień zatruty, bo Anielka odebrała znów rano list od Kromickiego. Słyszałem, jak mówiła ciotce, że on sam nie wie, kiedy będzie mógł przyjechać; być może, iż wkrótce, być może, iż dopiero za dwa miesiące. Nie mogę sobie nawet wyobrazić, jak zniosę jego obecność przy Anielce. Czasem wydaje mi się, że poprostu nie zniosę. Liczę tylko na szczęśliwy zbieg okoliczności, który może powstrzymać jego przybycie. Chwastowski zapowiedział, że pani Celina musi udać się do Gasteinu, jak tylko jej siły na to pozwolą. Jest to tak daleko od Baku, iż przypuszczam, że Kromickiemu wyda się za daleko. Ja zaś pojadę, jak Bóg na niebie! Co za szczęśliwy pomysł tego Chwastowskiego i dla mnie i dla pani Celiny, której tamtejsze kąpiele mogą istotnie wrócić zdrowie. Ja także jestem zmęczony i potrzebuję górskiego powietrza, a jeszcze bardziej potrzebuję być przy Anielce. Jutro ruszam do Warszawy i zatelegrafuję do zarządu kąpielowego, by mi najęto dla tych pań mieszkanie. Jeżeliby wszystko było zajęte, go-

tówem kupić całą wille. Gdy pani Celina mówiła o trudnościach i kłopotach, jakie w razie wyjazdu spadną na Anielkę, ja powiedziałem: «Zdajcie to panie na mnie» — poczem, zwróciwszy się do Anielki, dodałem ciszej: «Urządzę wszystko tak, jak dla matki własnej». Wiadziałem, że pani Celina, która coraz mniej wierzy w miliony Kromickiego, ma obawę, abym nie urządził im pobytu zbyt drogo, ale ja już postanowiłem w duchu pokazać im kontrakt fikcyjny, główne zaś koszta wziąć na siebie. Naturalnie, żem dotąd ani wspomniał, iż i ja wybieram się do Gasteinu. Postanawiam poprowadzić tak zręcznie tę sprawę, by mi ciotka sama to zaproponowała — i przypuszczam, że doprowadzę ją do tego, bo jej ani w głowie żadne podejrzenia. Jestem prawie przekonany, że jak zacznę się namyślać i wyszukiwać jakichś gór na letni pobyt, ciotka powie mi: «To jedź z temi paniami; będzie im i tobie raźniej». Wiem, że Anielkę to przestraszy, ale może w jakim najtajniejszym kąciку duszy i uraduje. Może przyjdzie jej do głowy wiersz z Kordyana: «Jesteś wszędzie: nade mną, koło mnie i we mnie!» Rzeczywiście, moja miłość tworzy koło niej krąg zaklęty; otacza ją, zobowiązuje, przejednywa,

wciska się do jej serca pod postacią troskliwości o nią i o jej matkę, pod postacią przysług, jakich odrzucić nie może, nie chcąc otworzyć oczu matce na to, co się dzieje, i pogorszyć jej stanu tem odkryciem; przenika ją jako wdzięczność dla mnie i jako współczucie dla wielkiego cierpienia; narzuca się jej wreszcie siłą wspomnień.

Od rana do wieczora Anielka słyszy tylko pochwały o mnie; ciotka jest zaślepiona we mnie, jak zawsze; młody Chwastowski, chcąc okazać bezstronność, do jakiej zdolni są ludzie jego obozu, utrzymuje, że jestem wyjątkiem w swej «spróchniałej sferze»; przejednałem sobie nawet panią Celinę. Okazuję jej tyle serca, że ona lubi mnie teraz — powiedziałbym — mimowoli — i jestem pewien, iż w głębi serca żałuje, że nie jestem mężem Anielki. Naokół Anielki jest jedna wielka suggestya miłości, składająca się z ludzi i natury.

A ty, kochana, czy się oprzesz tym wszystkim siłom? Kiedyż ty przyjdiesz do mnie i powiesz mi: «Już nie mogę dłużej — weź mnie, bo cię kocham!»

Warszawa, 31 maja.

Pani L., opiekunka jednego z tutejszych towarzystw dobroczynnych, prosiła Klarę o drugi koncert na rzecz tegoż towarzystwa. Klara odmówiła, tłumacząc się tem, że pracuje nad większym utworem muzycznym i potrzebuje całego skupienia umysłu. Do listu jednak, który był wzorem uprzejmej odmowy, dołączyła taką samą sumę, jaką przyniósł pierwszy jej koncert. Łatwo zrozumieć, jakie wrażenie uczynił jej postępek w Warszawie. Dzienniki rozpisują się o tem dotychczas, wynosząc pod niebiosa artystkę i jej wspaniałomyślność. Naturalnie fortuna jej ojca, który jest istotnie bardzo bogaty, urosła w ich opowiadaniach w trójnasób. Nie wiem, skąd się wzięły w towarzystwie wiadomości, że Klara wychodzi za mnie za mąż. Może powód do nich dała nasza dawna znajomość i zażyłość, oraz przesadzone wieści o milionach artystki? Byłem z tego powodu trochę zły, ale po namyśle postanowiłem wieściom nie przeczyć, bo stawiają one mój stosunek do Anielki po za obrębem wszelkich podejrzeń.

Gdym był dziś na południowym przyjęciu u Klary, pierwsza pani Korycka zbliżyła się do

mnie z miną wielce dowcipną i przy kilkunastu osobach ze świata muzycznego i z naszego warszawskiego high-life'u, rzekła na cały głos:

✕ Kuzynku, kto to w mitologii nie mógł się oprzeć śpiewowi syreny?

— Nikt się nie oparł, kuzynko, — odpowiedziałem — z wyjątkiem Odyssa, ale i ten oparł się tylko dlatego, że był przywiązany do masztu. ✕

— A ty byleś mniej przezorny?

Kilka osób przygryzło usta, czekając mojej odpowiedzi, więc odrzekłem:

— Czasem i to nie pomaga. Ty wiesz najlepiej, że miłość rozrywa wszelkie węzły.

Pani Korycka zmieszała się, mimo całej pewnością siebie, ja zaś odniosłem jedno z takich małych zwycięstw, o których opowiada się po salonach z nieodłączną cytata przysłowia: «Trafiła kosa na kamień!»

Czy ludzie powtarzają sobie, czy nie, że się żenie z Klara, jest mi to obojętne, a nawet dla powodów, które wymienilem, wolę, że tak mówią. Nie spodziewałem się jednak, że moje odowiedziny u Klary skończą się nieprzyjemnie z powodu jej samej. Gdy ludzie porozchodzili się i zostałem tylko ze Śniatyńskim, Klara poczęła nam grać swój świeżo ułożony koncert,

rzeczywiście tak wspaniały, że nie mogliśmy znaleźć dość pochwał; tymczasem, powtórzywszy na nasze żądanie finał, Klara rzekła nagle:

— To jest pożegnanie — bo wreszcie wszystko na świecie kończy się pożegnaniem.

— Przecie pani nie myśli nas opuścić? spytał Śniatyński.

— Najdalej za dziesięć dni muszę być we Frankfurcie — odpowiedziała Klara.

Tu Śniatyński zwrócił się do mnie:

— Cóż ty na to, ty, który w Płoszowie karmiłeś nas nadzieją, że pani na zawsze z nami zostanie?

— I powtórzę raz jeszcze, że wspomnienie pani na zawsze z nami zostanie.

✱ Ja też to tak rozumiałam — odrzekła z naiwną rezygnacją Klara. ✱

Mnie zaś porwała złość na siebie, na Śniatyńskiego i na Klarę. Nie jestem ani dość próżny, ani dość głupi, ani dość płaski, by mnie nad wszystko miał cieszyć każdy podbój; myśl więc o tem, że Klara może naprawdę kochać się we mnie i żywić nieuzasadnione nadzieje, była mi nad wyraz przykrą. Wiedziałem, że ona ma dla mnie jakieś nieokreślone uczucie, które w danym razie mogłoby się rozwinąć bardzo silnie, ale nie spodziewałem się, żeby to

uczucie śmiało czegoś żądać i czegoś się spodziewać. Przyszło mi nagle do głowy, że cała zapowiedź wyjazdu może być tylko chęcią sprawdzenia, jak ja przyjmę tę wiadomość. Przyjąłem ją więc jak najchłodniej. Miłość taka, jaką mam dla Anielki, powinna uczyć współczucia; tymczasem nietylko smutek Klary i jej wzmianka o wyjeździe nie wzruszyły mnie, ale wydały mi się wprost zuchwałem uroszczeniem — i obrażą dla mnie.

Dlaczego? Przecie nie z żadnych względów rodowych. Daleki jestem od podobnego rodzaju poglądów. Na razie nie umiałem sobie zdać z tego sprawy, teraz jednak tłómaczę sobie to dziwne zjawisko moją przynależnością do Anielki, tak bezwzględną i wyłączną, iż wydaje mi się, że każda kobieta, żądająca ode mnie choćby jednego tylko uderzenia serca, porywa się tem samem na własność Anielki. To tłómaczenie wystarcza mi.

Niewątpliwie pożegnam Klarę bardzo serdecznie, gdy będzie już w wagonie, ale ta przedwczesna zapowiedź wyjazdu napelniła mnie niesmakiem! Chyba jednej Anielce wolnoby było deptać bezkarnie po moich nerwach. Nigdy nie

patrzyłem na Klarę tak niechętnie i tak krytycznie, jak w tej chwili. Po raz pierwszy spostrzegłem, że obfitość jej kształtów, jej jasna cera, ciemne włosy, błękitne, za wypukłe oczy i usta koloru wiśni, słowem, że cała jej piękność przypomina niesmaczne obrazy, przedstawiające haremowe huryski, lub co gorzej, oel-druki, widywane w drugorzędnych hotelach. Wyszedłem od niej w jak najgorszym usposobieniu i udałem się wprost do księgarni, w której chciałem wybrać kilka książek dla Anielki.

Już od tygodnia myślałem nad tem, co by jej dać do czytania. Nie chciałem pominąć i tego środka; naprawdę jednak, nie przywiązuję do niego wielkiej wagi, gdyż działa on bardzo powolnie. Zauważyłem przytem, że dla naszych kobiet, mających nierównie bujniejszą fantazję, niż temperament, książka pozostaje zawsze czemś nierzeczywistym. Jeśli nawet trafia na istotę bardzo wrażliwą, wytwarza w najlepszym razie w jej głowie jakiś świat oderwany, bezcielesny, nie mający najmniejszego związku z życiem praktycznem. Prawie żadnej z naszych kobiet nie przyjdzie do głowy, żeby pojęcia, poczerpnięte z książek, mogły być stosowane do osobistego postępowania. Jestem przekonany, że

gdyby jaki wielki i sławny autor usiłował dowieść Anielce, że na przykład, czystość myśli i duszy w kobiecie nie tylko jest zbyteczną, ale ze stanowiska moralności wprost naganną — i co więcej — gdyby tego jakim cudem dowiódł, Anielka sądziłaby, że ta zasada stosować się może do całego świata, z wyjątkiem jej osoby.

Co najwyżej mogę się spodziewać, że czytanie odpowiednich książek oswoi Anielkę z pewnego rodzaju liberalizmem uczuć i myśli. Właściwie też nie życzę sobie niczego więcej. Kochając ją z całej duszy, pragnę, by odpowiedziała memu uczuciu, szukam do tego dróg, nie pomijam żadnej — i oto wszystko. Ja, który się nie okłamuję nigdy, powiadam sobie otwarcie: pragnę doprowadzić Anielkę do tego, by poświęciła męża dla mnie, ale nie chcę jej ani popsuć, ani zbrudzić. Niech mi nikt nie mówi, że jedno wyłącza drugie i że to jest sofizmat; ja i tak mam w sobie sceptycznego dyabła, który dokucza mi i co chwila mówi: «Tworzysz teorye dla siebie; droga wiarytostwa jest drogą zepsucia; gdyby ci było dogodniej, tworzyłbyś teorye przeciwnie». Ile w tem męki! Ale oto, co odpowiadam memu dyabłu: «O teoryach przeciwnych mógłbym równie dobrze wątpić; ob-

myślam, co się da obmyślić na obronę mego kochania — bo to moje naturalne prawo. Dru-
giem, jeszcze większem naturalnem prawem
jest miłość. Bywają uczucia płaskie i pospolite,
albo wyniosłe i niepowszednie. Kobieta, która
idzie za głosem wielkiego uczucia, nie traci
szlachectwa duszy, choćby była zameężna. Taką
wielką, wyjątkową miłość pragnę właśnie wzbu-
dzić w sercu Anielki, i dlatego mogę powiedzieć,
że jej nie chcę popsuć lub zbrudzić».

Wreszcie te rozprawy wewnętrzne nie pro-
wadzą do niczego. Gdybym nawet nie miał naj-
mniejszej wątpliwości, że źle czynię, gdybym
nie potrafił dać ani jednej zwycięskiej odpowie-
dzi memu Chochlikowi, nie przestałbym wsku-
tek tego kochać i poszedłbym zawsze za siłą
większą, to jest postępowałbym tak, jakby mi
nakazywało żywe uczucie, nie oderwane rozu-
mowania.

Ale prawdziwem nieszczęściem analizują-
cych i przeanalizowanych ludzi współczesnych
jest to, że nie wierząc w rezultaty analizy,
mają zarazem nieprzezwyćżony nałóg bada-
nia wszystkiego, co w nich zachodzi. Tak jest
i ze mną. Od pewnego czasu trapi mnie pyta-
nie, jakim sposobem dzieje się, że ja, którego

istota jest pochłonięta przez uczucie, umiem być tak czujny, obmyślać tak wszystkie środki, mające mnie poprowadzić do celu, tak zdaję sobie z nich sprawę, jakbym to czynił na zimno, lub raczej jakby to czynił za mnie kto inny.

Oto, co mogę w tym względzie odpowiedzieć. Przedewszystkiem człowiek dzisiejszy zachowuje zawsze jakąś część duszy, której używa do obserwowania reszty. Prócz tego, cała ta zabiegliwość uczucia, pełna rozmysłu, obliczeń, nawet zasadzek, pozornie zimna, stoi właśnie w stosunku prostym do temperatury tegoż uczucia. Im ono jest gorętsze, tem silniej zmusza chłodny rozum do nateżonej służby. Bo, powtarzam jeszcze raz, że miłość źle sobie wyobrażają z zawiązanemi oczyma. Ona nie potłumia rozumu, zarówno jak nie potłumia bicia serca lub oddychania — ona go tylko podbija. Rozum staje się wówczas pierwszym jej doradcą i narzędziem podboju; inaczej mówiąc, staje się Agrypą cezara Augusta. On trzyma wszystkie siły w rozbudzeniu, on prowadzi wojska, on odnosi zwycięstwa, on sadza swego władcę na tryumfalnym wozie, on wreszcie wznosi — nie Panteon, jak historyczny Agrypa — ale Monotheon, w którym służy na kolanach jedynemu

bóstwu cezara. W tym mikrokosmie, jakim jest człowiek, rola rozumu jest nawet większa, niż rola hetmana, on bowiem odbija do nieskończoności świadomość wszystkiego i siebie samego, jak zbiór odpowiednio ustawionych zwierciadeł odbija do nieskończoności dany przedmiot.

1. czerwca.

Wczoraj odebrałem wiadomość z Gasteinu. Mieszkanie dla pani Celiny i Anielki jest już najęte. Posłałem im zaraz tę wiadomość, wraz z całą paczką powieści George Sanda i Balzaca. Dziś jest niedziela, pierwszy dzień wyścigów. Ciotka przyjechała z Płoszowa i stoi u mnie. Oczywiście była na wyścigach i jest całkowicie nimi zajęta. Ale konie nasze: «Naughty-boy» i «Aurora», które już od dwóch dni przebywają, wraz z Webem i dżokejem Dżakiem Goose, w mojej stajni, biegają dopiero w następny czwartek, więc ten pierwszy dzień obchodził ciotkę tylko platonicznie. Natomiast trudno mi opisać, co się u nas wyrabia. Stajnie nasze zmieniły się w fortece. Ciotce się zdaje, że dżokeje innych hodowców drżą na samo wspomnienie «Naughty-boy'a» i że gotowi użyć wszelkich

środków, byle go uczynić niezdolnym do biegu lub osłabić, wskutek czego w każdym przekupniu pomarańcz lub kataryniarzu widzi przebranego nieprzyjaciela, zakradającego się w złych zamiarach na nasze podwórze. Szwajcar w bramie i stróż domowy dostali najsurowsze polecenia, by zwracali uwagę na każdego wchodzącego. W stajni straż jeszcze pilniejsza. Trener Web, jako prawdziwy Anglik, zachowuje zimną krew, ale nieszczęśliwy Dżak Goose, który jest rodem z Burzan, i którego nazwisko jest dosłownym przekładem z polskiego: Kuba Gąsior, traci zupełnie głowę; ciotka bowiem łaje nieustannie i jego i dwóch innych stajennych, przybyłych również z Burzan dla pilnowania koni. Przesiadująca tak ciągle u «Naughty-boy'a», że ledwie ją widział, i dopiero na odjezdnem powiedziała mi dobrą nowinę: pani Celina, która znów jest jakaś silniejsza, postanowiła, że Anielka koniecznie ma być na czwartkowych wyścigach. Sądzę, że pani Celina domyśliła się, iż ciotce będzie to przyjemnie; zresztą, ona doskonale może pozostać przez jeden dzień pod opieką panien służących i doktora. Anielka zaś, która siedzi jak zamurowana w Płoszowie, potrzebuje rzeczywiście jakiejś rozrywki. Dla mnie to ra-

mej troskliwości, pamięci i uczucia. Teraz dopiero, pisząc, spostrzegam się, o ile mi jest lepiej, gdy się czemśkolwiek zajmuję, gdy mnie jakieś zewnętrzne czynności wyrywają z błędnego koła refleksyi i rozmyślania nad samym sobą. Sądzę, że wbijanie w ścianę gwoździ, na których mają wisieć obrazy w przyszłym muzeum, byłoby więcej warte od tego wewnętrznego obwijania jednej myśli naokół drugiej. Czemu ja już nie mogę być człowiekiem prostym! Gdybym nim umiał być w swoim czasie, byłbym dziś jednym z najszcześliwszych ludzi na świecie.

4 czerwca.

Byłem dziś z zaproszeniem u Śniatyńskich i u kilku innych osób. Śniatyński, zgodnie z mojem życzeniem, rozpuścił już na cztery strony świata wiadomość, że sprowadzam zbiory ojcowskie do Warszawy i urządzam dostępne dla publiczności muzeum. Jestem bohaterem dnia. Wszystkie dzienniki rozpisują się o tem, dając przy sposobności odpowiednią lekcję ludziom możnym, «którzy trwonią czas i pieniądze za granicą» etc. Tak znam ich styl i sposób pisania, że przewidziałem z góry, co napiszą, po-

czawszy od treści, a skończywszy na takich frazesach, jak «noblesse oblige» i t. p. Ale wszystkto jest mi na rękę. Zebrałem całą paczkę gazet, by pokazać je ciotce i Anielce.

5 czerwca.

Wyścigi przyśpieszono o dzień z powodu jutrzejszego święta. Anielka i ciotka przyjechały dziś rano w towarzystwie pokojowej i całego stosu pudeł, zawierających wyścigowe tualety. Pierwszy rzut oka na Anielkę wzruszył mnie i przestraszył. Spostrzegłem, że zmizerniała bardzo; policzki jej pobladły, straciła swój dawny ciepły koloryt, zeszczupełała, i było w niej coś mglistego, co mi przypomniało postacie Puvis'a de Chavannes. Ciotka i matka jej nie widzą tego, bo są ciągle z nią razem, ale dla mnie, po kilku dniach niebytności w Płoszowie, różnica już jest wyraźna. Ogarnia mnie skrucha i serdeczna litość. Oczywiście, że przyczyną tego wszystkiego jest rozterka i walka wewnętrzna w jej sercu. Gdybyż ona chciała ją rozstrzygnąć, gdybyż chciała pójść za głosem tego serca, które jest moje, po sto razy moje i które przemawia za mną — skończyłby się jej niepokój, a zaczęło szczęście.

Ja zapadam coraz głębiej w moje piaski

chlonaące. Zdaje mi się przecie, że znam każdy szczegół, każdy najdrobniejszy rys twarzy Anielki, i że wyobrażam ją sobie, gdy jej nie widzę, jakby żywa stała przede mną, a jednak za każdym razem, ujrzawszy ją po kilku dniach rozstania, odkrywam w niej jakiś nowy urok i znajduję nowe upodobanie. Nie umiem nawet wypowiedzieć, do jakiego stopnia ona zadowala mnie estetycznie, jak głęboko odczuwam, że to jest mój rodzaj, moja piękność, moja kobieta. To odczuwanie daje mi jakąś wpół mistyczną, wpół zbliżoną do przyrodniczej hipotezy, wiarę, że natura przeznaczyła ją dla mnie. I teraz, gdym, usłyszawszy turkot powozu na dziedzińcu, zbiegl na dół, by powitać te panie, doznałem znów owego wrażenia, którebym nazwał oddawaniem się w moc jej urokowi; znów rzeczywistość wydała mi się doskonalszą od obrazu, jaki nosilem w duszy.

Anielka ubrana była w lekki, podróżny płaszcz z surowego jedwabiu; kapelusz jej okręcała długa, szara woalka, zawiązana à l'anglaise pod brodą, i z tych szarych ramek uśmiechała się jej śliczna, droga twarz, zawsze podobniejsza raczej do twarzy dziewczynki, niż zameężnej kobiety. Przywitała mnie niezwykle wesolo

i serdecznie: widocznie ranna przejażdżka i nadzieja zabawy wprowadziła ją w dobre usposobienie; napelniło mnie to radością, bom pomyślał, że ją jednak cieszy mój widok, a Płoszów beze mnie wydaje się jej pusty i nudniejszy. Jako gościnny gospodarz, podałem jedno ramię ciotce, drugie Anielce, na co zresztą szerokość schodów pozwala, i poprowadziłem je na górę. Na widok wspaniale przybranych kwiatami schodów, ogarnęło je wielkie zdziwienie, ja zaś rzekłem:

— To jest moja niespodzianka...

Tu przycisnąłem nieco ramię Anielki, ale tak lekko, że mogło tu ująć za ruch przypadkowy i mimowolny, następnie zwróciłem się do ciotki:

— Daję obiad dla uczczenia zwycięstwa rodziny Płoszowskich.

Ciotkę rozczuliła bardzo moja intencya. Ach, gdyby wiedziała, jak mało mnie obchodził w tej chwili «Naughty-boy» i wszystkie zwycięstwa, jakie konie Płoszowskich mogły odnieść na turfach całej Europy! Anielka za to odgadła widocznie, co należy myśleć o moich intencyach, była jednak w tak ożywionem usposobieniu, że

spojrzawszy na mnie przelotnie, przygryzła w uśmiechu usta.

Ja zaś małym nie stracił głowy. Zdawało mi się, że widzę w Anielce odcień jakiejś wesołej kokieterii, którego nie było u niej dotąd. Niepodobna, pomyślałem sobie, żeby ona nie miała całkiem miłości własnej, żeby jej to ani trochę nie pochlebiali, iż wszystko, co czynię, czynię dla niej i przez nią.

Tymczasem ciotka, zdjawszy płaszcz od kurzu, poszła oglądać «Naughty-boy'a» i «Aurorę», ja zaś podałem Anielce listę zaproszonych na obiad osób i rzekłem:

— Staralem się wybrać tylko miłych ci ludzi, ale jeśli jeszcze każesz kogo zaprosić, natychmiast wyślę zaproszenie, albo sam pojedę.

— To cioci pokaż, — odpowiedziała Anielka — niech ciocia wybiera.

— Nie. Ciotka będzie siedziała na pierwszym miejscu, i będziemy do niej przychodzili z życzeniami lub kondolencją, a rolę gospodyni w tym domu przeznaczyłem tobie.

Anielka zaczerwieniła się nieco, i chcąc zwrócić rozmowę, rzekła:

— Mój Leonie, czy aby ten «Naughty-boy»

wygra, bo ciocia tak na to liczy i tak jej o to chodzi?

— Jam już wygrał, bo mam takiego gościa, jak to stworzenie, które oto siedzi przede mną.

— Ty sobie żartujesz, a ja doprawdy boję się.

— Ciotka, widzisz, — odrzekłem poważniej — nawet w razie przegranej, będzie miała jedną wielką pociechę. Moje zbiory za jakie kilka tygodni będą już w Warszawie, a to było jej marzenie od lat killkunastu. Jeszcze ojca namawiała na przeniesienie ich do kraju bardzo usilnie. Już wszystkie gazety rozpisują się o tem — i co za pochwały czytałem o sobie — to trudno wypowiedzieć.

A jej droga twarz rozjaśniła się w jednej chwili.

— Pokaż, przeczytaj! — rzekła.

Miałem ochotę całować ją po rękach za ten przebłysk radości. Był to dla mnie nowy dowód. Przecie, gdybym jej był zupełnie obojętny, nie cieszyłyby jej tak pochwały dla mnie.

— Nie, — odrzekłem — przeczytam, jak ciotka wróci, a raczej poproszę ją, żeby sama przeczytała, ja zaś schowam się przez ten czas za ciebie, bo będę miał niemądrą minę, a prze-

dewszystkiem nie chcę, żebyś ty moją niemądrą minę widziała.

— Dlaczego masz mieć niemądrą minę?

— Dlatego, że wszystko to nie moja zasługa, tylko twoja. Te pochwały tobie się należą. Co bym dał za to, żebym mógł powiedzieć panom dziennikarzom: «Jeśli to uważacie za tak wielką rzecz, to jedźcie gremialnie do Płoszowa i tam klękniście u pewnych nóżek...»

— Leonie! Leonie! — przerwała Anielka.

— Cicho, małe nie-dobrego, bo i ja to zrobię i nie wstanę pierwszej, póki nie przyznasz, że to twój wpływ.

Anielka sama nie wiedziała, co ma odpowiedzieć. Słowa moje były wprawdzie mową człowieka zakochanego bez pamięci, ale ten ton swobodny, żartobliwy i wesoly wytwarzał pewnego rodzaju nastrój, wobec którego tragiczne przyjmowanie tego, com mówił, było wprost niemożliwe.

Ja zaś rad byłem z tego nowego sposobu, bo widziałem, że za pomocą niego można dużo wypowiedzieć i dużo wyznań wcisnąć.

Nie chcąc go jednak ani nadużywać, ani przeciągnąć, począłem w tej chwili mówić po-

ważniej o zmianach, jakie zamierzam wprowadzić w domu.

— Całe piętro przeznaczam na pomieszczenie zbiorów, — rzekłem — z wyjątkiem tego jednego pokoju, w którym ty zaprzeszłej zimy mieszkałaś. Ten zostanie, jak był. Pozwoliłem go sobie tylko trochę dziś przyozdobić na twoje przyjęcie.

Tak mówiąc, poprowadziłem ją ku drzwiom. Anielka, stanąwszy w progu, nie mogła powstrzymać okrzyku:

— Ach! co za kwiaty!

Ja zaś powiedziałem zcicha:

— Tyś sama kwiat, najpiękniejszy w świecie...

Poczem dodałem poważnie:

— Ty mi przecie, Anielko, wierzysz, gdy ci mówię, że tu chcę kiedyś umrzeć.

Och! ile było szczerości w tem, com powiedział. Twarz Anielki zaszła jakby mgłą; radość jej zgasła. Widziałem, że ją słowa moje wzruszyły bardzo, jak wzrusza każdy prawdziwy krzyk serca. Przez jedno mgnienie oka, jej głowa, ramiona i piersi zadrgały, jakby jakaś siła, stanąwszy za nią, popchnęła ją nagle ku mnie. Ale ona oparła się jeszcze tym razem. Chwilę stała

przede mną z oczyma nakrytemi przez powieki, wreszcie rzekła z jakąś smutną powagą:

— Pozwól mi być z tobą swobodną. Nie zasnucaj mnie.

— Dobrze, Anielko — rzekłem: — układ zawarty, oto moja ręka!

I wyciągnąłem ku niej dłoń. Anielka oddała mi uścisk tak silnie, jakby nim chciała wypowiedzieć wszystko, czego zabroniła powiedzieć ustom. Nagrodził on mi też tysiąckrotnie wszelkie słowa i upoił mnie tak, iż ledwie się na nogach nie zachwiał. Po raz pierwszy od czasu mego powrotu, uczulem wyraźnie, że oto obejmuję w posiadanie tę istotę, wraz z jej duszą i ciałem. Było to wrażenie szczęścia tak niezmiernego, iż łączył się z niem jakiś strach. Otwierał się przede mną nowy, nieznany świat. Jestem od tej chwili przekonany, że opór jej to tylko kwestya niedługiego czasu i mojej odwagi.

Ciotka wróciła ze stajen w różowem usposobieniu; żaden zamach na szacowne zdrowie «Naughty-boy'a» nie miał miejsca. Trener, Web, na wszystkie pytania ciotki, znajdował tylko jedną odpowiedź: «All right» — Dżak Goose pełen animuszu. Poszliśmy do okien, by widzieć,

jak przyszedł zwycięzcę będą wyprowadzali ze stajni, zbliżała się bowiem chwila, w której miał wyruszyć na pole Mokotowskie i tam drepnąć w kółko, czekając na swoją kolej. Jakoż po kilku minutach ujrzelśmy, jak dwaj stajenni wyprowadzili go na dziedziniec, ale oczy nasze nie bardzo mogły się nasycić pięknością jego kształtów, był bowiem jakby zaszyty w pokrowiec. Tylko przez otwory, powycinane w kapie, widać było jego wielkie, łagodne oczy, z pod dolnego obrębu zaś wysuwały się jego sprężyste nogi, które istotnie zdawały się być ze stali wykute. Za nim postępował Web, w końcu zaś nasz domorosły, mały Anglik, Dżak Goose, przybrany w nowy surdut, pokrywający kurtkę i w dżokejskie buty. Na drogę krzyknąłem mu przez otwarte okno:

— A nie daj się tam Kuba!

On zaś zdjął czapkę, i ukazując nią «Naughty-boy'a», odpowiedział wesoło, najczystszym, nie londyńskim, ale burzańskim akcentem:

— Bedom, prosę jaśnie hrabiego, widzieli, ale ino jego zad!

Zasiedliśmy do śniadania, które odbywało się pośpiesznie; ciocia jednak znalazła dość czasu, by przy czarnej kawie przeczytać, co mówią

dzienniki o sprowadzeniu ^x zbiorów ojca do Warszawy. Dziwna rzecz, jak kobiety są wrażliwe na wszelką publiczną pochwałę dla blizkich im mężczyzn. Ciotka aż zakwitła z radości — i była wprost nieoszacowana, gdy przerywając co chwila czytanie, spoglądała przez okulary na mnie z uwielbieniem, na Anielkę z bacznością — i od czasu do czasu mówiła dogmatycznym tonem:

— Nic nie przesadzili! Zawsze był taki!

Ja dziękowałem tylko Bogu, że nie było przy tem jakiego mężczyzny sceptyka; w takim razie naprawdę miałbym niemądrą minę.

Nadeszła godzina ubierania się pań. Na odchodnem ciotka, ułożywszy jak można najobjętniejszą twarz, rzekła:

— Musimy się śpieszyć, bo obiecałam malej Zawilowskiej, że ją wezmę na wyścigi; miała jechać z ojcem, ale on parę dni temu miał atak pedogry.

To rzekłszy, wyszła; my z Anielką spojrzeliśmy po sobie; kąciki jej ust podniosły się w chytym uśmiechu, a ja rzekłem:

— Anielu, nowe swaty!

Ona zaś przyłożyła palec do ust, niby ostrzegając mnie, że za głośno mówię, i znikła w swo-

im pokoju, ale po chwili śliczna jej główka znów wychyliła się przeze drzwi.

— Przypomniałam sobie, żeś nie zaprosił panny Hilst! — rzekła.

— A nie zaprosilem.

— Dlaczego?

— Bo ja ją kocham w ukryciu — odrzekłem, śmiejąc się.

— Nie, czemu jej nie zaprosiłeś?

— Jeśli chcesz, to jeszcze to uczynię.

— Jak ty wolisz — odpowiedziała, chowając się napowrót.

Ja zaś woląłem nie zapraszać panny Hilst.

W godzinę później ruszyliśmy w Aleje Belwederskie. Anielka była ubrana w kremową suknię, strojną koronkami. Tak nauczyłem się wypowiadać jej wszystko oczyma, że czytała w nich wyraźnie mój zachwyt; poznałem to z jej twarzy, nawpół rozpromienionej, nawpół zakłopotanej. Po drodze zatrzymaliśmy się przed willą państwa Zawilowskich, zaledwie jednak miałem czas zadzwonić, gdy drzwi otworzyły się, i panna Helena, przybrana w szaro-srebrzystą suknię, stanęła, a raczej przebiegła koło mnie w całym swym majestacie, zaledwie kiwnąwszy mi głową. Jest to więcej brzydka, niż ładna blon-

dynka, o zimnych, blado-niebieskich oczach, twarzy bez uśmiechu i układzie nadzwyczaj ceremonialnym. Uchodzi ona za wzór dystynkcji, na co bym się chętnie zgodził, gdyby dystynkcya oznaczała to samo, co sztywność. Obejście się jej ze mną jest równie zimne, jak jej oczy, a nawet nadto zimne, by mogło być szczere. Jest to poprostu metoda, obrachowana na podrażnienie mej miłości własnej — i obrachowana głupio, bo mnie nudzi, nie drażni, i dzięki jej, zajmuję się panną Zawilowską tyle tylko, ile tego grzeczność wymaga.

Dziś jednak zajmowałem się nią nieco więcej, miała bowiem odegrać rolę ochronnego konduktora, to jest przyciągać ciekawość i odwracać przypuszczenia, jakieby widok Anielki, siedzącej ze mną w jednym powozie, mógł ludziom nasunąć. Niebawem ruszyliśmy dalej, ale zwolna, dzień był bowiem pogodny i mnóstwo osób jechało na wyścigi, tak, że nie można było dojrzeć końca powozów. Przed sobą i za sobą widziałem rzekę parasolek, co było naprawdę ładne, barwy ich bowiem grały bardzo silnie w słońcu, pod niemi zaś tworzyły się kolorowe cienie, z których wychylały się głowy kobiece o rysach delikatnych i wykończonych. Stosunkowo

dużo było twarzy ładnych, ale brakło im temperamentu; nie widziałem go nawet u tych pań ze świata finansowego, które zresztą, jak wiele innych rzeczy, tak i temperament raczej udają, niż mają w rzeczywistości. Ale te otwarte powozy, tu i owdzie charakterystyczne zaprzęgi, przeważnie jasne tualety, mieniające się w powietrzu na tle zieloności drzew — to wreszcie nagromadzenie wykwintnych ludzi i wykwintnych koni, nadawało pochodowi wysoce ucywilizowany, a nie pozbawiony przytem malowniczości pozór. Cieszyło mnie to, że Anielkę ów ruch i tłok widocznie bawił i sprawiał jej przyjemność. Odpowiadając na moje uwagi, spoglądała na mnie z pewną wdzięcznością, jakbym to ja przygotował jej tę rozrywkę. Siedząc naprzeciw, mogłem na nią swobodnie patrzeć, częściej jednak zwracałem się do panny Zawilowskiej, od której stale szedł zamróz, jak od karmelki «frapowanej» wody, i która poczęła mnie poprostu bawić, zdawało się bowiem, iż jeśli odpowiada na moje pytania i zgadza się na moje towarzystwo — czyni to tylko przez dobre wychowanie i wysoką towarzyską uprzejmość. Stałem się dla niej tembardziej nadskakujący, ale z pewnym odcieniem dobrego humoru, który

w końcu poczał ją drażnić. Dojechaliśmy nareszcie na Mokotowskie pola. Dla powozu ciotki zachowano zwykle miejsce przy trybunie — i wnet różni moi znajomi z kartami na kapeluszach, przyszlizli powitać ją i powinszować dzielnej i obiecującej postawy «Naughty-boy'a». Jeden z najznakomitszych hodowców powiedział ciotce, że koń jest wspaniały, ale może niedostatecznie trenowany, że jednak w nocy deszcz padał i turf jest miękki, więc tak silny rumak, jak «Naughty-boy», ma za sobą wszelkie dane. Zdawało mi się, że mówił to z ironią, i trochę się zaniepokoiłem, klęska bowiem «Naughty-boy'a» byłaby zepsuciem dnia ciotce i pośrednio mnie — albowiem jej zły humor zwarzyłby nam zabawę. Tymczasem poszedłem wzdłuż powozów, oglądając po drodze pole i wyszukując znajomych. Ludzi było pełno, trybuny wyglądały, jak jedna zbita ciemna masa, na której suknie kobiece tworzyły jaskrawe plamy. Całe szranki obwiedzione były grubym pierścieniem widzów. Wał miejski czernił się także od ciekawych. Po obu stronach trybuny ciągnęły się jakby dwa skrzydła, dwa nieskończone szeregi powozów, z których każdy, osobno wzięty, wyglądał jak kosz, napelniony kwiatami.

O jakie sto kroków od trybuny spostrzegłem w powozie zawadyacki nosek i różową twarz pani Sniatyńskiej. Gdym się do niej zbliżył dla powitania, powiedziała mi, że mąż jej poszedł szukać panny Hilst, poczem jednym tchem zadała mi następne pytania: jak się ma ciotka i pani Celina? czy Anielka jest na wyścigach? jakim sposobem te panie wyjadą do Gasteinu, skoro pani Celina nie może wstawać? czy «Naughty-boy» wygra? co będzie, jeśli przegra? i ile osób będzie u mnie na obiedzie? Przez ten czas, stojąc przy jej powozie, zauważyłem, iż ma wyjątkową słodycz w wyrazie oczu i prześliczną nogę, a chcąc odpowiedzieć na jej pytania równie hurtownie, jak były zadane, musiałbym chyba mieć, jak mówi Szekspirowska Rozalina, usta Gargantuy. Odpowiedziawszy piąte przez dziesiąte, i poprosiwszy, by po wyścigach przyjechali oboje z mężem wprost do mnie, poszedłem także, śladem Śniatyńskiego, szukać Klary, sądziłem bowiem, że wypada mi zbliżyć się do powozu. Pokazało się, że stoi on niedaleko od ciotczynego. Klara wyglądała, jak pagórek, pokryty heliotropami. Znalazłem ją otoczoną przez artystów i melomanów i rozmawiającą z nimi wesoło. Na mój widok zasępila

się nieco i przyjęła mnie z pewną oziębłością, ale taką, która czeka tylko na jakieś cieplejsze, przyjazne słowo, by zmienić się w wielką serdeczność. Ja pozostałem jednak chłodny; po kwadransie równie grzecznej, jak ceremonialnej rozmowy, poszedłem dalej, i zamieniwszy w drodze po parę słów z innymi znajomymi, wróciłem do naszego powozu, albowiem dwie pierwsze gonitwy odbyły się przez ten czas, i nadeszła kolej na «Naughty-boy'a».

Spojrzałem na ciotkę: wyraz jej twarzy był uroczysty; widać jednak było, że usiłuje zachować zimną krew. Za to na twarzy Anielki odbił się wyraźny niepokój. Oczekiwaliśmy dość długo na ukazanie się koni, bo przy wadze marudzono jakoś niezwykle. Tymczasem nadbiegł Śniatyński, zdaleka już wymachując swemi długimi rękoma i pokazując bilety, zakupione w totalizatorze.

— Postawiłem miliony za «Naughty-boy'em!» — zawołał: — jeśli mnie zdradzi, obciążam hipotekę Płoszowa.

— Mam nadzieję, — zaczęła z godnością ciotka — że pan...

Lecz nie skończyła, bo w tej chwili ponad ciemną masę ludzi zebranych w okolicach try-

buny, wykwitły różnobarwne kurtki dżokejskie. Wyprowadzano konie na tor. Jedne z nich, wydostawszy się na wolną przestrzeń, puszczały się natychmiast w cwał ku miejscu, skąd gonitwa miała nastąpić; inne szły wolnym, spokojnym krokiem. Po dokonanym starcie, jeźdźcy, ruszywszy, przegalopowali koło nas zbitą gromadą i niezbyt szybko, bieg bowiem miał być podwójny, i musieli oszczędzać siły koni. Ale już na drugim skręcie szereg ów rozciągnął się w łańcuch. Robiło to takie wrażenie, jakby wiatr rozwiał kupkę płatków kwiatowych wzdłuż po drodze. Na przodzie biegł dżokej ubrany całkiem biało, za nim niebieski z czapką i rękawami czerwonymi, za nim dwaj równo, jeden cały czerwony, drugi czerwony z żółtem — pomarańczowy zaś nasz Kuba zajmował przedostatnie miejsce, mając tuż za sobą jeźdźca, przybranego w barwę białą z błękitną. Porządek ten nie utrzymał się jednak długo. Gdy bieg doszedł do przeciwnego obrotu koła, w powozach uczynił się ruch; ciekawsze panie poczęły wstępować na poduszki powozów, by nie utracić żadnego epizodu gonitwy; za ich przykładem poszła i ciotka, która widocznie nie mogła już dłużej wysiedzieć.

Anielka odstąpiła swe miejsce pannie Zawilowskiej, która po krótkich ceremoniach stanęła obok ciotki, ja zaś umieściłem Anielkę na przednim siedzeniu, ponieważ jednak nie miała przed sobą oparcia, więc stanąwszy obok niej, podtrzymywałem ją za rękę. Wyznaję, że w tej chwili mniej myślałem o gonitwie, niż o tem, że ta delikatna, kochana ręka spoczywa w mojej i nie cofa się. Plecy ciotki zasłaniały mi nieco widok — lecz wspiąwszy się na palce, ogarniałem wzrokiem całe błonie i dżokejków, dochodzących do zawrotu na drugiej stronie błonia. Widziani zdaleka, byli podobni do jakichś jasnokolorowych żuków, lecących przez powietrze. Bieg z tej odległości wydawał się powolnym, a rzuty przednich i zadnich nóg końskich miały w sobie coś mechanicznego. Cały ten mieniący się wąż, mimo pozornej powolności, zostawiał jednak za sobą szybko przestrzeń. Porządek jeźdźców był już znowu zmieniony. Na przodzie biegł zawsze biały dżokej, za nim czerwony, nasz jednak Kuba zajmował trzecie miejsce. Inni pozostali daleko i przestrzeń, dzieląca ich od przodowników, zwiększa się z każdą chwilą. Widocznie «Naughty-boy» nie należał do koni najgorszych. Na chwilę straciłem ich z oczu,

ale ujrzałem ich znów, gdy przebiegli blisko nas. Czerwony jeździec doganiał tuż, tuż białego — ale Kuba był jeszcze bliżej od obydwóch. Wiedziałem teraz, że biały musi zostać, bo jego koń miał już boki tak mokre i świejące, jakby oblane wodą. Czerwony był bardzo groźny, pomyślałem jednak, że w najgorszym razie «Naughty-boy» weźmie drugą nagrodę, i klęska nie będzie zupełną. Dodało mi otuchy i to, że szedł on z taką flegmą, wyrzucał nogi tak spokojnie i miarowo, jakby odrabiał jakąś codzienną pracę. Zajęcie w widzach wzrastało z każdą chwilą.

— «Naughty-boy» przegrał? — spytała mnie cicho Anielka, widząc porządek, w jakim konie przebiegły koło trybuny.

— Nie, kochanie. Muszą jeszcze jeden krąg zrobić — odpowiedziałem, ściskając jej z lekką ręką.

A ona jej znów nie cofnęła. Prawda, że cała jej uwaga pochłonięta była przez gonitwę. W chwili, gdy konie ukazały się po za bokiem drogi, zasłonionym dla nas przez trybunę, Kuba był już drugi; koń białego dżokeja wyczerpywał się tak, że i trzej pozostali w tyle jeźdźcy poczęli go doganiać. Widocznem już było dla

wszystkich, że walka rozstrzygnie się tylko między czerwonym a pomarańczowo-czarnym. Kuba zbliżył się jeszcze do czerwonego, i tak, rozdzieleni przestrzenią pięciu lub sześciu koni, obiegli znaczną część pola. Nagle szmer na trybunach zapowiedział nam, że dzieje się coś niezwykłego. Spojrzałem: Kuba doganiał stanowczo swego przeciwnika. Szmary na trybunach zmieniły się w gwar. Anielkę tak dalece porwała zabawa, że sama teraz poczęła ścisnąć nerwowo moją rękę, pytając co chwila: «Co tam? co tam?» Jeźdźcy byli już z lewej strony pola. Czerwony znów, za pomocą kilku uderzeń szpicrutą, wysunął się naprzód, lecz «Naughty-boy» sięgał go niemal nozdrzami. W szalonym pędzie wbiegli obaj na linię trybuny, na której znów straciliśmy ich początkowo z oczu. Walka za kilka sekund miała się rozstrzygnąć. Na trybunach zapadła chwilowa cisza, która w mgnieniu oka zmieniła się w okrzyki. Mnóstwo osób biegło pieszo ku sznurom, osłaniającym drogę, i w tej chwili ujrzelśmy czerwone chrapy, lebkoński, z wyciągniętą jak struna szyją, nad nią zaś pomarańczowo-czarne barwy, niesione jakby wichrem. Dzwonek ozwał się na trybunie — zwycięstwo było po naszej stronie.

Czerwony dżokej został na odległość kilkunastu koni.

Muszę oddać ciotce sprawiedliwość, że zachowała zimną krew; na czole jej tylko ujrzałem kilka kropel potu, które poczęła wachlować chustką. Anielka była wzruszona, rozbawiona do najwyższego stopnia i szczęśliwa. Oboje poczęliśmy składać ciotce życzenia, a nawet i panna Zawilowska wypowiedziała kilka francuskich frazesów, jak gdyby wyjętych z rozmów pani Boquel. Wkrótce znajomi otoczyli nasz powóz, i tryumf ciotki był zupełny.

Ja byłem także upojony temi uściśnieniami dłoni, które otrzymałem od Anielki. Próżno sobie mówiłem, że mogły być one nieświadome, bo znów przychodziło mi na myśl, że częstokroć opór kobiecy, gdy się ma przesilić, to przesila się zwykle w chwilach podniecenia i zapamiętania, czy to z powodu zabawy, czy pięknych widoków, czy jakichkolwiek innych okoliczności, odmiennych od pospolitych warunków życia. Przychodzi wtedy pewne rozkołysanie się nerwów, wobec którego utrata codziennej równowagi jest łatwa do zrozumienia. Wziąwszy w rachubę podobny właśnie stan Anielki, doszedłem do przekonania, że ona już przestaje

walczyć z ogarniającem ją uczuciem, i postanowilem być stanowczym.

Przypuszczam, że w Płoszowie nie zabraknie sposobności. Jutro tam wracamy. Dzisiejszy mój obiad, rozmowy i zabawa odegrały rolę dalszych kropel narkotyku. Ona nawet nie przypuszcza, ile czeka nas oboje szczęścia — musi mi tylko oddać na to swoją duszę zupełnie, bez zastrzeżeń i granic.

Lubo ciotka ostrzegła panią Celinę, że może zostanie z Anielką do jutra w Warszawie, mieliśmy wracać jeszcze dziś, po moim obiedzie; tymczasem zaszedł wypadek, który nas powstrzymał. Obiad, z następną po nim herbatą, przeciągnął się do dziesiątej, w chwili zaś, gdy ostatni goście wyjechali, dano znać, że «Naughty-boy» zachorował. Zrobił się wielki zamęt. Zanim posłano po weterynarza i zanim go znaleziono, była północ. Ciotka ani chciała myśleć o wyjeździe.

Anielka miała ochotę wracać, ale spostrzegła, że chwycę się lada pozorów, by ją odwieźć do Płoszowa — ona zaś jeszcze się boi. Ciotka powiedziała jej, że wróciwszy tak późno, rozbudzi cały dom i matkę, a wreszcie rzekła:

— Leon nie ma mi za złe, że ja zawsze

uważam, iż jestem tu u siebie, więc i ty jesteś u mnie. Tak samo, gdybym mu oddała Płoszów, i samaby w nim mieszkała dalej i was nie puściła, póki Celina nie wyzdrowieje.

To ostatecznie skłoniło Anielkę do pozostania.

Teraz jest godzina trzecia w nocy. Widno już, ale na dziedzińcu i koło stajen migają dotąd latarki ludzi, chodzących koło «Naughty-boy'a». Ciotka, gdyśmy się rozchodzili, mówiła, że jeszcze przez dzień zostaje w Warszawie. Jam oświadczył, że zostawiłem ważne papiery w Płoszowie, pojedę więc po nie, a zarazem odwiozę Anielkę. Będziemy sami, i nie będę wahał się dłużej. Wszystka krew napływa mi do serca na myśl, że może odwiozę tę ukochaną istotę przytuloną do moich piersi i usłyszę jej wyznanie, że mnie tak kocha, jak ja ją kocham.

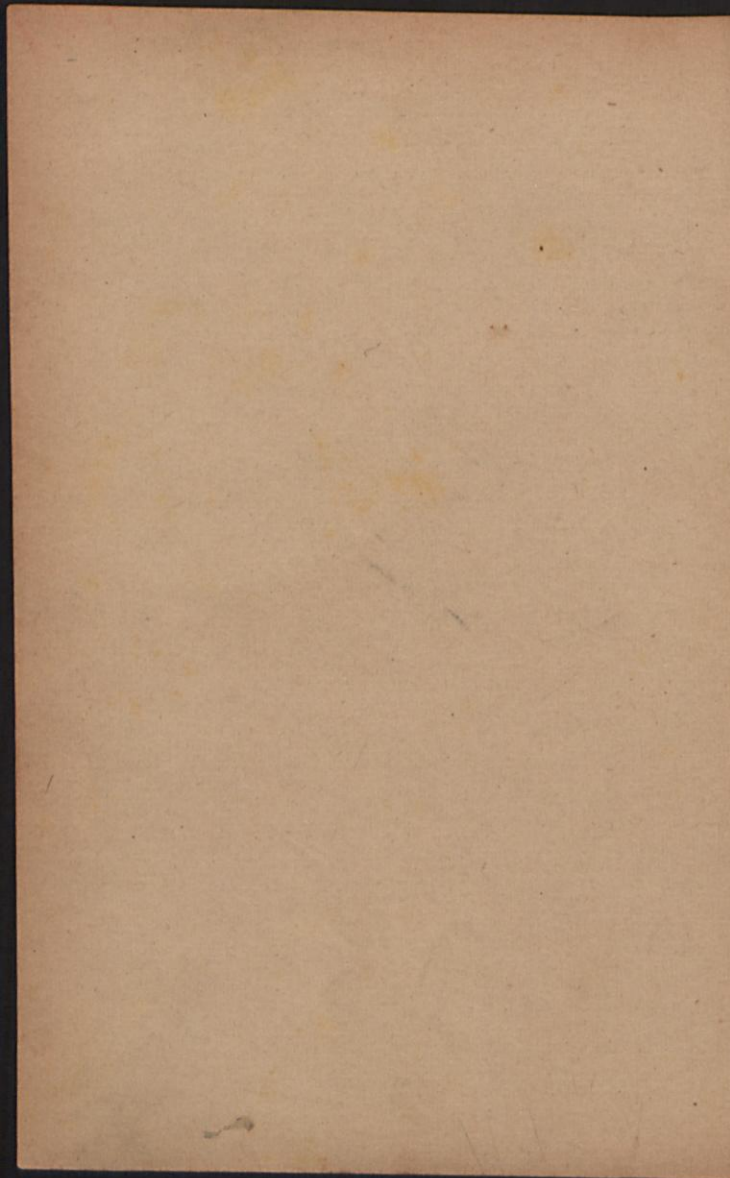
Chmurno i dżdżysto, ale dnieje coraz bardziej. Zaledwie kilka godzin oddziela mnie od tej chwili, w której zacznę nowe życie. Oczywiście nie śpię i nie mógłbym zasnąć za nic w świecie. Najmniejsze znużenie nie ciąży mi na powiekach. Piszę i rozpamiętywam. W dłoni czuję jeszcze ciepło jej ręki i drżenie jej palców, które się nie cofały z uścisku. Jam urobił

tę duszę, wychowałem ją, rozwinąłem i przygotowałem dla miłości; jestem, jak wódz, który wszystko przewidział, obmyślił, wyrachował, ale który nie śpi przed dniem, mającym jego los rozstrzygnąć.

Anielka za to śpi tam, po drugiej stronie domu — i wierzę, że nawet sen jej pracuje dla mnie; być może, iż widzi mnie we śnie i wyciąga ku mnie ręce. Mrowie przechodzi mnie, gdy myślę o tem.

W tem morzu zła, głupstw, niepewności i zwątpień, jakim jest istnienie, jedna rzecz jest warta życia, niewątpliwa, mocna jak śmierć — to miłość. Nic niema po za nią.

KONIEC CZĘŚCI TRZECIEJ.



451 007

PISMA
HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM X

Darby *Leontart*

BEZ DOGMATU
CZĘŚĆ IV.

CZYTELNIA PUBLICZNA
w Zamościu
K. Jaskiewicz

~~na-Koło Zam.~~
~~Warszawa~~
~~1899~~

WARSZAWA

NAKLAD REDAKCYI TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO
(DODATEK BEZPŁATNY)

1899

Дозволено Цензурою.

Варшава, 3 Февраля 1899 г.

6 czerwca.

Odwiozłem dziś Anielkę, a teraz zadaję sobie pytanie: czym nie zwaryował? Nie! nie przywiozłem jej w ramionach, nie słyszałem jej wyznań! Zostałem odepchnięty tak bez wahania, z takim krwawem oburzeniem wstydu, że zostało ze mnie nic! Co to jest? Czy ja nie mam rozumu, czy ona nie ma serca? Z czym ja walczę? o co się rozbilem? Dlaczego ona mnie odpycha? W głowie mej zrobił się taki chaos, że nie mogę myśleć, pisać, rozumować — tylko powtarzam ciągle pytanie: o co ja się rozbijam?

7 czerwca.

Popelnilem w czemś jakąś niezmierną pomyłkę, czegoś w tej kobiecie nie dostrzegłem i nie obrachowałem. Przez dwa dni starałem

się zrozumieć to, co mnie spotkało, miałem jednak taki chaos w głowie, że nie mógł myśleć. Teraz zbieram całą zimną krew i całą przytomność, by się rozpatrzyć w położeniu. Byłoby ono bardzo jasne, gdyby Anielki broń miłość do męża; wówczas rozumiałbym ten obrażony wstępn i oburzenie, z jakim ta istota, tak łagodna i potulna, odtrąciła mnie od swych kolan. Ale tego dopuścić nie mogę. Tyle jeszcze mózgu zostało mi w głowie, by pamiętać, że widzieć rzeczy zbyt czarno jest takim samym błędem i głupstwem, jak widzieć je zbyt różowo. Skąd się miała wziąć w niej miłość dla Kromickiego? Obrachujmy wszystko jeszcze raz. Poszła za niego bez miłości; czas, który spędzili razem, obracał na podchodzenie jej zaufania; sprzedał jej rodzinny kąt, przez co przyczynił się do choroby jej matki. Nie mają dziecka. Zresztą dziecko nie uczy kobiety kochać więcej męża, uczy ją tylko brać go więcej w rachubę, zabezpiecza go, inaczej mówiąc: zacieśnia związek rąk, nie serc. Anielka nie należy także do rzędu kobiet, w których miłość wybuch nagle, jak płomień po ślubie, bo takie kobiety albo bardziej tęsknią do męża, albo łatwiej biorą kochanka. Wypowiadam to tak szorst-

ko, że samemu sobie sprawiam ból, ale po co mam się oszczędzać? Ostatecznie jestem przekonany, że Anielka nie ma do Kromickiego żadnego, zbliżonego nawet do miłości uczucia, a co więcej — nie ma i szacunku; nie pozwala sobie tylko na pogardę — i oto stan jej duszy. Uważam to wszystko za dowiedzione raz na zawsze, inaczej byłbym ślepym.

Jeśli jej serce było w tej chwili, gdym powrócił, «tabula rasa», to jednak musiałem coś na tej tablicy napisać, ja, którym to w innych warunkach nieraz potrafił, ja, któremu tem bardziej o to chodziło, niż kiedykolwiek, który poruszałem w niej uczucia przyjaźni, litości, wspomnień, nie omieszkując niczego, licząc się ze wszystkim i mając tę siłę, jaką daje prawdziwe uczucie. Biorę oto w obie ręce moją głowę i mówię sobie: Człowieku, ty przecie nie jesteś parafialnym lwem, przekonany, że żadna kobieta nie może być dla ciebie obojętna — czyś ty się nie ludził, że ona ciebie kocha, że serce jej należy w gruncie rzeczy do ciebie?

Co przemawia za tem, że to jest złudzenie?

Na pierwszy rzut oka: jej opór.

Lecz ja nie śmiałem nigdy przypuszczać,

że ona nie będzie się opierała. Wyobrażam sobie oto jakąkolwiek kobietę zameżną, zakonchaną bez pamięci w obcym człowieku — zadaję sobie pytanie: czy można przypuścić, żeby taka nawet kobieta nie okazała żadnego oporu, żeby nie walczyła sama z sobą i z ukochanym mężczyzną aż do wyczerpania sił?

Opór nie wypływa z miłości, ale skoro te dwie siły mogą się mieścić obok siebie, jak dwa ptaki w gnieździe, więc się nie wyłączają wzajemnie.

Ja nietylko dlatego piszę ten pamiętnik, że stało się to już moją naturą i moją namiętnością, nietylko dlatego, że się w ten jedyny sposób wypowiadam, ale również i w tym celu, aby mózgi sobie zawsze wszystko uprzytomnić, na nowo ogarnąć myślą cały przebieg zdarzeń i zdać sobie z nich sprawę. I oto odczytuję teraz te stronicę, na których zapisałem moją i Anielki historję, od chwili mego powrotu do Płoszowa; jest tam zapisane każde niemal jej spojrzenie, każda rozmowa, każdy uśmiech, każda łza, chwycone każde drgnienie jej duszy. I nie! ja się nie ludzę, to nie jest analiza fałszywa! Były to słowa, łzy, spojrzenia i uśmiechy ko-

biety — może nieszczęśliwej — ale nie obojętnej.

Moje postępowanie musiało na nią oddziaływać. Nie mam katarakty na oczach: codzień przecie rozdziera mi się serce, gdy widzę, jak ona chudnie, mizernieje, jak twarz jej staje się coraz mniejszą, ręce coraz przezroczystsze — i włosy powstają mi niemal z przerażenia na myśl, że ona zdrowiem opłaca tę walkę. Ale wszystko to są niezbité dowody. Jej serce i jej myśli należą do mnie. Ona właśnie dlatego jest równie nieszczęśliwa, jak ja — nieszczęśliwsza może.

Czytam, com przed chwilą zapisał, że nawet nie śmiałem przypuszczać, że ona nie będzie się opierała. Prawda, tak było wkrótce po moim powrocie do Płoszowa, ale ostatnim razem, wracając z Warszawy, przypuszczałem, że już się nie będzie opierała — i omyliłem się. Nie uczyniła mi żadnego ustępstwa, nie okazała żadnej litości, nie chciała słuchać tego, com mówił, jakbym mówił bluźnierstwa; widziałem w jej oczach iskry gniewu i rozżalenia, wydarła mi swoje ręce, którem pokrywał pocałunkami, a słowa: «Ty mnie obrażasz!» — nie schodziły z jej ust. I energia jej pokonała moją, tem łatwiej, im

mniej się jej wybuchu spodziewałem. Ach! Anielka zagroziła mi do tego stopnia, iż wysiadzie z powozu i pieszo pójdzie w deszcz do Płoszowa. Wyraz «rozwód» sprawił na niej wrażenie rozpalonego żelaza. Nic, nic, nic nie wskórałem, ani wybuchami uniesienia, ani zuchwalstwem, ani prośbą, ani miłością; wszystko było wzięte za złe, za obrazę, wszystko było odrzucone i podeptane. Dziś, gdy ją widzę, jak chodzi tu po pokojach, znowu łagodna, potulna, zdaje mi się, że tamto była jakaś inna kobieta. Nie mam co przed sobą ukrywać. Poniosłem klęskę tak zupełną, że gdybym miał siłę, gdybym miał jakkolwiek inną rację do życia, powinienbym dziś wyjechać.

Bo przypuśćmy, że mnie kocha: co mi z tego, jeśli to uczucie nie zerwie nigdy tych więzów, które je krępują, nie przedostanie się nigdy na wierzch, nie wyrazi się żadnym czynem? Tak samo mogę sobie wyobrazić, że mnie kocha grecka Helena, Kleopatra, Beatrix lub Marya Stuart! Takie też to musi być uczucie, które niczego nie chce i nic nie nakazuje. Może być, że to serce należy do mnie, ale to jest małe, niezdolne do czynu serce! Ona może pozuje sama przed sobą na wzniosłą duszę, poświęca-

jącą na ołtarzu obowiązków uczucie — i wydaje się sobie przez to piękną. Jest to satysfakcya, warta przecie, by dla niej coś uczynić! Dobrze! Poświęcaj sobie mnie, ale jeśli myślisz, że dużo poświęcasz, poświęcając swoje uczucie, i że nakarmisz niem obowiązki — to się mylisz!

Nie mogę, nie mogę jeszcze ani myśleć, ani pisać spokojnie!

8 czerwca.

Kokietka jestto lichwiarz; przyznaje mało, a żąda olbrzymich procentów. Dziś, gdy jestem spokojniejszy i gdy mogę jaśniej myśleć, muszę przyznać, że pod tym przynajmniej względem nie mam Anielce nic do zarzucenia. Ona nie mi nie przyznawała i niczego nie żądała. To, com ja brał w niej w Warszawie za odcień kokieteryi, to była tylko chwila pogody i wesołości. To ja wywołałem wszystko, co zaszło, ja sam popełniłem szereg omyłek i sam jestem wszystkiemu winien.

Wiedzieć coś i brać w rachubę są to dwie rzeczy różne. Możemy sobie doskonale zdawać sprawę z obcych nam czynników, działających w duszy danego człowieka, w postępowaniu

z nim jednak bierzemy najczęściej tylko samych siebie za punkt wyjścia. Tak zdarzyło się i mnie. Ja wiedziałem, a przynajmniej miałem poczucie, że ja i Anielka jesteśmy dwiema istotami, tak przeciwnymi sobie, jakbyśmy pochodzili z dwóch różnych planet — ale nie umiałem o tem stale pamiętać; mimowoli obrachowywałem, że ona w danym razie tak postąpi, jak jabym postąpił.

I mimo tego poczucia, że my jesteśmy dwie najniepodobniejsze pod słońcem istoty — dwa bieguny, jeszcze teraz zapisuję to, jakby z pewnem zdziwieniem, jeszcze trudno zżyć mi się z tą myślą. A jednak to jest prawda. Ja tysiąc razy podobniejszy jestem do takiej Laury Dawisowej, niż do takiej Anielki.

Teraz pojmuję, o com się rozbił.

O to, czego zanik czuję w sobie oddawna, o to, czego brak rozkielznał i wyswobodził wprowadzie moje myśli, ale wniósł zarazem we mnie zaród śmiertelnej choroby i stał się moją tragedją.

O katechizmową prostotę jej duszy.

Teraz zdaję sobie z tego sprawę wyraźnie — może jeszcze jednak nie dość szeroko, bo jestem człowiek tak powikłany, że straciłem zmysł

prostoty... «Słyszę twój głos, ale cię nie widzę»...
Wzrok mój duchowy cierpi na pewnego rodzaju daltonizm i nie odróżnia pewnych barw.

Mnie w głowie się nie mieści, jak można każdej zasady, choćby od wieków nie wiem jak uświęconej, nie obejrzeć z obydwu stron, nie rozłożyć jej na części, cząsteczki, atomy, słowem, póty rozkładać, póki się nie rozsypie w proch i nie da się już złożyć z powrotem.

Anielce w głowie się nie mieści, jak można na zasadę, uznaną za dobrą i uświęconą zarówno przez religię, jak i przez ogół ludzi, patrzeć inaczej, niż jako na prawo obowiązujące.

Wszystko mi to jedno, czy to jest u niej świadome, czy instynktowne, wyrozumowane własnym umysłem, czy nabyte — dość, że to już dziś weszło w jej naturę.

Ja już dostałem jakby ostrzeżenie w tem, co mi powiedziała z powodu pani Koryckiej: «Wszystkiego można dowieść, ale gdy się źle postępuje, sumienie zawsze powie: «Żle! źle!» i niczem nie da się przekonać».

Nie przypisałem wówczas temu takiej wagi, jaką należało przypisać. W Anielce niema żad-

nych wahań się, żadnych zwątpień. Dusza jej odwiewa plewę od ziarna z taką dokładnością, że o zamieszaniu mowy być nie może. Ona nie sili się na wyszukiwanie własnych norm, bierze je gotowe z religii i ogólnych moralnych pojęć, ale przejmuje się nimi tak silnie, że stają się one jej własnymi, bo wchodzą w jej krew.

Im to różniczkowanie zła i dobra jest prostsze, tem jest pewniejsze i bardziej nieublagane. W tym kodeksie etycznym okoliczności łagodzące nie istnieją. Ponieważ, według niego, mążatka powinna należeć do męża, więc ta, która się oddaje innemu, czyni źle. Niema tam rozpraw, uwzględnień, rozmyślań — jest tylko prawica dla sprawiedliwych, lewica dla grzesznych, nad nimi miłosierdzie Boże, ale między nimi — nic — żadnego środka.

Jest to kodeks *zaczynego Bartłomieja* i *uczciwej Magdy*, tak prosty, że podobni do mnie przestają go rozumieć. Nam się wydaje, że życie, że dusze ludzkie zbyt już są złożone, żeby się mogły w nim pomieścić. I rzeczywiście, może niepodobna nam się w nim pomieścić. Na nie-szczęście, nie wynaleźliśmy nic innego i dla-

tego bujamy, jak zablakane ptaki — w pustce i w trwodze.

Ale większość kobiet, a zwłaszcza większość kobiet u nas, uznaje jeszcze ten kodeks. Nawet te, które w życiu odstępują od jego przepisów, nie pozwalają sobie ani na chwilę wątpić o jego prawowitości i świętości. Gdzie on się zaczyna, tam kończą się rozumowania.

Poeci fałszywie sobie wystawiają kobietę, jako zagadkę, jako żywego sfinksa. Sto razy większą zagadką, sto razy większym sfinksem jest mężczyzna. Kobieta zdrowa, nie histeryczka, może być złą lub dobrą, silną lub słabą, ale jest od mężczyzny duchowo prościej. Ją po wszystkie wieki i po wszystkie czasy zadowala jakieś «Dziesięcioro», bez względu, czy się do tego «Dziesięciorga» stosuje, czy, przez ułomność natury, pomija jego przepisy.

Dusze kobiece są tak dogmatyczne, że znałem kobiety, w których nawet ateizm przybierał wszystkie cechy religii.

Jest rzeczą szczególną, że ów «kodeks uczciwej Magdy» nie wyłącza w kobietach ani przenikliwej inteligencji, ani misterności myśli, ani ich polotu.

Dusza kobieca ma w sobie coś z kolibra,

który umie bujać swobodnie wśród gęstego krzewu i nie zawadzić o żadną gałązkę, nie potrącić żadnego liścia.

To się da zastosować przedewszystkiem do Anielki. Największa misterność uczuć i myśli łączy się w niej z największą prostotą moralnych pojęć. Jej «Dziesięcioro» jest takie samo, jak «Dziesięcioro» Magdy — tylko, że u Magdy jest ono wyszyte na zgrzebnem płótnie, u Anielki na delikatnej, jak koronka, tkaninie.

Czemu ja o tem rozprawiam? Boć to przecie dla mnie nie jakaś kwestya oderwana, ale kwestya niemal życia; mówię o tem, bo mnie to boli i stanowi moje nieszczęście, bo czuję, że ja tego prostego «Dziesięciorga» nie przemogę swoją zawiklaną i złożoną filozofią miłości. I jakże mam przemódz, gdy ja pierwszy nie wierzę bez zastrzeżeń w tę filozofię, a często nawet poprostu o niej wątpię, podczas gdy Anielka wierzy spokojnie i niewzruszenie w swoje przykazania.

Tylko takie usta, które już piły ze źródła zwątpień, można przekonać, że zabroniony pocałunek nie jest grzechem. Kobieta religijna może być porwana przez miłość, jak drzewo przez huragan, ale jej nie uzna nigdy.

Czy ja kiedy zdołam porwać Anielkę? Może to głębokie, rozpaczliwe zniechęcenie, które mnie w tej chwili ogarnia, jest chwilowe, może jutro będę z większą nadzieją patrzył w przyszłość, dziś jednak wydaje mi się to prawie niepodobieństwem.

Napisałem sam niegdyś w tym pamiętniku, że w niektórych domach u nas wychowanie wszczepia kobietom skromność tak, jak ospę. Trzeba mi się i z tem liczyć, że owo prawidło, które mówi: «Żona ma należeć do męża», a w które Anielka święcie wierzy, chronione jest w dodatku przez wstydlivość, tak w niej istotną, tak z nią zrosłą, tak przerobioną w jej naturę, że ja sto razy łatwiej mogę sobie wyobrazić tę Anielkę na marach, niż odsłaniającą przy mnie piersi.

I ja mogę się jeszcze ludzić, mogę od takiej kobiety czegoś oczekiwać? To jest przecie prosta bezmyślność!

Więc co mam zrobić? Wyjechać?

Nie wyjadę! — nie chcę i nie mogę!

Zostanę — a ponieważ moje uczucie jest bezmyślne, więc będę postępował bezmyślnie. Dość systemów, obrachowywań, przewidywań. Niech

będzie, co chce i jak chce! Tamta droga nie prowadzi do niczego.

9 czerwca.

Ona nie jest szczęśliwsza ode mnie. To, com widział dziś, przekonało mnie, że i w niej toczy się ciężka walka, do której siłę musi czerpać tylko w sobie. Myśli tak mi się płaczą, że się nie mogę uspokoić.

Po odjeździe pana Zawilowskiego, który był dziś w Płoszowie z córką, gdy ciotka poczęła z widoczną intencją podnosić przymioty panny Heleny, porwała mnie nagle złość; byłem zmęczony, niewyspany, nerwy miałem potargane, więc w chwili rozdrażnienia zawolałem:

-- Dobrze! Jeśli chodzi więcej o moje małżeństwo, niż o moje szczęście, to mogę jutro oświadczyć się panie Zawilowskiej, bo nareszcie i mnie jest wszystko jedno!

Widocznem było przecie, że mówię to z rozdrażnienia, nie z przekonania, i że nigdybym tego, co mówię, nie zrobił, Anielka jednak stała się nagle blada, jak papier. Podniósłszy się nagle z miejsca, bez usprawiedliwionego powodu, poczęła odwiązywać sznurki rolety, przytem ręce jej drżały, jak w febrze. Na szczęście, i ciotka

pewnie nigdy w życiu nie była tak zmieszana, więc nie dostrzegła. Coś mi odpowiedziała, ale nie wiem co, bo w tej chwili wszystko przestało dla mnie istnieć poza Anielką. Ja wprawdzie rozumowaniem dochodziłem do wniosków, że jestem czemś w jej sercu, ale rozumować a widzieć coś, to dwie rzeczy różne. Nie zapomnę do ostatniej chwili życia tej bladości i tych drżących rąk! Miałem teraz dowód niezbity, bo choćbym pewną część wrażenia przypisał temu, że odpowiedź moja spadła na nią tak niespodzianie, to i tak dosyć jeszcze zostaje! Nagłej wiadomości, nie tylko o małżeństwie, ale nawet o śmierci istoty obojętnej, nie przyjmuje się bladością.

Myślałem przed paru dniami: Co mi z tego, że ona mnie kocha, jeśli to uczucie pozostanie nazawsze w niej zamknięte? A jednak obecnie, gdy się przekonał naocznie, że tak jest, wszystkie nadzieje moje zmartwychwstały odrazu, wszystkie zwątpienia znikły; miałem na nowo widzenie zwycięstwa, na nowo pewność, że musi przyjść czas, w którym jej uczucie stanie się od niej silniejsze, w którym ją ogarnę i zabiorę.

Niestety, prawie natychmiast przekonałem

się, że to jest złudzenie. Ciotka, powiedziawszy coś jeszcze, wyszła, może dlatego, żeby gdzie w kącie obetrzeć łzę żalu do mnie — ja zaś zbliżyłem się skwapliwie do Anielki i powiedziałem:

— Anielciu! za skarby świata nie ożeniłbym się z panną Zawilowską, ale wyrozumiej mnie: nie dość mi zmartwień, jeszcze i z tej strony nie mam spokoju. Ty jednak wiesz najlepiej, że to się nigdy nie stanie.

— Owszem... cieszyłabym się, gdyby się to stało — rzekła z wysileniem.

— Nieprawda! widziałem, żeś zbladła — widziałem!

— Pozwolisz, że odejdę...

— Anielko moja, ty mnie kochasz! Nie okłamuj siebie i mnie: ty mnie kochasz!

A jej usta znowu pobielały.

— Nie, — odpowiedziała prędko — ale się boję, że cię znienawidzę.

I odeszła do matki. Ja wiem, że kobiecie, która toczy z sobą walkę, musi się tak często wydawać; że miłość gorzka i zabroniona musi przybierać podobną barwę; a jednak słowa Anielki zdmuchnęły moją radość, jak świecę. Istnieje pełno w życiu takich rzeczy, zupełnie

naturalnych, których po prostu nerwy, ni siły ludzkie: nie znoszą. Uderza mnie teraz jedna prawda, lekceważona dotąd przeze mnie i lekceważona powszechnie, że miłość do cudzej żony, jeśli jest pozorną, jest wielką podłością, jeśli jest rzeczywistą, jest wielkiem nieszczęściem — tem większem, im kobieta jest więcej warta. Pali mnie ciekawość ogromnie gorzka, coby było w takim razie, gdybym Anielce powiedział tak: «Albo mi zarzucisz ręce na szyję i wyznasz, że mnie kochasz, albo strzelę sobie w leb w twoich oczach!» Wiem, że byłoby to nikczemne, i nigdybym się na podobny wyzysk i gwałt nie zdobył, nie!... bądź co bądź, zbyt na to jestem porządnym człowiekiem... Ale jednak nie mogę się powstrzymać od postawienia sobie pytania: coby w takim razie nastąpiło? I prawie pewny jestem, że Anielka możeby nie przeżyła swego żalu — a przytem i swojej pogardy — aleby nie uległa. Gdy o tem myślę, zarazem ją przeklinam i jeszcze bardziej uwielbiam, zarazem nienawidzę i jeszcze bardziej kocham. Trzeba sobie otwarcie powiedzieć: trafiło mi się wielkie nieszczęście. Co gorsza, że nie widzę na nie środka, bo zupełnie nie czuję sił do wyrwania się z tej obierzy. Do porywu

zmysłów, który ta kobieta budziła zawsze we mnie w najwyższym stopniu, dołączyło się już jakieś psie przywiązanie. Obejmuję ją myślą, wzrokiem, patrzę i nie mogę się napatrzeć na jej oczy, włosy, usta, ramiona — czuję jednak zarazem, że to jest nietylko najpożądańsza istota, ale już i najdroższa głowa w świecie. Żadna kobieta nie przywiązała mnie i tak podwójnie i tak bezwzględnie. Czasem ten wpływ jej wydaje mi się wprost niezrozumiały, czasem go sobie tłómaczę — i jak zwykle — tłómaczę dla siebie jak najgorzej.

Oto ja żyłem szybko i przeszedłem już swój zenit. Teraz idzie droga ku dołowi, skąd wieje chłód i mrok. Czuję wszelako, że w tej jedynej istocie odnalazłbym swoją młodość i bujność i ochotę do życia. Gdy ona dla mnie przepadnie, to naprawdę przepadnie i życie, a pozostanie tylko wegetacya, niesłychanie pośepna, jako przedsmak śmierci. Dlatego ja Anielkę kocham i całą siłą instynktu zachowawczego, nie przez zmysły wyłącznie, nie wyłącznie duchem, lecz także przez trwogę nicości.

Anielka tego nie wie; ale przypuszczam, że ona ma dla mnie wielką litość, co wnoszę z tego, że ja, który postępuję z nią bezlitośnie, sprze-

dalbym duszę za to, żeby jej ulżyć. I jak nie mam mówić, że miłość dla cudzej żony jest nieszczęściem, skoro ona prowadzi człowieka do tego na przykład, że musi dręczyć istotę, za której spokój oddałby siebie samego! I tysiące takich błędnych kół na każdym kroku! Ostatecznie, my oboje jesteśmy ogromnie nieszczęśliwi. Ale ty, Anielko, masz przecie jakieś oparcie w życiu, masz swój dogmat — ja zaś jestem istotnie jak łódź bez steru i bez wiosel.

Jestem jakiś niezdrów. Źle sypiam, a raczej nie sypiam wcale, i nie może inaczej być. Doprawdy, chciałbym zachorować, ale tak porządnie; przeleżeć przez jaki miesiąc bez światłości, bez pamięci, wypocząć za wszystkie czasy. To byłyby moje wakacje. Chwastowski wczoraj mnie oglądał i filozofował nade mną; powiedział, że mam system nerwowy rasy już przeżytej, ale że odziedziczyłem jeszcze duży zasób sił muskularnych. Myślę, że rzeczywiście ma rację; gdyby nie to, tobym się był nie oparł moim nerwom. Kto wie, czy nie temu przypisać należy w części tę moją obecną wyłącznieść, bo przecie owe siły musiały znaleźć jakieś ujście, a że go nie znalazły ani w wie-

dzy, ani w czynie, więc popłynęły, jak potok, jednym łożyskiem: miłości do kobiety.

Tylko, dzięki nerwom: mętnie, burzliwie i krzywo! przedewszystkiem krzywo!

Co ja przechodzę wrażeń dziennie! Przed wieczorem przyszło do mnie kochane ciotczy-sko i poczęło mnie przeproszać za swoje pochwały dla panny Zawilowskiej. Ucałowałem jej obie ręce i nawzajem przeproszałem ją za moje rozdrażnienie — ona zaś mówiła:

— Przrzekam ci, że już o niej nie wspomnę. Prawda, mój Leonie, chciałabym z duszy serca, żebyś się ożenił, bo jesteś ostatni z rodziny, ale Pan Bóg wie najlepiej, czy mi nade-wszystko nie chodzi o twoje szczęście — mój drogi, kochany chłopcze.

Ja uspokajałem ją, jakem umiał, w końcu zaś rzekłem:

— Cioteczka wie, że ja jestem trochę baba, nerwowa baba!

Lecz ciotka zaraz oburzyła się na mnie.

— Ty, baba! Każdy może pobiłdzić, ale żeby wszyscy mieli tyle rozumu i charakteru, toby się na świecie inaczej działo!

I jak tu rozpraszać takie złudzenia! Czasem porywa mnie rozpacz, bo sobie mówię: co ja

mam do roboty w takim domu i wśród takich kobiet, które wzięły w arendę anielstwo? Dla mnie już za późno nawracać się na ich wiarę, a ile ja im mogę zgotować zmartwień, zawodów i nieszczęść!

10 czerwca.

Miałem dziś dwa listy: jeden od mego notaryusza w Rzymie, drugi od Śniatyńskiego. Z Rzymu donoszą mi, że przeszkody, jakie stawia zwykle rząd włoski wywożeniu z kraju starożytnych zabytków i cennych przedmiotów sztuki, mogą być usunięte, a raczej dadzą się obejść. Zbiory ojca miały czysto prywatny charakter i nie były objęte żadną kontrolą państwową, będą zatem wysłane poprostu jako meble.

Trzeba mi teraz zająć się odpowiedniemi urządzeniem domu w Warszawie, co uczynię z niechęcią, albowiem myśl przewiezienia tych zbiorów do kraju straciła już dla mnie wszelki urok. Co mnie to teraz obchodzi i na co się to zdało! Jeśli nie zaniecham zamiaru, to tylko dlatego, że sam tyle rozповідаłem o nim i że tyle z tego powodu pisano.

Wrócił mi się ten stan umysłu, który mnie

tak trapił w czasie moich podróży, zaraz po
zamażpójściu Anielki. Teraz znowu działał, pa-
trzę i pojmuję nie inaczej, tylko w związku
z myślą o Anielce, nie mam zatem żadnych
bezpośrednich wrażeń. Ideje, w których na dnię
nie odkrywam jej, wydają mi się zupełnie puste
i bez znaczenia. Jest to uderzające, jako dowód,
jak dalece człowiek może się zaprzepaścić. Czy-
tałem dziś zrana odczyt Bungego pod tytułem:
«Witalizm i mechanizm», i czytałem z wyjąt-
kowym zajęciem; wykazuje on bowiem nau-
kowo to, co było w moich myślach oddawna,
ale miało formę raczej niejasnych poczuć, niż
określonych przekonań. Tu wiedza przyznaje
się do sceptycyzmu względem siebie samej i nadto
stwierdza nie tylko swoją bezsilność, ale i pozy-
tywne istnienie jakiegoś świata, który jest czemś
więcej, niż materią i ruchem, i który się nie
daje wytłómaczyć ni fizycznie, ni mechanicznie.
To już mi jest wszystko jedno, czy ten świat
będzie czemś naddanem względem materii, czy
czemś poddanem. Czysta gra słów! Ja nie je-
stem uczonym, nie jestem obowiązany do
ostrożności we wnioskach, więc rzucam się gło-
wą naprzód w te otwarte drzwi i — niech so-
bie nauka sto razy mówi, że tam jest ciemno,

ja czuję, że mi tam będzie widniej, niż z tej strony. Czytałem z chciwością prawie gorączkową i z ulgą wielką. Tylko zacofani głupcy nie zdają sobie sprawy, jak nas materjalizm gnębi i śmiertelnie nuży, jaka jest utajona bojaźń w umysłach, żeby wypadkiem jego nauka nie okazała się prawdą, jakie oczekiwanie nowej ewolucyi naukowej i jaka radość jeńców, gdy się otworzy lada furtka, którą można uciec na wolne powietrze. Cała rzecz, iż duchy już są tak przygnębione, że nie śmieją ni oddychać, ni uwierzyć we własne szczęście. Alem ja śmiał i miałem takie uczucie, jakbym się wydostał z dusznej piwnicy. Może to także było chwilowe wrażenie, rozumiem bowiem, że neo-witalizm nie jest żadną epoką w nauce; może też jutro powrócę dobrowolnie do więzienia... Nie wiem!... Tymczasem było mi dobrze. Mówiłem sobie co chwila: jeśli tak jest, jeśli nawet drogą sceptycyzmu dochodzi się niewątpliwiej pewności, że istnieje świat nadzmysłowy, „nagrawający się ze wszelkiego mechanicznego tłómaczenia“, leżący absolutnie po za sferą „fizyko-chemicznych wyjaśnień“ — to wszystko jest możliwe: wszelka wiara, wszelki dogmat, wszelki mistycyzm! Więc i wolno myśleć, że jak istnieje

nieskończona przestrzeń, tak istnieje i nieskończony rozum, nieskończona dobroć; wolno się spodziewać, że jest jakaś wielka sutanna, ogarniająca wszechświat, do której można się przytulić — i jakaś opieka, pod którą kończy się zmęczenie. A jeśli tak, to dobrze! — to wiem przynajmniej dlaczego żyję i dlaczego cierpię! Co za niezmierna ulga!

Powtarzam raz jeszcze, że nie jestem obowiązany do ostrożnych i nieśmiałych wniosków, a poprzednio już napisałem, że nikt nie jest bliższy mistycyzmu, niż sceptyk. Sprawdziłem to teraz na sobie, bom począł bujać, jak ptak, który więziony długo w klatce, wydostawszy się na swobodę, buja, rozkoszuje się i kąpie w przestrzeni. Widziałem nowe pola, pokryte nowem życiem. Nie wiem, czy to było na jakiejś innej planecie, czy gdzieś, hen! w przestrzeniach międzyplanetarnych, dość, że i to życie i te pola były zupełnie odmienne od naszych; światło tam było jasne i łagodne, w powietrzu chłód, pelen słodczy, głównie zaś różnica polegała na tem, że związek między duszą indywidualną a duszą ogólną był tam daleko bliższy, tak blizki, że niepodobna było rozeznać, gdzie się kończy indywiduum, a za-

czy na się ogół. Czulem przytem, że właśnie na tej niejasności granicy polega szczęście tamtego życia, bo człowiek nie wyłącza się tam, nie przeciwstawia, ale istnieje w harmonii z otoczeniem, a tem samem żyje całą potęgą ogólnego życia.

Nie powiem, żeby to były widzenia; było to tylko przejście tego granicznego pasa, za którym kończą się ściśle rozumowania, a zaczynają się poczucia, będące jednak jeszcze niejako wnioskami z poprzednich premis — tylko doprowadzonymi tak daleko, że prawie nieuchwytnymi, jak może być prawie nieuchwytną ciągnięta do nieskończoności nitka złota. Zresztą ja nie umiałem jeszcze wcielić się całkowicie w to życie nowych pól, ani dokładnie stopić się, ani dostatecznie zatracić w nich siebie samego. Zachowałem do pewnego stopnia swoją odrębność; czegoś mi brakło, i zdawało mi się, że czegoś szukam wokół siebie. Nagle uczulem, że szukam Anielki. Oczywiście: tylko jej i zawsze jej! Co mnie bez niej mogło obchodzić to odmienne życie? Znalazłem ją nakoniec, i poczęliśmy się razem błąkać, jak cień Paola z cieniem Franceski di Rimini...

Zapisuję to dlatego, że widzę w tem dowód

niemal przestraszający, jak dalece moja istota pochłonięta jest przez uczucie dla tej kobiety. Co u licha! jaki może być związek między Bungem i jego neo-witalizmem a Anielką? A jednak ja, nawet gdy myślę o takich rzeczach, dochodzę w końcu do niej. Naukę, sztukę, naturę, życie sprowadzam teraz do tego jednego mianownika. Jest to oś, około której obraca się dla mnie świat.

Ma to swoją niesłychaną wagę, bo wobec tego, czy jest choć najmniejsze podobieństwo, żebym kiedykolwiek poszedł za radą rozumu, która jeszcze powtarza mi od czasu do czasu słabym, przyduszonym głosem: «Wyjedź, uciekaj!»

Wiem, że to się dobrze nie skończy, że to się nie może dobrze skończyć, ale skąd ja wezmę sił, skąd woli, skąd energii, kiedy to wszystko mi zabrano? Tak samo mógłbym człowiekowi, pozbawionemu nóg, powtarzać: «Wstań i idź w świat!» Na czym? A ja jeszcze dodam: dokąd? po co? Tu jest moje życie!

Czasem bierze mnie ochota dać do czytania ten pamiętnik Anielce, ale nie zrobię tego. Litość jej dla mnie możeby potem wzrosła, ale miłość musiałaby się zmniejszyć. Gdyby Anielka została moją, szukałaby we mnie oparcia, uspo-

kojenia i niezachwianej wiary za dwoje, że to tak właśnie być powinno, że tak jest dobrze; tymczasem znalazłaby i co do tego nawet zwątpienie. Przypuszczam zresztą, że chociażby zrozumiała wszystko, co się we mnie działo i dzieje, wielu rzeczy nie mogłaby odczuć. My jesteśmy takie dwie różne istoty! Oto na przykład ja, nawet wówczas, kiedy popadam w mistycyzm, kiedy sobie mówię, iż wszystko jest możliwe, wyobrażam sobie życie zaświatowe nie według ogólnych pojęć, a zatem — o ile te ogólne pojęcia można nazwać normalnemi — nienormalnie. Dlaczego? Jeśli wszystko jest możliwe, to tak samo jest możliwe piekło, czyściec i niebo, jak moje blade a jasne pola! A przytem wizye Danta są przecie większe i wspanialsze od moich. Więc dlaczego? Z dwóch powodów. Oto naprzód dlatego, że mój sceptycyzm, który zatruwa się własnem zwątpieniem, jak skorpion własnym jadem, ma jednak dość siły, żeby wyłączyć z różnorodnych przypuszczeń pojęcie proste i ogólnie przyjęte — a powtóre?... Powtóre, że w tych dantejskich przegrodach nie umiem sobie wyobrazić siebie i Anielki razem... Takiego życia nie chcę...

Ale to wszystko, co piszę i myślę, załatwiam

za pomocą jakiejś cząstki mojej myślącej istoty; reszta jest przy Anielce. W tej chwili widzę jeszcze światło, padające z jej pokoju na krzewy berberysu, rosnące pod oknem. Moja biedna, miewa także bezsenne noce! Widziałem, jak dziś zdrzemnęła się nad robotą. W wielkim fotelu wydawała mi się malutka i oddychała głęboko ze zmęczenia. Miałem dla niej takie uczucie, jakby to było moje dziecko.

11 czerwca.

Przysłano mi na koniec ową główkę Madonny Sassoferrata. Oddałem ją Anielce przy ciotce i przy pani Celinie, jako rzecz należną i zapisaną. Nie mogła żadnym sposobem odmówić. Następnie sam przybijałem obraz w jej buduaru. Ładnie to tam wygląda. Ja nie kocham się w Madonnach Sassoferrata, ale ta taka jest prosta i taka pogodna w swoich jasnych tonach! Lubię pomyśleć, że Anielka, ilekroć na nią spojrzy, musi sobie przypomnieć, że to ja jej dałem tę świętość, a dałem ją dlatego, że kocham. W ten sposób ta miłość, którą ona uważa za grzeszną, musi w jej myśli łączyć się z wyobrażeniem świętości. Dziecinna pociecha, ale kto nie ma żadnej, temu i taka dobra.

Miałem dziś jedną lepszą chwilę. Gdy obraz był już zawieszony, Anielka zbliżyła się do mnie, by mi podziękować. Ponieważ fotel, na którym siedziała pani Celina, był odsunięty dość daleko, więc w chwili, gdy Anielka cofała swoją rękę z mojej, zatrzymałem ją na sekundę i spytałem półgłosem:

— Czy ty mnie naprawdę, Anielko, nienawidzisz?

A ona potrząsnęła główką, jakby ze smutkiem:

— Oj, nie! — odrzekła krótko.

Ile się mieściło w tej krótkiej odpowiedzi!

To się tak mówi, że jeśli uczucie kobiety kochanej niema nigdy wydobyć się nazewnątrz, to wszystko jedno, czy ona kocha. Nie! nie wszystko jedno! Niech mam choć to; nie oddałbym tego za nic! O! to dopiero nie miałbym z czego żyć!

12 czerwca.

Jestem w Warszawie na skutek listu Śniatyńskiego, który odebrałem jeszcze onegdaj, a w którym wzywał mnie, bym przyjechał na obiad pożegnalny do Klary. Na obiad nie pojechałem; odbył on się wczoraj, ale pożegnałem ją dziś na dworcu kolejowym. Właśnie stamtąd

Chciał go odesłać, nie mógł, bo był jej oreni.

wracam. Poczciwa dusza odjeżdżała niezawodnie z żalem do mnie i z uczuciem doznanego zawodu, ale jak mnie tylko ujrzała, przebaczyła mi wszystko, i pożegnaliśmy się najserdeczniej. Ja także czulem, że mi jej będzie brakło, że stanie się jeszcze większa pustka koło mnie. Na moich mistycznych polach nie będzie pożegnań. To dzisiejsze było prawdziwie smutne, bo w dodatku wieczór był chmurny, dżdżysty; słońce potrwa zapewne parę dni. Mimo tego, mnóstwo osób odprowadzało Klarę. Jej «sleeping» tak był zarzucony wieńcami i kwiatami, jak grobowiec. Musi to wszystko usunąć, bo inaczej się udusi. Klara, w tej chwili odjazdu, nie liczyła się już wcale z tem, co ludzie mogą sobie pomyśleć, i — o ile w takich okolicznościach było to możliwe — zajmowała się wyłącznie mną. Wszedłem do jej przedziału, i rozmawialiśmy, jak dwoje przyjaciół, nie zważając na obecność ani starej i wiecznie milczącej krewnej Klary, ani innych osób, które też pousuwały się w końcu dyskretnie na korytarzyk.

Trzymałem obie ręce Klary, a ona patrzyła na mnie swemi pocziwemi, niebieskimi oczyma, mówiąc przytem wzruszonym głosem:

— Panu jednemu powiem szczerze, że zni-

kąd nie było mi tak żal wyjeżdżać... Przy tej krętaninie, w chwili odjazdu, niema nawet na to czasu, żeby coś wypowiedzieć — ale jak mi żal!... We Frankfurcie widuję dużo i ludzi uczonych i artystów, tylko, że... sama nie wiem... jest jakaś różnica... wy jesteście jakby delikatniejsze instrumenta. A już o panu niema co i mówić!

— Pani pozwoli pisywać do siebie?

— I ja będę pisywała, a pana chciałam o to prosić. Niby mam swoją muzykę, ale teraz mi to już nie zawsze wystarcza. Myślę, że i panu będzie to czasem potrzebne, bo pan może mieć wielu przyjaciół, ale tak oddanej, tak bardzo życzliwej przyjaciółki, pewnie pan niema. Jestem tak niemądra, że mnie wszystko wzrusza, a tu zaraz trzeba jechać.

— Oboje ciągle kręcimy się po świecie: pani, jako artystka, ja, jako cygan, więc to nie jest rozstanie, to tylko: do widzenia!

— Do widzenia! do widzenia jak najprędzej! Pan także jest artystą! Można nie grać, nie pisać, nie malować, a w duszy być artystą. Ja to od pierwszej chwili poznania pana dostrzegłam — i to także, że pan niby szczęśliwy, a w gruncie rzeczy może być ogromnie smutny.

Niech pan pamięta, że jest jedna Niemka, która jest dla pana jak siostra.

Podniosłem jej rękę do ust, ona zaś, sądząc, że już chcę wyjść, rzekła śpiesznie:

— Jeszcze jest czas, dopiero po drugim dzwonku.

Ja zaś rzeczywiście miałem ochotę już ją pożegnać. Ale do czego ja doszedłem z moimi nerwami! Oto krewna Klary ubrana była z powodu deszczu w płaszcz z gumowej tafty, niesłychanie szeleszczący za każdym jej ruchem — i szelest ten, a raczej świst gumy, doprowadzał mnie poprostu do rozpacz. Zresztą i tak zostawało już zaledwie parę minut. Usunąłem się na koniec, gdy wbiegła pani Śniatyńska.

— Hilst we Frankfurcie! — zawołała za mną Klara: — z domu odeślą mi list, gdziekolwiek będę.

Po chwili znalazłem się na peronie, pod oknem wagonu, wśród gwaru żegnających Klarę osób, pomieszanego z syczeniem pary, gwałtownym oddechem lokomotywy i nawoływaniem służby kolejowej. Okno «sleepinga» osunęło się na dół, i raz jeszcze ujrzałem tę pocziwą, przyjazną twarz.

— Gdzie pan spędzi lato? — spytała Klara.

— Nie wiem; napiszę pani — odpowiedziałem.

W tej chwili oddech maszyny stał się szybszy, rozległ się ostatni gwizd i pociąg ruszył. Pożegnaliśmy Klarę okrzykiem, ona posyłała nam rękoma pożegnania od ust, aż наконец znikła w oddaleniu i pomroce.

— Bardzo panu będzie tęskno? — spytała mnie nagle pani Śniatyńska.

— Bardzo! — odpowiedziałem i, skłoniwszy się, poszedłem do domu.

Rzeczywiście miałem takie uczucie, jak gdyby odjechała osoba, która w danym razie mogła mi pomóc. Byłem niesłychanie rozdrażniony. Może przyczynił się do tego ten ponury wieczór, pełen dżdżu i mgły, tak gęstej, że wszystkie latarnie wyglądały zdaleka jak tęczowe kola. Ostatnia iskierka nadziei zgasła we mnie. Pessimizm nie tylko był we mnie, ale zdawał się ogarniać świat cały, jak atmosfera, ciążyć na rzeczach, ludziach, przenikać we wszelkie kształty i wszelkie istoty.

Niosłem w sobie do domu ucisk i ogromny niepokój, jakby trwogę przed jakimś nieznanym i nieokreślonym niebezpieczeństwem. Zbudziła się we mnie na chwilę szalona nostalgia do słońca i pogody, do krajów, w których niema takich deszczów, ciemności i mgieł. Zda-

wało mi się, że jeśli ucieknę tam, gdzie będzie bardzo widno, to samo światło zdoła czegoś nie-dopuszczyć i od czegoś mnie obronić. Cała moja zdolność myślenia streściła się w jednym wyrazie, który powtarzałem, jak echo: «Wyjechać! wyjechać!» Nagle zdjął mnie strach na przypomnienie, że wyjechawszy, zostawię tu Anielkę samą i wydam ją na owe nieokreślone niebezpieczeństwa, przed którymi chcę zbiedz. Wiem, że to złudzenie, że jej mój wyjazd wyszedłby na dobre, ale nie mogę się pozbyć wrażenia, że byłoby to z mej strony jakieś tchórzostwo i jakaś nikiestwość... Jest to we mnie silniejsze od wszelkich rozumowań... Zresztą: wyjechać, to puste słowo. Mogę je sobie powtarzać, mogę odczuwać, ale gdyby przyszło zmienić je w czyn — okazałoby się, że to jest czyn najmniej możliwy ze wszystkich, jakie leżą w mej mocy. Włożyłem taki ogrom nerwów, takie mnóstwo życia w to uczucie, że łatwiej byłoby mi już mógł dziś porozrywać na kawałki, niż od niego oderwać. Posiadam zdolność kontrolowania moich myśli i świadomość siebie w tak wysokim stopniu, iż wydaje mi się zupełnie niepodobnem przypuszczenie, abym mógł dostać pomieszania zmysłów. Nie umiem sobie nawet tego wyobrazić —

chwilami czuję jednak, że moje nerwy nie dałyby się już o wiele więcej wyciągnąć.

Szkoda Klary. Widywałem ją w ostatnich czasach rzadko, ale wołałem myśleć, że ona jest niedaleko — teraz Anielka do reszty mnie zabierze, bo oddam jej i te władze, którymi się lubi spokojnie, którymi się odczuwa przyjaźń.

Wróciwszy do domu, zastałem młodego Chwastowskiego; przyjechał wieczorem na naradę z bratem księgarzem. Urządzają jakieś przedsiębiorstwo rozprzedaży elementarnych książek. Oni wiecznie coś robią, wiecznie czemś się zajmują i przez to mają ogromnie pełne życie. Doszedłem już do tego, że się ucieszyłem jego widokiem, zupełnie tak, jak dziecko, które, bojąc się strachów, rade widzi, że ktoś wchodzi do pokoju. Jego czerstwość duchowa pokrzepia mnie. Mówił, że pani Celina jest coraz lepiej i że za jakiś tydzień będzie mogła wyjechać do Gasteinu. O to! to! Byłoby zmienić miejsce. Będę popychał tę sprawę ze wszystkich sił. Namówię i ciotkę, żeby razem pojechała. Ona to zrobi dla mnie, a w takim razie nikt się nie zdziwi, że i ja pojedę. Przynajmniej czegoś chcę i chcę bardzo! Ile to będzie sposobności do opiekowania się Anielką! Będziem jeszcze bliżej siebie,

niż w Płoszowie. Czuję trochę ulgi, bo zresztą dziś był okropny dzień, a nie mnie tak nie gnębi, jak niepogoda. Słyszę jeszcze, jak deszcz dzwoni po rynnach — ale w przerwach między chmurami widać już trochę gwiazd.

12 czerwca.

Kromicki dziś przyjechał...

Gastein, 23 czerwca.

Jesteśmy już od tygodnia w Gasteinie całym domem, to jest: Anielka, ciotka, pani Celina, ja i Kromicki. Przerwałem na czas jakiś pisanie, nie dlatego, bym się pozbył nalogu, albo nie czuł potrzeby, ale dlatego, że to, co się ze mną działo, nie mogło się żadną miarą w słowach pomieścić. Póki się człowiek odpręży i szamocze z siłą, która go ciśnie, póty nie ma głowy, ni czasu, na nic innego. Byłem w takim stanie, jak ów skazany w pamiętnikach Sanssona, z którego darto pasy i zalewano rany po zdartych pasach roztopionym ołowiem, a który krzyczał w uniesieniu nerwowem: «Encore! encore!» — aż wreszcie omdlał. Ja już omdlałem, to znaczy, żem się wyczerpał i poddał się zupełnie.

Ciaży nade mną taka jakaś ogromna ręka, jak te góry, w których siedzimy.

Ale cóż na to poradzę? Przecie się jej nie opre, niech więc mnie gniecie. Nie wiedziałem, że można znaleźć, jeśli nie pewną pociechę, to pewne uspokojenie w poczuciu swej bezsilności i rozumieniu swej nędzy.

Obym tylko znów nie zaczął się odprężyć, oby ten stan trwał jak najdłużej! Spisywałbym sobie to, co mnie spotyka, jak gdybym był kimś innym. Ale wiem z doświadczenia, jak dzień bywa niepodobny do dnia — i boję się tego, co jutro przyniesie.

24 czerwca.

Napisałem przy końcu mego pobytu w Warszawie takie zdanie: «Miłość do cudzej żony, jeśli jest pozorną, jest podłością; jeśli jest rzeczywistą, jest jednym z największych nieszczęść, jakie człowieka spotkać może». Pisząc to przed przybyciem Kromickiego, nie zdawałem sobie sprawy ze wszystkich składników takiego nieszczęścia. Myślałem, że jest ono szlachetniejsze, niż jest istotnie. Teraz dopiero widzę, że prócz wielkich bólów, składają się na nie i małe upokorzenia i poczucie własnej nikczemności i własnej śmieszności, i konieczność kłamstwa, i potrzeba spełniania tysiąca nędznych uczynków, zachowywania tysiąca niegodnych człowieka

ostrożności — co za bukiet! Doprawdy, od zapachu tych kwiatów można się udusić.

Bóg widzi, z jaką rozkoszą wziąłbym Kromickiego za gardło, przycisnął go do ściany i powiedział mu w same białka: «Kocham twoją żonę!» — a zamiast tego, muszę się starać, by nawet nie przyszło mu do głowy, że ona mi się podoba. Jaka to piękna rola względem niej! Co ona sobie może o mnie pomyśleć! To właśnie jeden kwiatek z tego bukietu.

25 czerwca.

Póki będę żyw, nie zapomnę tego dnia, w którym przyjechał Kromicki. Zajechał w Warszawie wprost do mnie. Wróciwszy do domu późnym wieczorem, zobaczyłem w przedpokoju jakieś pakunki. Nie wiem, dlaczego nie przyszło mi odrazu do głowy, że to mogą być kuferki Kromickiego. Nagle on sam wyjrzał z przyległego pokoju i, wypuściwszy na mój widok monokl z oka, skoczył z otwartymi rękoma witać nowego krewnego. Widziałem, jak przez sen, jego suchą czaszkę, podobną do trupiej głowy; jego świecące oczka i czarną czuprynę. Po chwili objęły mnie ramiona, jakby drewnianego manekina. Przyjazd Kromickiego był rzeczą łatwą

do przewidzenia, a jednak było mi tak, jakbym zobaczył śmierć. Zdawało mi się, że mam straszny sen, i że te słowa: «Jak się masz, Leonie!» — są najbardziej fantastycznymi, najmniej prawdopodobnymi słowami, jakie mogę usłyszeć. Nagle porwała mnie taka wściekłość, takie obrzydzenie i taka trwoga, że potrzebowałem całego nateżenia woli, żeby się na tego człowieka nie rzucić, nie obalić go na podłogę i nie rozbić o nią jego czaszki. Doznawałem nieraz uczucia wściekłości i obrzydzenia, ale zaprawa tych uczuć trwogą była dla mnie czemś nowem i niepojętem; nie był to bowiem strach przed żywym człowiekiem, ale jakby przed umarłym. Długi czas nie zdołałem się zdobyć ani na jedno słowo. Na szczęście, on mógł przypuszczać, że go nie poznał, albo że był zdziwiony, iż on, człowiek, z którym zaledwie się znałem, odrazu traktuje mnie jak krewnego i mówi mi «ty...» Drażni mnie to jeszcze do dziś dnia w najwyższym stopniu.

Staralem się ochłonać; on tymczasem założył monokl i, potrząsając na nowo moją ręką, mówił:

— Jak się masz? Jak tam Anielka? Jak matka?... chora zawsze, co? a ciocia? — a?

I znowu ogarnęło mnie zdumienie z zaprawą

nieludzkiego gniewu, że on najbliższe i najdroższe mi kobiety wymienia tak, jakby były równie bliskie jemu. Człowiek światowy, jakim jestem, wszystko zniesie, wszystko ukryje, bo go do tego wdrażają od dzieciństwa — a jednak czułem, że nie wytrzymam. Począłem wołać na służbę, by podawano herbatę, chcąc w jakikolwiek sposób wyrwać się z tego odrętwienia i zająć myśl czem innem. Kromickiego jednak zaniepokoiło to, że mu nie odpowiadam — i wypuściwszy drugi raz monokl, spytał żywo:

— Czy się co nie stało? Czemu nie nie mówisz?

— Zdrowi wszyscy — odrzekłem.

Nagle przyszło mi na myśl, że to moje wzruszenie daje z miejsca przewagę nade mną temu nienawistnemu człowiekowi, i opanowałem się w jednej chwili.

Zaprowadziłem go do jadalnego pokoju i, posadziwszy za stołem, spytałem:

— Co u ciebie słyhać? Na długo przyjechałeś?

— Nie wiem — odrzekł. — Tęskno mi było do Anielki — a myślę, że i jej do mnie. Myśmy ledwie parę miesięcy spędzili razem. Jak na młode małżeństwo, to trochę za mało — co?

I roześmiał się swoim drewnianym śmiechem, poczem rzekł:

— Zresztą mam i tu interesa. Interesa! interesa i zawsze interesa!

Tu począł zaraz opowiadać mi obszernie o swoich sprawach, ale ja nie słuchałem i nie rozumiałem z tego ani słowa. Słyszałem tylko co chwila wyraz «forsa» i widziałem ruch monokla. Dziwna rzecz, jak w wielkiem nieszczęściu mogą drażnić rzeczy małe. Nie wiem, czy tak jest ogólnie, czy tylko ze mną, dość, że ten wyraz «forsa» i ten monokl były mi przykre nie do zniesienia. W pierwszej chwili powitania byłem prawie nieprzytomny, a jednak mogłem być porachować wszystkie ruchy monokla. Tak bywa zawsze — i teraz.

Po herbacie odprowadziłem Kromickiego do pokoju, który mu przeznaczyłem na nocleg. Tam, nie przestając mi opowiadać, począł się, z pomocą służącego, rozpakowywać. Czasem przerywał opowiadanie o interesach, pokazując mi jakieś osobliwości, przywiezione z dalekiego Wschodu. Między innemi rozwiązał paski podróżne, w których, obok pledu, były dwa małe dywaniki wschodnie, i rzekł:

— To kupilem, jakem był w Batum. Ładne, co? Pójdą przed nasze łóżka.

Zmęczony się, siadł po wyjściu służącego na fotelu i gadał dalej o swoich obrotach na Wschodzie i nadziejach, ale ja myślałem o czem innem. Jest to niechybnie ratunkiem dla człowieka, iż w danym razie, nie mogąc się obronić ogółowi nieszczęścia, broni się pojedynczym jego szczegółom. Mnie teraz chodzi głównie o to, czy Kromicki pojedzie, czy nie pojedzie do Gasteinu; dlatego po chwili rzekłem:

— Mało cię znałem dotychczas, ale teraz wierzę, że ty zrobisz majątek. Nie jesteś nic a nic lekkomyślny i dla sentymentów nie poświęcisz spraw ważniejszych.

Kromicki uściskał mi gorąco rękę.

— Nie uwierzysz, — odpowiedział — jak mi na tem zależy, żebyś miał zawsze do mnie zaufanie.

Ja, w pierwszej chwili, nie uważałem na szczególne znaczenie tych słów; zajęty byłem myślą, że już popełniłem względem Kromickiego kłamstwo i podłość — kłamstwo, bom nie wierzył w jego zdolności do interesów, a podłość, bom mu pochlebiał — jemu, którego bym chętnie utopił w łyżce wody. Ale chodziło mi przede-

wszystkiem o to, by go odwieść od podróży do Gasteinu — więc brnąłem przez tę wodę dalej.

— Widzę, że ci nie na rękę podróż tych pań — rzekłem.

On w odpowiedzi począł narzekać na zdrowie pani Celiny, tak, jak pospolity egoista, który wszystko odczuwa o tyle tylko, o ile jego to dotyczy.

— Naturalnie, — mówił — że mi ta wyprawa nie jest na rękę. Między nami, myślę, że mogłoby się bez niej obyć. Wszystko powinno mieć swoją miarę, nawet przywiązanie córki do matki. Kobieta, która wyszła za męża, powinna rozumieć, że pierwsze jej obowiązki są względem męża. Przytem ta matka, siedząca wiecznie o ścianę, w sąsiednim pokoju, krępuje swobodę, nie pozwala ludziom zżyć się z sobą i oddać się wyłącznie sobie. Nie przeczę, że przywiązanie dzieci do rodziców jest rzeczą chwalebną, ale gdy jest posunięte do przesady, staje się przeszkodą życiową.

Wpadłszy na ten przedmiot, rozgadał się i wygłosił mnóstwo podobnych prawd, ogromnie płaskich i pospolitych, które drażniły mnie tem więcej, że jest w nich pewna doza słuszności. Nakoniec rzekł:

— Ale trudno. Ja jestem, jak kupiec: wiedziałem, jaki kontrakt zawieram, i gotów jestem spełnić wszystko to, co mnie obowiązuje.

— Więc pojedziesz do Gasteinu?

— Naprzód mam w tem osobisty interes. Chodzi mi o to, żebyśmy się poznali bliżej z sobą i z ciotką, i żebyście naprawdę nabrali do mnie zaufania. Pogadamy o tem w przyszłości. Mam miesiąc, albo półtora, wolnego czasu. Zostawiłem na Wschodzie Lucyana Chwastowskiego, który pilnuje moich spraw, a który jest, jak mówią Anglicy, «a solid man». Rozumiesz przytem, że jak się ma taką żonę, jak Anielka, to się człowiekowi chce...pomieszkać z nią trochę pod jednym dachem — rozumiesz, co?

To mówiąc, wytrzeszczył swoje żółte, spróchniałe zęby, roześmiał się i począł mnie klepać po kolanie. A mnie czyniło się zimno w mózg i czaszkę. Czulem doskonale, że blednę. Wstałem i, odwróciwszy się prędko od światła, by on nie dostrzegł zmiany w mojej twarzy, wysiliłem się na pytanie:

— Kiedy jedziesz do Płoszowa?

— Jutro, jutro!

— Dobranoc!

— Dobranoc! — odrzekł, wypuszczając monokl z oka.

I wyciągnawszy do mnie obie ręce, dodał:

— Ogromniem rad, że się będziemy mogli zbliżyć. Zawsze miałem do ciebie jakąś słabość... Ręczę, że zrozumiemy się doskonale.

My z nim mamy się zrozumieć? Jaki on jest bezdennie głupi! Ale im jest głupszy, tem mi straszniej pomyśleć, że Anielka jest jego własnością, jego, poprostu, rzeczą. Nie próbowałem nawet rozbierać się tej nocy. Nigdy nie widziałem tak jasno, że może być położenie, w którem słowa się kończą, kończy się zdolność rozumienia i odczuwania klęski — a klęska się nie kończy. Istotnie, obmyślono nam wspaniałe życie! Dość powiedzieć, że poprzedni okres mego istnienia, w którym Anielka deptała po mojem uczuciu i który uważałem za szczyt niedoli, wydał mi się teraz okresem bajecznego szczęścia. Gdyby wówczas i gdyby dziś jeszcze zjawił się przede mną dyabeł i dał mi do podpisania kontrakt, że wszystko zostanie tylko tak, jak było dotąd, że Anielka wiecznie będzie policzkowała moją miłość, ale za to Kromicki nigdy nie przyjedzie, tobym w zamian ofiarował moją duszę i podpisałbym go bez wahania. Bo w mężczyźnie, któ-

rego kobieta odtrąca, wyrabia się mimowoli przekonanie, że ona stoi na szczycie jakiejś wieży gotyckiej, na jakiejś niedostępnej wyżynie, ku której oczu nie wolno podnieść. Tak ja, mimowoli, myślałem o Anielce. Tymczasem przyjeżdża taki pan Kromicki, z dwoma dywanikami z Batum, i ściąga ją bez ceremonii z tej wyżyny aż na te dywaniki — ją, tę nieugiętą, tę nieublaganą, tę kapłankę! Jaka to straszna rzecz, że człowiek może myśleć i wyobrażać sobie wszystko — a jaki jest przytem obrzydliwie płaski i śmieszny! Com ja się narozmyślał, ilem natworzył teoryi, ilem nawyciskał mózgu, by sobie dowieść, że miłość jest większą siłą od ślubnych kontraktów, że ja mam prawo kochać Anielkę, a ona mnie — i teraz — ja będę mieszkał z mojemi teoryami, a Kromicki z Anielką.

Ponieważ wiatr ma być stosowany do welny jagnięcia, więc pomyślałem sobie, że i człowiek także może unieść tylko pewien oznaczony ciężar, a jeśli mu nałożą więcej na plecy, to musi upaść. W swoim nieszczęściu bez miary, w swojej również bez miary głupocie i poniżeniu i śmieszności czułem, że od chwili przyjazdu Kromickiego zaczynam pogardzać Anielką. Dlaczego? Żadnymi ludzkiego powodami nie umiałbym tego

usprawiedliwić. Żona powinna należeć do męża. Tę prawdę umiem równie dobrze na pamięć, jak każdy inny głupiec, ale w stosunku do mego uczucia, jest ona upodleniem dla Anielki. Co mnie zresztą mogą obchodzić wszystkie rozumowania! Wiem, że gardzę i że to jest właśnie więcej, niż mogę przenieść. Poczulem, że istnienie w tych warunkach jest dla mnie czystem niepodobieństwem, i że koniecznie, bez najmniejszej wątpliwości, muszą teraz przyjść zmiany zupełne, w których zatraci się to, co było.

Ale jakie zmiany? Gdyby pogarda udusiła moje uczucie, jak wilk owcę, to byłoby dobrze. Miałem jednak zaraz poczucie, że nastąpi coś innego. Gdybym Anielki nie kochał, tobym nią nie pogardzał — więc pogarda to tylko nowy łańcuch do mojej obroży. To doskonale rozumiałem, że poza panią Kromicką, poza panem Kromickim i ich wzajemnym stosunkiem, nie obchodzi mnie na świecie nic, zupełnie nic! — ani światło, ani ciemność, ani wojna, ani pokój, ani żadna rzecz, która jego jest. Ona, Anielka, a raczej teraz oni oboje i mój udział w ich życiu, to jedyna racya mego istnienia. Jeżeli zaś z tej samej racyi nie mogę istnieć, więc co ma nastąpić? Nagle doznałem jakby zdziwienia, że je-

dyna, najprostsza rzecz, nie przyszła mi do głowy — śmierć. Co za niesłychana siła w rękach ludzkich ta możność przecięcia nici! Teraz czekam cię, zły duchu mojego życia, i powiadam ci tak: «Będziesz póty tylko dokładał mi ciężaru na kark, póki ja sam zechcę. Gdy mi będzie nadto, to cię kopnę razem z twoim ciężarem»... «E poi eterna silenza!»... nirwana, czwarty wymiar Zöllnera... zresztą, czy ja wiem co! Na samą myśl o tem, że ostatecznie wszystko zależy ode mnie, doznałem ogromnej ulgi... Z godzinę przeleżałem na sofie, rozważając, jak i kiedy to uczynię — i już samo oderwanie umysłu od Kromickiego, od jego przyjazdu, od mej dla niego zawiści, było dla mnie jakby odpoczynkiem. Taka rzecz, jak odebranie sobie życia, wymaga pewnych materialnych zachodów — co także prowadzi za sobą konieczność myślenia o czemś jeszcze poza swoją biedą. Przypomniałem sobie zaraz, że mój podróżny rewolwer ma zbyt mały kaliber. Wstałem, by go obejrzeć, i dokonawszy tego, postanowiłem kupić inny. Począłem sobie łamać głowę, jak w danym razie urządzić rzecz w taki sposób, iżby powszechnie uwierzono w wypadek. Wszystko to zresztą była czysta teoria. Nic nie

krystalizowało się we mnie w określony zamiar. Nazwałbym to raczej poczuciem możliwości samobójstwa, niż postanowieniem. Owszem, byłem teraz pewny, że to nie nastąpi prędko. Bo, myślałem sobie, skoro wiem, gdzie jest brama i zawsze mogę wydostać się na pole, to zostanę, żeby zobaczyć: do jakiego też stopnia zło może się wysilić? jaką jeszcze obmyślono mi mękę? Palila mnie bolesna, ale niepohamowana ciekawość, co się jeszcze stanie, jak tych dwoje ludzi będzie żyło z sobą, jak Anielka będzie mi patrzyła w oczy?... Znużyłem się na koniec i usnąłem w ubraniu, ciężkim snem, bo pełnym monokłów Kromickiego, rewolwerów i wszelkiego rodzaju bezładu, w którym ludzie mieszają się z rzeczami. Zbudziłem się jednak późno. Służący powiedział mi, że Kromicki już był wyjechał do Płoszowa. Pierwszą myślą moją było jechać za nim, widzieć, zobaczyć ich razem. Ale siedząc już w powozie, uczulem nagle, że tego nie przeniosę, że mi to będzie zbyt ciężkie i nieznośne; zrozumiałem, że to mogłoby zbyt przyspieszyć moje wyjście przez otwartą bramę na owo nieznane pole — i kazałem się wieźć gdzieindziej.

8 Człowiek, choćby był największym pesymi-

stą, unika instynktownie złego i broni się od niego wszystkimi siłami. Dlatego chwytą się każdej nadziei, oczekuje polepszenia od każdej zmiany. Obudziła się we mnie taka chęć, byśmy jak najprędzej mogli wyjechać do Gasteinu, jakby mnie tam czekało zbawienie. Ale jednak chciałem wyjechać. Byle ich ruszyć z Płoszowa! — ta myśl nie dawała mi spokoju i opanowała mnie tak zupełnie, że poświęciłem cały dzień jej wykonaniu.

Nie przyszło to trudno. Te panie były już prawie gotowe. Kromicki nie poprzednio nie pisał o swoim przyjeździe, widocznie chciał zrobić żonie niespodziankę, więc mieliśmy i tak za parę dni wyruszyć. Teraz wypadło zapewne dać mu odpocząć i zapytać go, kiedy będzie mógł wyjechać, ale ja umyślnie postanowiłem nie liczyć się z nim, tak, jak gdyby nie istniał.

Pojechawszy na kolej, zamówiłem «sleeping» do Wiednia na dzień następny, poczem wysłałem służącego do Płoszowa z listem do ciotki, w którym napisałem, że bilety już kupiłem, ponieważ zaś wagony na wszystkie dalsze dni tygodnia są przez kogo innego zamówione, więc musimy jutro jechać.

26 czerwca.

Wracam jeszcze do ostatnich chwil naszego pobytu w Warszawie. Te wspomnienia zanadto wycisnęły się na moim mózgu, bym mógł o nich zamilczeć. Miałem dziwne wrażenie na drugi dzień po przyjeździe Kromickiego. Oto zdawało mi się, że już nie kocham Anielki — ale że swoją drogą nie mogę bez niej żyć. Pierwszy raz doznawałem takiego stanu, który nazwałbym rozłamaniem psychicznym. Dawniej, gdy cały ten proces uczucia odbywał się we mnie prawidłowiej, mówiłem sobie: «Kocham ją, więc jej pragnę» — z równą logiką, jak Kartezjusz mówił: «Myślę, więc jestem». Teraz zmieniło się to na: «Nie kocham, ale pragnę» — i obie te części istniały we mnie, jakby wypisane na dwóch oddzielnych odłamach kamienia. Obie mnie gniotły niewypowiedzianie. Nieprędko zrozumiałem, że owo «nie kocham» — jest złudzeniem. Kocham, jak i dawniej, tylko w sposób tak bolesny, tak gorzki, tak zatruty, że ta miłość nie ma już nic wspólnego ze szczęściem.

Czasem myślę, że gdybym nawet teraz usłyszał wyznanie Anielki, gdybym ją rozwiódł, gdyby ona owdowiała i została moją, nie byłbym już szczęśliwy. Kupiłbym taką godzinę za

cenę życia, ale doprawdy nie wiem, czy potrafiłbym ją przerobić na istotne szczęście. Kto wie, czy te nerwy, którymi się odczuwa szczęście, nie zostały we mnie sparaliżowane. To się może zdarzyć. Rzeczywiście, na co mi takie istnienie?

W wigilię wyjazdu byłem w składzie broni. Co za szczególniejszy człowiek sprzedawał mi rewolwer! Gdyby nie był puszkarzem, mógłby być profesorem psychologii. Wszedłszy do sklepu, powiedziałem mu z góry, że mi jest wszystko jedno, czy to będzie system Colta, czy Smitha, byle sztuka była dobra i posiadała odpowiednio duży kaliber. Stary człowiek wybrał mi broń, na którą zgodziłem się natychmiast, następnie spytał:

— Zapewne będą panu potrzebne i ładunki?

— Właśnie chciałem o nie prosić.

Puszkarz począł na mnie patrzeć uważnie.

— Czy mam dodać pokrowiec na rewolwer?

— Naturalnie. Proszę i o pokrowiec.

— To dobrze — odpowiedział; — w takim razie dostanie pan ładunki tego samego numeru, co rewolwer.

Teraz ja spojrzałem na niego ze zdziwieniem, on zaś mówił dalej:

— Ja, panie dobrodzieju, mam czterdzieści lat praktyki w moim zawodzie i nauczyłem się niejednego. Często kupowali u mnie broń ludzie, którzy potem strzelali sobie we lby. I co pan powiesz? Nie zdarzyło się, żeby taki człowiek kupił pokrowiec. Zawsze było tak. Przychodzi i powiada: «Proszę o rewolwer». — «A z pokrowcem?» — «Nie, niepotrzebny». — To jest osobliwsza rzecz, bo przecie człowiek, który sobie chce w leb strzelić, nie potrzebuje rubla oszczędzać. Ale taka już natura ludzka... Każdy, widząc, sobie mówi: «Na dyabła mi futerał!» Ale właśnie dlatego, jak kto przychodzi po rewolwer, zaraz wiem, czy sobie chce w leb strzelić, czy nie.

— Pan mi powiadasz bardzo ciekawe rzeczy — odpowiedziałem.

Istotnie wydało mi się to niezmiernie charakterystycznym.

Puszkarz zaś mówił dalej:

— Jakem to pomiarkował, tak wymyśliłem taki sposób: kto bierze rewolwer bez futerału, to ja się niby myślę i daję mu ładunki o jeden numer za duże. Strzelić sobie w leb, to przecież niemala rzecz. Trzeba na to dyabło wziąć się w kupę i zebrać odwagę. Myślę, że niejednego

zimny pot obleje... Nareszcie zdobył się człowiek na postanowienie i dalej do rewolweru. A ty ładunki nie lażają... Choć głową o mur bij — trzeba odłożyć do jutra... A co pan myśli: że to łatwo drugi raz się na to zdobyć? Niejeden, co byłby sobie na razie w łeb strzelił, jak już śmierci zajrzał w oczy, nazajutrz tego nie zrobi. Byli tacy, co przychodzili na drugi dzień i kupowali futerał... A mnie się tylko śmiać chciało. «Masz futerał i żyj zdrow!»

Zapisuję tę rozmowę, bo mnie teraz rzeczy, dotyczące się samobójstwa, mocno obchodzą, a słowa starego puszkarza wydały mi się dokumentem ludzkim do tej sprawy.

27 czerwca.

Czasem przypominam sobie, że Anielka mnie kochała, że mogłem się z nią ożenić i mieć życie ogromnie jasne, ogromnie szczęśliwe — że wszystko to zależało ode mnie, i że wszystko to zmarnowałem li tylko przez nieudolność życiową. A wówczas zadaję sobie pytanie: czy nie mam początków pomieszania zmysłów? — i czy istotnie mogłem mieć Anielkę na zawsze? Ale przecie pamiętam doskonale cały przebieg wypadków od chwili poznania się naszego aż do dziś.

I powiedzieć, że ta kobieta byłaby moją i tak wierną mnie, jak jest tamtemu, i stokroć jeszcze wierniejszą, bo mnie kochała całą duszą! Wrodzona nieudolność — tak jest! Ale choćby mnie to całkiem usprawiedliwiało we własnych oczach — co mi z tego, kiedy nie znajduję w tem żadnej pociechy? Trochę ulgi przynosi mi jedynie myśl, że tak potomkowie rodów przeżytych, jak i najbujniejszych, skończą na tem, że ich zasypia ziemią... To mi zmniejsza różnicę między mną a tak zwanymi dzielnymi ludźmi. Calem nieszczęściem istot, podobnych do mnie, jest ich wyłączność. Jak głupie pojęcie mają w ogóle nietylko romansopisarze, ale psychologowie fachowi i nawet fizyologowie, o rodach przeżytych! Wyobrażają sobie zawsze, że wewnętrznej nieudolności życiowej odpowiada stale nikłość fizyczna, mały wzrost, słabe muskuly, anemiczny mózg i licha inteligencya. Może tak czasem bywa, ale czynić z tego ogólną zasadę, — to błąd i pedantyczne powtarzanie jednego w kółko. Potomkowie rodów przeżytych odznaczają się nie brakiem sił żywotnych, ale brakiem harmonii między niemi. Ja sam jestem fizycznie tegim człowiekiem i nie byłem nigdy głupcem — a znałem ludzi mojej sfery, zbudo-

wanych jak antyki greckie, uzdolnionych, bystrych, którzy jednak nie umieli żyć i źle skończyli, właśnie z braku równowagi między, aż zbyt zresztą bujnemi, siłami żywotnemi. Są one w nas, jakby źle uorganizowane społeczeństwo, w którym niewiadomo, gdzie zaczynają się praca jednych, a kończą drugich. Stoimy nierządem, a wiadomo powszechnie, że nierządem stać nie można. Każda z tych sił działa i ciągnie tylko w swoją stronę, często przyciąga wszystkie inne — stąd rodzą się tragiczne wyłączości. Ja właśnie jestem teraz chory na taką wyłączość, dzięki której po za Anielką nic mnie nie obchodzi, nic mnie nie zajmuje, o nic nie mogę życia zaczepić. Ale ludzie nie rozumieją, że taki brak harmonii, że taka anarchia sił żywotnych, jest chorobą cięższą, niż fizyczna i moralna anemia. Oto rozwiązanie zagadki. Dawniej życie i stosunki społeczne przynosiły nam ratunek, bo żądały od nas czynów i poniekąd zmuszały nas do nich. Dziś, gdy usunęliśmy się od życia i gdy zatruwa nas filozofowanie i zwątpienie, choroba nasza zaostrza się jeszcze bardziej w tak niehygienicznych warunkach. Doszliśmy wreszcie do tego, że zdolni jesteśmy nie do czynów, ale tylko do wyskoków, skutkiem

czego właśnie najzdolniejsi i najbogaciej uposażeni z pośród nas kończą zawsze na jakimś szaleństwie. Ze wszystkiego, z czego się składa życie, pozostała nam naprawdę tylko kobieta — i jedno z dwojga — albo rozpraszamy się, wydając po groszu kapitał życiowy na rozpusztłość, albo też, uczepiwszy się za jaką miłość, jak za gałąź, rosnącą nad otchłanią, wisimy w powietrzu, tembardziej narażeni na skrócenie karku, że najczęściej wybieramy miłość nieprawą, noszącą w istocie swej zarody tragedyi. Ja wiem, że uczucie moje dla Anielki musi się źle skończyć — i wiedząc o tem, nie próbuję już nawet bronić się od niego, bo zresztą obrona byłaby także zgubą.

28 czerwca.

Kąpiele, a zwłaszcza chłodne tutejsze powietrze, służą pani Celinie. Codzień jest rzeświejsza — i ponieważ otaczam ją staraniami, ponieważ dbam o jej wygody, jakby była moją rodzoną matką, więc jest mi wdzięczna i lubi mnie coraz więcej. Anielka to uważa — i również nie może się obronić wdzięczności dla mnie, ale jestem pewny, że uczucie to miesza się z coraz większym żalem, albowiem daje jej

widzenie tego wielkiego szczęścia, jakiego używalibyśmy wszyscy, gdyby się to było stało, co się stać mogło. Mam teraz wszelką pewność, że ona Kromickiego nie kocha. Jest i pozostanie mu wierna — ale gdy ich widzę razem, dostrzegam na jej twarzy jakby przymus, jakby upokorzenie. Widzę, że ilekroć razy on, który jest może naprawdę zakochany, a może jeszcze bardziej chce, by uważano ich za zakochane w sobie małżeństwo, pieści jej ręce, gładzi jej włosy, całuje czoło — tylekroć, jestem pewien, ona wolałaby się pod ziemię zapaść, niż poddawać się tym pieszczotom wobec mnie i innych. Znosi je jednak, musi się uśmiechać, a i ja znośzę ten widok i także się uśmiecham; tylko, dla rozrywki, wkładam sobie wówczas w duchu ręce do wnętrzości i szarpię je. Czasem przychodzi mi także na myśl, że ta kapłanka Dyan-y jest zapewne swobodniejsza i mniej powściągliwa w okazywaniu swych uczuć, gdy jest z mężem sam na sam... Ale takiej rozkoszy, jaką dają podobne myśli, wystrzegam się, bo czuję, że kropelka jeszcze, a stracę równowagę i przestanę panować nad sobą. Stosunek mój do Anielki jest okropny i dla niej i dla mnie. Miłość moja przybiera pozory nienawiści, pogar-

dy, ironii. Męczy to Anielkę i przestrasza. Czasem spogląda na mnie, jakby chciała powiedzieć: «Co ja winna?» Ja sam powtarzam sobie często: «Co ona winna?» — ale nie mogę, na miły Bóg, nie mogę być dla niej inny! Im widzę ją bardziej skrepowaną, pogwałconą, tem większa budzi się we mnie zawziętość przeciw niej, przeciw Kromickiemu, przeciw sobie i całemu światu. I nie dzieje się tak z braku litości we mnie dla tej, równie jak ja, nieszczęśliwej istoty. Ale jak woda, zamiast gasić zbyt rozszalały pożar, podnieca go jeszcze więcej — tak i we mnie wszystkie uczucia podniecają jeszcze rozpacz. Ja, gdy okazuję tej jedynej i najdroższej kobiecie pogardę, gdy mam dla niej tylko gniew, tylko szyderstwo, sobie wyrządzam taką samą krzywdę, jak i jej — większą nawet, bo ona jest zdolna mi to przebaczyć, ale ja sam nie daruję sobie tego nigdy!

29 czerwca.

Ten człowiek spostrzegł, że istnieje jakaś głęboka uraza między mną a jego żoną, i wytłómaczył to sobie w godny siebie sposób. Zdaje mu się, że ja jej nienawidzę za to, że wołała jego ode mnie. Widzi we mnie nienawiść dla niej,

plynącą z obrażonej miłości własnej — i nic więcej. Trzeba być na to... mężem. Tak patrząc, stara się nagrodzić jej to zwiększoną czułością, mnie zaś okazuje pobłażliwość wspaniałomyślnego zwycięzcy. Tylko miłość własna może do tego stopnia ludzi ogłupiać. Co to za dziwny człowiek! Chodzi codziennie do hotelu Straubingera, podpatruje pary przechadzające się pod Wandelbahnem i z pewną radością czyni o nich najgorsze przypuszczenia; ukazuje wszystkie swe popróżniałe zęby, wyśmiewając się z mężów oszukiwanych, wedle jego spostrzeżeń, przez żony, i każde nowe tego rodzaju odkrycie daje mu tak wyborny humor, że dziesięć razy na godzinę wypuszcza monokl z oka i kładzie go napowrót. I ten sam człowiek, który niewiarę małżeńską uważa jedynie za dobrą sposobność do robienia conceptów, uważałby ją za największą i najtragiczniejszą zbrodnię, gdyby chodziło o niego samego. O ile to tycze się innych, jest farsą; o ileby dotknęło jego, wołałoby o pomstę do nieba. Dlaczego, głupcze? Któż ty jesteś taki? Idź do lustra i przejrzyj się; zobacz swoje mongolskie oczy, swoje włosy, podobne do czarnej krymki, swój monokl, swoje długie piszczele; wejdź w siebie, zdaj sobie sprawę z całej lich-

ty swego umysłu, z całej pospolitości swego charakteru — i powiedz, czy taka kobieta, jak Anielka, powinna ci być choć przez godzinę wierna? Jakim sposobem doszedłeś do niej, ty fizyczny i duchowy parweniuszu? Czy raczej nie jest to potworne i przeciwne naturze, że ty jesteś jej mężem? Beatrycze Danta, oddająca rękę ostatniemu gburowi florenckiemu, zrobiłaby lepszą partycję!...

Przerwałem pisanie, bo znowu unoszę się, znów tracę równowagę, a jużem był tak doskonale zdrętwiał! Zresztą, niech się Kromicki pocieszy: naprawdę, nie mam się za lepszego od niego. Choćbym nawet przypuścił, że jestem ze szlachetniejszego kruszczu ulany — mała pociecha, gdy czyny moje są gorsze od jego czynów. On nie potrzebuje przede mną udawać — ja muszę przed nim udawać, muszę się z nim łączyć, muszę się ukrywać, muszę stosować do niego moje postępowanie, oszukiwać go, podchodzić. Czy może być coś więcej płaskiego nad to, że ja, zamiast go wziąć za gardło, wymyślam mu w tym pamiętniku? Takiej zaocznej satysfakcyi może sobie pozwolić i niewolnik względem swego pana. Kromicki nigdy zapewne nie wydawał się sobie tak nikczemny, jak wydawałem się sobie ja, gdym

popelniał tysiące małości, gdym zdobywał się na mnóstwo lichych przebiegów, byle tylko umieścić go daleko od Anielki w najętej przeze mnie willi. W dodatku nie udało mi się. On jednym prostym frazesem: «Chcę być obok żony» — wypowiedzianym z całą otwartością, zdruzgotał wszystkie moje plany, i mieszka obok «żony»... Jest przytem wprost nie do zniesienia to, że Anielka rozumie każdy mój postępek, zdaje sobie sprawę z każdego mego słowa i zamiaru. Myślę, że ona musi się często wstydzić za mnie. Wszystkie te rzeczy, razem wzięte, stanowią mój chleb powszedni. Nie sądzę też, żebym długo wytrzymał, bo jednak nie jestem na wysokości położenia, inaczej mówiąc: nie jestem tak podły, jak tego wymagają warunki, w których żyję.

30 czerwca.

Zasłyszałem dziś z werendy taki koniec rozmowy, prowadzonej dość podniesionym głosem między Kromickim a Anielką:

— Ja — mówił Kromicki — sam z nim pomówię, ale ty musisz powiedzieć, jak rzeczy stoja, ciotce.

— Nigdy tego nie zrobię! — odpowiedziała Anielka.

— Ale ja cię bardzo proszę! — rzekł z naciskiem Kromicki.

Wszedłem do pokoju, nie chcąc być mimowolnym świadkiem dalszej rozmowy. Spostrzegłem na twarzy Anielki głęboką przykrość, którą, zobaczywszy mnie, starała się ukryć. Kromicki był blady z gniewu, ale wyciągnął do mnie z uśmiechem rękę. Przez chwilę porwał mnie niepokój i strach, że ona poczyniła mu wyznania. Bałem się nie Kromickiego, ale tego, że on może wywieźć Anielkę i oderwać mnie od moich udręczeń, upokorzeń, męki. Przecie ja tem tylko żyję; inaczej umarłbym z głodu. Raczej wszystko inne, niż nie widywać Anielki! Przez cały czas łamałem sobie głowę: o czem oni mogli rozmawiać? Chwilami wydawało mi się najprawdopodobniejszym, że ona mu coś powiedziała — ale w takim razie obejście się jego ze mną musiałoby się zmienić, tymczasem stało się ono prawie jeszcze uprzejmniejsze. Wogóle, gdyby nie nienawiść, jaką do niego czuję, nie mógłbym na niego narzekać. Jest dla mnie grzeczny, przyjazny, serdeczny; ustępuje mi na każdym kroku, jak nerwowej kobiecie. Stara się

pozyskać moją ufność. Nie zraża go to, że czasem odpowiadam mu szorstko, albo ironicznie, że często zbyt bezwzględnie wydobywam na jaw jego brak wykształcenia lub brak subtelnych nerwów. Nie tracę żadnej sposobności, by wobec Anielki wykazać, o ile on jest pospolitszym jako umysł i jako serce. Ale on jest cierpliwy. Być może, że jest nim tylko ze mną. Dziś widziałem po raz pierwszy jego gniew na Anielkę; cerę miał zielonawą, jak ludzie, którzy umieją się gniewać na zimno, to jest bardzo zawzięcie. Anielka prawdopodobnie się go boi, ale ona się wszystkich boi — a teraz nawet i mnie. Nieraz trudno mi zrozumieć, skąd ta kobieta, mająca słodycz gołębia, czerpie w danym razie taką nadzwyczajną energię. W swoim czasie ludziłem się, że ona jest bierna, i że gdy ją zechcę porwać, ona się nie obroni. Co za zawód! Opór jej jest tem większy, im bardziej niespodziewany. Nie wiem, o czem była mowa między nią a Kromickim, ale jestem pewien, że gdy mu zapowiedziała, iż nie zrobi tego, czego od niej wymaga, to będzie się trzęsła ze strachu, ale nie zrobi. Gdyby była moją, kochałbym ją tak, jak może kochać pies swoją panią. Nosiłbym ją

na rękę, zdmuchiwał przed nią proch, kochał-
bym ją na śmierć.

1 lipca.

Zazdrość moja byłaby nędzna, gdyby nie to,
że jest w niej ból wyznawcy, któremu profanu-
ją jego bóstwo. Jużbym się wyrzekł nawet do-
tknięcia jej ręki, gdybym mógł umieścić ją na
jakiejś górze niedostępnej, do której nie wolno-
by się było nikomu zbliżyć.

2 lipca.

Łudzilem się, żem zdrętwiał. To, co było
chwilowym stanem nerwów, poczytałem za sta-
ły stan duszy. Zresztą, już wówczas podejrze-
wałem, że to nie będzie trwałe.

3 lipca.

Jednak coś między nimi zaszło. Ukrywają
oboje urazę, jaką wzajem do siebie czują, ale
ja ją widzę. Od kilku dni nie spostrzegłem, by
on brał jej ręce, jak to miał zwyczaj czynić
poprzednio — i podnosił je kolejno do ust, albo
żeby gładził jej włosy, albo całował czoło. Mia-
łem chwilę prawdziwej radości, ale zatrula ją
sama Anielka. Zauważyłem, że ona usiłuje go

jakby przebłagać, wprowadzić w lepszy humor i wrócić do dawnych stosunków. Na ten widok ogarnęła mnie wściekłość, która odbiła się w mojem postępowaniu z Anielką. Nigdy nie byłem dla niej, a tem samem i dla siebie tak niemilo-sierny.

+

4 lipca.

Dziś, wracając z Wandelbahnu, spotkałem ją na moście, naprzeciw kaskad. Zatrzymała się nagle i poczęła coś mówić, ale huk wodospadów zagłuszył jej słowa. Rozdrażniło mnie to, bo mnie teraz wszystko rozdrażnia, więc sprowadziwszy ją z mostu, w stronę naszej willi, rzekłem z niecierpliwością:

— Nie mogłem dosłyszeć coś do mnie mówić.

— Chciałam się spytać, — odpowiedziała ze wzruszeniem — czemu ty taki dla mnie jesteś? Czemu ty nie masz wcale dla mnie litości?

A mnie wszystka krew zbiegła do serca na te słowa:

— Czy ty nie widzisz, — odrzekłem prędko — że cię kocham bez pamięci? Jak można za nie mieć takie uczucie! Słuchaj, ja już od ciebie niczego nie chcę. Powiedz mi tylko, że mnie

kochasz, oddaj mi swoją duszę, a wszystko zniosę, wszystko wytrzymam — i oddam ci w zamian życie i będę ci służył do ostatniego tchnienia. Anielko, ty mnie kochasz, powiedz!.. prawda? Ty mnie zbawisz tem jednym słowem — powiedz je!

Anielka stała się tak blada, jak piana wodospadów. Zdawało mi się, że powiał na nią lodowaty wiatr i ściał krew w jej żyłach. Przez chwilę nie mogła przyjść do słowa, wreszcie z największym wysileniem odrzekła:

— Proszę cię na wszystko, nie mów tak do mnie!

— Więc nigdy mi tego nie powiesz?

— Nigdy — odrzekła.

— Pomyśl tylko, że to ty nie masz dla mnie...

I urwałem. Przez głowę przeleciało mi, że gdyby Kromicki żądał od niej tego słowa, toby mu go nie odmówiła — i na tę myśl zadzwoniło mi z rozpaczy i wściekłości w uszach, a pociemniało w oczach. Straciłem całkiem przytomność. Wiem tylko, że cisnąłem jej w oczy tak straszne i cyniczne słowa, jakich żaden inny mężczyzna nie poważylby się powiedzieć bezbronnej kobiecie. Nie śmiem poprostu zapi-

sać ich w tym pamiętniku. Jak przez sen pamiętam, że przez chwilę patrzyła na mnie zdumionemi i przerażonemi oczyma, a potem chwyciła mnie za rękaw i, potrząsając mojem ramieniem, poczęła pytać gwałtownie:

— Leonie! co tobie? co tobie?

Mnie było to, że traciłem zmysły. Wyszarpnąłem jej rękę i odszedłem w drugą stronę. Po chwili wróciłem, ale już jej nie dostrzegłem. Wówczas zrozumiałem tylko jedno: że oto nadszedł czas — i że trzeba skończyć. Ta myśl utworzyła natychmiast jakby jasną szczelinę w tej ciemności, która otaczała mi głowę. Był to dziwny stan jednostronnej przytomności. Nie zdawałem sobie dobrze sprawy z tego, co zaszło. Straciłem prawie zupełnie poczucie istnienia własnego i istnienia Anielki; natomiast o śmierci począłem myśleć, nie tylko jak człowiek przytomny, ale jak człowiek spokojny. Wiedziałem np. doskonale, że gdy się rzucę ze skał w przepaść, to będzie mogło ujść za wypadek, ale jeśli się zastrzelę w swoim pokoju, to takiego ciosu ciotka moja nie przeżyje. Jeszcze dziwniejszem było to, że mając podobną świadomość, nie poczuwałem się do żadnego wyboru, jak gdyby związek między mojem rozumowaniem a moją wolą i płynącymi z niej

czynami był już przerwany. Mając zupełnie jasne przekonanie, że lepiej jest rzucić się ze skał, niż się zastrzelić, szedłem jednak do willi po rewolwer. Dlaczego? Nie wiem. Wiem tylko, że śpieszyłem się coraz bardziej i że wbiegłszy pędem po schodach na górę, począłem szukać klucza od kufra, w którym był zamknięty rewolwer. Nagle wytracił mnie z tej kolei wyłącznego myślenia o samobójstwie odgłos szybkich kroków po schodach. Błysnęła mi myśl, że to może Anielka odgadła moje zamiary i śpieszy im zapobiedz. Tymczasem drzwi otworzyły się gwałtownie, i ujrzałem w nich ciotkę, która zawołała zdyszany głosem:

— Leonie! biegaj po doktora, Anielka za-
słabła!

Usłyszawszy to, zapomniałem o wszystkim innem; wybiegłem z willi bez kapelusza i po upływie kwadransa sprowadziłem lekarza z hotelu Straubingera. Gdyśmy przybyli, było już wszystko dobrze. Doktor poszedł do Anielki, ja zaś zostałem z ciotką na werendzie i wypytywałem, co zaszło.

— Przed pół godziną — mówiła ciotka — Anielka wróciła z twarzą tak rozpaloną, że zaraz obie z Celiną poczęłyśmy pytać: co jej

jest? Odpowiadała: «nie! nie!» — jakby z niecierpliwością, ale widziałyśmy, że to nieprawda. Celina poczęła nalegać. Wówczas Anielka uniosła się, co pierwszy raz w życiu widziałam, i zawołała: «Czemu mnie tu wszyscy męczą!» Potem zaraz dostała jakichś spazmów, czy serdecznego śmiechu. Przeraziłyśmy się okropnie, i ja poleciałam do ciebie. Chwała Bogu, że to już przeszło. Plakało tylko biedactwo i poczęło przeproszać nas obie za swoje uniesienie...

Ja milczałam, bo mi się serce darło na strzępy. Ciotka poczęła chodzić wielkimi krokami po werendzie, nareszcie stanęła nade mną i wzięwszy się pod boki, ozwała się:

— Wiesz, co mi się zdaje, mój chłopcze? Oto my tego Kromickiego wszyscy niedość lubimy — bo i Celina nie bardzo go znosi. Dziwna rzecz, on aż nadto stara się wkupić w nasze łaski, a ciągle ma minę intruza. To źle z naszej strony. Anielka to widzi i cierpi nad tem...

— Czy ciocia myśli, że ona go tak bardzo kocha?

— O, zaraz: bardzo, bardzo!... Kocha go, bo jest jej mężem i — i naturalnie, że jej przykro widzieć, jak go źle traktujemy.

— Ale kto go źle traktuje? Mojem zdaniem,

ona poprostu nie jest z nim szczęśliwa — i cała rzecz...

— A niechże Pan Bóg broni! — odrzekła ciotka. — Nie przeczę, że mogła lepszą partyę zrobić, ale co znowu można mu tak dalece zarzucić? Jest widocznie bardzo do niej przywiązany... Celina nie może mu wprawdzie przebaczyć sprzedaży Gluchowa, a i ja mu tego nie zapomnę nigdy, sama jednak słyszałam, jak Anielka broniła go zawzięcie.

— Może wbrew przekonaniu?

— Choćby; to tembardziej dowodzi, że ona go kocha. Co do jego interesów, bieda, że nikt dobrze nie wie, jak rzeczy stoją, i stąd ciągle obawy Celiny. Ale tak naprawdę, czy to majątek daje szczęście? Zresztą ja ci już mówiłam, że nie zapomnę o Anielce, i ty na to pozwalasz? Co? pozwalasz? My oboje mamy dla niej pewne obowiązki, mój Leonie, nie mówiąc już o tem, że to jest kochane stworzenie, które zasługuje na naszą opiekę.

— Z całego serca, moja ciociu. Ponieważ nie mam siostry, więc póki żyje, nigdy Anielce nie dokuczam kłopoty materyalne.

— Tak liczę na to, że umrę spokojniej — odrzekła ciotka.

I poczęła mnie ścisnąć, ale dalszą rozmowę przerwał nam doktor. W kilku słowach uspokoił nas zupełnie. «Małe wzburzenie nerwowe, które zresztą często się przy tych kąpielach z początku zdarza. Przerwać kąpiele na kilka dni, dużo być na powietrzu — oto czego trzeba! Organizm jest zdrow, sił dużo i wszystko będzie jak najlepiej». Ponatykałem mu kieszenie na te słowa tak, że kapelusz włożył dopiero za kratą willi. Bylbym sprzedał kilka lat życia, by mógł pójść do Anielki i ucałować ją po nogach, przepraszając za wszystko, com jej złego zrobił. Przysiągłem sobie być dla niej innym, znosić cierpliwie Kromickiego, nie burzyć się, nawet nie szemrać. Skrucha, skrucha zupełna i głęboka — oto był teraz stan mojej duszy. Kocham ją jednak niewypowiedzianie. Przed samem południem wrócił z dalekiej przechadzki po Kaiserwegu Kromicki. Zaraz spróbowałem być i dla niego serdeczniejszym. On to wziął za współczucie i był mi prawdziwie wdzięczny. Wraz z panią Celiną spędzili cały dzień przy Anielce. Ona po południu chciała się ubrać i wyjść, ale jej nie pozwolili. Ja także nie pozwoliłem sobie burzyć się z tego powodu. Nie pamiętam, żebym kiedy w życiu odniósł nad sobą tak wielkie zwycięstwo.

A mówiłem sobie: «To dla ciebie, moja ukochana!» Byłem w głupim usposobieniu przez resztę dnia. Ciągłe chciało mi się płakać, jak małemu dziecku. I teraz duszą mnie lży. Na broilem, ale też pokutuję za to porządnie.

5 lipca.

Po wczorajszych uniesieniach folga najzupełniejsza, jakby cisza po burzy. Chmury wyładowały całą swą elektryczność. Czuję się słabym i moralnie i fizycznie. Anielka ma się lepiej. Rano znaleźliśmy się sam na sam na werendzie. Posadziłem Anielkę na fotelu z biegunami, i otuliwszy ją ciepłym szalem, bo tu poranki chłodne, rzekłem:

— Moja Anielko droga, przepraszam cię z całej duszy za to, com wczoraj powiedział. Przebacz mi i zapomnij — bo i tak ja sam sobie tego nigdy nie zapomnę.

Ona odrazu wyciągnęła mi w odpowiedzi rękę, w którą wpilem się ustami. Musiałem użyć całej siły woli, aby nie jęczeć głośno, tak wielka była przepaść między moją miłością a moją nędzą. Anielka czuła to doskonale, bo nieprędko cofnęła mi rękę. Ona także starała się opanować wzruszenie, a może i opanować uczucie, które

popychało jej serce ku mnie. Szyja jej i piersi drgały, jakby lkanie chciało się gwałtem wyrwać na zewnątrz. ~~X~~ Czula przecie, że ją kocham nad wszystko, że na taką miłość nie natrafia się codziennie i że to mógłby być skarb szczęścia na całe życie. ~~A~~

Ale po chwili przemogła się, i twarz jej stała się pogodną. Widać w niej było tylko rezygnację i wielką dobroć.

— Już zgoda będzie między nami, nie prawda? — spytała.

— Tak jest! — odrzekłem.

— I raz na zawsze?

— Co ja ci odpowiem, mój ty aniele? Ty wiesz najlepiej, co się we mnie dzieje...

Jej znów zaszły oczy mgłą, ale znów się przemogła.

— Dobrze już! — rzekła — to ty jesteś dobry...

— Ja? — zawołałem ze szczerem oburzeniem: — czy ty wiesz, że gdybyś wczoraj nie była nagle zasląbla, to ja byłbym sobie...

Ale nie dokończyłem. Zrozumiałem nagle, że byłoby niegodziwością z mojej strony wyzyskiwać ją przez strach i groźbę. To nie była droga dla mnie. Ogarnął mnie wstyd tem większy, że

ona zaniepokoiła się zaraz i, spojrzawszy na mnie bacznie, spytała:

— Co ty chciałeś powiedzieć?

— Chciałem powiedzieć coś, co byłoby niegodne mnie i co zresztą nie ma już dziś znaczenia.

— Nie, Leonie, ja chcę wiedzieć koniecznie: inaczej nie będę miała chwili spokoju.

Wiatr zsunał jej promyk włosów na czoło — więc ja wstałem i począłem go zlekka układać na powrót na jej główce z taką troskliwością, jakbym był jej matką, i rzekłem:

— Anielko kochana, nie każ mi mówić tego, czegom mówić nie powinien. Jeżeli zaś chodzi o twój spokój, daję ci słowo, że nie potrzebujesz mieć na przyszłość żadnych obaw.

Ona podniosła ku mnie oczy.

— Dajesz mi na to słowo?

— Najwyraźniej i najsolennie. Co tam się troi w tej główce kochanej!

Dalszą rozmowę przerwał nam listonosz, który oddał całą paczkę listów. Były do Kromickiego ze Wschodu, do Anielki od Śniatyńskich (poznałem jego rękę na kopercie) i do mnie od Klary. Poczciwa Klara pisała niewiele o sobie, natomiast dopytywała się bardzo szczegó-

lowo o mnie. Powiedziałem Anielce, że mam od niej list, wskutek czego Anielka, chcąc widocznie stworzyć zupełną pogodę między nami, zaczęła mnie nią prześladować. Ja oddałem jej pięknom za nadobne, mówiąc, że Śniatyński stracił jakoś w ostatnich czasach głowę. Przez chwilę śmieliśmy się oboje i żartowali. Dusza ludzka jest jak pszczoła, która szuka słodczy nawet na gorzkich kwiatach. Najnieszczęśliwszy człowiek stara się wycisnąć choć odrobinę szczęścia nawet z własnej męki, i by to uczynić, chwytają za lada cień, za lada pozór. Czasem myślę, że ta niepohamowana potrzeba jest dowodem, iż nam się jeszcze coś należy po śmierci. Jestem przekonany, że pesymizm wymyślono także gwoli tej potrzeby, dla pociechy, jaką mogło sprawić ujęcie ogólnej niedoli w filozoficzną formułę. Było to zaspokojeniem dążenia do świadomości i prawdy, szczęście zaś nie jest niczem innem, tylko szeregiem zaspokojień.

A może też miłość jest tak ogromnem źródłem szczęścia, że nawet najciemniejsza jeszcze jest przetkana promieniami; dość, że taki promyk dziś zaświecił nam obojgu. Nie spodziewałem się już tego. Nie spodziewałem się również, żeby człowiek, który w pragnieniach swoich nie

ma granic i pożąda wszystkiego, mógł w prawdziwej biedzie poprzestawać prawie na niczem. Ale miałem tego przykład na sobie.

Zaledwie ukończyliśmy czytać nasze listy, gdy pani Celina, która już chodzi o własnej mocy, ukazała się we drzwiach, niosąc stoleczek pod nogi dla Anielki.

— Ach, mamó! — rzekła zgorszona Anielka: — czy to się godzi?

— A małoś to ty się nawysługiwała mnie, jak bylam chora? — odpowiedziała pani Celina.

Lecz ja wyjąłem z jej rąk taburecik i, klękając przed Anielką, czekałem dopóty, dopóki nie postawiła na nim swych nóżek — i to tylko, żem przez sekundę u nich klęczał, napęliło mnie szczęściem na cały dzień. Tak jest! Człowiek bardzo a bardzo biedny żyje okruszynami i, zbierając je, uśmiecha się jeszcze z wdzięcznością — przez lzy.

6 lipca.

Posiadam serce kalekie, ale zdolne do kochania. Teraz dopiero rozumiem Sniatyńskiego. Gdybym nie był człowiekiem zwichniętym, nieznównoważonym, zatrutym przez sceptycyzm, krytykę samego siebie i krytykę tej krytyki, gdyby

moja miłość była prawidłową i prawą, byłbym znalazł w Anielce mój życiowy dogmat, za którym przyszłyby i inne. Ale nie wiem... może ja właśnie nie umiałbym inaczej kochać, tylko krzywo, może w tem mianowicie leży moja nieudolność życiowa, dość, że to, co powinno się było stać mojem zdrowiem i zbawieniem, stało się śmiertelną chorobą i potępieniem. Dziwna rzecz, jak dalece nie brakło mi ostrzeżeń. Zdaćby się mogło, iż ludzie przewidywali, co mnie spotka. Toż ja sobie ciągle przypominam, że Śniatyński napisał mi jeszcze wówczas, gdy byłem w Pegli u Davisów, następne słowa: «Z życia musi coś wyrosnąć: bacz-że, żeby nie wyrosło coś takiego, coby się stało nieszczęściem dla ciebie i twoich blizkich». Wówczas śmiałem się z tego, a przecie niepodobna było lepiej przewidzieć przyszłości! Ojciec mój również kilkakrotnie przemawiał także tak, jakby chwilami przebijał wzrokiem tę zaslone, która zakrywa przyszłość. Dziś są to wszystko wspomnienia spóźnione. Wiem, że nic mi z tych rozmyślań nie przyjdzie, ale nie mogę się od nich wstrzymać, bo mi żal nietylko siebie, ile Anielki. Ona byłaby ze mną stokroć szczęśliwsza, niż jest z Kromickim. Przypuszczając nawet, że byłbym ją z początku

poddawał analizie i powykrywał w niej liczne wady, to i tak kochałbym ją z całej duszy. Byłaby moja, a zatem weszłaby w sferę mego egoizmu. Na jej wady patrzyłbym, jak na swoje własne słabości, a sobie samemu człowiek wszystko wybacza — i choćby się jak najostrzej krytykował, nie przestaje jednak zabiegać wedle własnego dobra, a zatem być sobie drogim. Tak byłaby mi drogą i ona — a ponieważ jest stokroć doskonalszą ode mnie, więc z czasem stałaby się moją chlubą, moją najlepszą, najszlachetniejszą częścią duszy, i uznałbym, że na moją krytykę niema przy niej miejsca — i przeszedłbym na jej wiarę i był zbawiony przez nią.

To wszystko zmarniało, zepsuło się, zmieniło w tragedję dla niej — w zło i tragedję dla mnie.

7 lipca.

Odczytuje, com wczoraj napisał — i uderza mnie to, co powiedziałem w końcu, że uczucie moje, które, gdyby było prawe, mogło stać się mojem zbawieniem, zmieniło się w źródło zła... Trudno mi się pogodzić z tą myślą. Jakim sposobem miłość dla istoty tak czystej, jak Anielka,

może rodzić zło? Ale jedno słowo wszystko tłumaczy: jest to miłość krzywa. Zresztą trzeba mi uznać fakt. Gdyby ktoś, dwa lata temu, powiedział mnie, człowiekowi ucywilizowanemu, posiadającemu estetyczne nerwy, żyjącemu w zgodzie z kodeksem karnym, już dlatego samego, że natura moralna nie pozwala mu żyć inaczej — gdyby mi ktoś, powtarzam, powiedział, że ja będę rozmyślał po całych dniach i nocach o usunięciu ze świata — choćby przez zabójstwo — człowieka, który mi zawadza, tobym takiego proroka poczytał za waryata. A jednak oto, do czego doszedłem! Kromicki zaslania mi świat, odbiera ziemię, wodę i powietrze. Nie mogę żyć właśnie dlatego, że on żyje — i z tego powodu piastuję w duszy myśl o jego śmierci, bez chwili przerwy. Jakieby to było proste i zupełne rozwiązanie wszystkich zawikłań, jakie zakończenie wszystkich nieszczęść, gdyby on umarł! Myślałem niejednokrotnie, że jeśli hypnotyzer może powiedzieć swemu medium: «Śpij!» — i medium zasypia — czemuby ta sama siła, jeszcze bardziej nateżona, nie miała wystarczyć do uśpienia kogoś snem wiecznym? Pozapisywałem sobie świeżo rozmaite książki o hypnotyzmie, tymczasem zaś mimowoli mówię Kro-

miickiemu każdem spojrzeniem: «Umrzyj!» — i gdyby taka suggestya wystarczała, dawnoby go nie było na świecie. Skutek z tego dotychczas jest taki, że on ma się dobrze i jest, jak był, mężem Anielki, mnie zaś pozostaje przekonanie, iż moja intencya jest zarówno zbrodnicza, jak głupia, śmieszna, niegodna człowieka czynu — i pogardzam sobą coraz bardziej.

Nie przeszkadza mi to jednak hypnotyzować Kromickiego w dalszym ciągu. To znowu ta sama historia człowieka inteligentnego, który, opuszczony w ciężkiej chorobie przez lekarzy, udaje się do znachorów. Ja chcę zabić przeciwnika hypnotyzmem — że zaś przez to widzę tem dokładniej moją nicość, to tem gorzej dla mnie. Trzeba przytem przyznać, że ilekroć jestem samotny, tylekroć chwytam się na rozmyślaniach o usunięciu nienawistnego mi człowieka za pomocą wszelkich środków, jakie leżą w mocy ludzkiej. Przez długi czas pieściłem się z myślą zabicia go w pojedynku. Ale to droga do niczego! Anielka nie mogłaby zaślubić zabójcy swego męża — więc począłem rozmyślać, jak pospolity zbrodniarz, o innych sposobach. I co dziwniejsza, znalazłem mnóstwo takich, którychby nie wykryła żadna ludzka sprawiedliwość.

Glupstwo! marność! czysta teoria! Kromiecki może sobie żyć bezpiecznie, bo podobne myśli nigdy nie staną się we mnie czynem. Nie zabiję go, choćbym wiedział, że nie będę za to więcej odpowiedzialny, niż za rozdeptanie pająka; nie zabilbym go, choćbyśmy mieszkali na bezludnej wyspie — ale jednak, gdyby można rozciąć czaszkę ludzką, jak jabłko, i wydobyć ukryte myśli, pokazałoby się, że robak zbrodni toczy mój mózg. Co więcej: czuję to doskonale, że jeśli w żadnym razie nie zamordowałbym Kromickiego, to nie z tych wyższych pobudek moralnych, ujętych w przykazaniu: «Nie zabijaj!» To przykazanie jam już w sobie zdeptał. Nie zabilbym go tylko dlatego, że może jakieś resztki tradycyi rycerskiej stanęłyby mi na przeszkodzie, dlatego, że moje wyrafinowane nerwy nie byłyby zdolne zdobyć się na czyn brutalny, żem za daleko odszedł od pierwotnego dzikiego człowieka: słowem, dlatego, że nie umiałbym się fizycznie na to zdobyć. Ale moralnie ja go morduję codziennie — i wobec tego pytam się siebie, czy przed jakimś sądem, wyższym nad sądy ludzkie, nie będę odpowiadał za ten postępek tak, jak gdybym go dokonał?

Być może wprawdzie, że gdyby tak, jak już

powiedziałem, można było otwierać czaszki ludzkie, to w mózgu najcnotliwszego nawet człowieka znalazłyby się myśli, od których włosy powstawałyby na głowie. Pamiętam, iż gdy byłem małym chłopcem, przyszedł na mnie okres pobożności tak wielkiej, iż modliłem się całą duszą od rana do wieczora, a jednocześnie w chwilach największych religijnych uniesień, przelały mi przez głowę bluźnierstwa, tak zupełnie, jakby mi je wiatr nawiewał, albo jakby mi je podsuwał demon. Tak samo zdarzało mi się bluźnić przeciw osobom, które najmocniej kochałem i za które byłbym bez wahania oddał życie. Pamiętam również, że stanowiło to moją dziecinną tragedję, i że cierpiałem z tego powodu prawdziwie. Ale mniejsza o to. Wracając do owych bluźnierczych albo zbrodniczych myśli, sądzę, że się za nie nie odpowiada, ponieważ płyną one ze świadomości zewnętrznego zła, nie ze zła, wszczepionego już w moralny organizm. I właśnie z powodu tej ich zewnętrzności, człowiekowi wydaje się, że mu je dyabeł szepce do ucha.

Człowiek zaś słucha ich, i nie chcąc zła, odpycha je — w czym jest może nawet zasługa. Ale ze mną jest rzecz inna. Myśl o pozbyciu

się Kromickiego nie przychodzi mi z zewnątrz, ale wykwita i tkwi we mnie. Jam moralnie już do tego dojrzał, jeżeli zaś nie zdobywam się i nie mógłbym się zdobyć na zamordowanie go, to jest tylko, jak wspomniałem, kwestyą nerwów. Rola mojego dyabła ogranicza się tylko do tego, że drwi ze mnie, szepejąc mi w ucho, że czyn dowodziłby tylko energii, nie byłby zaś większą zbrodnią.

Oto są rozdroża, na których stoję, a na których nie spodziewałem się tak dalece nigdy stanać, że spoglądam w głąb własnej istoty ze zdumieniem. Nie wiem, czy istotnie wyjątkowe moje udręczenia okupują, choć w części, mój upadek, wiem tylko, że komu życie nie mieści się w ten kodeks prosty, którego trzyma się Anielka i podobne do niej istoty, komu dusza z takiego naczynia wykipi, ten musi zmieszać się z prochem i błotem.

9 lipca.

Dziś w czytelni Kromicki pokazał mi jakiegoś Anglika, w towarzystwie kobiety nadzwyczaj pięknej, i opowiedział mi ich historię. Piękność ta jest z pochodzenia Rumunką i pierwotnie była za jakimś zrujnowanym bojarem wo-

loskim, od którego Anglik kupił ją poprostu w Ostendzie. Słyszałem podobne opowiadania z dziesięć razy w życiu. Kromicki mówił mi nawet, za jaką sumę piękna Kokona została nabyta. Opowiadanie to zrobiło na mnie dziwne wrażenie. Pomyślałem sobie: «I to jest sposób» — zapewne, że haniebny dla sprzedającego i kupującego, ale prosty. Kobieta może przytem w takich razach nie wiedzieć o układach, same zaś układy mogą osłonić się możliwie przyzwyczajeniami pozorami. Mimowoli począłem stosować te myśli do naszego położenia. «A nużby!» Cała rzecz przedstawiła mi się podwójnie: ze względu na Anielkę, jako ohydna profanacya, ze względu na Kromickiego, jako sposób nietylko możliwy, ale nasycający moją dla niego nienawiść i pogardę. Bo gdyby on się na to zgodził, dopieroż wykazałaby się cała jego nikiemność, dopieroż stałoby się jasnem, jaki to jest człowiek i jaką potwornością było oddawać mu Anielkę. Czulbym się wówczas odrazu usprawiedliwiony we wszystkich moich usiłowaniach odebrania mu żony. Lecz czyby się zgodził? Mówilem sobie: «Nienawidzisz go, zatem przypuszczasz o nim wszystko złe». Z drugiej strony, starając się o nim myśleć nawet najobjek-

tywniej, nie mogłem zapomnieć, że ten człowiek sprzedał Głuchów, że uzyskał na to podstępem pełnomocnictwo Anielki, że poniekąd oszukał ją i panią Celine, że na koniec chciwość pieniężna była najwidoczniej główną jego namiętnością. Nie ja jeden uważałem go za człowieka, mającego wprost gorączkę złota. Tak samo na niego patrzył Śniatyński, tak samo ciotka, tak samo pani Celina. Otóż tego rodzaju moralna choroba może zawsze doprowadzić do odpowiedniego upadku. Rozumiem swoją drogą, że wszystko będzie prawdopodobnie zależało od stanu jego interesów. Jaki jest ten stan, nikt dobrze nie wie. Ciotka robi przypuszczenia, że nie jest pomyślny; ja przypuszczam, że wszystko, co miał, zasiał w jakąś rolę, która ma przynieść bujne żniwo. Czy przyniesie? On sam zapewne jeszcze nie wie, i stąd ten jego jakiś ciągły niepokój, te tuziny listów, wysyłanych do młodego Chwastowskiego, który jest jego pełnomocnikiem na Wschodzie. Przyszło mi nagle do głowy, że właśnie przez tegoż Chwastowskiego możnaby się dowiedzieć, jak rzeczy stoją. Potrzebaby jednak na to długiego czasu. Być może, że pojedę na jeden dzień do Wiednia, obaczę się z doktorem Chwastowskim, który tam

pracuje w klinice, i przez niego czegoś się dowiem. Bracia muszą przecie do siebie pisywać. Tymczasem wybadam Kromickiego, ale ze wszelką ostrożnością, by nie obudzić jego czujności, ani podejrzeń. Przedewszystkiem spytam go zaraz jutro: co on myśli o owym bojarze rumuńskim, który sprzedał żonę Anglikowi? Przewiduję, że nie zechce być ze mną szczery, ale mu do tego dopomogę w miarę możliwości, resztę zaś odgadnę. Cała ta suma myśli i zamiarów sprawiła, że cokolwiek odżyłem. Niema nic straszniejszego, niż cierpieć biernie — i wszystko mi jest dobre, co mnie z tego stanu wyprowadza. Powtarzam sobie: «Oto, przynajmniej jutro i pojutrze, będziesz coś przedsiębrał, będziesz coś próbował czynić dla swego uczucia» — i pokrzepiam się tem. Z zupełnej bezwładności przechodzę do jakiejś gorączki czynów. Chodzi o moją głowę, o moje zmysły, które się rozprzegają. Przysięgam Anielce słowem honoru, że się na własne życie nie targnę, nie mam więc już i tego wyjścia. A tak, jak żyję, nie mogę żyć. Jeśli ta droga, na którą chcę wstąpić, jest haniebną, w każdym razie haniebniejszą będzie dla Kromickiego, niż dla mnie. Muszę ich rozłączyć, nietylko ze względu na siebie, ale ze

względu na nią. Naprawdę mam gorączkę. Wszystkim tu kąpiele służą, prócz mnie.

10 lipca.

Gorące dni zdarzają się nawet tu, w Ga-steinie. Co za upał! Anielka nosi suknie z białej flaneli, takie, jakich Angielki używają do «lawn-tennis». Pijamy rano kawę na świeżem powietrzu. Ona przychodzi po kąpieli świeża, jasna, jak śnieg o wschodzie słońca. Wysmukle jej ciało rysuje się wyraźniej, niż zwykle, pod miękką suknią. Poranne światło oświeca ją tak dokładnie, że widzę każdy włoszek jej brwi, rzęs i owego puszku, pokrywającego jej delikatne policzki. Włosy jej bywają, jakby mokre, ale w tym blasku zdają się jaśniejsze, niż zwykle, a źrenice są przezroczystsze. Jaka ona młoda, jaka upajająca! W niej jest moje życie, w niej się streszcza wszystko, czego chcę. Nie odejdę, nie potrafię!

Patrzę na nią i tracę zmysły z upojenia, a zarazem i z bólu, że oto siedzi przy niej — mąż. To nie może tak zostać — niech nie będzie niczyją, byle nie była jego! Ona sobie zdaje, do pewnego stopnia, sprawę z tej męki, która mi skręca nerwy, jednak niedostatecznie. Męża

nie kocha, ale pożycie z nim uważa za prawowite — mnie zaś na samą myśl o tem chce się zgrzytać, bo mi się zdaje, że przyznając tę prawowitość, sama siebie upadla. A tego niewolno, nawet jej! Niechby lepiej umarła. Wtedy będzie moją, bo ten prawowity mąż tu zostanie — a ja nie! Przez to samo jam jej prawowitszy, niż on. Dzieje się czasem ze mną coś dziwnego. Oto, gdy się bardzo zmęczę, wymorduję, gdy umysł mój, przez nateżone w jednym kierunku myślenie, widzi jakieś odległe przestrzenie, których w normalnym stanie dostrzedz nie można, przychodzą na mnie chwile takiej pewności, że Anielka należy się mnie, że w jakiś sposób jest, czy że będzie moją — iż gdy się budzę z tego stanu, przypominam sobie, jakby ze zdziwieniem, o istnieniu Kromickiego. Może w takich chwilach przechodzę tę granicę, której za życia zwykle się nie przechodzi, i mam widzenie rzeczy doskonałych, takich, jakimi są w ideale i jakimi powinny być w objawach zewnętrznych? Dlaczego te dwa światy sobie nie odpowiadają — i jakim sposobem mogą sobie nie odpowiadać, nie wiem. Usiłuję to nieraz rozwiązać i gubię się i nie rozumiem tej nieodpowiedniości, czuję tylko, że w niej leży niedo-

skonałość i zło. To uczucie pokrzepia mnie — w takim razie bowiem przynależność Anielki do Kromickiego byłaby właśnie objawem zła.

11 lipca.

Nowy zawód, nowa ruina zamiarów, lubo mam jeszcze iskrę nadziei, że nie zupełna. Mówiłem dziś z Kromickim o bojarze, który sprzedał żonę, przyczem zmyśliłem całą historię, w celu ułatwienia Kromickiemu szczerości.

Spotkaliśmy Anglika z kupioną żoną przy kaskadach. Począłem zaraz mówić o jej nadzwyczajnej piękności, wreszcie rzekłem:

— Opowiadał mi doktor tutejszy, jak się odbyło kupno i sprzedaż. Ty za surowo sądzisz tego bojara.

— On mnie przedewszystkiem bawi — odpowiedział Kromicki.

— Są okoliczności łagodzące. Był to nie tylko bojar, ale i właściciel wielkich garbarni, które prowadził za pożyczone pieniądze. Nagle, z powodu zarazy, dowóz skór z Rumunii został przez sąsiednie państwa wzbroniony. Ten człowiek wiedział, że jeśli nie przetrzyma zakazu, nie tylko sam zbankrutuje, ale pograży w ruinie setki rodzin, które mu zaufały. Mój kochany,

albo się jest kupcem, albo się nim nie jest. Być może, iż moralność kupiecka jest odmienna od ogólnej, ale gdy się raz na nią zgodziło...

— To ma się prawo sprzedać nawet żonę? — spytał Kromicki. — A nie! Nie wolno dla jednych obowiązków deptać drugich, kto wie, czy nie świętszych...

Kromicki nie mógł mnie rozczarować bardziej i zniecierpliwieć bardziej, niż odzywając się, jak porządny człowiek. Ale nie straciłem odrazu nadziei. Wiem, że każde najmarniejsze indywiduum ma do rozporządzenia pewien zapas frazesów, pięknie brzmiących — więc mówiłem dalej:

— Nie uwzględniasz jednej rzeczy mianowicie, że ten człowiek pograżyłby w nędzę razem z sobą i tę kobietę. Przyznaj, że to jest dziwny sposób pojmowania obowiązków względem najbliższych — odbierać tym najbliższym ostatni kawałek chleba.

— A wiesz, nie wiedziałem, że ty jesteś tak dyabło trzeźwy.

Ja zaś pomyślałem:

— Nie rozumiesz, głupcze, że to nie są moje poglądy: to są tylko pojęcia, które ci chcę podsunąć!

Głośno zaś odpowiedziałem:

— Staram się wejść w położenie tego prze-mysłowca. Ty przytem nie uwzględniasz jednej rzeczy: że ta kobieta mogła go nie kochać, mogła kochać swego dzisiejszego męża, a tamten mógł o tem wiedzieć.

— W takim razie oboje byli siebie warci.

— To inna sprawa. Patrząc nieco głębiej, jeśli ona, kochając tego Anglika, pozostała jednak wierną mężowi, to może jest więcej warta, niż myślimy. Co do twego bojara, może on być człowiekiem podłym, ale pytam, co w podobnym wypadku ma robić kupiec, do którego ktoś przychodzi i powiada mu tak: «Pan jesteś bankrut podwójny, bo masz długi, których nie możesz zapłacić, i żonę, która cię nie kocha; ale rozwiedź się z tą kobietą, a ja 1-o zapewnię jej dostatek i możliwe szczęście, a powtóre zapłacę pańskie długi». Bo to się mówi: sprzedaż! sprzedaż! — a czy to właściwie jest sprzedaż? Pomyśl, że ten kupiec, który się na ów układ zgadza, uwalnia za jednym zamachem od nieszczęścia kobietę (a kwestya, czy to właśnie nie jest prawdziwem zrozumieniem obowiązku względem blizkich) — i od nędzy tych wszystkich, którzy mu zawierzyli...

Kromicki pomyślał chwilę, wypuścił monokl i odrzekł:

— Mój kochany, ja pochlebiam sobie, że na interesach znam się lepiej od ciebie, ale w rozprawy wdawać się z tobą nie mogę, bo mnie w kozi róg zapędzisz. Żebyś nie miał po ojcu milionów, a został adwokatem, byłbyś je i tak zrobił... Jak w ten sposób przedstawiłeś sprawę, dalibóg nie wiem, co mam o tym rumuńskim chlystku myśleć: wiem tylko, że tam był układ o żonę, a to, mów sobie co chcesz, wygląda na szelmostwo. Powtóre, ponieważ sam jestem poniekąd kupcem, powiem ci jeszcze to: Bankrut ma zawsze sposób wyjścia: albo zrobić drugi raz majątek i pospłacać dawne długie, albo strzelić sobie w leb. W ten sposób płaci krwią; żonę zaś, jeśli ją ma, uwalnia od siebie i otwiera przed nią widoki nowego losu.

Miałem chwilę takiej wewnętrznej wściekłości, że dałbym nie wiem co, byle módz mu krzyknąć w ucho: «Tyś już bankrut, przynajmniej pod tym względem, że żona cię nie kocha! Wiesz te wodospady? Skacz-że w nie na leb i uwolnij ją od siebie, i otwórz jej to nowe życie, w którym będzie stokroć szczęśliwsza!»

Alem milczał, przeżuując to nowe przeko-

nanie, pełne dla mnie goryczy, że Kromicki jest wprawdzie pospolitym człowiekiem, zdolnym nawet do takich postępków, jakim jest naprzykład sprzedaż Głuchowa lub nadużywanie zaufania żony, ale nie jest tak niktzemną duszą, za jaką go miałem. Był to dla mnie i zawód i ruina planów, do których przyczepilem chwilowo swoje istnienie. Znów czułem się bezradnym, znów zobaczyłem przed sobą pustkę, znów zawisłem, jak w powietrzu. Nie chciałem jednak wypuścić z ręki ostatniej nici, bo zrozumiałem dobrze, iż jeśli potrafię w jakikolwiek sposób działać, to jeszcze jako tako będę mógł żyć — w przeciwnym zaś razie, prawdopodobnie oszaleję. «Przygotuję sobie chociaż grunt na przyszłość i na wszelki wypadek — mówiłem sobie — oswoję Kromickiego z myślą rozstania się z Anielką». Nie wiedziałem, powtarzam, jak stoją jego sprawy majątkowe, w przypuszczeniu jednak, że kto spekuluje, może zarówno stracić, jak zyskać, począłem mówić:

— Nie wiem, o ile to, coś mi powiedział, odpowiada moralności kupieckiej, ale z przyjemnością ci przyznaję, że jest godne porządnego człowieka. Jeślim dobrze zrozumiał, twierdzisz,

że mąż, który stanie nad brzegiem ruiny, nie ma prawa pociągać za sobą żony w otchłań nędzy?

— Ja mówiłem tylko, że sprzedaż żony jest zawsze szelmostwem. Zresztą, żona powinna dzielić losy męża. Dziękuję ci za taką, która zgodzi się na zerwanie małżeństwa, dlatego tylko, że mąż stracił majątek.

— Przypuściwszy, że się nie zgodzi, on może przeprowadzić rozwód mimo jej woli. Każde w takim razie powinno pilnować swego tylko obowiązku... Przytem, jeśli ona widzi, że przez rozwód może w dodatku uratować męża, to dobrze zrozumiany obowiązek nakazuje zgodzić się.

— O tych rzeczach przykro nawet mówić.

— Dlaczego? Czy ci zaczyna być żal Rumuna?

— Nie! Dalibóg, zawsze go będę miał za szuję.

— Bo nie umiesz patrzeć obiektywnie. Ale to nie dziwnego: taki, któremu wszystko idzie, jak po maśle, nigdy nie potrafi zdać sobie sprawy z psychologii bankruta, chyba byłby filozofem — a filozofia nie chodzi w parze z robotą milionów...

Nie chciałem dalej przedłużać tej rozmowy, bo i mnie moja przewrotność była nad wyraz przykra. Zdawało mi się, żem rzucił jakieś ziarno — marne wprawdzie i zbyt może nędzne, by mogło wzejść, ale chwycilem przynajmniej znów za jakowąś nitkę. Jedna rzecz dodała mi ducha. Oto w chwili, gdy zacząłem wmawiać w Kromickiego, iż to on jest zdania, że zrujnowany mąż powinien uwolnić od siebie żonę, dostrzegłem na twarzy jego jakby niepokój i przymus. Zauważyłem także, że przy wzmiance o jego milionach westchnął zeicha. Wyprowadzić z tego wnioski, że mu grozi ruina, byłoby wnioskować zbyt pośpiesznie, ale mogłem przypuszczać, że jego interesa nie są zupełnie pewne i że mogą się tak albo owak obrócić.

Postanowiłem sobie to sprawdzić. Tymczasem czułem w sobie wyraźnie dwóch ludzi. Jeden mówił w duchu do Kromickiego: «Jeśli choć trochę się chwiejesz, to ja ci pomogę do upadku — i choćbym miał ja także stracić cały majątek, obalę cię jednym zamachem, a wówczas będę miał do czynienia z człowiekiem złamanym, i zobaczymy, czy na pewnego rodzaju układy i warunki nie znajdziesz delikatniejszego terminu, niż szelmostwo».

Zdawałem sobie jednak zarazem sprawę, że to są sposoby nie moje, ale jakieś obce, które przyszły mi drogą czytania lub słyszenia, i których, gdyby nie rozpaczliwe moje położenie, nigdybym się nie chwycił, bo są mi wstrętne i wprost przeciwne mojej naturze. Pieniądze nie odgrywały nigdy roli w mojem życiu, ani jako środek, ani jako cel; uważam się za niezdolnego do władania podobną bronią; czułem, jakim jest poniżeniem dla mnie i dla Anielki wprowadzanie podobnego pierwiastku w nasze stosunki; sprawiało mi to tak niesłychane obrzydzenie moralne, żem sobie mówił: «Czy i tego rodzaju upadku sobie nie oszczędzisz? czy i z tego naczynia musisz się napić? Patrz, jak zstępujesz coraz niżej: dawniej do głowy nie przyszłyby ci podobne sposoby, które, na domiar wszystkiego, mogą się na nic nie przydać, a zostawią ci ostateczną dla siebie samego pogardę».

Istotnie dawniej, gdy zdarzało mi się czasem słyszeć ciotkę, mówiącą o sprawach pieniężnych Kromickiego i wyrażającą swe wątpliwości co do ich pomyślnego stanu, sprawiało mi to zawsze przykrość. W przewidywaniu, że on może kiedyś zażądać ode mnie pomocy, lub wezwać mnie do udziału w swych obrotach,

rozmyślałem, co w takim razie uczynię — i zawsze obiecywałem sobie, że stanowczo odmówię i pomocy i udziału — tak dalece nie chciałem, by w stosunek między mną a Anielką był wmieszany pieniądz. Pamiętam, że w tem widział pewną delikatność własnej natury i dowód szlachetności moich uczuć. Dziś doszło do tego, że chwytam za tę broń, jak gdybym był bankierem i całe życie wojował pieniędzmi!

Widzę ze wszelką pewnością, że moje postęпки i moje myśli są gorsze ode mnie — i często nie zdaję sobie sprawy, jakim sposobem się to dzieje. Prawdopodobnie dlatego, że nie mogę wyjść z manowców. Kocham kobietę szlachetną, miłość moja jest wielka, a jednak z tego zestawienia rodzą się krzywizny i błędne koła, w których gubi się mój charakter, zatraca się nawet szlachetność moich nerwów. Gdyś dawniej, w chwilach upadku, rzucał w kął moralność, zostawiało mi zawsze coś... jakieś poczucie estetyczne, za pomocą którego różniczkowałem samo zło. Dziś nie mam i tego, a raczej jest to we mnie bezsilne. Gdybym był przynajmniej zatracił jednocześnie w sobie świadomość szpetoty! Ale nie! Posiadam ją zawsze w równym stopniu, tylko że przestała ona być hamulcem i służy

mi jedynie do spotęgowania udręczeń. ~~X~~ Po za miłością dla Anielki niema we mnie miejsca na nic innego, ale świadomość nie potrzebuje miejsca. Gnieździ się ona i w miłości i w nienawiści i w bólu, jak rak gnieździ się w chorym organizmie. ~~X~~

~~4~~ Kto nie był w położeniu podobnem do mego, ten nie może mieć o niem pojęcia. Ja wiedziałem wprawdzie, że z miłosnych zawikłań mogą wynikać różne męki, ale wierzyłem w nie niedostatecznie. Nie myślałem, żeby były takie realne i takie nie do wytrzymania. Teraz dopiero rozumiem różnicę między «wiedzieć» a «wierzyć», teraz rozumiem, dlaczego francuski myśliciel powiedział: «Wiemy, że musimy umrzeć, ale w to nie wierzymy». ~~2~~

12 lipca.

Dziś mam pulsa rozbite i szum w głowie, bo zaszedł wypadek, na którego wspomnienie trzęsie się we mnie każdy nerw, jak w febrze.

Dzień był piękny, a wieczór jeszcze piękniejszy i pełnia. Postanowiliśmy zrobić wycieczkę do Hofgasteinu; jedna tylko pani Celina wolala zostać w domu. Ciotka, ja i Kromicki zeszliśmy zaraz do bramy ogrodowej willi, stamtąd Kro-

micki poszedł po powóz do Straubingera, my zaś z ciotką czekaliśmy na Anielkę, która pozostała jeszcze w domu. Gdy jej długo nie było widać, pobiegłem po nią i znalazłem ją na krętych zewnętrznych schodach, prowadzących z pierwszego piętra willi do ogrodu.

Ponieważ księżyc oświecał drugą stronę willi, ta zaś była zupełnie ciemna, więc Anielka zstępowała bardzo powoli. Schody szły wężem, prawie prostopadle na dół. Przyszła chwila, gdy głowa moja znalazła się na wysokości stóp Anielki, i zaledwie je dojrzałem, objąłem je dłońmi ze czcią największą i począłem przyciskać do nich moje spragnione usta. Miałem świadomość, że przyjdzie mi odcierpieć za te minuty szczęścia, ale nie potrafiłem i nie umiałem się ich wyrzec. Zresztą, Bóg widzi, ile było czci na moich ustach, których nie mogłem oderwać od tych kochanych nóg, i za ile męki płaciła mi ta chwila. Gdyby nie opór Anielki, byłbym jej stopę postawił na swojej głowie, na znak, że jej się oddaję raz na zawsze w służbę i w niewolę. Ale ona cofnęła się zaraz ku górze, ja zaś zbiegłem w jednej chwili na dół i począłem wołać tak, aby mnie ciotka, stojąca u bramy, mogła dosłyszeć:

— Idzie już Anielka, idzie!

Nie pozostawiało jej nic innego, tylko zejść, co mogła uczynić bez wszelkiej obawy, bom poszedł naprzód. W tej chwili też zajechał Kromicki z powozem. Anielka jednak, połączywszy się z nami, rzekła:

— Ja przyszedłam ciocię przeprosić: rozmyślałam się i nie chcę mamy samej zostawiać. Jedźcie państwo, a ja poczekam z herbatą.

— Ależ Celina ma się doskonale — odrzekła z lekkim niezadowoleniem ciotka — i sama zaproponowała tę wycieczkę, głównie dla ciebie.

— Tak, ale... — zaczęła Anielka.

Wtem Kromicki zbliżył się do powozu, i dowiedziawszy się o co idzie, rzekł sucho:

— Proszę nie robić trudności...

Anielka siadła za ciotką do powozu bez słowa odpowiedzi.

Mimo całego wzruszenia, zwróciłem uwagę i na ton Kromickiego i na milczące posłuszeństwo Anielki, a zwróciłem ją głównie dlatego, iż rano już zauważyłem, że przez cały dzień obejście się jego z nią było jeszcze chłodniejsze, niż poprzednio. Widocznie te same nieznane mi powody nieporozumienia, które już raz rzuciły chłód między nich, powtórzyły się znowu z więk-

szą siłą. Ale nie miałem czasu o nich rozmyślać; świeże wrażenie tych pocałunków, które złożyłem na nogach Anielki, ogarnęło mnie całkowicie. Odczuwałem zarazem rozkosz, radość i bojaźń. Z rozkoszy zdawałem sobie sprawę, bom ją odczuwał zawsze, ilekroć dotknąłem choćby jej ręki. Ale skąd brała się we mnie radość?... Z tego, iż odgadywałem, że ta nieugięta i niepokalana Anielka nie zdołała jednak uchronić się całkowicie przede mną i że w tej chwili musi sobie mówić: «I ja jestem na pochyłości i ja nie mogę patrzeć ludziom w oczy bez zmrużenia powiek: oto przed chwilą był u moich nóg człowiek, który mnie kocha, ja zaś muszę być poniekąd jego współniczką, bo jednak nie pójdę do męża i nie powiem mu: ukarż go — a mnie zabierz».

Ja także wiedziałem, że ona nie może tego zrobić bez narażenia stosunków rodzinnych, a choćby nawet mogła, nie zrobiłaby tego ze względu na zajście, jakie jej skarga musiałaby wywołać między mną a Kromickim. I jakiś głos szeptał mi pocichu: «Kto wie, kogo się ona boi więcej narazić?»

Położenie jej było istotnie wyjątkowe, ja zaś wyzyskiwałem je z całą świadomością, bez więk-

szych skrupułów od skrupułów wodza, który w czasie wojny wyzyskuje niepomysłne położenie nieprzyjaciela. Zadałem sobie tylko pytanie: «Czy uczyniłbyś to samo, gdybyś wiedział, że Kromicki pociągnie cię do osobistej odpowiedzialności?» Ponieważ mogłem sobie sumiennie odpowiedzieć: tak! — więc sądziłem, że na inne względy nie potrzebuję uważać.

Nie!... Kromicki budzi we mnie bojaźń tylko przez to, że może zabrać Anielkę i wywieźć ją Bóg wie dokąd. Rozpacz ogarnia mnie na samą myśl o tem.

Ale w tej chwili, w tym powozie, bałem się przedewszystkiem Anielki. Co będzie jutro? jak ona to przyjmie? czy jako zuchwałość, czy jako poryw czci i ubóstwienia? Miałem uczucie psa, który zbroiwszy, boi się, że będzie obity. Siedząc naprzeciw Anielki, starałem się w chwilach, w których światło księżyca padało na jej twarz, wyczytać z niej, co mnie czeka. Poglądałem na nią tak pokornie, byłem tak biedny, że sam litowałem się nad sobą, i zdawało mi się, że ona także powinna mieć nade mną litość. Ale ona nie patrzyła we mnie, tylko słuchała uważnie, lub udawała, że słucha tego, co do ciotki mówił Kromicki, który opowiadał obszer-

nie, coby zrobił i w jaki sposób osiągnąłby największe zyski, w razie, gdyby Gastein był jego własnością. Ciotka kiwała głową, on zaś powtarzał ustawicznie: «Nie prawda — co?» Widocznie było, iż chce wpoić w nią przekonanie, że ma obrotny rozum i że z każdego grosza potrafi zrobić dziesięć.

Droga do Hofgasteinu jest poprostu wrębem skalnym i kręci się nad przepaścią w licznych zwrotach. Światło księżycy padało, stosownie do skrętów drogi, naprzemian, to na nas, to na te panie. W twarzy Anielki widziałem tylko jakby łagodny smutek, ale już to dodawało mi otuchy, że wyraz jej nie był surowy. Nie otrzymałem ani jednego jej spojrzenia, pokrzepiałem się wszelako myślą, że gdy sama pogrążona jest w cieniu, a światło mnie oświeca, wówczas może ona patrzy na mnie, a może i mówi sobie: «Jednak nikt w świecie mnie tak nie kocha, jak on — i nikt zarazem nie jest tak nieszczęśliwy»... Bo to przecie była prawda.

Oboje milczeliśmy. Gadał ciągle tylko Kromicki; słowa jego mieszały się z szumem rzeki, płynącej na dnie przepaści, i z przykrym zgrzytem hamulca, który woźnica co chwila zakładał pod koła. Zgrzyt ów drażnił bardzo moje

nerwy, ale uciszała je natomiast ciepła a jasna noc. Mówilem, że była pełnia; księżyc wybił się nad góry i płynął po przestworzu, rozświecając czuby Bocksteinkoglu, lodowce Tischlkaru i przepaściste boki Grankoglu. Śniegi na szczytach błyszczały jasno-zielonem metalicznym światłem, a ponieważ stoki, leżące poniżej, zlewały się z ciemnością i nocą w jedną szarą masę, więc owe jasności śnieżne zdawały się wisieć w powietrzu, lekkie, jakby nie do ziemi należące. Taki był w tem urok i spokój, i było coś tak kojącego w tych uspionych górach, że mimowoli przyszły mi na myśl słowa:

- O takiej chwili, ach! dwa serca płaczą,
- Co mają sobie przebaczyć — przebaczą,
- Co mają sobie zapomnieć — zapomną... »

A właściwie ona mi miała do przebaczenia tylko to, że ucałowałem jej nogi; gdyby była posągiem świętej i stała w kościele, jeszczeby nie miała prawa gniewać się i obrażać za taki dowód czci. Pomyślałem sobie, że gdy przyjdzie do wyjaśnień, to jej to powiem, bo ją to powinno przekonać.

Myślę często, że dzieje mi się wielka krzywda z tego powodu, iż ona, może nie zdając sobie

sprawy, nie nazywając rzeczy po imieniu, uważa jednak moją miłość za uczucie czysto ziemskie, za poryw zmysłów. I ja nie przeczę, że ono jest splecione z różnych pasm, ale Anielka tego zdaje się nie rozumieć, iż są w niem nici niesłychanie idealne, poprostu jakby z poczyi wysnute. Nieraz zmysły moje usypiają, i kocham ją tylko duchowo, tak, jak człowiekowi wydaje się, że kocha w pierwszej młodości. Nieraz także, ten drugi człowiek, który we mnie siedzi i który wszystko rozbiera, sprawdza, a często i wyśmiewa, mówi mi: «Nie wiedziałem, że kochasz, jak student i jak romantyk! Ale tak! Może to jest śmieszne, ale kocham w ten sposób i czuję, że to nie jest sztuczne, i że właśnie dlatego miłość moja jest taka zupełna, a zarazem tem smutniejsza, im jednostronniej sądzona i bardziej nieuznawana.

✕ I teraz właśnie przyszła na mnie chwila uśpienia zmysłów, więc mówiłem w duchu do Anielki: «Czy ty myślisz, że idealne struny we mnie nie grają? A oto w tej właśnie chwili kocham cię w ten sposób, że ty nawet możesz i powinnaś się na takie uczucie zgodzić, i szkoda będzie, jeśli je zmarnujesz — bo sama nie straciłabyś nic, a mniebyś uratowała? Powie-

działbym sobie: oto jest mój świat, oto granice, w których mi żyć wolno — i miałbym choć cokolwiek i starałbym się przeistoczyć własną naturę, przejść na twoją wiarę i raz na zawsze się jej trzymać».

Zdawało mi się, że ona może i powinna zgodzić się na taki układ, po którym nastąpiłby między nami i dla nas obojga wieczny spokój. Obiecywałem sobie, że jej to powiem i przedstawię, a gdy uznamy, że dusze nasze należą raz na zawsze do siebie, to potem będziemy mogli choćby nawet się rozjechać. Obudziła się we mnie nieprzeparta nadzieja, że na taki układ ona się zgodzi, bo zrozumie, że bez niego życie stanie się nam obojgu niemożliwe.

Była godzina dziewiąta, gdy dojechaliśmy do Hofgasteinu. We wsi było już spokojnie; ani jednego powozu przed hotelami, w domach ciemno. Świeciły się tylko okna w gasthausach, a u Megera jodlowało kilka wcale niezłych głosów męskich. Gdyśmy stanęli, wysiadłem z powozu, chcąc zaproponować śpiewakom, czyby się nie chcieli popisać przed hotelem, pokazało się jednak, że to byli nie wieśniacy, ale jacyś alpinisci z Wiednia, którym niepodobna było ofiarować zapłaty. Kupilem dwa bukiety z edelwaj-

sów i innych kwiatów alpejskich. Wróciwszy do powozu, oddałem jeden Anielce, drugi rozwiązałem, niby niechący, tak, że rozrzucone kwiaty spadły pod jej nogi.

— Niech tam leżą — rzekłem, widząc, że chce się po nie schylić.

I poszedłem po trzeci bukiet dla ciotki. Zbliżając się do powozu, usłyszałem następne zdanie Kromickiego:

— I tu, w Hofgasteinie, gdyby urządzić dobrze drugi zakład, możnaby mieć sto od sta.

— A ty zawsze o tem samym? — spytałem go spokojnie.

I zadałem to pytanie umyślnie, było to bowiem to samo, co powiedzieć Anielce: «Patrz, gdy cała moja istota tobą jest tylko zajęta, on, obok ciebie, myśli o pieniądzach — porównaj nasze uczucia — i porównaj nas!»

Jestem niemal pewny, że ona mnie zrozumiała.

W powrotnej drodze kilkakrotnie usiłowałem zawiązać rozmowę, ale nie udało mi się wciągnąć w nią Anielki. Gdyśmy stanęli przy bramie willi, Kromicki poszedł z paniami na górę, ja zaś zostałem, by zapłacić powóz. Wróciwszy, nie znalazłem już Anielki przy herbacie. Ciotka

powiedziała mi, że czuła się nieco zmęczona, i poszła się położyć. Porwał mnie zaraz wielki niepokój, i począłem czynić sobie wyrzuty, że to ja ją męczę. Nie może być nic bardziej gnębiącego dla człowieka, który prawdziwie kocha, niż to poczucie, że przynosi zło i szkodzi istocie kochanej. Piliśmy herbatę w milczeniu, bo ciotka była senna, Kromicki także jakiś niespokojny, ja zaś dręczyłem się coraz bardziej. «Musiała — myślałem sobie — wziąć bardzo do serca mój postępek. Ona wszystko bierze ze złej strony». Czułem, że jutro będzie mnie unikała, i że pokój, który zawarliśmy między sobą, uważa za zerwany przeze mnie. Te myśli przejęły mnie strachem, i postanowiłem nazajutrz jechać, a raczej uciekać do Wiednia, raz dlatego, że bałem się Anielki, powtóre, że chciałem zobaczyć Chwastowskiego, a potrzecie myślałem — i Bóg jeden wie, z jaką goryczą — że jednak lepiej będzie uwolnić ją od mojej osoby i dać jej, choć przez dwa dni, wypoczynek.

15 lipca.

Cały szereg zdarzeń i wypadków! Nie wiem, od czego zacząć, bo ostatnie wrażenia najsilniejsze. Nigdy w życiu nie miałem tak jasnego

dowodu, że jednak ona nie jest dla mnie obojętna. Muszę się wysilać, żeby zachować porządek w opowiadaniu. Mam prawie pewność, że Anielka zgodzi się na te warunki, które jej przedstawię. Chwilami dostaję zawrotu głowy. Lecz oto zmuszam się do jakiegoś ładu w pisaniu i zaczynam od początku.

Byłem w Wiedniu. Wróciłem dziś wieczorem. Przywiozłem nieco wiadomości, o których pogadamy z ciotką.

Widziałem Chwastowskiego i rozmówiłem się z nim. Co to za dzielny chłopak!... Pracuje, jak wół, w klinice; zabrał się do pisania higieny dla ludu, którą brat jego, księgarz, ma wydawać w postaci kilkugroszowych małych broszurek; należy do różnych stowarzyszeń lekarskich i nielekarskich, których jest czynnym członkiem, a oprócz tego umie znaleźć czas na rozmaite wesole, może zbyt wesole, stosunki w okolicach Kärthnerstrasse. Nie wiem, do prawdy, kiedy ten człowiek sypia. Wygląda przytem bestya, jak Herkules jarmarkowy. Co za bujność życia: aż kipi!

Mówiłem z nim o powodach, które mnie sprowadziły do Wiednia, bez żadnych ogródek.

— Nie wiem, czy panu wiadomo, — powiedziałem — że i ja i ciotka posiadamy dość znaczne kapitały; nie potrzebujemy spekulować, ale bądź co bądź, gdybyśmy mogli włożyć je w jakie obroty, przynoszące znaczne zyski, zyski te przyszłyby do kraju. Przypuszczam także, że panu Kromickiemu moglibyśmy oddać przysługę — byłaby więc dwustronna korzyść. Mówiąc otwarcie, osoba jego, jako taka, jest nam dość obojętna, ale ponieważ stał się naszym krewnym, więc radzibyśmy byli przyczynić się do powiększenia jego majątku, naturalnie, o ilebyśmy mieli pewność, że sami nie poniesiemy przytem szkód.

— I chcielibyście państwo wiedzieć, jak stoją jego sprawy?

— Oczywiście. On naturalnie ma jak najlepsze nadzieje, i nie wątpię, że jest szczery. Chodzi tylko o to, czy się nie myli. Dlatego, jeśli panu brat pisał coś o tem, nie wymagając tajemnicy, to mi pan powiedz, a powtóre poproszę go pan, by umyślnie napisał do mnie i przedstawił mi jak najściślej cały stan rzeczy. Ciotka liczy w tym względzie na jego życzliwość dla siebie i na stosunki, które was łączą z nią dawniej, niż z Kromickim.

— Dobrze, powiem to bratu — odrzekł doktor. — On nawet pisał mi już coś o tem, ale co, to dobrze nie pamiętam, bo mnie to mało obchodziło.

To rzekłszy, począł szukać listu na biurku, wśród mnóstwa innych; znalazł go z łatwością i czytał, co następuje:

«Mało się nie skrećę. Kobiet tu nie, a przystojnej ani na lekarstwo...»

Tu roześmiał się i rzekł:

— Nie, to co innego. Temu byłoby dobrze w Wiedniu!...

I przewróciwszy stronicę, podał mi ją do czytania, ja zaś znalazłem małą tylko wzmiankę w kilku wierszach:

«Co się tycze Kromickiego — z naftą była kłapa. Z Rotschildami wojna niemożliwa, a on z nimi zadarł. Wycofaliśmy się, ale ze znaczną stratą. Ogromne pieniądze włożyliśmy w dostawy i zdobyliśmy monopol, z tego jednak są milionowe zyski, albo może być i odpowiedzialność. Wszystko zależy od dobrej woli. Staramy się robić jak najuczciwiej, więc mamy dobrą nadzieję. Potrzebamy tylko pieniędzy i pieniędzy, bo nas placą w stałych terminach, a ci, od których my bierzemy, żądają natychmiast, a w do-

datku często dają zły materyał. Wszystko teraz na mojej głowie» etc.

— To my dostarczymy pieniędzy — rzekłem, skończywszy czytać.

W powrocie do Gasteinu dużo nad tem rozmyślałem i odzywały się we mnie jakieś lepsze instynkta. «Co będzie, to będzie, — myślałem sobie — a tymczasem zamiast gubić Kromickiego, czyby nie prościej i uczciwiej było pomódz mu? Przecie Anielka potrafilaby ocenić taki postępek, i musiałaby ją ująć moja bezinteresowność — a o przyszłości niech Opatrzność rozstrzygnie».

Zastanowiwszy się jednak głębiej, spostrzegłem, że i w tych lepszych myślach egoizm mój gra pewną rolę. Oto przewidywałem, że Kromicki, dostawszy pieniędzy, wyjedzie zaraz z Gasteinu i uwolni mnie od wszystkich mąk, jakie mi zadaje obecność jego przy Anielce. Anielka zostanie sama wobec mego uczucia, z wdzięcznością w sercu dla mnie, z pewną niechęcią, a może i oburzeniem dla Kromickiego, choćby za to, że przyjął moją pomoc. Zdawało mi się, że położenie takie otwiera przede mną nowe widnokreśli. Przedewszystkiem jednak

chciało mi się pozbyć Kromickiego za wszelką cenę.

Jadąc, rozmyślałem nad moim stosunkiem do Anielki tak silnie, że ani się spostrzegł, kiedy przyjechaliśmy do Lend-Gastein. W Lend zastałem mnóstwo ludzi rannych i zabitych z powodu wypadku na bocznej linii do Zell am See; ale zaledwiem siadł do powozu, i to wrażenie, jakie mi sprawił widok ran i krwi, przeszło bez śladu, i znów myślałem tylko o naszym stosunku. Miałem poczucie, że potrzebuje on jakiejś reformy, że trzeba coś zrobić koniecznie, inaczej stanie się coś złego ze mną i z Anielką. Ale co należało uczynić? Widziałem jasno tylko jedno: że ona męczy i zabija mnie, a ja ją, bo gdy ja dążę do wszystkiego, a ona nie zgadza się na nic, tworzy się przez to takie rozdarcie między nami, taki dramat, że lepiejby dla niej było rzucić się w wodospady Achy, a dla mnie zlecieć wraz z powozem i końmi w przepaść. A oprócz tego doszedłem do przekonania, że nawet taka kobieta, która nie zgadza się na nic, musi wpaść w wewnętrzną straszną rozterkę, jeśli pokocha ją człowiek obcy. Bo oto Anielka nie zrobiła mi nigdy najmniejszego ustępstwa, a jednak ja od czasu do czasu całuję jej ręce i nogi,

jednak musi słuchać moich wyznań — i musi mieć cały szereg tajemnic przed matką i mężem; musi się przytem strzedz, pilnować, czuwać nad sobą i nade mną, nigdy nie wiedząc, dokąd mogę się posunąć. Życie w tych warunkach staje się dla nas obojga niemożliwe. Trzeba to skończyć.

Nareszcie zdawało mi się, żem znalazł rozwiązanie. Niech Anielka — myślałem sobie — zgodzi się na to uczucie i uzna je; niech mi powie: *«Jestem twoja! Sercem i duszą należę i będę wiecznie należała do ciebie. Ale na tem musisz poprzestać. Jeśli się na to zgodzisz, dusze nasze są od tej chwili poślubione»*.

I oczywiście obiecywałem sobie zgodzić się. Wyobrażałem sobie, że podam jej rękę i powiem jej: *«Biorę cię i przyrzekam, że więcej od ciebie nie będę żądał — że stosunek nasz będzie i pozostanie czysto duchowy — ale niemniej będę uważał te nasze wzajemne zobowiązania za ślub, ciebie zaś za moją żonę»*.

Czy taki układ był możliwy i kończył mek? Dla mnie równał się on ogromnemu ograniczeniu pragnień i nadziei, ale stwarzał mi świat własny, w którym Anielka należałaby do mnie niepodzielnie. Obok tego uprawniał on

moją miłość, a chodziło mi o to tak bardzo, że za to uznanie jej ze strony Anielki gotów byłbym oddać zdrowie. Widzę w tem dowód, jak dalece kocham tę kobietę, jak wszystkiemi siłami duszy chcę, żeby w jakikolwiek sposób należała do mnie.

Tak jest! Jam się już tak dalece zmienił, tak dalece przenaturzył, że za tę cenę gotów byłbym zgodzić się na wszelkie ograniczenia.

Więc począłem z największem wysileniem rozmyślać tylko nad tem, czy Anielka się zgodzi?

I zdawało mi się, że powinna.

Słyszałem naprzód siebie mówiącego do niej w sposób nieprzeparty:

— Jeśli rzeczywiście mnie kochasz — powiedz sama, nie jest-że wszystko jedno, czy to ustami wyznasz, czy nie? Co może być szlachetniejszego i świętszego nad taką miłość, jakiej od ciebie żądam? Ja i tak ci życie oddaję, bo nie mogę inaczej — zapytaj więc własnego sumienia, czy nie powinnaś mi przyznać choć tego? A przecie to jest stosunek Beatryczy do Danta. Takim uczuciem wolno się kochać nawet aniołom. Będiesz mi bliską tak, jak tylko dusza może być bliską drugiej duszy,

ale zarazem tak daleką, jakbyś żyła na najwyższym z tych szczytów. Jeśli to jest miłość nieziemska, jeśli zwyczajni ludzie nie mogą się na nią zdobyć, tembardziej jej nie odrzucaj, bo godząc się na nią, zostaniesz biała, jak śnieg, a uratujesz mnie, kupisz spokój zupełny i tyle szczęścia, ile go na świecie mieć można.

I czulem szczerze, że jest we mnie zasób na takie uczucie prawie mistyczne, wierzące, że z larwy ziemskiej i doczesnej wyrodzi się jakiś wieczny motyl, który, oderwany od warunków ziemskiego bytu, będzie leciał z planety na planetę, póki nie połączy się z duszą wszechistnienia. Po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że ja i Anielka możemy, jako kształty, przejść, a miłość nasza może nas przetrwać, zostać i być właśnie naszą nieśmiertelnością. Kto wie — myślałem — czy to nie jest jedyna istniejąca forma nieśmiertelności, czulem bowiem najwyraźniej, że w mojem uczuciu jest coś wiecznego i wyłamującego się z pod zmienności zjawisk. Trzeba bardzo kochać, żeby się uzdolnić do podobnych poczuć i widzeń, trzeba także być nieszczęśliwym, a może i stanąć na granicy oblakania.

Ja na granicy obłąkania chyba jeszcze nie stoję, ale coraz częściej zanurzam się w mistycyzm i nigdy nie czuję się szczęśliwszy, niż wówczas, gdy się tak zgubię, tak rozproszę, że nie mogę odnaleźć własnego ja. I rozumiem, dlaczego tak jest. Moje zdwajanie się, moja krytyka wewnętrzna wystarczały mi zawsze do rujnowania wszystkich podstaw życia, a tem samem do psucia tego względnego szczęścia, jakie dać mogą owe podstawy. W tych zaś krajach, gdzie zamiast sylogizmów występują poczucia i wizye, nie mam co ze swoją krytyką robić, więc wypoczywam i doznaję ulgi niezmiernej.

Tak wypoczywałem, dojeżdżając do Gasteinu. Widziałem siebie i Anielkę duchowo poślubionych, spokojnych. Doznawałem uczucia dumy na myśl, żem jednak potrafił wydostać się z błędnego koła i że wynalazłem sposób do szczęścia. Byłem pewien, że Anielka poda mi z radością swoją ukochaną rękę na taką wspólną podróż.

Nagle zbudziłem się, jak ze snu, spostrzegłem bowiem, że moja własna ręka jest zupełnie zakrwawiona. Pokazało się, że powóz przewoził rannych wskutek kolejowego wypadku.

Na bokach siedzenia odnalazłem w zagięciach dużo krwi, której woźnica nie dostrzegł i nie wytarł. Mój mistycyzm nie idzie tak daleko, abym miał wierzyć w mieszanie się potęg nadziemskich do ludzkiego życia, zwłaszcza pod formą znaków, ostrzeżeń i wróżb. Ale jeśli nie jestem sam przesądny, umiem natomiast doskonale wejść na tor myśli człowieka przesadnego, a zatem zauważyć i zaznaczyć, co jest dziwnego w danem zdarzeniu. W tej chwili dziwnem było to, że w tym samym powozie, w którym zacząłem snuć obrazy nowego życia, prawdopodobnie dopiero co jakieś życie zagasło, a powtórę, że o zgodzie i pokoju myślałem z pokrwawionemi rękoma. Podobne zestawienia napelniają zawsze każdego nerwowego człowieka smutnemi — nie przeczuciami — ale wrażeniami — i mogą rzuścić posępny cień na cały bieg jego myśli.

Niezawodnie też i moje sposepniałyby niebawem, gdyby nie to, że byłem już niedaleko od Wildbadu. Naraz, jadąc zwolna pod górę, spostrzegłem powóz, pędzący z pochyłości niezwykle szybko. «Znów mógłby być wypadek, — pomyślałem — zwłaszcza, że na tej stromej drodze trzeba się mijać z wielkimi ostrożnościami». Lecząc w tejże chwili woźnica owego po-

wozu zahamował koła ze wszystkich sił, tak, że konie jego przeszły niemal w stępa... Nagle, z ogromnem zdziwieniem, zobaczyłem w owym powozie ciotkę i Anielkę, które na mój widok poczęły krzyczeć: «Jest! jest! Leonie! Leonie!» W jednej minucie byłem przy nich. Ciotka zarzuciła mi oba ramiona na szyję i, powtarzając: «Chwała Ci, Boże!» — oddychała tak gwałtownie, jak gdyby piechotą biegła z Wildbadu. Anielka chwyciła moją rękę i nie puszczała jej. Nagle okropne przerażenie odbiło się w jej twarzy, i krzyknęła:

— Tyś ranny!

Zrozumiałem o co idzie i odpowiedziałem natychmiast:

— Ani trochę! Nie byłem przy wypadku. Pokrwawilem się o powóz, który przewoził rannych.

— Pewno? pewno? — pytała ciotka.

— Najpewniej.

— Co to za pociąg się rozbił?

— Idący do Zell am See.

— O Boże! Boże! A depesza przyszła, że wiedeński! Małom nie umarła. O Boże, co za szczęście! Chwała Bogu! chwała Bogu!

Ciotka poczęła ocierać pot z czoła; Anielka

moich rękach, jej rozjaśnioną, pełną radości twarz, gdy okazało się, że nawet nie byłem świadkiem wypadku; widziałem, że jeszcze była wzruszona i że chce się jej płakać ze szczęścia. Rozplakałaby się nawet niezawodnie, gdybym wziął jej ręce i powiedział jej, że ją kocham, i prawdopodobnie jużby mi rąk nie cofnęła. A gdy wszystko to stało mi się jasne, jak dzień, zdawało mi się, że przyszedł koniec mojej męki, że życie moje przelamie się od tej chwili, i że rozpocznę nowy okres istnienia. Nie próbuję nawet opisać, co czulem, jaka radość rozsadzała mi piersi. Od czasu do czasu spoglądałem na nią wzrokiem, w którym usiłowałem skupić całą moją ogromną miłość, a ona uśmiechała się do mnie. Dostrzegłem, że była bez rękawiczek i okrycia. Widocznie zapomniała o wszystkim w przeżeniu i pośpiechu. Że zaś czyniło się chłodno, więc okryłem ją własnym paltotem. Trochę się broniła, ale ciotka kazała jej wziąć go.

Za powrotem naszym do willi, pani Celina powitała mnie z wylaniem i serdecznością taką, jak gdyby w razie mojej śmierci Anielka nie była jedyną spadkobierczynią majątku Płoszowskich. To są tak szlachetne i zacne kobiety, że ze świecą trzeba by szukać podobnych. Nie rę-

czę natomiast, czy Kromicki, gdy za powrotem z Nassfeld dowiedział się o całym przejściu, nie westchnął z cicha i nie pomyślał, że jednak świat szedłby zwykłym biegiem, gdyby zabrakło na nim Płoszowskich.

Przyszedł zmęczony i kwaśny. Belgowie, których poznał i z którymi jechał do Nassfeld, byli to kapitaliści z Antwerpii. Nazwał ich kilkakrotnie idiotami za to, że zadowalają się trzecim procentem od swoich kapitałów. Powiedział mi wreszcie na odchodnem, że jutro musi ze mną w ważnej sprawie pomówić. Dawniej byłbym się tem zaniepokoił, obecnie domyślam się, że to będą jakieś finansowe propozycje. Byłbym go natychmiast wezwał na tę rozmowę, ale chciałem zostać sam z moimi myślami, z moim szczęściem, z moją Anielką w sercu i w duszy... Uścisnąłem jej rękę na dobranoc, jak człowiek, który kocha, a ona oddała mi równie gorąco uścisk. Czyś ty już moja naprawdę?

16 lipca.

Rano, zaledwie skończyłem się ubierać, ciotka przyszła do mego pokoju, i po powitaniu, rzekła bez żadnych wstępów:

— Wiesz, w czasie twojej niebytności Kro-

miecki zaproponował mi, bym z nim weszła do spółki.

— A ciocia co mu odpowiedziała?

— Odmówiłam bez namysłu. Powiedziałam mu tak: mój kochany, ja z łaski Boga mam dosyć, a Leon po mojej śmierci będzie należał do zamożniejszych ludzi w tym kraju. Po co nam rzucać się w jakieś awantury i kusić Opatrzność? Jeśli ty na swoich przedsięwzięciach zrobisz miliony, zrób-że je dla siebie; jeśli stracisz — dlaczego mamy tracić razem z tobą? Ja się na tego rodzaju sprawach nie znam, a nie mam zwyczaju wdawać się w rzeczy, o których nie mam pojęcia. Czy miałam słuszność?

— Najzupełniej.

— Właśnie chciałam z tobą o tem pomówić, i rada jestem, że tak samo na rzeczy patrzysz. On, widzisz, trochę się obraził za to, żem nazwała jego roboty awanturami, począł mi jednak przedstawiać widoki, jakie ma na przyszłość, i tłumaczyć całą tę historię obszernie. Jeśli to wszystko prawda, to istotnie robi miliony — i życzę mu, by je zrobił. Ale spytałam go zaraz: jeśli ci tak dobrze idzie, na co ci spółki?... Powiedział mi, że im się więcej pieniędzy włoży, tem większe będą zyski — że tam się wszystko

robi forsa i że woli do zysków dopuścić rodzinę, niż obcych. Podziękowałam mu za te uczucia rodzinne, ale powtórzyłam odmowę. Widziałam, że mu to jest bardzo przykro. Zaczął ubolewać nad tem, że nikt się u nas nie rozumie na interesach, a wszyscy tylko zjadają to, co odziedziczyli. Powiedział mi bez ogródki, że to jest grzech względem społeczeństwa, na co ja znowu się rozgniewałam. «Mój kochany, — powiadam — jam gospodarowała po kobiecemu, alem grosza nie straciła i jeszcze przymnożyłam majątku, a o grzechach społecznych, jeśli komu wypada mówić, to nie tobie, który sprzedajesz Głuchów. Chciałeś całej prawdy, to ją masz! Gdybyś był nie sprzedał Głuchowa, miałabym do ciebie więcej ufności. O twoich przedsięwzięciach nietylko ja nie wiem, ale są one dla wszystkich ciemne; jedno tylko widzę jasno, że gdyby one naprawdę były tak dobre, jak mówisz, tobyś spółników nie szukał i nie brał tak do serca mojej odmowy. Szukasz, bo ci tego trzeba, ale i przed chwilą nie byłeś ze mną zupełnie otwarty, a ja tego nie lubię».

— I cóż on?

— On mi na to odrzekł, że przedewszystkiem nie rozumie, dlaczego na niego spada odpowie-

działność za sprzedaż Głuchowa. Głuchów wypuścił z rąk nie on, ale ci, co przez brak rozumu, niedołęstwo, lekkomyślność i rozrzutność uczynili jego sprzedaż konieczną. Anielka, wychodząc za niego, miała tylko dlugi. On uratował tyle, ileby nikt inny uratować nie potrafił, i za to, zamiast wdzięczności, spotyka się z przyrównówkami i... czekaj... jak to on się wyraził?... z patetyczną deklamacją.

— To nie prawda — rzekłem. — Głuchów można było uratować.

— To samo mu powiedziałam, a w dodatku jeszcze i to, że na Głuchów byłabym pożyczyla pieniędzy. «Mogłeś (mówię) przed sprzedażą napisać słowo do Anielki, żeby ze mną o tem pomówiła, a Bóg widzi, czybym się była chwilę wahała... Ale to twój system, żeby nikt nie nie wiedział. Wszyscy wierzyliśmy w twoje miliony, i dlatego tylko nie ofiarowałam pomocy». On się począł śmiać ironicznie. «Anielka — powiada — jest za wielka pani i za idealna istota, żeby się miała zniżać do takich marności, jak są sprawy pieniężne, albo też przemówienie w interesie męża. Dwakroć teraz ją prosiłem, by z ciotką pomówiła w kwestyi spółki, i dwukrotnie odmówiła mi stanowczo. Co do ratunku

Gluchowa, łatwo teraz mówić, gdy sposobność pomocy minęła. Wnosząc z odmowy, jaka mnie dziś spotyka, mam prawo wątpić, czyby i z ratunkiem Gluchowa nie było tak samo».

Począłem wsłuchiwać się z zajęciem, bo teraz stały mi się jasne te nieporozumienia między Kromickim a Anielką — ciotka zaś mówiła dalej:

— Jakem to usłyszała, tak powiadam: «Widzisz, mój kochany, jak w tobie mało szczerości; mówiłeś mi z początku, że tylko dlatego proponujesz mi spółkę, bo wolisz, iżby rodzina zyskała, niż obcy ludzie, a teraz pokazuje się, że to tobie samemu na tem zależy». On, że to mu sprytu istotnie nie brak, odpowiedział mi, że w tego rodzaju sprawach korzyść powinna być dwustronna i że naturalną jest rzeczą, że mu także na tem zależy, by rozporządzał jak największymi kapitałami, bo interesa mają to do siebie, że im na szerszej wspierają się podstawie, tem są pewniejsze. «Zresztą, — dodał — biorąc Anielkę bez posagu, miałem nadzieję, że mogę liczyć na pomoc rodziny, przynajmniej w tych wypadkach, w których ta pomoc będzie dla samej-ze rodziny korzysną». Zły był ogromnie, a zwłaszcza rozgniewał się, gdy mu

odpowiedziałam, że Anielki bez niczego nie wziął, bo ja jej zapiszę dożywotnią rentę.

— Powiedziała to ciocia?

— Tak jest. Powiedziałam wszystko, com miała pod sercem. «Anielkę kocham, jak rodzone dziecko, — powiedziałam — i właśnie dlatego, by ją ubezpieczyć, zapisuję jej nie kapitał, ale rentę. Kapitał (mówię) mógłby przepaść w twoich przedsiębiorstwach, które, Bóg wie, jak wypadną, a renta zapewni Anielce przynajmniej środki do dostatniego życia. Jeśli (powiadam) będziecie mieli dzieci, to dzieci dostaną kapitał po śmierci Anielki — i oto jest moja pomoc główna, obok której jestem zresztą gotowa do wszelkich mniejszych usług».

— I na tem skończyła się rozmowa?

— Prawie na tem. Widziałam, że jest ogromnie rozdrażniony. Myślę, że w duszy gniewało go i to, że Anielce zapisuję rentę, nie kapitał, bo z tego mógł odgadnąć, jak mało ufam jego przedsiębiorstwom. Odchodząc zapowiedział, iż postara się o spółników między obcymi, sądzi, bowiem, że nie znajdzie między nimi mniej życzliwości, a spodziewa się znaleźć dokładniejsze rozumienie interesów. Zniosłam tę przymówkę z cierpliwością. Wczoraj on poszedł na wyciecz-

kę z Belgami, ale wrócił z niej niekontent. Do-
myślałam się, że chciał ich wciągnąć do spółki,
i że również się zawiódl. Wiesz, Leonie, co ja
teraz myślę? Oto, że jego sprawy źle stoją, skoro
tak gorączkowo szuka spółników. I powiem ci,
że ta myśl mnie gryzie — jeśli bowiem tak jest,
to prosta ostrożność nakazuje nie przystępować
do spółki, ale jeszcze prostszy obowiązek ro-
dzinny nakazuje pomódz mu, choćby ze względu
na Anielkę. Dlatego właśnie chciałam z tobą
pogadać.

— Jego interesa nie są tak rozpaczliwe, jak
ciocia sądzi — odrzekłam.

I począłem opowiadać, czegom się dowiedział
przez doktora Chwastowskiego. Powiedziałem
ciotce, że jużem się dawno był domyślił z sa-
mego zachowania się Kromickiego, że on szuka
i potrzebuje pieniędzy — i potrochu dlatego jeź-
dziłem do Wiednia. Ciotka tak była zachwyco-
na moją przenikliwością i taktyką, że chodząc
po pokoju, rozpoczęła z sobą monolog, z nie-
odstępniem zawsze pomrukiwaniem: «We wszyst-
kiem genialny!...» — nakoniec oświadczyła, że
całą sprawę zdaje na mnie i że zrobi, co posta-
nowię.

To rzekłszy, zeszła na dół, ja zaś przejrza-

lem jeszcze swój wczorajszy dziennik i w pół godziny później podążyłem również w jej ślady. Zastąpiłem całe towarzystwo przy herbacie, ale za ledwie rzucił okiem na twarze, spostrzegłem, że znowu musiało się zdarzyć coś niezwykłego, bo Anielka miała minę zaleknioną, pani Celina zboliała, a zająca twarz ciotki była zarumieniona od gniewu. Jeden Kromicki czytał niby spokojnie gazetę, ale był kwaśny i wyglądał przytem tak mizerny, jakby po chorobie.

— Czy wiesz, — rzekła ciotka, ukazując Anielkę — co ta bieda oświadczyła mi na dzień dobry?

— Nie wiem — odrzekłem, siadając do stolika.

— Ni mniej, ni więcej, tylko to, że za dwa tygodnie, jeżeli zdrowie Celiny pozwoli, wyjeżdżają sobie gdzieś do Odesy, czy jeszcze dalej.

Gdyby piorun uderzył był w tej chwili w stół, nie byłbym się więcej zdumiał i przeraził. W pierwszej chwili poprostu serce zamarło we mnie.

Spojrzałem na Anielkę, która zaczerwieniła się, jakby złapana na jakimś niegodnym siebie uczynku, i wreszcie począłem pytać: «Co? dokąd? czemu?»

— «Robią mi kłopot w Płoszowie» — rozumiesz — mówiła, przedrzeźniając Anielkę ciotka — «nie chcą mi być ciężarem» — miłosierne dusze! Myślą widocznie, że mi potrzebna samotność, i że, jeśli, gdy tobie wypadnie dokąd wyjechać, zostanę na starość sama, wśród czterech ścian w Płoszowie, to mi będzie zdrowiej i weselej... Naradzały się nad tem całą noc, zamiast spać.

Tu ciotka wpadła w gniew jeszcze większy, i zwróciwszy się do Kromickiego, spytała:

— Czy to ty prezydowałeś na tej naradzie?

— Bynajmniej — odrzekł Kromicki; — wcale mnie nie wezwano, ale ponieważ przypuszczam, że moja pani małżonka postanowiła i dlatego wyjechać, żeby być mnie bliżej, więc muszę być jej wdzięczny za to postanowienie.

— To tylko projekt... — ozwała się Anielka.

Ja, przepomniawszy wszelkich ostrożności, patrzyłem wciąż na nią, ona zaś nie śmiała oczu podnieść, co mnie tembardziej utwierdzało w przekonaniu, że to moja osoba wpłynęła głównie na ten zamiar. Słów mi brak na opisanie tego, com czuł w owej chwili, i jakaś śmiertelna gorycz zalała mi serce. Anielka dobrze to wiedziała, że żyję tylko dla niej, istnieję tylko przez

nią, że wszystkie moje myśli należą do niej, wszystkie czynności ją tylko mają na celu, że ona jest dla mnie kwestyą życia lub śmierci — i pomimo to, z całym spokojem zrobiła sobie postanowienie wyjazdu. A czy ja zginę, czy sobie leć o mur rozbiję — o tem nie pomyślała. Takich rzeczy nie bierze się pod uwagę. Będzie spokojniejsza, nikt nie będzie wil się w jej oczach, jak chrąbaszcz na szpilce, nikt nie będzie całował jej nóg, niepokoił jej cnotliwego sumienia — a to właśnie jest wszystko, czego jej trzeba. Jak można się wahać, gdy taki wybor-ny spokój kupuje się za tak marną cenę, jak poderznięcie gardła człowiekowi!

Podobne myśli przelatywały mi tysiącami przez głowę; czułem truciznę w ustach. «Jesteś cnotliwą i zostaniesz cnotliwą, — mówiłem w duchu do Anielki — ale to dlatego, że ci brak serca. Gdyby pies przywiązał się tak do ciebie, jak ja się przywiązałem, jeszczeby mu się coś od ciebie należało. Nie zrobiłaś mi nigdy najmniejszego ustępstwa, nie ukazałaś mi nigdy iskry litości, nie przyznałaś nigdy nie, a odjęłaś zawsze, coś tylko mogła odjąć. Gdybyś mogła, odjęłabyś mi nawet możliwość patrzenia na siebie, choćbyś miała zupełną pewność, że bez

twego widoku, oczy moje zagasną raz na zawsze. Ale teraz rozumiem cię nareszcie dobrze, teraz wiem, że twoja nieugiętość jest właśnie dlatego tak wielka, że serce twoje jest tak małe. Jesteś suchą i zimną kobietą, a cnota twoja to nie innego, tylko wygórowany egoizm, który chce przedewszystkiem pozostać spokojnym i dla swego spokoju gotów wszystko poświęcić».

Przez cały czas śniadania nie ozwałem się ani słowa. Poszedłszy do siebie na górę, porwałem się za głowę i począłem myśleć swoim obolałym i zmęczonym mózgiem nad tem, co zaszło. Myśli moje nie traciły jednak goryczy. Kobiety o małym sercu pozostają częstokroć nieugięte przez pewne filisterstwo cnoty. Chcą przedewszystkiem mieć w porządku swoje księgi rachunkowe, tak, jak pierwszy lepszy sklepikarz. Boją się one tak miłości, jak episyer boi się za-
burzeń ulicznych, wojny, wielkich słów egzaltowanych głów, zuchwałych myśli, zuchwałych zamiarów i polotów. Przedewszystkiem — spokój, bo tylko w spokoju idą dobrze prawdziwe, pozytywne interesa. Co przekracza zwykłą, rozsądną, a zarazem pospolitą miarę życia, jest złem i zasługuje na pogardę ludzi rozsądnych. Cnota ma swoje góry i otchłanie, ale ma także

swoje płaszczyzny. Poraleń się teraz z pytaniem niesłychanie bolesnem: czy Anielka nie należy do takich płasko-cnotliwych kobiet, które chcą być bezwarunkowo w kupieckim z sobą porządku — i dlatego nie poddają się miłości, że to jest rzecz, przerastająca miarę ich serc i głów? Ogarniałem całą przeszłość — i szukałem w niej dowodów. Kto wie, — mówiłem sobie — czy ten jej prosty kodeks, który mnie ubezwładnia i gniecie, nie wspiera się właśnie na takiej podstawie? Bo mnie się nieraz zdawało, że to jest istotnie jakaś wyjątkowa natura, różna od wszystkich innych kobiet, niedostępna, jak śnieżny szczyt alpejski, dlatego, że pozbawiona pochyłości i strzelająca prostopadle ku niebu. Ale oto ta strzelista natura uważa za rzecz w zupełnym porządku, że pantofle męża depcą po owych śniegach. Co to jest? Ilekroć podobne myśli opadają mi głowę, czuję, że jestem bliski szaleństwa, czuję wściekłość, i gdybym mógł jednym zamachem zwalić, a potem zdeptać i oplwać te ohydne formy życia, tobym zwałił, zdeptał i oplwał i pogroził w chaos cały świat i stał z jego powierzchni wszelkie istnienie. Budowałem, wracając z Wiednia, jakiś nadziemski gmach, w którym miałem kochać

Anielkę taką miłością, jaką Dant kochał Beatrycę; zbudowałem go z cierpień, w których moja miłość oczyściła się jak w ogniu, ze zrzeczeń się, z ofiar, byle tylko w jakikolwiek sposób, choćby zaświatowy, choćby poprostu anielski, należeć do niej i czuć, że ona należy do mnie. A teraz przyszło mi do głowy, że nawet nie warto jej mówić o tem, bo ona tego nie rozumie, że nie warto prowadzić jej na te wyżyny, bo jej tam zbraknie oddechu. Ona zgodziłaby się może w duszy na to, bym ją kochał i cierpiał — to zawsze gladzi miłość własną — ale na żaden układ, na żaden związek, nawet najbardziej duchowy, na żadną przynależność do mnie, choćby dantejską, ona się nie zgodzi, bo mnie nie pojmie, bo ona pojmuje jedną tylko przynależność i jedno prawa — takie, jakie daje szlafrok męża — i dusza jej nie jest w stanie wznieść się ponad płaską i nędzną buchalteryę małżeńską.

Ogarnął mnie żal ogromny, szczery i mocny, żem nie był w owym pociągu, który spadł z nasypu. Żal ten płynął zarówno z serdecznego oburzenia na okrucieństwo Anielki, jak i z wyčerpania, przechodzącego wszelką miarę sił, zarówno duchowych, jak fizycznych. Śmierć

przedstawiła mi się tak, jak się przedstawia wypoczynek temu, kto przy kochanym chorym spędził kilkanaście bezsennych nocy. I przytem pomyślałem, że gdyby mnie przywieziono zakrwawionego do Gasteinu, to przecie możeby się w tej kobiecie coś poruszyło. A szło mi o to, nawet i w owej chwili, więcej, niż o wszystko inne. Myśląc o tem, przypomniałem sobie nagłe tę wczorajszą Anielkę, która wyjechała z ciotką naprzeciw mnie; przypomniałem sobie jej przerażenie, jej następną radość, te oczy, do których cisnęły się łzy, te roztargane włosy, i miłość niezmierna, stokroć rzeczywistsza od wszelkich sądów i rozumowań, ogarnęła mnie całego. Był to jakby gwałtowny, chwilowy odruch serca, które zaraz potem zaczęło znów zalewać się jadem zwątpień. To wszystko, com widział wczoraj w powozie, mogło tłómaczyć się inaczej.

Kto wie, czy moja osoba, czy też osoba ciotki odgrywała w tem większą rolę? Zresztą kobiety wrażliwe mają zawsze do rozporządzenia cały kapitał współczucia nawet dla obcych, nie dopiero dla krewnych, zwłaszcza, gdy jaka katastrofa zaskakuje je niespodzianie. Dlaczego i Anielka nie miała się przerazić wieścią o mo

jej śmierci, a ucieszyć się, zobaczywszy mnie żywego? Gdyby zamiast niej bawiła przy ciotce pani Sniatyńska, prawdopodobnie przełękłaby się, a następnie ucieszyła się tak samo, i widziałbym ją tak samo bez rękawiczek, z włosami w nieładzie i bez kapelusza na głowie. Zdawało mi się, że pod tym względem nie mam się co ludzić. Anielka dobrze wiedziała, że jej wyjazd będzie i większą i wprost niebezpieczniejszą katastrofą, niż rozbicie głowy w pociągu, albo utrata ręki lub nogi — a jednak nie zawahała się ani na chwilę. Czulem doskonale, że to był jej pomysł. Chciała oto być bliżej małżonka, a co się ze mną stanie — to nie było wzięte w rachubę.

I znowu poczułem, że błędę z gniewu, zawieści, oburzenia, i że krok jeden oddziela mnie od szaleństwa. «Czekaj! — mówiłem sam do siebie, trzymając rękoma skronie — czekaj!... Może ona dlatego wyjeżdża, że cię kocha i że czuje, iż dłużej ci się nie oprze?» Ach, tak! I takie myśli były we mnie, ale nie znalazły w tej chwili odpowiedniego gruntu i zginęły, jak owe nasiona, które padną na opokę, a poruszyły tylko rozpaczliwą ironię. Literalnie targalem w sobie wnętrzości. «Tak, — mówiłem w duchu — to

jest miłość podobna do tej troskliwości, przez którą wyciągają konającemu poduszkę z pod głowy, żeby mniej głośno chrapał i krócej się męczył. Ja będę krócej się męczył, a za to Kromickiemu będzie łatwiej odjeżdżać z pociechą, której ta idealna istota przywykła oczekiwać od małżonka».

I Anielka stała mi się w tej chwili nienawistną. Pierwszy raz w życiu poczułem, że wolalbym, gdyby ona naprawdę kochała Kromickiego — byłaby mi mniej wstrętą! Gniew i zawziętość odbierały mi przytomność, widziałem jasno tylko to jedno: że jeśli czegoś nie uczynię, jeśli nie zemszczę się nad nią w jakikolwiek sposób, to stanie się ze mną coś strasznego. Zerwałem się pod wpływem tej myśli, jakby dotknięty rozpalonem żelazem i, chwyciwszy kapelusz, poleciałem szukać Kromickiego.

Nie znalazłem go w domu, ani w ogrodzie. Poszedłem pod Wandelbahn — następnie do czytelnicy, nie było go i tam. Przez chwilę przystanąłem na mostku przy wodospadach, namyślając się, gdziebym mógł go znaleźć. Wiatr wiał od strony kaskad i rzucał mi w twarz tumany wodnego pyłu. Sprawilo mi to ogromną ulgę i przyjemność. Zdjąwszy kapelusz, wystawiłem

głowę na ów pył, i wkrótce włosy moje były mokre. Czulem jakąś zwierzęcą rozkosz w tym chłodzie. Oprzytomniałem. Powstała mi tylko wyraźna i stanowcza wola pomieszaną zamiarów Anielki. Mówilem do niej: «Wiedz, że nie pojedziesz, a potem będę się z tobą obchodził, jak człowiek, który cię zapłacił». Widziałem też teraz jasno środki, które mogły mnie doprowadzić do celu, i nie miałem obawy, abym popelił jakie głupstwo, rozmawiając z Kromickim. Opanowałem się pod tym względem zupełnie.

Kromickiego znalazłem czytającego gazety przed hotelem Straubingera. Ujrzawszy mnie, wypuścił monokl z oka i rzekł:

— Właśnie miałem iść do ciebie.

— Chodźmy na Kaiserweg.

I poszliśmy.

Nie czekając, aż Kromicki zacznie pierwszy, przystąpiłem do rzeczy.

— Ciotka mówiła mi — rzekłem — o waszej wczorajszej rozmowie.

— Żałuję, że ona miała miejsce — odrzekł Kromicki.

— Boście oboje nie mówili tak spokojnie, jak się powinno mówić o interesach. Mój kochany, pozwolisz, że będę z tobą zupełnie otwarty. Trzeba

ciotkę znać. Ona jest najzacniejsza w świecie kobieta, ale ma jedną słabość, zresztą zupełnie zrozumiałą. Mając istotnie dużo trzeźwego rozumu, lubi zaznaczać, że go ma — i dlatego na wszystko, co się jej przedkłada, woli patrzeć z niedowierzaniem, choćby nieco przesadnem. Z tego również powodu odpowiada zrazu najczęściej odmownie. Stary Chwastowski mógłby ci coś o tem powiedzieć. Trzeba jej zostawić czas do namysłu — a przede wszystkim nie zadrażnić jej, bo wówczas się zacina; ty zaś nie umiałeś tego unikać.

— Ale czem ja ją mogłem zadrażnić?... Jeśli kto, to ja umiem przecie gadać o interesach.

— Żleś zrobił, żeś wspomniał, iż wziąłeś Anielkę bez posagu. Ciotka dotąd o to zła.

— Powiedziałem to wówczas, gdy mi poczęła wymawiać sprzedaż Głuchowa. Zresztą, powiedziałem prawdę. Głuchów tak był obciążony, że Anielce nic się z niego nie należało.

— Właściwie mówiąc, po coś ty ten nieszczęśliwy Głuchów sprzedawał?

— Bom sobie mógł tem ująć kogoś, od kogo cały mój przyszyły majątek, zatem cały los zależy. Jak się nie ma wyboru, to się robi to, co

się musi — co? Oprócz tego zapłacono mi dobrze.

— Więc mniejsza o to. Ciotkę twoje słowa ubodły tem więcej, że ona myśli o Anielce.

— Myśli jej zapisać rentę.

— Więc ci powiem pod sekretem, że bynajmniej. Wiem, że tobie tak wczoraj powiedziała, właśnie dlatego, żeś ją rozgniewał. Chciała ci dać przez to do zrozumienia, że twoim zdolnościom do interesów nie ufa. Ale bynajmniej. Ze mną nieraz o tem mówiła, i ja, jako przyszły jej spadkobierca, mogę najlepiej o tem wiedzieć...

Kromicki spojrzał na mnie bystro.

— I ty przecie tracisz na tem, jako przyszły spadkobierca.

— Tak, — rzekłem — ale ja nie wydaję nawet swoich dochodów, dlatego mogę o tem mówić z taką zimną krwią. Ciebie, jako człowieka interesów, może to dziwi. Jeżeli inaczej sobie tego wytłumaczyć nie możesz, przypuść, że jestem oryginał. Bywają i tacy na świecie. Otóż zapowiadam ci, że po pierwsze: nie myślę ograniczać hojności ciotki, a powtóre, że wiem z pewnością, iż ciotka myśli wyposażyć Anielkę nie rentą, ale wprost gotowizną. Naturalnie, że mój wpływ na ciotkę mógłby odegrać ważną w tem

rolę, ale ci zapowiadam, chcesz wierzyć, chcesz nie wierzyć, że użyję go raczej na twoją korzyść, niż na szkodę.

Kromicki uściśnął mi silnie rękę. Ramiona jego poruszały się przytem zupełnie, jak ramiona drewnianego manekina. Był mi w wysokim stopniu wstrętny. Przypuszczam także, że miał mnie bardziej za głupca, niż za dziwaka. ale wierzył mi, o to zaś chodziło mi przede wszystkim. Wierzył zresztą słusznie, gdyż w tej chwili była to rzecz postanowiona w moim umyśle, że Anielka dostanie gotowiznę, nie rentę.

Czułem także, iż Kromickiego pali ochota zapytać mnie: ile? i kiedy? Zrozumiał jednak, że byłoby to zbyt niedelikatne, i milczał, jak gdyby ze wzruszenia, ja zaś mówiłem dalej:

— Musicie tylko pamiętać, że z ciotką trzeba umieć postępować. Że ona ma zamiar wyposażyć Anielkę, za to mogę ci ręczyć, ale ostatecznie, póki ci posagu nie położy na stole, a ty go nie zagarniesz, wszystko zależy od jej woli, a nawet kaprysu. Tymczasem, co wy wyrabiacie? Wczoraj ty ją zagniewałeś, a dziś Anielka, i to w wysokim stopniu. Jako przyszły spadkobierca, powinienbym cieszyć się z tego i nie ostrzegać was, a jednak widzisz, że to czynię.

Ciotce był ogromnie przykry zamiar Anielki; zwróciła się do ciebie niby z gniewem, ale w duszy z nadzieją, że staniesz po jej stronie, tymczasem tyś niejako potwierdził pomysły tych pań...

— Mój drogi! — rzekł Kromicki, ściskając mnie ponownie: — Powiem ci szczerze, że jeślim niby potwierdził, to trochę ze złości na ciotkę. W gruncie rzeczy, jest to projekt nedorzeczny. Czego nigdy nie mogłem znosić, to egzaltacyi, a te obie panie mają jej powyżej głowy. Ciągłe im się zdaje, że nie powinny nadużywać waszej gościnności, że nie mogą siedzieć wiecznie w Płoszowie, et caetera. Mam tego póty... Tymczasem oto jak rzeczy stoją. Do Turkestanu brać ich przecie z sobą nie mogę, a jak raz tam jestem, to czy Anielka mieszka w Odesie, czy w Warszawie, to już mi jest wszystko jedno. Gdy wycofam się z tych odległych interesów, i, jak mam nadzieję, z majątkiem, więcej niż znacznym, wówczas, oczywista rzecz, że urządzę się odpowiednio. Nastąpi to za rok najdalej. Za samo ustąpienie interesu powinieniem przecie zyskać... Naturalnie, że gdyby nie było Płoszowa, musiałbym pomyśleć o jakimś tymczasowym pobycie dla tych pań, ale skoro ciotka ofiaruje

im gościnność i sama sobie życzy, by one u niej mieszkały, to głupstwem byłoby szukać schronienia gdzieindziej. Teściowa moja dopiero od kilku tygodni na nogach. Kto wie, co dalej będzie, a gdyby było źle, wówczas wszystkoby spadło na Anielkę, która jest kobietą młodą i nie-
doświadczoną. Ja, teraz, nie mogę absolutnie być przy nich. Ja tu już i tak siedzę jak na węglach, i skoro mówimy tak otwarcie, to ci powiem, że tylko nadzieja wciągnięcia ciebie, albo ciotki, do spółki, zatrzymała mnie tutaj tak długo. Powiedziałem ci wszystko, com miał pod sercem — teraz ty powiedz: czy mogę w jakikolwiek sposób liczyć na waszą dobrą wolę?

Odetchnąłem.

Zamiar Anielki był zburzony.

Napełniła mnie radość, postawiłem bowiem na swoim. Obok tego, jakkolwiek moja miłość dla Anielki była podobna w tej chwili do głębokiej nienawiści — nienawiść ta, stanowiąca teraz moją wyłączną podstawę życia, potrzebowała zarówno, jak i miłość, pokarmu. Takim pokarmem mogła być dla niej tylko obecność Anielki. Wniosłem na koniec ze słów Krómińskiego, że za jednym zamachem mogę dokazać tego, co było najgorętszym mojem pragnieniem, to jest

że Kromicki, jak pozytywka, wygrywa tylko tę nutę, na którą go nakręciłem. Widziałem, że jej było wstyd za niego i że sama czuła się głęboko upokorzona. Nosilem w sercu tyle urazy do niej, że sprawiało mi to przyjemność.

Zostałem jednak, co się zowie zraniony. Nie mogę się dotąd uspokoić i nie mogę tego Anielce przebaczyć. Gdybym był nie obmyślił w powrocie z Wiednia tego układu, gdybym był nie uczynił ofiary z tyłu swoich pragnień, namiętności, ze swoich zmysłów, ze swojej natury, nie czułbym tak głęboko zawodu. Ale to właśnie wypadło tak jakoś okrutnie, że gdym ja, z miłości dla niej, chciał się z gruntu przeistoczyć i gdym wchodził na jakieś wyżyny, na których dotąd nie bywałem, byle tylko być przy niej, ona chciała mnie bez żadnego względu, ni miłosierdzia, zepchnąć na samo dno rozpacz — i nie wzięła w rachubę, czy też nie stanie się ze mną co złego... Te myśli zatruwają mi radość, płynącą z tego, że Kromicki wyjeżdża, a ona pozostaje. Przyszłość przyniesie jakieś rozwiązanie, ale tak jestem wymęczony, że go nawet nie przewiduję. Byłoby — jedno — bardzo proste — gdybym dostał choroby mózgowej. Może i to z czasem przyjść, bo ja po całych

dniach dręcę się, a nocami, nie mogąc spać, pisuję. Wypalam przytem mnóstwo cygar, aż do odurzenia się, i prawie codzien dosiadam do białego dnia.

KONIEC CZĘŚCI CZWARTEJ.

PISMA
HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM XI

BEZ DOGMATU
część v.



WARSZAWA

NAKŁAD REDAKCYI TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO
(DODATEK BEZPŁATNY)

1899

Дозволено Цензурою.
Варшава, 3 Февраля 1899 г.

30 lipca.

Nie pisałem przez dwa tygodnie. Jeździłem do Wiednia wraz z Kromickim, dla załatwienia interesów, potem wróciliśmy razem, i on bawił jeszcze trzy dni. Dostałem w tym czasie tak silnych bólów głowy, że nie mogłem pisać. Kuracya pani Celinę ukończona od tygodnia; bawimy jeszcze w Gasteinie tylko dlatego, że wszędy na równinach panują ogromne upały. Wyjazd Kromickiego przyniósł wielką ulgę mnie, pani Celinie, którą on drażni do tego stopnia, że gdyby nie był jej zięciem, toby go nie znosiła, ciotce, a może i Anielce. Anielka nie może mu przebaczyć, że wciągnął mnie do swoich interesów. On, ani się domyślając, że między mną a jego żoną może istnieć co innego, niż zwykły towarzyski stosunek, nie robił wcale z tej pożyczki sekretu; ona zaś była jej przeciwna z całej duszy. Nie mogła mu oczywiście

nie powiedzieć — może z obawy, by nie stracić reszty złudzeń co do niego, gdyby ją i w takim razie pozostawił przy ciotce. Czasem myślę, że i ona i pani Celina, nie zdradzając się wzajem przed sobą, nie mają do niego, od czasu, jak sprzedał Głuchów, najmniejszego zaufania i że w głębi duszy przypuszczają, iż jest gorszy, niż jest rzeczywiście. Podług mnie, jest to przede wszystkim duchowy parweniusz, z naturą suchą, drewnianą, niezdolną zarówno do delikatnych uczuć, jak do subtelnych myśli. Niema w nim także żadnej wspaniałomyślności; nie jest to dusza ani szlachetna, ani wrażliwa, ani głęboka, ale natomiast jest to w pospolitem, kodeksowem znaczeniu tego słowa, porządny człowiek. Dopomaga mu do tego pewien wrodzony pedantyzm, bo w nim pedantyzm łączy się w dziwaczny sposób z newrozą pieniężną, która nie jest znów niczem innem, tylko zwyrodniałą fantazją, która przez ten kierunek znalazła sobie ujście.

Wogóle biorąc, jest mi tak niewypowiedzianie nienawistny i wstrętny, razem ze swoim monoklem, skośnemi oczyma, długością nóg i brakiem zarostu na żółtej twarzy, że i tak dziwię się, jak mogę się zdobyć na sąd o nim

równie obiektywny. Myślę jednak, że jeśli on wszystkiego nie straci, to i ja nie stracę swoich pieniędzy. Ale zapisuję z całą otwartością, że wolalbym, gdyby stracił pieniądze, rozum, życie — i przepadł raz na zawsze.

Chory jestem. Anielkę mało w ostatnich dniach widywałem. Częścią bóle głowy zatrzymywały mnie na górze, częścią umyślnie powstrzymywałem się od widywania jej, aby jej dać poznać mój gniew i urazę. A kosztowało to mnie niemało, bo oczy moje potrzebują jej, jak światła. Pisałem już, że ona, przy całej nieugiętości swego charakteru, posiada pewną płochliwość. Wprost nie znosi, żeby się ktoś na nią gniewał, boi się tego i stara się każdy gniew przejednać. Jest wtedy cicha, łagodna, patrząca w oczy, jak dziecko, które obawia się kary.

Wzruszało mnie to zawsze do najwyższego stopnia, ale i sprawiało mi rozkosz, albowiem karmiłem się złudzeniem, że byłem otworzył jej ramiona, to ona padnie w nie i głowę złoży na moich piersiach, choćby tylko dla przeblagania gniewu. Tego rodzaju złudzeń nie umiem się pozbyć, a choć wiem, że je przyszłość rozproszy, i teraz jeszcze tai się w głębi mego serca nadzieja, że gdy się wreszcie przeprosimy, to

przecie coś się stanie, to ona uczyni mi jakieś ustępstwa, to będzie mi bliższa. Z drugiej strony, w samym tem rozdrażnieniu zobopólnem, widzę jakby mimowolne przyznanie, mimowolną zgodę Anielki na to, że mam prawo ją kochać; jeśli bowiem ona uznaje urazę, płynącą z miłości, to musi uznać i miłość samą. Są to prawa nikłe, jak sen, nie mające krwi i ciała — ale ja się niemi ratuję od zupełnej apaty i niemi żyję.

2 sierpnia.

Miałem znów list od Klary. Ona się chyba czegoś domyśla, bo tyle jest litości, tyle współczucia w jej słowach, jakby wiedziała, do jakiego stopnia jest mi źle. Nie wiem i nie chcę dochodzić, czy ona mnie kocha jak siostra — czy inaczej, ale czuję, że bardzo mnie kocha. Odpisałem jej tak serdecznie, jak tylko potrafi człowiek nieszczęśliwy, pisząc do jedynej przyjaciółki i współczującej duszy. Klara wybiera się do Berlina, a na początek zimy do Warszawy. Namawia mnie, bym przyjechał do Berlina, choć na parę dni. Nie pojedę, nie oderwę się od mojej troski, ale rad zobaczę Klarę w Warszawie.

Z Anielką rozmawiamy tylko o rzeczach

potocznych, żeby nie zwrócić uwagi starszych pań na ten rozbrat, jaki nas dzieli. Gdy zostajemy na chwilę sami, milczymy oboje. Widziałem kilka razy, że ona chciała coś mówić, ale bojaźliwość zamyka jej usta — ja zaś mam jej do powiedzenia tylko jeden wyraz: «kocham», który wobec tego, co czuję, jest tak niedoleżnym wyrazem, że prawie nic nie wypowiada. X Bo teraz jest żal w mojem kochaniu. X Gnębi mnie ciągle myśl, że jej dał Pan Bóg małe serce, i że w tem leży tajemnica jej nieugiętości. Dziś, gdy myślę o wszystkim spokojniej, wracam do przekonania, że Anielka może i ma dla mnie jakieś uczucie, złożone z wdzięczności, litości, wspomnień, ale to uczucie nie ma żadnej siły czynnej, nie jest w stanie na nic się zdobyć, nawet na przyznanie, że istnieje. Ona nie ma dla siebie szacunku, uważa się za coś złego, wstydzi się siebie i zapiera, a w porównaniu z mojem wygląda tak, jak ziarnko gorczyczne przy tych Alpach, które nas otaczają. Od Anielki można wyczekiwać, że uczyni raczej wszystko dla ograniczenia, niż cokolwiek dla podniecenia uczucia. Ja od niej niczego się nie spodziewam, niczego nie wyglądam, a tak mi źle z tem przeświadczeniem!

4 sierpnia.

Przez jakiś czas żywiłem na dnie serca nadzieję, że Anielka, pod wpływem oburzenia na męża, przyjdzie pewnego dnia do mnie i powie mi: «Kiedyś mnie zapłacił, to mnie masz!» Nowe złudzenie! Może takby postąpiło wiele kobiet o egzaltowanych głowach, wykarmionych na francuskich powieściach; postąpiłaby tak niewątpliwie każda, któraby miała ukrytą ochotę rzucić się w objęcia kochanka i szukała tylko dobrego pozor~~u~~. Nie! Anielka tego nie uczyni, i jeżeli mi mogła podobna myśl przyjść do głowy, to tylko dlatego, że i ja karmiłem się czytaniem tych pseudo-dramatów, jakie rozgrywają się w duszach kobiet, które w gruncie rzeczy mają przedewszystkiem nieklamana^ą chęć puszczenia swej cnoty z wodą. Anielkę mogłoby popchnąć w moje objęcia tylko serce, ale nie sztuczny dramat, nie frazes, nie fałszywy patos. Więc też nie ma obawy, aby się to stało.

Jest wielką klęską dla człowieka pokochać prawdziwie i głęboko cudzą żonę, choćby to była żona najpospolitszego i najmarniejszego człowieka — ale prawdziwym nadmiarem nieszczęścia jest pokochać kobietę cnotliwą. Jest coś ta-

kiego w moim stosunku do Anielki, o czem nigdy nie słyszałem, ani nie czytałem; jest jakaś niemożność wyjścia i zakończenia. Rozwiązanie, czy jest katastrofą, czy uwieńczeniem pragnień, jest zawsze czemś — a tu jest męczące koło błędne. Jeśli ona bowiem pozostanie taką, jaką jest, a ja nie przestanę jej kochać, to będzie tylko męka — nic więcej. A jestem rozpaczliwie pewny, że ona wytrwa i ja także.

Ja, jeśli ma małe serce, niewiele to kosztuje. Ja chciałbym nieraz z całej duszy zrzuć to jarzmo, ale nie mogę. Nieraz mówię sobie, że trzeba; nieraz napracuję i nawysilam się nad sobą, jak się wysiła dla własnego ratunku człowiek tonący; nieraz mi się zdaje, że już do czegoś doszedłem, a potem niech zobaczę ją przez okno, niech obejmę ją oczyma, doznaję takiego wstrząśnienia w sercu, że cała niezmiierzona głębia mego uczucia odkrywa mi się nagle, zupełnie tak, jak w nocy odkrywają się w czasie burzy głębie chmur, gdy błyskawica rozedrze ciemność.

O! jaka to męka mieć do czynienia z cnotą nieubłaganą i zimną, jak litera prawa!

Ale choćby Anielka wcale nie miała serca,

jeszczebym ją kochał tak, jak kochałbym moje jedyne dziecko, choćby było kalekie.

Człowiek więcej się tylko wtedy lituje i więcej cierpi.

5 sierpnia.

Jaka to licha i nędzna miara rozsądek, gdy przyjdzie nim mierzyć albo rzeczy bardzo wielkie, albo genialne, albo pełne grozy. Ten rozsądek, który tak dobrze posługuje w zwykłych warunkach życia, staje się wówczas starym blaznem, jak Polonius. Zdaje mi się, że równie zwyczajna mieszczańska etyka nie może być miarą dla wielkich namiętności. Widzieć w tak wyjątkowem, w tak ogromnem uczuciu, jak jest moje, tylko przestąpienie takich a takich paragrafów — i nie widzieć nic więcej, nie widzieć, że to jest żywioł, że to jest część tej siły wyższej nad wszelkie marne przepisy, siły boskiej, twórczej, niezmierzonej, na której opiera się wszechistnienie — to jest swego rodzaju ślepotą i małość... Niestety, Anielka tak tylko umie patrzeć na moją miłość! Przypuszczam, iż nieraz musi jej się wydawać, że bądź co bądź, powinienem ją za to szanować, a ja, Bóg widzi, nie dlatego to mówię, że chodzi o mnie, ale sądząc

najobiektywniej, muszę się często bronić od pogardy dla niej i często mówię jej w duszy: «Miejże ty inną miarę, bo ta niegodna ciebie!» Szanowałbym ją, czcił stokroć więcej, gdyby umiała patrzeć inaczej, jeżeli nie na nasz stosunek, to na miłość w ogóle.

— Anielka od Józka
6 sierpnia.

Ten Gastein daje jednak ludziom zdrowie. Dziś spostrzegłem, że Anielka opaliła się na tujejszych górskich powiewach i że wygląda zdrowo, co jest tem dziwniejsze, że i ona miała nie-mało trosk i zmartwień. Zmartwieniem dla niej były nieporozumienia z mężem, ~~K~~ambicya jej cierpiała na tem, ~~że~~ on wszedł ze mną w stosunki pieniężne; moja miłość wnosi także do jej duszy rozterkę i mąci jej spokój. Mimo to w delikatnej jej twarzy widać zdrowie. Policzki jej mają żywszą barwę, niż przed przyjazdem tutaj. Pamiętam, jak ona nikła prawie w oczach na początku lata — i pamiętam, jak włosy powstawały mi na głowie, gdy myślałem, że zdrowie, a może i życie jej jest zagrożone. Dziś przynajmniej ta obawa minęła. Gdybym wiedział, że na przyszłość będzie miała jeszcze mniej litości dla mnie, że będzie jeszcze mniej

brała w rachubę i mnie i moje uczucie, ale za to będzie zdrowa, powiedziałbym. Niech lekceważy, niech nie ma litości, byle była zdrowa!»

W skład prawdziwego uczucia wchodzi pragnienie szczęścia, ale wchodzi i tkliwość i troskliwość i przywiązanie wielkie.

Wczoraj Anielka ubrała się w jedną ze swoich panińskich sukien, albo w zupełnie podobną. Spostrzegłem to zaraz — i cała przeszłość stanęła mi, jak żywa, przed oczyma. Bóg wie, co się ze mną działo!...

7 sierpnia.

Ciotki gniew na Anielkę minął już oddawna. Ona ją tak kocha, że gdybym ja umarł, ciotka miałaby się jeszcze o co w życiu zaczepić, byle Anielka została przy niej. Dziś pocziwe moje cioteczysko ubolewało nad tem, że Anielka się nudzi, że przesiaduje ustawicznie w domu i że nie poznała tu nic więcej nad drogę z Wildbadu do Hofgasteinu.

— Żeby mi nogi lepiej służyły, — rzekła — chodziłabym wszędzie z tobą; ale kto powinien był ci przynajmniej bliższe okolice pokazać, to twój mąż, który latał od rana do wieczora.

Anielka poczęła upewniać, że jej dobrze

w domu i że nie potrzebuje więcej ruchu. Usłyszawszy to, ozwałem się tonem obojętnym:

— Ja nie mam nigdy nic do roboty, a chodzę dużo, więc mogę Anielce wszędzie towarzyszyć i pokazać jej, co jest ciekawego, przynajmniej w pobliżu.

Po chwili zaś dodałem jeszcze obojętniej:

— Nie widzę w tem nic takiego, coby nie było powszechnie przyjęte. W miejscach kąpielowych nawet prości znajomi chodzą razem na przechadzki, a cóż dopiero krewni.

Anielka nie odpowiedziała, ale obie starsze panie przyznały mi zupełną słuszość, bo zresztą rzeczywiście tak jest, jak mówiłem.

Jutro mamy pójść razem do Schreckbrücke.

8 sierpnia.

Układ nastąpił między nami, i odtąd ma się rozpocząć dla nas obojga nowe życie. Ma to inne kształty, niż sobie wyobrażałem, ale przyszłość moja musi się w nie wcielić. Odtąd wszystko będzie jasne, określone. Nic już nie zajdzie nowego, niczego nie mogę oczekiwać, ale nie będę jak człowiek bez dachu nad głową...

9 sierpnia.

Wczoraj byliśmy przed wieczorem w Schreckbrücke.

Starsze panie towarzyszyły nam z początku, ale zaraz za wodospadami usiadły na pierwszej ławce, my zaś szliśmy dalej. Zdaje się, że oboje zrozumieliśmy, iż jakaś ważna rozmowa musi między nami nastąpić. Chciałem zrazu pokazywać Anielce rozmaite miejscowości i wymieniać ich nazwy, ale zaledwie wymienił Schareck, wydało mi się to zagadywanie tego, co nam leżało na sercu, tak dziwaczne, tak niestosowne do naszego nastroju, że umilkł. Mogliśmy mówić tylko o nas samych, albo milczeć. I szliśmy w milczeniu dość długo, co zresztą było mi potrzebne i korzystne. Opanowałem się przez ten czas, jakem umiał, przewyciężyłem ten nerwowy niepokój, jaki człowieka ogarnia przed ważnemi chwilami życia, i starałem się odzyskać zimną krew. Odzyskałem ją o tyle, że postanowiłem rozmyślnie mówić o mojej miłości, z takim spokojem, tak naturalnie, jakby o rzeczy wiadomej, stwierdzonej i uznanej. Doświadczenie nauczyło mnie, że w stosunkach z kobietami można wytworzyć dowolny nastrój. Nic tak nie

wpływa na kobietę, jak ton rozmowy, i jeśli męczyzna, czyniąc wyznanie, czyni je: tak, jakby potem świat się miał zawalić, to jest ze wzruszeniem, z przerażeniem i przekonaniem, że czyni rzecz niesłychaną, — to ów przestraszy i to przekonanie, że staje się rzecz niesłychana, udziela się kobiecie. W razie przeciwnym dzieje się przeciwnie; wyznanie traci wówczas swój charakter wielki, ale też przechodzi gładziej i mniejszy budzi opór.

Zresztą, jam już wyznawał; chodziło mi więc tylko o zapobieżenie temu, by cała dusza w Anielce nie buntowała się za pierwszym mojem słowem o miłości. Ostatecznie, gdyby tak miało być zawsze, wszelka rozmowa stawiała się niepodobną, a przecie trzeba nam było się rozmówić, bo trzeba było ułożyć jakoś nasze stosunki. Mając to wszystko na uwadze, rzekłem, o ilem mógł, spokojnie:

— Ty sobie może nawet nie zdajesz sprawy, Anielko, jak ty mnie zraniłaś swoim zamiarem wyjazdu. Wiem doskonale, że powody, które podawałaś, to tylko pozór, i że naprawdę ja jestem przyczyną tego zamiaru. O jednej tylko rzeczy zapomniałaś, a mianowicie, co się stanie ze mną bez ciebie. Tego wcale nie wzięłaś w rachubę.

~~+~~ Czy wiesz, że sam wyjazd twój nie byłby mnie tak dotknął, jak ta właśnie myśl, że nic a nic nie liczysz się ze mną. Powiesz może, że chciałaś to uczynić dla mego dobra, dlatego, żeby mnie wyleczyć... Nie! daj pokój! Nie lecz mnie w ten sposób, bo mi takie lekarstwo może przynieść więcej złego, niż myślisz.

Policzki Anielki pokryły się w mgnieniu oka wypiekami. Widocznie moje słowa dotknęły ją do żywego. Nie wiem, coby mi była na razie odpowiedziała, gdyby nie zewnętrzny wypadek, który w tej właśnie chwili rozerwał pasmo jej myśli. Oto z boku drogi podniósł się nagle jeden z takich kretynów, jakich pełno jest w okolicy Gasteinu, z ogromną głową, z wolami na szyi, ze spojrzeniem zwierzęcia — i kiwając palcami, poczał prosić o jałmużnę. Podniósł się on z wysokich traw tak niespodzianie, że Anielka krzyknęła z przestachu. Nim ochłonęła i znalazła pieniądze, których ja przy sobie nie miałem, upłynęło kilka minut. Przez ten czas wrażenie słów moich osłabło w niej o tyle, że gdyśmy wreszcie poszli dalej, odrzekła mi po chwili milczenia, ze smutkiem, lecz i słodyczą:

~~+~~ Ty często bywałeś dla mnie niesprawiedliwy, ale nigdy więcej, niż teraz. Ty sądzisz,

że mi wszystko łatwo przychodzi i że mi brak serca, a mnie wcale, a wcale nie lepiej, niż tobie... X

Tu zbrakło jej głosu, mnie zaś wszystkie tętna poczęły bić, jak młotami. Zdawało mi się, że jeszcze jedno wysilenie z mej strony, a wyrwę jej z ust otwarte wyznanie.

+ Na wszystko, co ci drogie, — rzekłem — powiedz mi, co przez to rozumiesz? X

— Rozumiem, że skoro jestem nieszczęśliwa, pozwól mi zostać uczciwą. Mój Leonie kochany, ja cię błagam, miej litość nade mną! Ty nie wiesz, jaka ja jestem nieszczęśliwa! Jam ci wszystko gotowa poświęcić, prócz uczciwości. Nie chciej, bym ci oddała tę ostatnią deskę zbawienia, bo tego nie można, tego nie wolno poświęcać! Mój Leonie, mój Leonie!...

I złożwszy ręce, patrzyła na mnie drżąca, jak liść, z prośbą i ze łzami, które wzbierały w jej oczach. Nie wiem... gdybym ją był w tej chwili porwał w ramiona, możeby potem umarła ze wstydu i zmartwienia, ale prawdopodobnie nie znalazłaby już w sobie siły na opór...

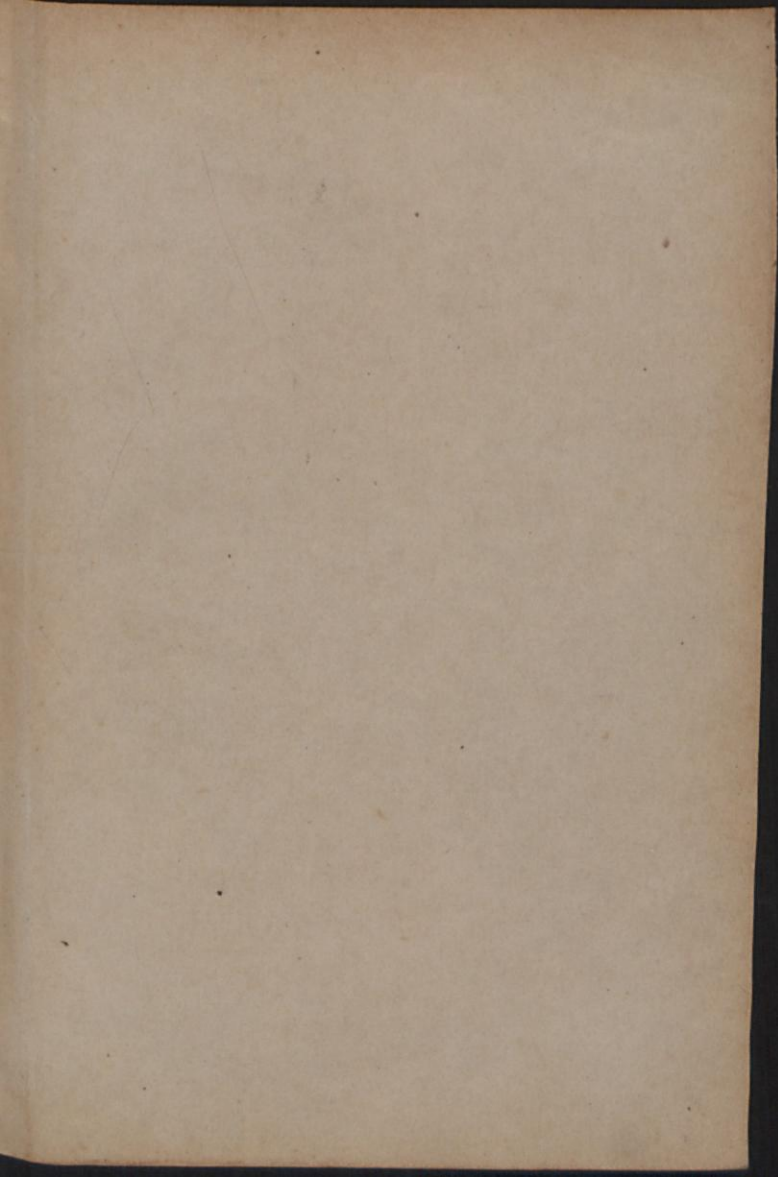
Lecz ja postąpiłem, jak człowiek, który sam kocha nad wszystko — to jest zapomniałem o sobie, a widziałem tylko ją. I rzuciłem jej

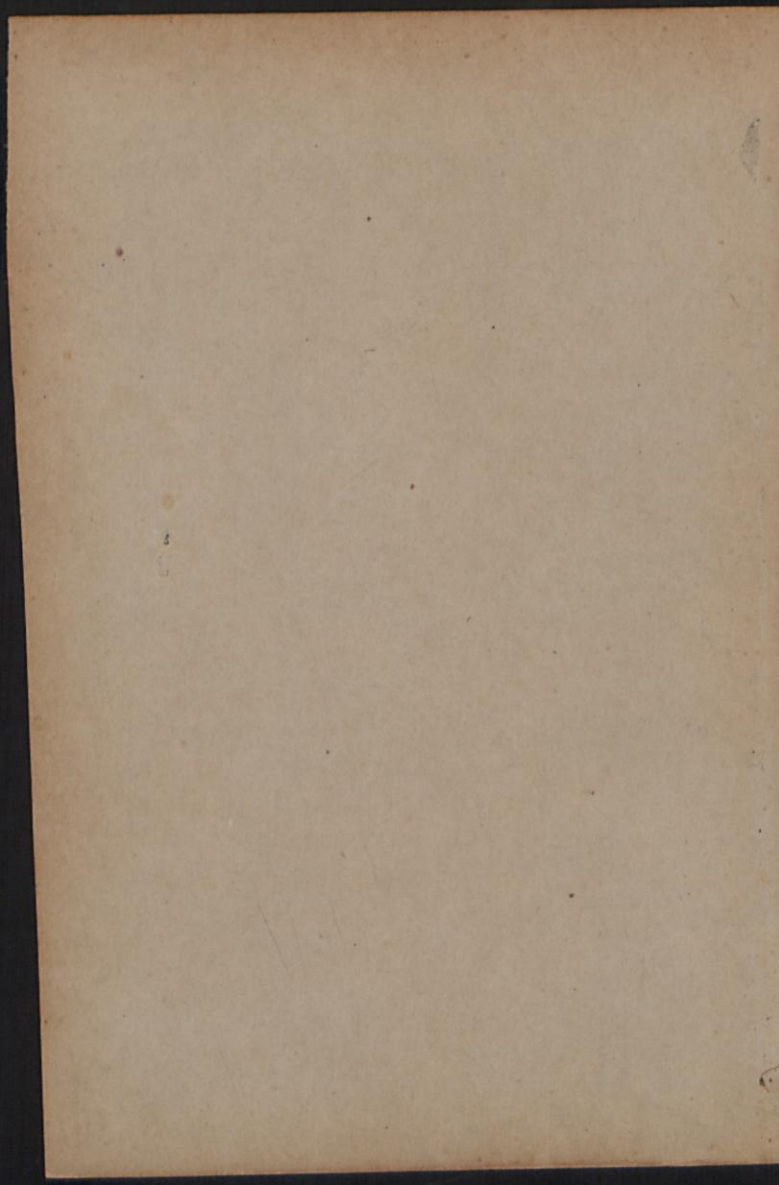
w tej chwili pod nogi moje zmysły, moją namiętność, mój egoizm. Co mi to wszystko znaczyło wobec niej? Kobieta kochana, która broni się łzami, płynącemi nie dla zachowania pozorów, ale z głębi prawdziwej boleści, jest niezwykczona. Wziąłem jej obie ręce i, ucałowawszy je ze czcią i uniesieniem, rzekłem:

~~+~~ Będzie, jak ty chcesz, to ci przysięgam na tę miłość, jaką mam dla ciebie! ~~X~~

Oboje nie mogliśmy przez jakiś czas mówić. Jeśli mam wyznać całą prawdę, to czułem się w tej chwili lepszy i szlachetniejszy, niż kiedykolwiek. Byłem, jak człowiek, który przebywszy kryzys w ciężkiej chorobie, czuje słabość wielką, ale zarazem radosny powrót do życia. Po chwili począłem mówić, i mówiłem spokojnie i łagodnie, nie tylko jak zakochany, ale jak przyjaciel najbliższy, który ma przedewszystkiem na widoku szczęście drogiej istoty.

— Nie chcesz iść na bezdroża, — rzekłem — ale i ja już nie będę usiłował sprowadzić cię z twojej drogi. Tyś mnie zmieniła, a i te wszystkie męki, którem przeszedł, przerodziły mnie także. Zrozumiałem przez ciebie, że inna rzecz jest pożądać, a inna kochać. Nie przyrzekam ci, że cię przestane kochać, bo nie mogę, i skła





zumieć tego, że są słowa, które chociaż odbijają rzeczywistość istniejącą i uznaną, przechodzą jednak z trudnością przez usta kobiety, i jeszcze takiej kobiety, jak Anielka. Wszakże to wszystko, co ona mówiła, było wyznaniem, że mnie kocha, wszakże zgodziła się na to, żeby dusze nasze należały do siebie — czegoż mogłem sobie życzyć więcej?

Doszedłszy do Schreckbrücke, wróciliśmy do domu. Po drodze rozglądaliśmy się w nowem naszym położeniu tak, jak ludzie rozglądają się w nowym domu, i próbowaliśmy się do niego przyzwyczaić. Nie obeszło się to bez pewnych usiłowań, które krępowały cokolwiek naszą swobodę. Lecz mnie i to cieszyło, bo mi się zdawało, że to tak jest, jak bywa w pierwszych godzinach po ślubie, gdy nowożeńcy czują się na wieki związani, a jeszcze nie są z sobą oswojeni. Mówilem z nią jednak wiele o nas obojgu. Tłómaczyłem jej całą czystość i świętość takiego stosunku, jakim miał być nasz. Staralem się natchnąć ją ufnością i spokojem. Ona też słuchała mnie z twarzą pogodną i jasną, zwracając co chwila ku mnie swoje śliczne oczy. Po-
goda na świecie odpowiadała pogodzie naszych dusz. Słońce już zaszło. Alpy okryły się zwyk-

łą swoją wieczorną purpurą, której blask odbijał się na jej twarzy.

Podąłem jej ramię, które przyjęła, i szliśmy razem.

Nagle spostrzegłem, że ona ociąga się, idąc tak, jakby się czegoś bała — i że przytem pobladła, jak płótno. Trwało to jedną chwilę, ale było tak widoczne, że sam przestraszyłem się o nią ogromnie i począłem wypytywać: co jej jest?

Z początku nie chciała mi nic powiedzieć, lecz gdym począł bardzo nalegać, przyznała się, że to ów nieszczęśliwy kretyn przyszedł jej na myśl, i że przez chwilę była pewna, iż on znów ukaże się niespodzianie.

— Sama nie wiem dlaczego, — rzekła — ale zrobił na mnie okropne wrażenie — i wstyd mi się do tego przyznać, że mam takie niemądre nerwy. Nie mogę go zapomnieć i za nic nie chciałabym go znów zobaczyć.

Uspokoilem ją, że przy mnie nic jej nie grozi. Ona mimowoli spoglądała jeszcze czas jakiś niespokojnie na boki drogi, wkrótce jednak dalsza nasza rozmowa zatarła w niej to przykre wrażenie. Mrok już zapadał, gdy przyszliśmy do wodospadów, ale wieczór był wyjątkowo cie-

ply. Na placu przed Straubingerem mnóstwo ludzi słuchało jakichś wędrownych harfiarek. Nie wiem dlaczego, ten zapadły wawóz górski robił mi dnia tego wrażenie Włoch. Przypomniałem sobie, jak niegdyś, chodząc wieczorami po Pincio, w Rzymie, rozmyślałem, jaki byłbym szczęśliwy, gdybym miał koło siebie Anielkę. Teraz czulem jej rękę, wspartą na mojem ramieniu, a jeszcze bardziej czulem jej duszę przy swojej.

W zgodzie, pełni ukojenia i słodczy, poszliśmy do domu.

10 sierpnia.

Zastanawiałem się dziś cały dzień nad słowami, które Anielka powiedziała do mnie przy Schreckbrücke. Uderzył mnie szczególnie ten jeden okrzyk, który wyrwał się z jej ust: «Ty nie wiesz, jaka ja jestem nieszczęśliwa!» Ile w tem było głębokiej boleści i skargi, jakie mimowolne przyznanie, że ona męża nie kocha, że nie może go kochać, a nakoniec, że serce jej, wbrew wszelkim wysiłkom woli, należy do mnie. Jeśli tak jest, to ona równie była nieszczęśliwa, jak ja. Mówię: «była», bo dziś już nie jest. Dziś może sobie powiedzieć: «Dotrzy-

mam mu wiary, pozostanę zawsze uczciwą» — a resztę zdać na wolę Bożą.

11 sierpnia.

Przyszło mi do głowy, że ja nie miałem prawa wymagać i oczekiwać od niej, by mi poświęciła wszystko. To nie prawda, że dla miłości wszystko się poświęca. Gdybym ja, na przykład, miał jakie zajście z Kromickim, i gdyby ona, w imię naszej miłości, kazała mi klęknąć przed nim i na kolanach prosić go o przebaczenie, tobym tego nie uczynił. Jest to niedorzeczne i fantastyczne przypuszczenie, a jednak, na samą myśl o tem, krew napływa mi do głowy. Nie, Anielko, ty masz słuszość, że są rzeczy, których dla miłości nie można i nie wolno poświęcać.

12 sierpnia.

Byliśmy dziś rano na Windischgraetzhoehe. Piechotą idzie się tam trzy kwadranse, więc wystarałem się dla Anielki o konia, którego prowadziłem za uzdę. Idąc, opierałem jedną rękę na karku końskim, przyczem dotykałem jej sukni. Przy wsiadaniu, ona przez chwilę wsparła się na mnie, i natychmiast ozwał się we mnie



dawny człowiek. Chcąc go w sobie zabić, musiałbym zniszczyć własne ciało i zostać tylko duchem. Jam się zobowiązywał trzymać moje zmysły i moje porywy na wodzy — i trzymam, ale nie zobowiązywałem się ich nie mieć, tak dobrze, jak nie mógłbym się zobowiązać, że nie będę oddychał. Gdyby dotknięcie ręki Anielki nie wstrząsało mną silniej, niż dotknięcie kawałka drzewa, byłby to znak, że jej już nie kocham, a wówczas wszelkie zobowiązania byłyby niepotrzebne. Mówiąc Anielce, że się pod jej wpływem przerodził, nie chciałem kłamać, ale nie określiłem dokładnie tego, co się ze mną stało. Naprawdę, jam się tylko opanował. Wyrzekłem się zupełnego szczęścia, by posiadać choć jego połowę. Woląłem mieć Anielkę w ten sposób, niż nie mieć jej wcale, i sądzę, że każdy, kto wie, co to jest kochać kobietę, zrozumie mnie z łatwością. Jeśli namiętności są, jak mówią poeci, psami, to ja te psy pouwiazywałem, i będę je morzył głodem, ale nie w mocy mojej zabronić im, by nie targały za powrozy i nie wyły.

Wiem dobrze, com przyrzekł — i dotrzymam — bo zresztą muszę. Wobec niezłomności Anielki niema miejsca na moją złą lub dobrą

wolę. Wystarczy jako hamulec dla mnie i obawa, by mi nie odjęto tego nawet, co mi przyznano. Raczej przesadzam teraz w ostrożności, by nie spłoszyć tego ptaka, który dla mnie zwie się: duchową miłością, a dla niej: przyjaźnią. Pamiętam to jej wyrażenie, bo było ono jak małe uklęcie, które zrazu nieznaczne, zaczyna się później jątrzyć. Na razie wyraz wydał mi się za mały, teraz wydaje mi się nadto przezorny i zbyt pełen zastrzeżeń. Jakaż dziwną cechą natury kobiecej jest ten strach przed nazwaniem istoty rzeczy po imieniu! Jam przecie jasno powiedział Anielce, o co ją błagam, i ona zrozumiała równie jasno, a jednak nazwała to uczucie przyjaźnią, jakby chcąc w danym razie zasłonić się przede mną, przed sobą i przed Bogiem.

Prawda z drugiej strony, że takie oderwane od ziemi uczucia można chrzcić, jak się komu podoba. Jest dużo goryczy i smutku w tej myśli. Ta przezorność, właściwa kobietom bardzo czystym, płynie niezawodnie z ich ogromnej wstydlivości, ale nie pozwala im być wspaniałomyślnymi. Mógłbym oto przyjść do Anielki i powiedzieć jej: «Bądź co bądź, jam się wyrzekł dla ciebie połowy mojej istoty, a ty mi

odmierzasz wyrazy; czy to się godzi?» I w duchu mówię jej to z wielkim żalem. Miłość tak trudno zrozumieć bez wspaniałomyślności, bez chęci przyniesienia czegokolwiek na ofiarę.

Dziś na Windischgraetzhoehe rozmawialiśmy, jak dwie istoty bliskie, przyjazne, kochające się, ale ostatecznie tak samo mogło rozmawiać kochające się rodzeństwo. Gdybyśmy odbyli taką wycieczkę przed naszym układem przy Schreckbrücke, byłbym próbował całować jej rękę, nogi, byłbym starał się niechybnie pochwycić ją choć na chwilę w ramiona — dziś zaś szedłem spokojnie, patrząc jej w oczy, jak człowiek, który się boi każdego zmarszczenia brwi. Co więcej, nie mówiłem prawie nic, nawet o tej naszej duchowej miłości. Po części wstrzymywałem się umyślnie, sądząc, że zaskarbię sobie tem jej ufność i łaskę. Przez to milczenie chciałem jej powiedzieć: «Nie zawiedziesz się na mnie; raczej pozwolę sobie mniej, niż mi wolno — niż-bym miał złamać naszą umowę».

Trochę się jednak człowiek czuje pokrzywdzonym, gdy jego ofiarę przyjmują równie chętnie i skwapliwie, jak on ją przynosi. Mimowoli mówi się wówczas w duszy kochanej istocie: «Teraz ty nie daj się prześcignąć».

I ja to mówilem — ale napróżno.

Co z tego wypadnie? Oto pewien zawód dla mnie. Sądziłem, że gdy podobny układ stanie między nami, to już będę w jego zakresie swobodny jak ptak, że będę powtarzał słowo «kocham» od rana do wieczora i od rana do wieczora będę je słyszał, że sobie zapłacę za wszystkie męki, za cały ten czas istotnych cierpień, że będę królem w tem mojem królestwie; tymczasem dotychczas tak się jakoś składa, że mój widnokrąg się zacieśnia, a w duszy powstaje wątpliwość, streszczająca się w pytaniu: «coś ty zyskał?»

Ale staram się ją odpędzić. Nie! coś jednak zyskałem. Zyskałem widok jej szczęśliwej i rozpromienionej twarzy, zyskałem jej uśmiech, zyskałem to, że jej przezroczyste oczy śmiało zanurzają się spojrzeniem w moich. Jeśli mi dotąd ciasno i nieswojo w tym nowym domu, to dlatego, że nie umiem jeszcze w nim mieszkać.

Zresztą, byłem dawniej bez dachu nad głową — i jeśli nie widzę jasno, com zyskał, wiem za to doskonale, że nie nie mógł stracić. O tem nie zapomnę nigdy.

14 sierpnia.

Ciotka poczyną mówić o powrocie. Coraz jej bardziej tęskno bez Płoszowa. Pytałem się Anielki, czy chętnie powróci. Powiedziała, że tak — więc i mnie już pilno. Dawniej przywiązywałem zawsze jakieś dziwne i niewytłómaczone nadzieje do zmiany miejsca. Teraz niczego się już nie spodziewam, ale w tym Płoszowie tyle jest dobrych wspomnień, że z radością go zobaczę.

16 sierpnia.

Dni poczynają mi płynąć jednostajniej. Rozmyślam i wypoczywam. Rozmyślenia moje często bywają smutne, czasem nie pozbawione goryczy, ale dusza moja była już tak zmęczona, że lubuję się w tym wypoczynku. Przez niego głównie odczuwam, o ile mi jest jednak lepiej, niż było przedtem. Dużo teraz jesteśmy razem z Anielką; czytamy i rozmawiamy o tem, cośmy przeczytali. Wszystko, co mówię, jest tylko określeniem naszej miłości, rozwinięciem jej, wszystko się do niej odnosi, ale dziwna rzecz, spostrzegam, że prawie nigdy nie mówię wprost o niej, jakby ten kobiecy strach nazywania

rzeczy po imieniu udzielił się i mnie. Sam nie wiem, dlaczego tak jest, ale tak jest. I martwi mnie to, czasem nawet martwi bardzo — i raduje, bo widzę, że Anielka z tego zadowolona, i co więcej, czuję, że mnie za to kocha. Chcąc wytworzyć między nami jak najściślejszy związek duchowy, począłem z nią mówić o sobie; myślałem, że po naszym układzie nie powinienem mieć dla niej nic skrytego. Zamilczałem przed nią tylko o takich sprawach, które mogły obrażać delikatność uczuć i czystość jej myśli, ale próbowałem natomiast wcielić ją w ten mój dramat wewnętrzny, płynący ze sceptycyzmu i z braku jakiejkolwiek podpory życiowej. Powiedziałem otwarcie, że nie mam nic na świecie, prócz jej duszy. Opowiadałem przytem, co się ze mną działo po jej zamałżpójściu, przez jakie zmiany i wstrząśnienia przechodził mój umysł i moje serce od czasu powrotu do Płoszowa, a opowiadałem tem chętniej, że to był, pod pozorem zwierzeń, szereg wyznań, że to wszystko znaczyło: kochałem cię i kocham zawsze nadewszystko. Ją złudził ten pozór zwierzeń, i słuchała tego, jakby nie o niej była mowa — ze wzruszeniem, współczuciem, a może i z nieświadomą rozkoszą. Widziałem, jak oczy

jej zachodziły nieraz łzami, jak pierwsz wzbierała, jak cała jej istota duchowa szła ku mnie z otwartemi ramionami, jakby mi chcąc powiedzieć: «Chodź, bo ci się należy trochę szczęścia!» Widząc to, mówilem jej oczyma: «Ja sam już się o nie nie upomnę i zdaję wszystko na twoją łaskę.»

Czynilem te zwierzenia jeszcze i dlatego, by zaprowadzić między nami ten zwyczaj, by wszczepić w Anielkę poczucie, że w naszym stosunku tak być powinno. Chciałem ją zmusić niejako, by odplaciła mi wzajemnością i opowiedziała mi także, co się działo przez cały ten czas w jej głowie i sercu. Ale nie mogłem tego dokazać. ~~X~~Próbowałem pytać, lecz słowa przechodziły jej przez usta z taką trudnością, taki znać było po niej przymus, żem pytać poniechał. Ona, chcąc być zupełnie otwartą, musiałaby mówić, co czuła dla mnie i jaki był jej stosunek do męża. Ja właśnie chciałem ją do tego przywieść—ale na to nie pozwalała, po pierwsze, jej wstydliwość, powtóre, uczucie lojalności względem Kromickiego.

~~X~~Rozumiem te rzeczy doskonale, a jednak nie mogę się obronić wielkiej przykrości; mój pesymizm mówi mi bowiem: «Ty wyłącznie ponosisz kosztą stosunku; ty dajesz jej wszystko,

a otrzymujesz w zamian prawie nic; łudzisz się, że jej dusza jest twoją, tymczasem nawet ta dusza pozostaje dla ciebie zamkniętą — co więc właściwie posiadasz?»

Uznaję prawdę tego głosu — i liczę tylko jeszcze na przyszłość. 

17 sierpnia.

Częstokroć przypominają mi się teraz słowa Mickiewicza: «I doznałem, niestety, tylko pół-zbawienia». Ale gdybym nawet w tem pół-zbawieniu nie widział tych licznych braków, które widzę, jeszczebym nie doszedł do zupełnego spokoju. Byłoby to możliwe tylko w takim razie, gdybym nie pożałował niczego więcej, to jest, gdybym przestał kochać.  Goraz częściej przychodzą na mnie chwile zniechęcenia, w których sobie powiadam, że jestem tylko w nowem kole błędem. Doznałem ulgi w tej męce, której już nie mogłem wytrzymać — to prawda! Ale ulga w bólu nie jest jego usunięciem. Gdy spragniony Arab w pustyni bierze do ust kamyki, zamiast wody, nie gasi przez to pragnienia, tylko je oszukuje. Pytanie: czy ja nie oszukuję siebie?  Znowu jest we mnie dwóch ludzi: widzi i aktor, i znów pierwszy poczyna drugiego krytykować,

a często z niego drwić. Ten Płoszowski sceptyk, ten Płoszowski, który nie ma zupełnej i niezachwianej wiary w istnienie duszy, a zakochany tylko w duszy, wydaje mi się śmiesznym. Co to jest ten nasz stosunek? Czasem widzę w nim tylko sztuczny plód mojej chorej egzaltacji. Teraz dopiero jestem naprawdę, jak ów ptak, który wlecze jedno skrzydło po ziemi. Skazałem na paraliż pół własnej istoty, żyję tylko pół-życiem i nakazuję sobie kochać tylko połowę miłości. Próżny nakaz! Oddzielić pożądanie od kochania jest takim samem niepodobieństwem, jak oddzielić myślenie od bytu. Mogę myśleć tylko jako człowiek, tak samo i kochać mogę tylko jako człowiek. Nawet uczucia religijne, najidealniejsze ze wszystkich, objawiają się przez słowa, klęczenie, całowanie rzeczy świętych; jam zaś chciał, żeby miłość do kobiety wyrzekła się wszelkiego wcielenia, wszelkiego związku z ziemią i istniała na świecie w sposób zaświatowy.

Czem ona jest? — pożądaniem i dążeniem. Com ja usiłował jej odjąć? — pożądanie i dążenie. Tak samo mógłbym przyjść do Anielki i powiedzieć jej: «Ponieważ cię kocham nad wszystko, więc ci przyrzekam, że cię nie będę kochał».

Jest w tem jakaś ogromna pomyłka. Byłem istotnie tak zablakany, jakby w pustyni, więc nie dziwnego, że dojrzałem «fata morgana».

18 sierpnia.

Wczoraj zmęczyły mnie i pognębiły różne myśli. Nie mogłem spać, żeby zaś nie drażnić się więcej, przestałem zstępować w głąbie pesymizmu, a począłem myśleć o Anielce i wyobrażać ją sobie. Przynosi mi to zawsze ulgę. Nateżona wyobraźnia przedstawia mi Anielkę jak żywą, tak, iż chce mi się do niej przemówić. Przypomniałem sobie ową zabawę, podczas której ujrzałem ją po raz pierwszy, jako dorosłą pannę. W pamięci mojej odcisnął się taki dokładny obraz, jakby to było wczoraj. Pamiętam białą suknię, przybraną fiołkami, nagie ramiona, tę twarz, nieco za drobną, ale świeżą jak poranek, a tak oryginalną przez śmiały rysunek brwi, niezwykłą długość rzęs i obfitość puszków na bokach twarzy! Zdaje mi się, że słyszę jeszcze jej głos pytający: «Nie poznajesz mnie, Leonie?» Napisałem w swoim czasie, że twarz ta czyniła na mnie wrażenie muzyki, przetłomaczonej na rysy ludzkie. Był w niej jednocześnie urok dziewczyny i ponętnej kobiety. Nigdy

żadna inna nie pociągała mnie silniej ku sobie, i trzeba było takiej Cyrce, jak Laura, żebym sobie pozwolił zabrać tę moją wybraną i prawie już narzeczoną.

Nikt w świecie nie odczuwa lepiej ode mnie, że słowa: «Twój czar nade mną trwa» — mogą nie należeć do poetycznych urojeń, ale być ciężką rzeczywistością. Jej czar nade mną trwa. ~~X~~ Ja ją nie tylko kocham, nie tylko jej pragnę, ale ją najmocniej lubię. ~~S~~ Ona napelnia po brzegi wszystkie moje upodobania, wszystkie wyobrażenia o kobiecym wdzięku, uroku, ona mnie pociąga ku sobie z taką niewytlómaczoną siłą, z jaką magnes pociąga żelazo. I nie może inaczej być: przecie to ta sama Anielka; nie zmieniła się nic! To ta sama twarz dziewczynki z ponętami kobiety, to samo spojrzenie, te same rzęsy, brwi, usta, ramiona, ta sama wysmukła postać. Teraz ona ma tylko jeden więcej urok: raj utraconego.

Ale za to, co za olbrzymia przepaść między naszym dawnym stosunkiem a dzisiejszym!

Kiedy sobie przypomnę tę dawną Anielkę, która oczekiwała, jak zbawienia, żebym jej powiedział: «Bądź moją» — prawie mi się nie chce wierzyć, żeby takie czasy mogły niegdyś

istnieć. Myśląc o tem, mam uczucie, jakie mieć musi zrujnowany magnat, który w latach blasku rozrzucił pieniądze na wszystkie strony i dziwił świat, a któremu później przyszło żyć z łaski jałmużny.

Tej nocy, gdym rozmyślał o Anielce i wpatrywał się w nią oczyma duszy, przyszło mi do głowy, że nie istnieje żaden jej portret, i nagle opadowała mnie nieprzeparta chęć posiadania jej podobizny. Chwycilem się tej myśli oburącz, i tak mnie ona uszczęśliwila, że wobec niej odechciało mi się spać do reszty. «Będę cię miał, — mówiłem — będę mógł przyjść, ucałować twoje ręce, oczy, usta — a ty nie odpędzisz mnie od siebie!» Począłem zaraz rozmyślać: jak to przeprowadzić? Nie mogłem przyjść do Anielki i powiedzieć jej: «Każ zrobić swój portret, a ja poniosę koszt», ale z ciotką robiłem zawsze, com chciał, i mogłem ją namówić, by ona objawiła chęć posiadania portretu Anielki. W Płoszowie istnieje cała galerya portretów rodzinnych, stanowiących dumę ciotki, a moją rozpacz, niektóre bowiem są okropne — ciotka jednak bardzo stoi o to, by tam nikogo bliższego nie brakło. Wziąwszy na uwagę jej wielkie przywiązanie do Anielki, byłem pewien, że ją nawet uraduję,

podsunąwszy myśl o portretowaniu Anielki. Z tej strony pięć minut rozmowy wystarczało, i sprawę można było uważać za skończoną; począłem tylko zastanawiać się nad tem, komu powierzyć wykonanie portretu. Z westchnieniem pomyślałem, że w żadnym razie nie namówię tych pań do Paryża, gdzie miałbym wybór między dokładnością i obiektywizmem Bonnata, zuchwalem rozmachem Karolusa Duran i słodyczą Chaplain'a. Przymknąwszy oczy, wyobrażałem sobie, jak każdy z nich wywiązałby się z zadania, i lubowałem się wyobrażeniem. Ale zresztą nie było to możliwe do przeprowadzenia. Przewidywałem, że ciotka zechce, by Anielkę malował polski malarz. Nie miałbym nic przeciw temu, albowiem przypomniałem sobie, że na wystawach w Warszawie i Krakowie widziałem kilka portretów, wcale nie gorszych od sławnych płócien zagranicznych. Przestraszała mnie tylko zwłoka. Pod względem zachceń, jak pod wielu innymi, mam usposobienie kobiece: gdy o czem pomyślę dziś, chcę, by to się stało jutro. Ponieważ byliśmy w Niemczech, w pobliżu Monachium i Wiednia, zacząłem więc przebierać myślą między niemieckimi malarzami. Wyłowilem nareszcie dwa nazwiska: Lenbach i Angeli.

Lenbacha widziałem znakomite portrety, ale tylko męskie, zresztą gniewała mnie jego pewność siebie i pobieżność, na którą, jako rozmilowany we francuskiem malarstwie, pozwalałem tylko Francuzom. Twarze kobiece Angelego również nie zadowalały mnie całkowicie, ale, bądź co bądź, musiałem mu przyznać delikatną rękę, a takiej właśnie wymagała twarz Anielki. Przytem do Lenbacha trzebaby zbaczać, Angeli był po drodze — okoliczność, o której wstyd mówić człowiekowi, nie chcącemu uchodzić za filistra! Ale tym razem chodziło mi o czas. «Umarli prędko jadą» — powiada poeta — ale rozkochani jeszcze prędzej. Zresztą i tak byłbym wybrał Angelego, więc ostatecznie postanowiłem, że on będzie malował portret Anielki. Wogóle nie lubię portretów w balowych sukniach, ale Anielkę postanowiłem koniecznie mieć w białej z fijołkami. Woleę, bym patrząc na nią, miał złudzenie, że ona jest moją dawną Anielką. Nie chcę niczego, coby mi przypominało, że jest panią Kromicką. Przytem, taka suknia jest mi droga, jako wspomnienie.

Nie mogłem się doczekać końca nocy, tak mi było pilno pomówić z ciotką. Zmieniłem jednak zamiśl. Pomyślałem, że jeśli ciotka każe

robić portret, będzie się bardzo upierała przy polskim malarzu — postanowilem więc, że to ja ofiaruję ciotce podobiznę Anielki na imieniny, które przypadają w końcu października. W ten sposób Anielka nie może odmówić. Oczywiście każe zrobić drugi egzemplarz dla siebie.

Nie spałem prawie wcale, ale liczę tę noc do dobrych, bo wszystkie godziny miałem wypełnione owymi zamysłami. Zdrzemnąłem się dopiero koło piątej, ale o ósmej byłem już na nogach. Poszedłem do Straubingera i wysłałem depeszę do biura Künstlerhausu z zapytaniem, czy Angeli jest w Wiedniu; potem, wróciwszy do domu na herbatę, zastałem te panie już przy stole i przystąpiłem wprost do rzeczy.

— Anielko, — rzekłem — muszę się przyznać do jednej winy względem ciebie: oto dzisiejszej nocy, zamiast spać, rozporządzałem twoim losem, a teraz zanoszę prośbę, byś się na te rozporządzenia zgodziła.

Anielka spojrzała na mnie z pewnym przestachem. Może jej przyszło do głowy, że tracę zmysły, albo, że zdobywam się na jakąś desperacką otwartość wobec starszych pań; widząc jednak moją twarz spokojną, a nawet obojętną, spytała:

— Cóżeś to o mnie postanowił?

Ja zaś zwróciłem się do ciotki:

— Chciałem z początku, żeby to była niespodzianka, — rzekłem — ale widzę, że to żadną miarą nie da się przeprowadzić, wolę więc otwarcie cioci powiedzieć, jakie wiązanie obmyśliłem jej na imieniny.

I powiedziałem, o co mi chodzi. Ciotce, która mój portret, i to bardzo dobry, miała już od lat trzech — nie mogłem istotnie zrobić miłszego podarunku, więc też dziękowała mi odpowiednio. Uważałem, że i Anielka była uradowana, a to jedno starczyło mi za wszystko. Zaraz też poczęliśmy bardzo żywą rozprawę, kiedy i przez kogo portret będzie malowany, jak Anielka powinna być ubrana i t. p. Takimi rzeczami kobiety interesują się nadzwyczajnie. Miałem też gotowe odpowiedzi na wszelkie pytania, przytem spostrzegłem, że mogę pod pozorem portretu zyskać coś jeszcze, prócz portretu.

— Nie zajmie to dużo czasu — rzekłem. — Depeszę z zapytaniem o Angelego już posłałem, i nie sędzę, żeby nasz wyjazd do Płoszowa miał się z powodu portretu bardzo opóźnić. Anielka da Angelemu cztery lub pięć posiedzeń, że zaś i tak mieliśmy zabawić kilka

dni w Wiedniu dla Notnagla, więc to prawie na jedno wypadnie. Suknię może Angeli odmalować później na modelu, twarz zaś w pięciu posiedzeniach może skończyć. Trzeba tylko zaraz posłać fotografię Anielki, tę naprzykład, którą ciotka Celina ma z sobą, i promień jej włosów. O włosy będę zaraz Anielkę prosił. Nim przyjedziemy, Angeli zrobi ogólny zarys, podmaluje — a potem będzie tylko kończył.

Mogło do pewnego stopnia tak być, jak mówiłem, prosząc jednak o promień włosów Anielki, liczyłem na to, że żadna z tych pań nie zna się dokładnie na procedurze malowania portretów — promień ów bowiem chciałem mieć dla siebie, nie dla Angelego, któremu mógłby on się na coś przydać wyłącznie w takim razie, gdyby portret miał być malowany tylko z fotografii, czegoby znów Angeli nie chciał się podjąć. Ale ja przedstawiłem rzecz tak, jakby od tego pułka zależały losy portretu. We dwie godziny po śniadaniu otrzymałem odpowiedź na moją depeszę: Angeli bawił w Wiedniu, gdzie kończył portret księżny M. Napisałem do niego zaraz i dołączyłem fotografię Anielki, którą zabrałem pani Celinie; potem, widząc Anielkę przechadzającą się po ogrodzie willi, zeszedłem do niej.

— A twoje włosy? — rzekłem. — Chcę przed drugą wysłać list.

Ona pobiegła do siebie i po chwili wróciła z promykiem włosów. Mnie trochę ręka drżała, gdym go od niej odbierał, ale patrzyłem jej prosto w oczy i pytałem spojrzeniem:

— Czy ty się domyślasz, że ja dla siebie chcę twoich włosów, że one będą dla mnie czemś najdroższem ze wszystkiego, co posiadamy?

Anielka nie odrzekła nic, ale spuściła powieki i zaczerwieniła się, jak dziewczyna, która pierwszy raz w życiu słyszy wyznanie. Odgađła. Ja pomyślałem, że za jedno dotknięcie ustami jej ust zupełnieby było warto oddać życie. Miłość dla niej potęguje się we mnie czasem do tego stopnia, że przechodzi w ból.

Mam teraz cząstkę i jej fizycznej istoty. Zdobyłem ją podstępem. Ja, życiowy przechera, ja sceptyk, ja, który w każdej chwili widzę się i analizuję — zdobywam się na podstępny, czynny i uczucia Goethowskiego Siebła.

Ale mówię sobie: w najgorszym razie jestem sentymentalny i śmieszny. Kto wie, czy nie stokroć głupszy, śmieszniejszy i nędzniejszy jest we mnie ten drugi, niesentymentalny człowiek,

który wszystko doprowadza do świadomości i rozbiera. Analiza jest czemś podobnem do oskubywania kwiatu. Psuje się przez nią najczęściej piękność życia — a. zatem i szczęście, czyli to, co jedynie ma sens.

22 sierpnia.

Po ukończeniu kuracyi pani Celiny czekaliśmy całe tygodnie, aż upały w równinach przełomina, i doczekaliśmy się okropnej niepogody. Teraz znów czekamy na pierwszy jaśniejszy dzień, by wyruszyć do Wiednia. Od trzech dni panują tu egipskie ciemności. Chmury, które już na tydzień przedtem zbierały się na szczytach, wysiadując tam śniegi i deszcze, speszły z owych wysokich gniazd i, spuściwszy się na Gastein, pokryły swoim ociążałem lonem całą dolinę. Żyjemy w takiej mgłę, że w południe trudno trafić do naszej willi od Straubingera. Wszystko przesłonięte: domy i drzewa, góry i wodospady. Kształty stopiły się i znikły w jednym białawym wilgotnym tumanie, który ciąży na rzeczach, a poniekąd i na duszach. Od godziny drugiej po południu siedzimy przy zapalonych lampach. Moje panie kończą się pakować. Bylibyśmy już wyjechali, mimo mgły,

9-60/0 - - 0 - - 0 - - 0 - - 0 -

gdyby nie to, że strumienie górskie popsuly w jednym miejscu za Hofgasteinem drogę. Pani Celinie wróciła migrena; ciotka otrzymała list od starego Chwastowskiego o przebiegu żniw, wskutek czego przechadzała się przez większą część dnia wielkimi krokami po jadalnym pokoju, rozprawiając z Chwastowskim i lając go. Anielka dziś zrana była bardzo mizerna. Przyznała się nam, że z wieczora przyśnił się jej ów kretyn, którego spotkaliśmy po drodze do Schreckbrücke. Zbudziwszy się, nie mogła już zasnąć i resztę nocy spędziła w nerwowym strachu. Dziwna rzecz, jakie wrażenie uczynił na niej widok tego nieszczęśliwego. Staralem się zatrzeć je wesołą rozmową, co mi się w części udało, od czasu bowiem naszego układu przy Schreckbrücke, Anielka jest nierównie weselsza, spokojniejsza i szczęśliwsza.

Ja zaś, wobec tego, nie mam nawet odwagi szemrać, choć nieraz przychodzi mi do głowy, że stosunek między nami polega na tem, że go niema. Zawierając układ, wiedziałem dokładnie, czegom chciał i jakie nasze uczucie przybierze kształty; a teraz owe kształty rozpraszają się, coraz bardziej nieuchwytne i nieokreślone, jakby przesłaniała je taka sama mgła, jaka w tej

chwili przesłania Gastein. Mam ciągle poczucie, że mi Anielka nie przyznaje tego, co mi się należy, a nie śmiem się o nie upomnieć. Nie śmiem może dlatego, że każda walka ruży, a cóż dopiero walka o osobę ukochaną; ja zaś prowadziłem ją od pół roku, i nie zgola nie wywalczywszy, wyczerpałem się do tego stopnia, że obecnie wolę byle jaki spokój, niż dawne bezowocne wysiłki.

Lecz może jest i drugi powód. Jeśli ten stan rzeczy nie odpowiada moim oczekiwaniom, widzę jednak, że on zjednywa mi Anielkę. Jej się wydaje, że ja ją kocham teraz szlachetniej, więc i ona ceni, nie śmiem powiedzieć: kocha, mnie za to więcej. Mimo zupełnego braku objawów zewnętrznych, czuję, że tak jest, i to dodaje mi sił, albowiem mówię: «Ponieważ w ten sposób jej uczucie wzrasta, więc wytrwaj, więc się go trzymaj, a może doczekasz czasu, w którym ono przerośnie jej siłę oporną».

Ludzie wogóle, a zwłaszcza kobiety, sądzą, że tak zwana miłość platoniczna jest jakimś osobnym gatunkiem miłości, niezmiernie rzadkim i niezmiernie szlachetnym. Jest to proste pomieszanie pojęć. Może istnieć platoniczny stosunek, ale miłość platoniczna jest takim samym non-

sensem, jak np. nieświecące słońce. Nawet miłość dla osób zmarłych składa się z tęsknoty, zarówno po ich duszy, jak po ich ziemskiej postaci. Między żyjącymi, tego rodzaju stosunek — to rezygnacya. Ja nie chciałem klamać, mówiąc Anielce: «Będę cię tak kochał, jakbyś już umarła». Ale rezygnacya nie wyłącza nadziei. Mimo tylu zawodów, mimo całego przeświadczenia, że wszelka nadzieja jest płonna, na dnie serca miałem i mam nadzieję, iż nasz dzisiejszy stosunek to tylko etap na drodze naszej miłości. Mogę sobie sto razy powtarzać: «złudzenie! złudzenie» — nie umiem się jednak pozbyć nadziei, póki nie pozbędę się pragnień. Te rzeczy są nieodłączne. Zgodziłem się na taki stosunek, bom musiał, bo wolalem taki, niż żaden, ale mimo całej szczerości, prawie mimowoli uważam go za moją grę, za moją dyplomacyę, której celem jest zupełne, nie połowiczne szczęście.

Co mnie jednak zastanawia, dziwi i martwi, czego poprostu nie rozumiem, to, że ja i na tej drodze jestem pobity. Zwycięstwa moje leżą w mgłę przyszłości — i są podobne do jakichś majaków, do uludy, tymczasem w czasie obecnym, ja, z całą moją przebiegłością, z całą znajomością życia, uczuć, ich dyplomacyi, zostałem

poprostu pobity przez tę istotę, nieskończenie prostszą ode mnie, mniej świadomą taktyki życiowej, mniej przezorną i mniej obliczającą każdy krok. Zostałem pobity — niema gadania! Czem bowiem jest nasz obecny stosunek? Oto, w rzeczywistości, stosunkiem kochającego się rodzeństwa, zatem tem, czego ona chciała, a czego ja — nie chciałem. Dawniej płynąłem z burzą i rozbijałem się ustawicznie, alem przynajmniej sam sterował moją łodzią. Teraz Anielka steruje obiema — i płynę ciszej, równiej, tylko ja czuję, że płynę tam, dokąd sobie płynąć nie życzę. Teraz rozumiem, dlaczego zaledwiem jej wspominał o miłości Danta do Beatryczy, wyciągnęła do mnie obie ręce. Dlatego, żeby mnie prowadzić. Czy ona lepiej i głębiej obrachowywa wszystko ode mnie?

Nie! nie znam istoty mniej zdolnej do jakiegokolwiek wyrachowań, więc nie mogę tego dopuścić; ale nie mogę także pozbyć się myśli, graniczącej z czemś mistycznym, że to tak wygląda, jakby ktoś obrachowywał za nią.

Wszystko, co mnie otacza, jest jakieś dziwne. Dziwnem jest i to, że ja się daję ograniczać, żem sam wymyślił ten stosunek, taki przeciwny mojej naturze, moim poglądom, moim naj-

gorętszym pragnieniom. Gdyby mi ktoś przed poznaniem Anielki powiedział, że ja wpadnę na tego rodzaju pomysły, poczytałbym go za wariata i miałbym przez jakiś miesiąc temat do drwin i z takiego proroka i z siebie samego. Ja — w stosunku platonicznym! Jeszcze i teraz chce mi się czasem śmiać i drwić.

Tylko czuję, że do tego doprowadziła mnie nędza.

23 sierpnia.

Jutro wyjeżdżamy. Niebo się przeciera i wiatr wieje z zachodu, co wróży pogodę. Mgła pozwiała się w długie białawe waly, które wyciągnęły się po bokach gór i posuwają się zwolna, w poprzek stoków, nakształt olbrzymich lewiantów. Chodziliśmy z Anielką na Kaiserweg. Zrana przyszło mi do głowy pytanie: co by się stało, gdyby ten stosunek, w jakim żyjemy, przestał samej Anielce wystarczać? Ja nie mam prawa przestąpić granicy i boję się; a nużby znów ona tak samo myślała? Wrodzona jej wstydlivość i nieśmiałość stanowiłyby i tak nieprzewyciężoną dla niej przeszkodę, gdyby zaś jeszcze sądziła, że ją układ tak samo obowią-

La Panique 51 *— La Panique*
zuje, jak mnie — nie porozumielibyśmy się nigdy — i cierpielibyśmy nadaremnie.

Zastanowiwszy się jednak nad tem głębiej, zrozumiałem całą czczość podobnych obaw. Ona, której nawet ten platoniczny stosunek wydaje się za obszernym, która go z wiedzą lub bez wiedzy zacieśnia, która w tych nawet granicach nie przyznaje mi tego, co mi się należy, miałaby się dobrowolnie, pierwsza, zgodzić na przyznanie mi większych praw?!

A jednak dusza ludzka, chyba nawet i w piekle, będzie jeszcze żyła nadzieją. Mimo oczywistego niepodobieństwa, postanowiłem ubezpieczyć się na wszelki wypadek i powiedzieć Anielce, że układ obowiązuje tylko mnie — a zresztą wszystko zależy od jej laski.

Chciałem powiedzieć jej także wiele innych rzeczy, a mianowicie, że mi się krzywda dzieje, że dusza moja potrzebuje koniecznie i bezwarunkowo słyszeć z jej ust słowo: «kocham», i to nie raz, ale często, ale codzień; że tem tylko może żyć i tem tylko utrzymać się na wysokościach. Ale Anielka była tego poranku tak wesola, tak swobodna i tak serdeczna dla mnie, że zbrakło mi odwagi do zamącenia tej pogody. Wczoraj nie mogłem zrozumieć, dlaczego ta

istota, tak pełna prostoty, opanowywa mnie i zwycięża nawet na tych polach, na których ja, według wszelkich ludzkich pojęć, powinienem być zwycięzcą. Dziś mi to jest jaśniejsze — i mam gotową, bardzo smutną hipotezę: oto ja więcej ją kocham, niż ona mnie.

Znałem człowieka, który miał przysłowie: «Mniejsza o moje». Nie byłoby nic dziwnego, gdybym ja zaczął je teraz powtarzać. Bo jeśli czasem mam ochotę wyrzucić coś z siebie, co mi pali usta, jak rozżarzony węgiel, a spostrzegam, że mogę tem spłoszyć jej wesołość, jej uśmiech, zmienić jej dobre usposobienie — to i milczę. Ileż razy się tak zdarza!

To, że ja ją więcej kocham, niż ona mnie, przychodziło mi już ze sto razy do głowy, ale ja o tych stosunkach wczoraj myślałem to, dziś owo, błąkam się, gubię, zaprzeczam sam sobie, każdą rzecz widzę codziennie inaczej. Raz mi się zdaje, że ona i mnie nie bardzo kocha i w ogóle nie jest bardzo zdolną do kochania; drugi raz nie tylko myślę, ale i czuję, że jest to jedno z najgłębszych i najmocniej kochających serc, jakie w świecie spotkałem. I mam zawsze dowody na obie strony. Bo mówię sobie tak: gdyby naprzykład jej miłość dla mnie stała się trzy, cztery,

dziesięć razy większą, czyby nareszcie nie przyszła chwila, że stałaby się zarazem większą od jej oporu? Tak! Więc to jest kwestya tylko wielkości uczucia? Nie! Bo gdyby uczucie było naprawdę małe, albo żadne, to ona nie byłaby tyle cierpiała, a widziałem ją tak nieszczęśliwą, jak prawie ja sam. Na wszystkie przeciw niej rozumowania mam tylko jedną odpowiedź: widziałem!

Dziś wyszło z jej ust zdanie, które zapamiętam, bo stanowiło także odpowiedź na moje wątpliwości. Nie byłaby nic podobnego powiedziała, gdybym był mówił wprost o nas i o naszej miłości. Ale ja mówiłem ogólnie, jak zwykle teraz mówię. Dowodziłem, że w naturze uczucia leży czyn, że ono jest siłą powodującą i wytwarzającą bezwarunkowo jakieś akty woli. Ona, wysłuchawszy, rzekła:

~~I~~ Albo też się cierpi.

I naturalnie, że się cierpi. Ale ona temi kilkoma słowami zamknęła mi usta, a natomiast napelniła mi serce czcią dla siebie. W takich chwilach jestem szczęśliwy i nieszczęśliwy, bo mi się znów wydaje, że ona mnie tak samo kocha, jak ja ją — tylko cała rzecz w tem, że chce zostać czystą przed Bogiem, ludźmi i sobą. A ja tego kościola nie zburzę.

Ostatecznie, analiza jej serca i uczuć nie doprowadza mnie do żadnych pewników. Ciągłe stoję na rozdrożu. Do moich «nie wiem» religijnych, filozoficznych, społecznych, przybywa jeszcze jedno, osobiste, stokroć dla mnie ważniejsze, to bowiem rozumiem doskonale, że przez takie «nie wiem» można kark skrócić.

Sam kulem ten łańcuch, który mnie do Anielki przywiązuje, ale też przywiązuje bez cienia podobieństwa, żeby kiedykolwiek prysnął. Kocham ją rozpaczliwie, lecz pytanie: czy i nie chorobliwie zarazem? Gdybym był młodszy, zdrowszy na duszy i ciele, mniej zwichnięty, normalniejszy, tobym się może urwał, a przynajmniej wobec tej pewności, że nigdy do niczego nie dojdę — że, mówiąc grubo, nie nie wskóram, że jej ramiona nigdy nie otworzą się dla mnie, starałbym się potargać te więzy. Ale dziś nie czynię nawet usiłowań. Kocham ją tak, jak człowiek chory na nerwy, bliski manii, albo jak kochają ludzie starzy, którzy, gdy się uczepią miłości, to trzymają się jej ze wszystkich sił. Albowiem staje się ona dla nich kwestyą życia. Podobnie czepiają się ludzie gałęzi, wiążąc nad przepaścią.

Z mojego życia to jedno wykwitło, więc też

i wybujało nadnaturalnie. Taki objaw jest zupełnie zrozumiały i będzie się powtarzał tem częściej, im będzie więcej ludzi na świecie podobnych do mnie, to jest przeanalizowanych sceptyków i zarazem histeryków, mających w duszy wielkie nic, a we krwi wielką newrozę. Taki nowożytny produkt epoki, która się kończy, może wcale nie kochać, może utożsamiać miłość z rozpustą, ale gdy w jakimś uczuciu zestrzela się wszystkie jego siły żywotne, gdy podstawą się ono w jego newrozę, to go opanuje zupełnie i stanie się tak uporczywe, jak uporczywe bywają tylko choroby. Tego może dziś jeszcze psychologowie nie rozumieją, a z pewnością nie rozumieją dotąd powieściopisarze, zajmujący się analizą nowożytnej duszy ludzkiej.

Wiedeń.
Wiedeń, 25 sierpnia.

Przyjechaliśmy dziś do Wiednia. W drodze wysłuchałem rozmowy między panią Celiną a Anielką, którą zapisuję z powodu szczególniejszego wrażenia, jakie ona na Anielce uczyniła. Było nas tylko czworo w wagonie, i rozprawialiśmy o portrecie Anielki, mianowicie zaś o tem, że trzeba się będzie wyrzec białej sukni, bo zrobienie jej wymagałoby zbyt długiego czasu.

Nagle pani Celina, która pamięta wszelkiego rodzaju daty i wiecznie je cytuje, rzekła, zwróciwszy się do Anielki:

— Wszak to dziś upływają dwa miesiące, jak twój mąż przyjechał do Płoszowa?

— Zdaje się — odrzekła Anielka.

I w tej samej chwili zaczerwieniła się tak silnie, że chcąc to ukryć, wstała i poczęła zdejmować woreczek podróżny z siatki wagonowej. Gdy się odwróciła, rumieniec nie zeszedł jeszcze zupełnie z jej twarzy, ale był na niej natomiast wyraz ogromnej przykrości. Starsze panie nie spostrzegły tego, bo się zaraz zaczęły sprzeczać o dzień przyjazdu Kromickiego, lecz ja spostrzegłem i odczułem, bo mi przyszło na myśl, że tego samego dnia ona musiała znosić jego pieszczoty, pocałunki — i ogarnęło mnie uczucie wściekłości, a zarazem było mi wstyd za ten jej rumieniec. W mojej miłości jest mnóstwo wielkich cierni, ale jest także mnóstwo małych i ohydnych. Przed tą uwagą pani Celiny byłem prawie szczęśliwy, miałem bowiem złudzenie, że tak podróżujemy z Anielką i tak z sobą jesteśmy, jak para narzeczonych. Teraz, w jednej chwili to dobre usposobienie znikło. Czułem urazę do Anielki, i moje obejście się z nią zmieniło się

zupełnie. Ona natychmiast to spostrzegła i w Wiedniu już, gdy zostaliśmy przez chwilę sam na sam w sali na dworcu, spytała mnie:

— Czy ty się na mnie o co gniewasz?

— Nie, ale cię kocham! — odpowiedziałem jej szorstko.

To znowu ją zasmucilo. Może pomyślała sobie, że mi się uprzykrzył ów pogodny stosunek, i że staję się znów dawnym Leonem. Jam zaś był podwójnie zły, bo przyszło mi na myśl, że moje zdwajanie się i moja świadomość nie służy mi nawet do tego, żebym umiał zapanować nad jakimś jednym przykrem wrażeniem. Tylko następne wrażenia są lekarstwem na poprzednie, a moja filozofia jest zupełnie na nic.

Zaraz po przyjeździe byłem u Angelego, ale nimem do niego zajechał, wybiła szósta, i pracownię zastałem zamkniętą. Anielka do jutra wypocznie, więc pójdę z nią. Rozmyśliłem się. Nie chcę już jej stanowczo w białej sukni. Nie będę miał na portrecie jej szyi i ramion, ale będę miał ją taką, jaką jest codzień, to jest taką, jaką ją kocham najbardziej.

Wieczorem odwiedził nas doktor Chwastowski. Zdrowszy i tegi zawsze.

26 sierpnia.

Miałem obrzydliwy sen. Zaczynam od niego opis dzisiejszego dnia, bo jakkolwiek sam sen jest głupstwem, mam jednak przekonanie, że zdrowy mózg nie może śnić w podobny sposób. Bezsenność trapi mnie oddawna, wczoraj zaś, ledwie oczy zamknął, zapadłem jakby w odrętwienie. O której godzinie przyśniły mi się te głupstwa, nie wiem; zdaje mi się, że dopiero nad ranem, bo gdym się obudził, było już widno, a nie musiałem śnić długo. Zobaczyłem masy chrząszczów i żuków, wychodzących z boków, ze szpar między materacem a łóżkiem. Były tak duże, jak pudełka od zapalek. Wkrótce ujrzałem je, idące w górę po ścianie. Dziwna rzecz, jak podobne sny są realne; słyszałem najwyraźniej szelest papierowego obicia pod haczykami nóg. Podniósłszy oczy, zobaczyłem w kącie pod sufitem całe grona chrząszczów, tylko nieco odmiennych, bo jeszcze większych i białych w czarne plamy. U niektórych widziałem podbrzusza z dwoma szeregami nóg, które wyglądały jakby żebra. We śnie wydawało mi się to wszystko naturalne i zarazem ohydne. Byłem pełen wstrętu, ale ani się bał, ani dziwił. Dopiero po prze-

budzeniu się, gdy począłem myśleć świadomie, wstręt ten stał się nieznośny i zmienił się w dziwnego rodzaju strach, bo strach śmierci. Pierwszy raz odczuwałem coś podobnego, i ta bojaźń śmierci formułowała się tak: «Kto wie, jakie tam mrowienie przeohydne może istnieć w tych ciemnościach z drugiej strony życia?» Później przypomniałem sobie, że takie olbrzymie, białe z czarnymi plamami chrząszcze widziałem w jakimś muzeum, ale na razie wydały mi się one widzeniem rzeczy niebywałych, należących do pozagrobowej ohydy. Zerwałem się, podniosłem roletę, i widok światła uspokoił mnie zupełnie. Na ulicy już był ruch; psy ciągnęły wózki z wozem, służące szły na targ, robotnicy do fabryk. Widok normalnego życia ludzkiego jest najlepszym przeciwśrodkiem na tego rodzaju fantasmagoryę. Ja teraz czuję ogromną potrzebę światła i życia. Ostateczny wniosek z tego wszystkiego, że nie jestem zdrow. Moja tragedia toczy mnie od wewnątrz, jak robak. Że spostrzegam na brodzie i głowie białe nitki, to leży w porządku rzeczy; ale twarz moja, zwłaszcza zrana, ma tony woskowe i ręce są trochę przezroczyście. Nie chudnę, raczej przeciwnie — a z tem wszystkim mam świadomość swojej przemijalności, tak

samo jak mam świadomość swoich stanów psychicznych i czuję, że moja żywotność przesila się — i że idę ku czemuś złemu.

Nie zwaryuję nigdy. Zupełnie nie wyobrażam sobie, jak mógłby nadejść taki czas, w którym przestałbym siebie kontrolować. Zresztą znakomity jeden lekarz, a co większa, rozumny przytem człowiek, powiedział mi, że przy pewnym stopniu w rozwoju świadomości jest to rzecz niemożliwa. Zdaje mi się nawet, że o tem pisał. Lecz nie waryując, mogę dostać jakiejś ogromnej choroby nerwowej — a że wiem trochę, co to jest — więc zupełnie szczerze mówię, że wolałbym każdą inną.

Ogólnie biorąc, nie wierzę w doktorów, zwłaszcza takich, którzy wierzą w medycynę, ale być może, że trzeba się będzie poradzić, zwłaszcza, że i ciotka sobie tego życzy. Wiem zresztą jedno lekarstwo niezawodne: gdyby Kromicki umarł i gdybym się ożenił z Anielką, to byłbym zdrow. Choroby, płynące z nerwów, należy leczyć przez nerwy.

Ale ona nie zechce być moim lekarzem, choćby chodziło o moje życie.

Byłem z nią i ciotką u Angelego. Dziś odbyło się pierwsze posiedzenie. Jaką ja jednak

miałem słuszość, twierdząc, że ona jest jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie w życiu spotkałem, dlatego że w jej piękności niema nic pospolitego! Angeli wpatrywał się w nią z takim upodobaniem, jakby patrzył na wysokie i szlachetne dzieło sztuki. Wpadł w doskonały humor, rysował z zapalem i nie ukrywał nam wcale powodów swego zadowolenia.

— W moim zawodzie — mówił — podobny model jest rzadkością. Jak się ma taki wzór, to się inaczej pracuje... Co za twarz! co za wyraz!

A wyraz był mniej zachwycający, niż zwykle, bo to nieśmiałe stworzenie czuło się zmieszane, zawstydzone i z trudnością przychodziło mu zachowywać twarz i postawę naturalną. Ale Angeli to zrozumiał.

— Na następnych posiedzeniach będzie coraz lepiej — mówił; — z tem, jak ze wszystkim, trzeba się oswoić.

I co chwila wykrzykiwał:

— To powinien być portret!

Spoglądał także z przyjemnością na ciotkę, która ma rysy szlachetne, pełne charakteru, energii, a zarazem dziwnej zamaszystości. Obejście się jej z Angelim było w swoim rodzaju czemś nie-

porównaniem. Była w niem jakaś naiwna bezceremonialność wielkiej damy, będącej zawsze w zgodzie z dobrym smakiem, ale nie robiącej sobie nic z nikogo. Angeli, człowiek przywykły do hołdów, ale bardzo zarazem sprytny, poznał się na tem, i widziałem, że go to bawiło.

Zdecydowaliśmy się na czarną jedwabną suknię, nadzwyczaj zresztą wykwintną. Szczególniej figura Anielki ślicznie się w niej wydaje. Widać jej smukłość i zarazem pełność. Nie mogę o tem ani myśleć, ani pisać spokojnie. Angeli, mówiąc do Anielki, użył wyrazu: «mademoiselle». Kobięca natura jest dziwna, choćby nawet była anielska. Widziałem, że to mojemu kochanemu stworzeniu zrobiło przyjemność, a jeszcze większe zadowolenie ujrzałem w jej ślicznej twarzy, gdy Angeli, poprawiony przeze mnie, odpowiedział:

— Ależ ja się będę ciągle mylił! Patrząc na panią, niepodobna się nie omylić...

Rzeczywiście, z tymi rumieńcami, bijącymi jej na twarz, była tak zachwycająca, że mi się przypomniał — i przypomniał dokładniej, niż poprzednio — ów wiersz, który pisałem niegdyś, a którego każda zwrotka kończyła się słowami:

»I dziwię się tylko, że kwiaty
Pod twemi stopami nie rosną,
Ty złoty mój ptaku skrzydlaty,
Ty maju, ty raju, ty wiosno!«

Wychodząc, gdyśmy oddalili się nieco od
ciotki, szepnąłem jej do ucha:

— Anielko, ty nie wiesz, ty nawet nie zda-
jesz sobie sprawy, jakaś ty piękna.

Nie odpowiedziała nic, tylko spuściła powieki,
jak czyni w takich razach zwykle. Jednakże
przez cały dzień widziałem w jej obejściu się
ze mną mimowolny, leciuchny odcień kokiete-
ryi. Słowa Angelego i moje nastroiły ją w taki
sposób. Czula, że ją podziwiam z całej duszy,
i była mi za to wdzięczną.

A ja nietylkom ją podziwiał, ale mówiłem
sobie w duszy, a raczej krzyczałem:

— Niech dyabeł porwie wszelkie układy! Ko-
cham ją bez ograniczeń i zastrzeżeń!...

Wieczorem byliśmy na «Fliegende Hollän-
der» Wagnera. Zaledwie słyszałem cośkolwiek,
albo inaczej mówiąc, słyszałem tylko uczuciem,
rozumiałem tylko przez moją miłość.

Zadawałem pytanie Wagnerowi: «Jakie ty na
niej czynisz wrażenie? czy twoja muzyka wnika
w nią, czy ją usposabia do kochania, czy ją

przenosi w jakieś światy, gdzie miłość jest najwyższem prawem?» To tylko mnie obchodziło.

Kobiety nie umieją chyba kochać tak wyłącznie. One zostawiają zawsze jakąś część duszy dla siebie, świata i jego wrażeń.

27 sierpnia.

Ciotka objawiła zamiar wyjazdu. Pilno jej do Płoszowa, i powiada, że obecność jej tu na nic niepotrzebna, że nawet będzie lepiej, gdy wyjedzie, bo się nie będziemy za nią oglądali i zostaniemy tak długo, jak będzie wymagała robota portretu. Trochęśmy się wszyscy opierali temu zamiarowi, ze względu na to, że osoba w wieku nie powinna jednak puszczać się w drogę sama. Czulem się w obowiązku — choć przyszło mi to niełatwo — powiedzieć ciotce, że jeśli koniecznie chce wyjechać, to będę jej towarzyszył. Przyznaje, żem z pewnem drżeniem wewnętrznem oczekiwał jej odpowiedzi. Na szczęście, moje pocziwe ciotczysko odpowiedziało z wielką żywością:

— Ani o tem myśl! Jak Celina będzie słaba, albo zmęczona, to kto zaprowadzi Anielkę do pracowni? Sama przecie nie może tam iść.

Tu poczęła grozić Anielce i dodała z uśmiechem na ustach a marsem na czole:

— Zwłaszcza, że ten malarz patrzy na nią więcej, niż robota portretu wymaga, a ona to widzi i rada. Oho! trzeba ją znać!

— Przecie on już nie młody — odpowiedziała Anielka, śmiejąc się i całując ciotki ręce.

Ciotka zaś poczęła mruczeć:

— Ty przyłepko, ty! Nie młody, ale komplemента gada. Leonie, pilnuj mi ich obojga.

Ja z rozkoszą ustąpiłem od jazdy do Płoszowa wobec powodów, przytoczonych przez ciotkę. Pani Celina poczęła namawiać ją, żeby wzięła przynajmniej pannę służącą, która była z nami w Gasteinie. Ciotka opierała się z początku i temu, ustąpiła jednak, gdy Anielka powiedziała jej, że w hotelu dadzą sobie doskonale radę bez służącej.

Zaraz kazała pakować swoje kufry. Ciotka lubi wszystko prędko robić i chce jechać jutro rano. Przy obiedzie drażniłem ją, twierdząc, że woli swoje konie wyścigowe od nas, i że to do nich jej tak pilno. Powtarzała: «Ach, jaki nie-mądry! cicho bądź!» — ale po chwili, zapomniawszy się, zaczęła z sobą głośną pogawędkę o stadninie.

Posiedzenie trwało dziś bardzo długo. Anielka pozowała lepiej. Twarz jest już podmalowana.

28 sierpnia.

Ciotka wyjechała rannym pociągiem z Wiednia. Na posiedzeniu byliśmy razem z panią Celiną, która ujrzawszy twarz Anielki, dopiero podmalowaną, ledwie że zdołała powstrzymać okrzyk oburzenia. Ona nie ma pojęcia o malarstwie i wszystkich fazach, przez jakie przechodzić musi portret, sądziła więc, że twarz już taka zostanie — to jest brzydka i nie niepodobna. Musiałem ją uspokajać; potem Angeli domyślił się także o co idzie, i śmiejąc się, zapewnił ją również, że to, co widzi, jest tylko poczwarką, z której się wylęgnie motyl.

Na pocieszenie rzekł sam w końcu:

— Myślę, że to będzie jeden z najlepszych moich portretów, bo dawno nie malowałem tak «con amore».

Oby się jego słowa sprawdziły!

Po skończonem posiedzeniu poszedłem po bilety do opery. Gdym z nimi wrócił, zastałem Anielkę samą — i nagle pokusy ogarnęły mnie, jak huragan. Pomyślałem, że gdyby ona chciała pójść teraz w moje ramiona, to byłaby dobra

chwila, i na tę myśl uczulem, że blednę, że pulsa poczynają mi bić gwałtownie, że drzę na całym ciecie i tchu mi braknie. W pokoju był półmrok, firanki nawpół zasłonięte. Czyniłem nadludzkie wysilenia, by przezwycieżyć te siły niepokonywane, które mnie parły ku niej. Zdawało mi się, że bije od niej ku mnie żar — i że takie same myśli burzą i jej duszę. Mogłem ją przecie porwać i przycisnąć do piersi, całować jej oczy, usta. Jakiś głos począł mi mówić: «Choćby potem zginać!» Ona spostrzegła natychmiast mój stan niezwykle, w oczach jej mignął przestrah, ale zaraz opanowała się i rzekła śpiesznie:

— Musisz być moim opiekunem do powrotu mamy; dawniej bałam się ciebie, a teraz tak ci ufam i tak mi z tobą dobrze...

Ja począłem całować ją po rękach i powtarzać stłumionym głosem:

— Żebyś ty wiedziała, żebyś ty wiedziała, co się ze mną dzieje!...

Ona zaś odrzekła ze współczuciem i smutkiem:

— Ja wiem... i tem jesteś lepszy, tem szlachetniejszy...

Chwilę jeszcze zmagalem się sam z sobą, wreszcie rozbroiła mnie. Nie śmiałem. Za to

przez całą resztę dnia starała mi się to wynagrodzić. Nigdy w jej spojrzeniu nie czytałem więcej przywiązania, nigdy nie była dla mnie tak tkliwa. Czy to jest może najlepsza droga, jaką mam przed sobą? czy w ten właśnie sposób uczucie najbardziej wzbierze w sercu Anielki i najprędzej ją zwycięży? — nie wiem, i tracę głowę...

Bo z drugiej strony, idąc taką drogą, poświęcam na każdym kroku z miłości — samą miłość.

29 sierpnia.

Stało się coś dziwnego i przestraszającego. W czasie posiedzenia, Anielka, pozując najspokojniej, wzdrygnęła się nagle, twarz jej oblała się rumieńcem, a potem stała się blada, jak opłatek. Obaj z Angelim przeraziliśmy się ogromnie. On przerwał w tej chwili robotę i prosił Anielkę, by odpoczęła; ja podałem jej wody. Po chwili to przeszło. Chciała pozować dalej, ale widziałem, że się do tego zmusza i że jest w niej jakiś niepokój. Być może, iż się zmęczyła. Dzień był dziś bardzo duszny; mury są rozpalone. Odprowadziłem ją do domu rychlej, niż w dniu wczorajszym. Przez drogę nie odzyskała zwykłego usposobienia. Podczas obiadu znów się na-

gle zaczerwieniła. Poczuliśmy z panią Celiną wypytywać: co jej jest? Zaręczała nam, że nie. Na moje pytanie, czy nie sprowadzić jej doktora, odpowiedziała z niezwykłą żywością, a nawet jakby z rozdrażnieniem, że niema najmniejszej potrzeby i że się czuje doskonale. Ale przez resztę dnia była blada; jej czarne brwi ściągają się co chwila, a twarz przybiera wyraz jakiejś surowości. Dla mnie była obojętniejsza, niż wczoraj — i chwilami zdawało mi się, że unika mego wzroku. Nie rozumiem, co to jest. Jestem ogromnie niespokojny. Nie będę znów spał, a gdybym nawet *zasnął*, czuję, że miałbym jakieś sny w rodzaju tego, o którym pisałem.

30 sierpnia.

Dzieje się koło mnie coś niezrozumiałego. O południu zapukałem do tych pań, chcąc zabrać Anielkę na posiedzenie; tymczasem nie było ich w domu. Służba hotelowa powiedziała mi, że kazały sobie przed dwiema godzinami sprowadzić powóz i wyjechały na miasto. Zdziwiony trochę, postanowiłem na nie czekać. Jakoż, po upływie pół godziny, wróciły, ale Anielka przeszła tylko koło mnie i, podawszy mi w milczeniu rękę, udała się do swego pokoju. Przez tę

chwilę zdołałem jednak dostrzedz, że twarz jej jest wzburzona. Myślałem, że idzie się tylko przebrać, tymczasem pani Celina rzekła:

— Mój kochany Leonie, bądź łaskaw pójść do Angelego i przeprosić go, że Anielka dziś nie przyjdzie. Anielka taka jest znerwowana, że żadną miarą nie mogłaby pozować.

— Co jej jest? — spytałem z największym niepokojem.

Pani Celina zawahała się przez chwilę, wreszcie odrzekła:

— Nie wiem; zawiozłam ją do doktora, aleśmy go nie zastały. Zostawiłam mu kartkę z prośbą, by zechciał przyjechać do nas do hotelu... Zresztą... nie wiem...

Nic więcej nie mogłem się dowiedzieć. Wziąłem dorożkę i pojechałem do Angelego. Gdym mu mówił, że Anielka nie przyjedzie, zdawało mi się, że spojrzał na mnie z nieufnością. Zresztą, wobec mego widocznego niepokoju, byłoby to naturalne. Ale przyszło mi do głowy: nuż on nas podejrzewa, żeśmy się rozmyślili i chcemy wykręcić się od portretu? On nas przecie nie zna — mógłby nawet pomyśleć, że to jakiś kłopot pieniężny jest przyczyną mego pomieszanania. Chcąc więc zapobiedz podobnym podejrzaniom,

postanowiłem go z góry zapłacić. On usłyszawszy o tem, począł się bronić bardzo żywo i oświadczył, że zapłaty inaczey nie przyjmuje, tylko po ukończeniu portretu, ale ja odrzekłem, że jestem tylko depozytaryuszem sumy, zostawionej przez ciotkę, a ponieważ prawdopodobnie przyjdzie mi wyjechać, więc wolę się pozbyć kłopotu. Po długich sporach, które mnie znudziły, stanęło na mojem. Umówiliśmy się, że posiedzenie odbędzie się nazajutrz, o zwykłej porze; gdyby zaś nie mogło mieć miejsca, ze względu na zdrowie pani Kromickiej, to mu dam znać przed dziesiątą.

Wróciwszy do hotelu, poszedłem zaraz do tych pań. Anielka była u siebie; pani Celina powiedziała mi, że doktor dopiero co odjechał, ale nie powiedział nic stanowczego, nakazał tylko spokój. Nie wiem dlaczego, zdawało mi się, że znów widzę w jej twarzy jakieś wahanie się. Może to był tylko niepokój, który zresztą łatwo mi zrozumieć, bo i ja go odczuwam.

Poszedłszy do siebie, zacząłem sobie robić gorzkie wyrzuty, że jednak nasz stosunek, ta walka wewnętrzna, która musi odbywać się w Anielce, to odgadywanie mojej miłości i moich cierpień, nie może być bez złego wpływu

na jej zdrowie. Myśląc o tem, doznawałem uczucia, które w słowach dałoby się wyrazić tak: «Lepiejbyś ty przepadł, niżby ona miała chorować!»

Myślałem z takim strachem, że ona pewnie nie zejdzie na obiad, jakby od tego Bóg wie co zależało. Na szczęście, zeszła — nie przestała mnie jednak dziwić. Naprzód zmieszała się na mój widok; potem usiłowała być taką, jak zwykle, a była inną. Robiła na mnie wrażenie osoby, która ukrywa zmartwienie. Musiała być przytem chyba bledsza, niż zwykle, bo ona ma przecie zaledwie ciemne włosy, a wydawała mi się prawie brunetką.

Łamię sobie głowę: czy te panie nie odebrały jakich niepomyślnych nowin od Kromickiego? A jeśli tak, co to mogą być za nowiny? Może moje pieniądze są w niebezpieczeństwie? A pal-że je lichy! Wszystko co mam, nie warto, żeby się Anielka przez pięć minut martwiła.

Muszę to jutro wyjaśnić. Jestem prawie pewny, że to są jakieś powody natury moralnej, i że wszystko stoi w związku z Kromickim. Co on tam mógł nowego urządzić? Przecie drugie-

go Głuchowa nie sprzedał, dla tej dobrej przy-
czyny, że go nie ma.

Berlin, 5 września.

Jestem w Berlinie, a jestem tu dlatego, że
uciekłszy z Wiednia, musiałem gdzieś pojechać.
Do Płoszowa nie mogłem — tam ona przy-
jeżdża.

Byłem tak przekonany, że mnie żadna siła
ludzka od niej nie oderwie, iż sama myśl ze-
rwania tego stosunku wydawała mi się dziką.
A no! pokazuje się, że niczego nie można prze-
widzieć, bo oto odjechałem, i wszystko skończo-
ne. Jestem w Berlinie. Zdaje mi się, że mam
w głowie koło rozpędowe jakiejś maszyny. Tak
się to wszystko obraca, że aż boli — ale nie
zwaryował! Wszystko wiem, wszystko pamię-
tam. Mój lekarz miał słuszość: waryują tylko
słabe głowy. Mnie się to nie mogło przytrafić
także i dlatego, że to czasem może być bajecz-
nem szczęściem.

6 września.

Jednak chwilami myślę, że mój mózg wykipi.
Bo, że porządna kobieta, która spędziła z mę-
żem kilka miesięcy, może poczuć się w stanie

odmiennym, to jest ogromnie naturalne, a mnie
ten naturalny porządek wydaje się czemś tak
potwornem, że mi wysadza mózg z głowy. Nie
można przecie jednocześnie myśleć, że coś jest
zwykłym prawem natury i zarazem potworno-
ścią. Tego żadna głowa nie wytrzyma. Co w tem
jest? Zbieram o to całą przytomność i pojmuję,
że tych, co mają być zdruzgotani, druzgocze
siła nadzwyczajnych zdarzeń; ale ze mną jest
co innego. Mnie rozdziera zwyczajny tryb
rzeczy.

I im to jest bardziej naturalne, tem straszniejsze.

Same sprzeczności. Ona nie jest za to odpowiedzialna — rozumiem, bom nie zwaryował! Nie przestała być cnotliwą — a jednak jabym jej prędzej przebaczył każdą zbrodnię. I nie mogę, na miły Bóg, nie mogę ci przebaczyć właśnie dlatego, że cię tak kochałem! Czy ty uwierzysz, że na świecie niema kobiety, którą bym obecnie tak pogardzał, bo ostatecznie tyś miała dwóch: mnie od miłości platonicznej, a Kromickiego od — małżeńskiej!

I, widzisz, chce mi się wprawdzie łbem o ścianę tłuc, ale dalibóg! chce mi się i śmiać...

Anim się spodziewał, że był jednakże sposób oderwania mnie od ciebie! Był i udał się!

8 września.

Jak pomyślę, że wszystko skończone, zerwane, że nic nie zostało, że ja już wyjechałem — na zawsze — nie chce mi się w to wierzyć. Niema już dla mnie Anielki! A co jest? — nie!

Więc po co ja żyję? Nie wiem! Przecie nie dla tej ciekawości, czy pan Kromicki będzie miał syna, czy córkę!

Ciągle myślę: jakie to wszystko naturalne! — i głowa mi pęka.

To dziwna rzecz: ja powinienem był być na to przygotowany, a nigdy nic podobnego przez myśl mi nie przeszło. Bylbym się prędzej spodziewał, że we mnie piorun trzaśnie.

Kromicki jednakże zaraz z Warszawy pojechał do Płoszowa, bawił tam kilka dni, a potem byli razem w drodze, razem w Wiedniu, razem w Gasteinie.

A ja wytwarzałem nastrój miłosny. Nerwy pani były poruszone i serce wezbrane. Dalibóg, że to ma swoje okropnie śmieszne strony.

Jestem przeraźliwie głupi. Bo skorom mógł

1443C1S1D1E

znieść wspólny pobyt państwa Kromickich, to powinienem umieć znieść jego następstwa. Ale, na Boga żywego, to nie umysł, to moje nerwy nie godzą się na te następstwa. Są ludzie, w których te dwie siły idą zgodnie; we mnie gryzą się, jak psy. To jedno więcej nieszczęście.

Dlaczego właśnie jam nigdy nie przewidywał czegoś podobnego? Powinno mi być przyjsć do głowy, że jeżeli istnieje jakiś zbieg rzeczy straszny, jakiś cios boleśniejszy od wszystkich dotychczasowych, to oczywiście mnie nie minie.

Czasem wydaje mi się, że jestem poprostu ścigany przez Opatrzność, i że ona, postanowiwszy logikę faktów, która sama przez się umie się mścić, nie poprzestaje jednak na tej zemście, tylko jeszcze osobno wgląda w moje sprawy i osobno mnie karze. Ale skąd taka zawziętość przeciw mnie? Iluż to ludzi kocha się w cudzych żonach, czy więc dlatego mniej cierpią, że mniej, lekkomyślniej, nieuczciwiej kochają? Coby to była za sprawiedliwość?

To też nie! W tych rzeczach niema żadnej świadomej siebie myśli, i wszystko się spełnia tak, jak musi, jak wypadnie.

10 września.

Ciągle tkwi we mnie myśl, że dotąd tragedia ludzka wynikała z wyjątkowych zdarzeń i nieszczęść, a moja wynika właśnie z naturalnego biegu rzeczy. Doprawdy, nie wiem, co jest gorsze. Taka naturalność jest przecie nie do wytrzymania.

11 września.

Podobno człowiek, rażony piorunem, sztywnieje i nie upada odrazu. Ja także trzymałem się dotąd siłą tego piorunu, który we mnie uderzył — myślę jednak, że teraz zwałę się z nóg. Jest ze mną źle. Jak tylko mrok zaczyna zapadać, dzieje się ze mną coś dziwnego: odczuwam duszność, czynię usiłowania, żeby westchnąć — i zdaje mi się, że powietrze nie chce wchodzić do głębi mych płuc, że oddycham tylko ich częścią. We dnie i w nocy chwytam mnie od czasu do czasu jakaś nieokreślona trwoga — trwoga przed niczem. Zdaje mi się, że stanie się coś strasznego, bez porównania gorszego, niż śmierć.

Wczoraj zadałem sobie pytanie: coby też się stało, gdybym nagle w tem obcem mieście za-

, pomniał, jak się nazywam, gdzie mieszkam, i powędrował wśród ciemności wprost przed siebie, bez celu, w obłąkaniu?...

Są to przypuszczenia chorobliwe. Zresztą, w takim razie stałoby się z mojem ciałem tylko to, co się już stało z duszą, bo w znaczeniu moralnem, ja nie wiem, gdzie mieszkam; idę w ciemnościach, bez celu, w obłąkaniu.

I boję się wszystkiego — z wyjątkiem śmierci. A ściśle mówiąc: mam takie dziwne uczucie, że to nie ja się boję, tylko że trwoga zamieszkała we mnie, jakby jakaś osobna istota — i drży.

Nie znoszę teraz zupełnie ciemności. Wieczorem chodzę aż do zupełnego znużenia po ulicach, oświeconych elektrycznością. Gdyby mi spotkał kogo znajomego, uciekłbym na koniec świata; ale tłum jest mi potrzebny. Gdy na ulicach zaczyna się przersedzać, robi mi się straszno. Z przerażeniem myślę zawsze o nocy. A te noce takie już okropnie długie!

Czuję prawie ciągle metaliczny smak w ustach. Pierwszy raz uczulem go, gdy po odprowadzeniu Klary na kolej, wróciliśmy do domu, i zastałem u siebie Kromickiego; drugi raz teraz,

w Wiedniu, gdy pani Celina powiedziała mi «wielką nowinę».

Co to był za dzień! Przyszedłem po drugiej wizycie doktora spytać o Anielkę. Przez głowę mi nie przeszło podobne podejrzenie; nie rozumiałem nic, nawet i wówczas, gdy pani Celina powiedziała mi:

— Doktor zapewnia, że to są objawy czysto nerwowe, prawie bez związku z jej stanem.

Ona zaś, widząc, że się niczego nie domyślam, zaczęła mówić z zakłopotaniem:

— Bo muszę ci powiedzieć wielką nowinę...

I powiedziała mi «wielką nowinę». Usłyszawszy ją, poczułem cynę w ustach, i zrobiło mi się zimno w mózgu — zupełnie jak wówczas, gdy zobaczyłem niespodzianie Kromickiego.

Wróciłem do hotelu. Pamiętam doskonale, że między różnemi uczuciami, jakie mną targaly, była i potrzeba śmiechu. Ta idealna istota, której nawet i miłość platoniczna wydawała się czemś niedozwolonem, która zamiast: «miłość», mówiła: «przyjaźń!...»

Czułem potrzebę śmiechu — a także i rozbić głowę o mur.

Zachowałem jednak jakąś mechaniczną przytomność... Dało mi ją poczucie, że skończyło

się wszystko, raz na zawsze, i że muszę wyjechać, że nie mogę nie wyjechać... To poczucie zrobiło ze mnie automat, spełniający doskonale wszystkie czynności, dotyczące wyjazdu.

Byłem do tego stopnia przytomny, że nawet ocalił pozory. Po co? — nie wiem! Nic mi na tem nie zależało. Były to zapewne mechaniczne odruchy mózgu, który przez całe miesiące, lata, przywykł do ukrywania prawdy i ratowania pozorów. Powiedziałem pani Celinie, że miałem u doktora, że jestem chory na serce, że kazał mi jechać, nie tracąc minuty, do Berlina — i ona uwierzyła.

Anielka, nie! Widziałem jej oczy — rozszerzone z przestachu, widziałem wzrok zhańbionej męczennicy, i było we mnie dwóch ludzi: jeden mówił: co ona winna? — drugi miał chęć w twarz jej plunąć.

O, czemu ja tę kobietę tak kochałem!

12 września.

To już blisko dwa tygodnie, jakem wyjechał. One pewnie już wróciły do Płoszowa. Pisałem dziś do ciotki, bo bałem się, że się o mnie zleknie i tu przyjedzie. Czasem dziwnie mi pomy-

słeć, że jest istota, którą ja tak naprawdę obchodzę.

13 września.

Są ludzie, którzy uwodzą cudze żony, oszukują je, potem depcą, rzucają i odchodzą spokojni. Ja tego wszystkiego nie uczynilem, a gdyby ona była stała się moją ofiarą, tobym prochy przed nią zamiatał, toby mnie teraz żadna siła ludzka nie oderwała od jej nóg. Są więc uczucia występniejsze od mojego; ale na mnie zważyło się takie brzemie, że mimowoli mam wrażenie jakiejś wyjątkowej kary, i mierzając, również mimowoli, wielkością kary winę, nie mogę się obronić poczuciu, że moja miłość była strasznym występkiem.

Jest to rodzaj instynktowej trwogi, od której sceptycyzm nie uwalnia.

A przecież wszelka moralność musi się zgodzić na to, że większą winą byłoby ciągnąć ku sobie kobietę, nie kochając jej; czynić to wszystko na zimno, co ja czynilem z głębi serca. Odpowiedzialność nie może być cięższa za uczucia wielkie i porywające, niż za małe i niekczemne.

Nie! To też moja miłość jest przedewszystkiem strasznem nieszczęściem.

Człowiek, pozbawiony przesądów, może sobie wyobrazić, coby w danym wypadku czuł, gdyby był przesądny; tak samo człowiek, który wątpi, może odczuć, jakby się modlił, gdyby był wierzącym. Ja nietylko to odczuwam, ale łączy się to we mnie z taką skargą, że się prawie szczerze modłę. I mówię: «Jeślim zawinił, Panie Boże, tom też tak za to odpokutował, że trochę miłosierdzia jużby mnie nie zdziwiło»,

Ale nie umiem sobie wyobrazić, w jaki sposób mogłoby się objawić nade mną miłosierdzie. To jest zupełnie niemożliwe.

14 września.

One już pewno wróciły do Płoszowa. Myślę o niej jeszcze często, bo tylko w takim razie można się oderwać od swej przeszłości, gdy się ma coś przed sobą, a ja nie mam nic i nic. Gdybym był człowiekiem wierzącym, zostałbym księdzem; gdybym był człowiekiem, który stanowczo przeczy istnieniu Boga, możebym się nawrócił. Ale we mnie te organa duszy, którymi się wierzy, uschły tak, jak może uschnąć

ręka. Nic nie wiem, prócz tego, że w cierpieniu
nie ma dla mnie pociechy w religii.

Gdy Anielka wyszła za Kromickiego, my-
ślałem, że między nami wszystko skończone.
Tymczasem to nie była prawda. Teraz dopiero
mam zupełne przekonanie, że wszystko skoń-
czone, bo rozdziela nas nie tylko nasza wola,
nie tylko mój wyjazd, ale coś, co leży po za
nami, niezależna od nas siła rzeczy.

To są odmienne całkowicie koleje, których
nie zbliżyć nie może, nawet nasza wola. W ko-
lejach Anielki będą cierpienia, ale będą nowe
światy, nowe uczucia, nowe życie, przede mną
zaś jest zupełnie pusto. Ona niezawodnie rozu-
mie to tak dobrze, jak ja.

Ciekawym, czy ona sobie czasem mówi: tego
człowieka zgubiłam — może bez winy — alem
go zgubiła.

Nic mi z tego nie przyjdzie, a jednak chciał-
bym, żeby mnie choć żałowała.

I być może, że będzie, póki jej dziecko nie
przyjdzie na świat. Potem wszystkie jej uczucia
popłyną innem korytem — a ja przestanę dla
niej istnieć. To także siła rzeczy, to także pra-
wo natury.

Wyśmienite prawa!

16 września.

Zobaczyłem dziś na afiszu wydrukowane olbrzymiemi literami nazwisko Klary Hilst. Zapomniałem, że jeszcze w Gasteinie odebrałem od niej list z oznajmieniem, iż będzie w Berlinie. Otóż jest — i występuje z kilku koncertami. Na razie, ani mnie to ucieszyło, ani nie ucieszyło. Teraz, ponieważ już ogarnął mnie mój zwykły nerwowy niepokój, więc wrażenia moje rozdwarzają się; myśl, że jakaś znajoma i przyjazna dusza mieszka w tem samem mieście, dodaje mi, sam nie wiem dlaczego, pewnej otuchy — ale ta myśl wystarcza mi. Wolałbym Klary nie widzieć, i gdy sobie mówię, że trzeba będzie pójść do niej, doznaję uczucia przykrości. Klara ma tę ciekawą troskliwość, która chce wszystko wiedzieć i dopytuje. Skłonna jest do romantycznych przypuszczeń i posiada wiarę, że przyjaźń może uleczyć wszelkie cierpienia. A dla mnie mówić cokolwiek byłoby zupełnem niepodobieństwem. Mnie często brak sił nawet do myślenia o tem, co zaszło.

17 września.

Dlaczego ja rano się budzę? po co istnieję? co mnie mogą obchodzić znajomi, albo ludzie wogóle? Nie poszedłem do Klary, bo wszystko, co ona mi może powiedzieć, nie obchodzi mnie także, a z góry nuży mnie. Cały świat jest mi tak dokładnie obojętny, jak ja jemu.

18 września.

Jak dobrze zrobiłem, że napisałem do ciotki! Gdyby nie to, byłaby tu przyjechała, bo oto, co mi donosi:

«List twój przyszedł w dniu, w którym przyjechała Celina z Anielką. Jakże się masz teraz, mój najdroższy? Mówisz, że dobrze, ale czy zupełnie dobrze? Co ci powiedzieli doktorowie w Berlinie i jak długo tam zabawisz? Przyślij mi depeszę, czy cię tam jeszcze zastanę, a przyjadę natychmiast. Celina mówiła mi, żeś wyjechał tak nagle, że obie z Anielką były ogromnie przestraszone. Gdybyś mi był doniósł, że prawdopodobnie przepiszą ci podróż morską, byłabym natychmiast, po otrzymaniu twego listu, wyruszyła do ciebie. Przecie to tylko kilkanaście godzin, ja zaś czuję się tak zdrowa, jak

nigdy. Kongestye, których doświadczałam dawniej, nie powtórzyły się ani razu. Boję się dla ciebie i tej podróży morskiej. Tyś wprawdzie do tego przyzwyczajony, ale mnie dreszcze biorą na samą myśl o okrętach i burzach.

Celina ma się dobrze, Anielka nieźle. Słyszałam, że już wiesz o nowinie. Przed odjazdem z Wiednia wezwały jeszcze raz specjalistę, który powiedział, że stan Anielki nie ulega najmniejszej wątpliwości. Celina szczęśliwa ogromnie, a ja takżem rada. Może to skłoni Kromickiego do porzucenia tych spekulacyi na końcu świata i do zamieszkania w kraju. Anielka będzie niezawodnie szczęśliwa, mając cel w życiu. Po powrocie wygląda jakby zmęczona i jakby przygnębiona, może być jednak, że to skutek drogi. Śniatyńskim dziecko chorowało silnie na krup, ale już jest zdrowe».

Czytając list ciotki, miałem jedno wrażenie, że dla mnie niema tam miejsca między nimi, niema zwłaszcza przy Anielce. Jej wkrótce będzie przykre nawet moje wspomnienie.

19 września.

Nie umiem sobie wyobrazić siebie za rok, za dwa lub trzy. Co ja będę robił? Zupelna

bezczelowość powinna wyłączać życie. Właściwie mówiąc, dla mnie niema miejsca nigdzie.

20 września.

Nie poszedłem do Klary, ale spotkałem ją na Friedrichstrasse. Ujrzawszy mnie, pobladła z radości i wzruszenia, witała zaś z takim wyłaniem, że mnie to zarazem ujmowało i zarazem było mi przykre, bom czułem, że moja serdeczność dla niej jest tylko zewnętrzna, i że nie doznaję nawet radości z jej spotkania. Gdy ochłonęła nieco, zaniepokoiły ją zaraz zmiany, jakie spostrzegła w mojej twarzy. Rzeczywiście, nie wyglądam świetnie i trochę posiwiałem. Zaczęła mnie wypytywać o zdrowie, ja zaś, mimo całej wdzięczności i przyjaźni dla Klary, czułem, że zbyt częste stosunki z nią przechodziłyby absolutnie moje siły, chcąc się więc od nich zabezpieczyć, powiedziałem jej, że jestem chory, i że wkrótce przyjdzie mi wyjechać do cieplejszego klimatu. Następnie zaciągnęła mnie do siebie. Rozmawialiśmy o ciotce, Anielce i pani Celinie. Zbywałem ją ogólnikami. Mówilem sobie, że to jest może jedyna w świecie istota, któraby mnie zrozumiała, a jednocześnie czułem, że za nic w świecie nie otworzę jej serca.

A jednak, ja odczuwam ludzką dobroć. Chwilami, gdy pocziwe niebieskie oczy Klary wpatrywały się we mnie z największem przywiązaniem i z taką uwagą, jakby mnie chciały do głębi duszy przejrzeć, dobroć ta upokarzała mnie do tego stopnia, że chciało mi się płakać. Klara wreszcie, mimo wszelkich moich wysiłków, spostrzegła, że ja jestem zupełnie innym, niż dawniej, człowiekiem; instynktem kobiecym odgadła, że żyję, mówię i myślę niemal mechanicznie, a zaś dusza moja jest nawpół zabita. Spostrzegłszy to, zaniechała natychmiast badań i wypytywań, stała się tylko jeszcze tkliwszą.

Widziałem jej obawę i usiłowania, żeby mnie nie znużyć. Starala się dać mi do poznania, że w tej tkliwości, jaką mi okazuje, chodzi jej nie o to, by mnie zjednać dla siebie, ale jedynie, by mi przy niej było dobrze.

I było mi dobrze, alem się jednak znużeniu nie mógł oprzeć. Umysł mój nie jest teraz zdolny do żadnego skupienia się i do żadnych wysiłków, nawet do tak małych, jakich wymaga zwyczajna rozmowa z przyjaciółką. A oprócz tego, gdy raz mój wielki cel zniknął mi z oczu, wszystko wydaje mi się tak niesłychanie czerce,

że ciągle mam w duszy pytanie: na co to? co z tego przyjdzie?

21 września.

Nigdy dotąd nie spędziłem nocy tak strasznej. Miałem wrażenie takiej trwogi, jakbym schodził po nieskończonych schodach w coraz głębsze ciemności, w których dzieją się rzeczy równie okropne, jak niewyraźne. Postanowiłem opuścić Berlin, bo pod tem niebem ołowianem można się udusić. Wrócę do Rzymu, do mego domu na Babuino — i tam się już osiedlę na stałe. Myślę, że rachunki moje nie tylko z Anielką, ale z całym światem, są już zupełnie ukończone, i mogę sobie wegetować spokojnie w Rzymie, póki na mnie nie przyjdzie czas. Oby przynajmniej spokojnie! Wczorajsza wizyta u Klary przekonała mnie, że choćbym chciał, nie potrafię już żyć z ludźmi, i że nie mam im się czem wypłacić nawet za ich dobroć. Zostałem wyłączony z ogólnego życia, stoję na zewnątrz, i chociaż czuję pustkę nieopisaną, nie mam już ochoty wracać.

Myśl o Rzymie, o mojej pustelni na Babuino, uśmiecha mi się — wprowadzie blado i smutnie — ale wolę to, niż co innego. Stamtąd wy-

leciałem na świat, jak ptak z gniazda — tam też wypada mi się dowlec na połamanych skrzydłach — i czekać końca.

Pisuję teraz rankami, bo wieczorem zstępuję zawsze do tych moich podziemi, w których mieszka trwoga. Dziś będę na koncercie Klary, pożegniam ją i jutro wyjadę. Po drodze zatrzymam się w Wiedniu. Być może, że wstąpię do Angelego — nie jestem pewny. Ja teraz nigdy nie jestem pewny, co nazajutrz będę czuł i czynił.

Odebrałem dziś list od Klary, w którym prosi mnie, bym przyszedł do niej po koncercie. Na koncert pójde, bo tam takie mnóstwo zdrowych ludzi, że czuję się przy nich bezpieczniejszy — a nie męczą mnie, bo nie znam nikogo i widzę tylko ogół. Ale do Klary nie pójde. Jest nadto dobra. Mówią, że ludzie umierający z głodu na pewien czas przed śmiercią nie mogą już znosić pokarmu. Tak samo mój organizm duchowy nie znosi już dobroci i pociechy.

Nie znosi także przypomnień. To mała rzecz, ale teraz wiem, że prócz moralnych, były i inne powody, które mi uczyniły wizytę u Klary tak ciężką. Oto ona używa takich samych perfum, jakie przywiozłem Anielce z Wiednia do Ga-

steinu. To już nieraz zauważyłem, że jeśli dana osoba używa pewnej perfumy, to potem nie jej tak realnie nie przypomina, jak taki sam zapach.

22 września.

Chory jestem zupełnie. Zaziębilem się wczoraj, wracając do domu, bo w sali koncertowej panował niesłychany upał — było mi duszno, więc wyszedłszy na świeże powietrze, nie nałożyłem paltota i wróciłem skostniały do hotelu. Każde odetchnięcie sprawia mi takie wrażenie, jakby płuca moje, rozszerzając się, trafiały na ostrza ukrytych pod łopatkami szpilek. Robi mi się naprzemian to gorąco, to zimno. Nie mogę ugasić pragnienia. Ogarnia mnie chwilami wielka niemoc, i czuję, iż nie zdołałbym zejść ze schodów. O wyjeździe nie może być i mowy. Nie potrafiłbym wsiąść o własnej mocy do wagonu. Piszząc, słyszę swój własny oddech, trzykroć szybszy i głośniejszy, niż zwykle. Jestem przekonany, że gdyby stan moich nerwów był inny, oparłbym się temu wczorajszemu chładowi i nie zaziębil, ale w obecnym stanie rzeczy, straciłem wszelką oporność. Dostałem niezawodnie zapalenia płuc.

Będę się jednak trzymał na nogach, póki będę mógł. Rano, jakem się tylko poczuł chorym, napisałem co prędzej do ciotki, że się czuję zdrów i że za parę dni wyjeżdżam. A za parę dni, jeśli zostanę przytomny i będę miał dość sił, znów napiszę to samo. Prosiłem ciotki, żeby listy i depesze, jakie do mnie nadejdą, kazała przesłać do bankiera B. w Berlinie. Będę się starał, by nikt w Płoszowie nie dowiedział się o mojej chorobie. Jak to dobrze, że się wczoraj pożegnał z Klarą!

23 września.

Gorzej mi, niż wczoraj, alem się jeszcze nie położył. Mam gorączkę i mam świadomość, że chwilami w myśli moje podsuwają się gorączkowe widzenia. Zwłaszcza, gdy przymknę oczy, granica między rzeczywistością a tem, co płodzi mój chory mózg, zaciera się prawie zupełnie. Jednak przez większą część dnia kontroluję się jeszcze, ale boję się, że ta gorączka mnie zmoże — i że stracę zupełnie przytomność.

Przychodzi mi do głowy jedna rzecz: oto ja, człowiek uposażony lepiej, niż inni od losów, który mógł stworzyć sobie ognisko domowe, rodzinę, otoczyć się kochającymi sercami — sie-

dzę teraz samotny i chory w obcym mieście, i nie ma mi kto szklanki wody podać. Anielka byłaby może także ze mną. Nie mogę dłużej...

14 października.

Biorę się do pióra po trzech tygodniach przerwy.¹ Klary niema przy mnie. Uspokoiwszy się stanowczo o moje zdrowie, wyjechała do Hanoweru, ale wróci za dziesięć dni. Pilnowała mnie przez cały czas choroby. Ona sprowadziła lekarzy — i gdyby nie jej opieka, byłbym zapewne umarł. Nie pamiętam już dokładnie, czy trzeciego, czy czwartego dnia mojej choroby, zjawiała się u mnie. Byłem przytomny, ale zarazem tak chory, że na jej widok pozostałem zupełnie obojętny, jakby nie do mnie przyszła, albo jakby jej przyjście było najzwyczajniejszą rzeczą. Weszła z lekarzem — i co zajęło moją uwagę, to jego niezmiernie obfita, biała i kręcona czupryna. Byłem istotnie w dziwnym stanie. Lekarz, po opatrzeniu mnie, począł zadawać mi rozmaite pytania, naprzód po niemiecku, a następnie po francusku, ja zaś, rozumiejąc doskonale, nie odpowiadałem wcale, bom nie odczuwał najmniejszej potrzeby odpowiadania i nie

zdołałem jej w sobie wzbudzić, jakby i wola moja była równie bezsilną, jak ciało.

Zmęczono mnie tego dnia bańkami, potem leżałem spokojnie, bez wrażeń. Chwilami myślałem, że pewno umrę, ale nie przywiązywałem do tego większej wagi, niż do innych rzeczy, które działy się koło mnie. Być może, iż w każdej cięższej chorobie, nawet zachowując przytomność, traci się poczucie różnicy między sprawami większemi a mniejszemi, uwaga zaś, niewiadomo dlaczego, przywiązuje się do drobiazgów. Mnie dnia tego, prócz czupryny doktora, zajęło głównie odsuwanie górnej i dolnej zasuw od drzwi przyległego pokoju, w którym postanowiła zamieszkać Klara. Pamiętam, że mój okiem nie spuszczał z tej czynności, jakby mi na niej coś zależało.

Wkrótce potem nadszedł felczer, który miał mnie doglądać pod nadzorem Klary. Zaczął coś zaraz mówić do mnie, ale Klara nakazała mu milczenie.

Jednak męczy mnie jeszcze długie pisanie — więc przerywam.

16 października.

Nerwy moje uspokoiły się przez tę chorobę; nie doznaję już tych trwóg, które dawniej tak

mnie dręczyły; chciałbym tylko, żeby Klara wróciła jak najprędzej. Nie jest to tęsknota, tylko egoizm człowieka chorego, który czuje, że takiej opieki i troskliwości, jaką miał, nie mu nie zdola zastąpić. Wiem, że Klara nie będzie już mieszkała obok mnie, ale obecność jej po-krzepiłaby mnie. Słabość i bezradność przywiązuja się tak do opiekuńczej siły, jak dziecko przywiązuje się do matki. Jestem przekonany, że żadna inna kobieta nie uczyniłaby dla mnie tego, co Klara, i że każda wolalaby zachować konwenanse, niż ratować człowieka. Myśląc o tem, mam gorycz w ustach, a w myśli jedno imię... Ale to są rzeczy, których lepiej nie dopuszczać do głowy, póki niema sił, żeby się z niemi rozprawić... Klara sypiała nierozezbrana, na sofce, w przyległym pokoju i przy otwartych drzwiach. Za każdym mojem ruszeniem była natychmiast przy mnie. Widywałem ją w nocy schyloną nad mojem łóżkiem, z włosami w nieładzie, mrugającą ze zmęczenia i bezsenności. Sama podawała mi lekarstwa, sama podnosiła mnie na poduszkach. Gdym w chwilach przytomności chciał jej dziękować, kładła palce na ustach, na znak, że doktor zabronił mi mówić. Nie wiem, ile nocy nie spała. Była

tak znużona, że w dzień, siedząc koło mnie na fotelu, zasypiała czasem w połowie rozpoczętego zdania. Zbudziwszy się, uśmiechała się do mnie i znów poczyniała drzemać. Nocami chodziła czasem bardzo długo po swoim pokoju, żeby się bronić od snu, ale tak cicho, że byłbym o tem nie wiedział, gdyby nie to, że przez otwarte drzwi widział jej cień, poruszający się na ścianie. Raz, gdy była przy mnie, nie wiedząc, jak się jej wywdzięczyc, podniosłem jej rękę do ust; wówczas ona schyliła się szybko i ucałowała moją, nim mogłem ją cofnąć. A trzeba wiedzieć, że nie zawsze umiałem być dla niej wdzięczny. W chorobie byle co drażni — mnie zaś drażnił jej wysoki wzrost. Czulem do niej jakby urazę za to, że nie jest taka, jak Anielka. Płynęło to zapewne z tego, że przez tyle czasu przyzwyczaił się uznawać wdzięk i piękność o tyle, o ile zbliżały się do wdzięku i piękności tamtej. Czasem, patrząc na Klarę, rozdrażniałem się wewnętrznie szczególniejszem poczuciem, że ona jest piękna nie dlatego, że natura chciała ją rozmyślnie uczynić piękną, i nie z prawa rasy, ale jakoby ze szczęśliwego wypadku. Nie raz zresztą piękna głowa kobieca sprawiała mi podobne wrażenie. Są w tych rzeczach odcie-

nie, pochwytnie tylko dla bardzo wyrobionych i wrażliwych nerwów.

Były jednak chwile, zwłaszcza nocami, w których, gdy patrzyłem na twarz Klary wychudłą, zmniejszoną i zmizerniałą od czuwania, miałem złudzenie, że widzę tamtą... Działo się tak zwłaszcza, gdy siedziała w mroku, opodal od mego łóżka. Do uludy pomagała mi gorączka i chory mózg, dla którego niemożliwość nie istnieje. Od czasu do czasu majaczyłem zupełnie — i bodajem zginął! — ale wołałem na Klarę imieniem tamtej i rozmawiałem z nią, jak z tamtą. Pamiętam to, jak przez sen.

17 października.

Bankier B. odesłał mi kilka listów ciotki. Ciotka dopytuje się o mnie, o moje zamiary na przyszłość. Pisze nawet o omlotach, tylko o ludziach w Płoszowie nic. Nie wiem nawet, czy żyją, czy pomarli. Co za dziwny i drażniący sposób pisania listów! Wielce mnie zaiste zajmują omloty i całe gospodarstwo płoszowskie! Odpisałem zaraz i nie umiałem ukryć niezadowolenia.

18 października.

Dziś odesłano mi depeszę Kromickiego, adresowaną do Warszawy. Ciotka, zamiast zatelegrafować jej treść, zamknęła ją do koperty i wysłała pocztą. Kromicki błaga, bym dla ratowania własnych pieniędzy i jego całego losu, nadesłał jeszcze dwadzieścia pięć tysięcy rubli. Przeczytawszy, wzruszyłem tylko ramionami. Co mnie teraz może obchodzić Kromicki i moje pieniądze! Niech sobie giną. Gdyby Kromicki wiedział, dla jakich powodów przyszedłem mu pierwszym razem z pomocą, nie byłby teraz niczego żądał. Niechże zniesie swoje straty tak spokojnie, jak ja zniósę moją. Zresztą czeka go «wielka nowina», która mu będzie pociechą. Cieszcie się, ile chcecie, miejcie dzieci, ile wam się podoba, jeśli jednak żądacie ode mnie, bym ja myślał o ich losie — to, doprawdy, za dużo żądacie.

Gdyby ona przynajmniej nie była mnie poświęcała z takim bezwzględny egoizmem, dla tak zwanych swoich zasad... Ale dość o tem, bo mi się mózg przewraca w głowie. Niech mi będzie wolno przynajmniej spokojnie chorować...

20 października.

Nie! Znaleźli mnie i tu. Znow od dwóch dni nie mam spokoju, znow się rękoma trzymam za głowę, żeby mi czaszka nie pękła od tego koła rozpędowego, które się w niej obraca. Myślę znow o Płoszowie i o niej — i o mojej pustce w przyszłości. Jaka to jest przeraźliwa rzecz, gdy komu zbraknie nagle tego, czem żył wyłącznie i jedynie! Nie wiem, czy choroba osłabiła mój umysł, ale poprostu nie rozumiem różnych zjawisk, które w sobie dostrzegam. Oto zdaje mi się, że moja zazdrość przeżyła moją miłość.

I to jest zazdrość podwójna, bo nietylko o fakta, lecz o uczucia. Rwie się wszystko we mnie na myśl, że to dziecko, które ma przyjść na świat, zabierze serce Anielki dla siebie, a co więcej — o co głównie mi idzie — nakłoni je ku Kromickiemu.

Jabym tej kobiety, gdyby była wolna, już teraz nie chciał, ale nie mogę znieść przypuszczenia, że ona będzie kochała męża. Oddałbym resztę życia za to, by nikt jej już w życiu nie kochał i ona nikogo. Pod tym warunkiem jeszczebym potrafił istnieć.

21 października.

Jeśli mnie ten sposób, który mi chodzi po głowie, nie wyratuje, to znowu zapadnę w jaką chorobę, albo oszaleję. Oto robię z sobą obrachunek! Co mi się jeszcze należy w życiu? — Nic! Co mnie czeka? — Nic! A jeśli tak, to nie istnieje żaden powód, dla którego bym nie miał uczynić z siebie podarunku komuś, kogo taki podarunek może uszczęśliwić. Za moje życie, za mój umysł, za zdolności, za siebie całego, nie dalbym obecnie trzech złamanych groszy; w dodatku nie kocham Klary, ale jeśli ona mnie kocha, jeśli we mnie widzi szczęście najwyższe życia, to byłoby okrucieństwem odmawiać jej tego, co ja sam tak mało cenię. Poczowałbym się tylko do obowiązku powiedzenia jej, kim jestem, by wiedziała, co bierze. Tem gorzej dla niej, jeśli się tem nie zrazi — ale to jej sprawa.

Mnie w tym zamiarze nęci tylko jedna rzecz, a mianowicie, że przez to powiększy się jeszcze przepaść, jaka mnie dzieli od tamtej kobiety. I pokażę jej, że jeśli ona rozkopywała tę przepaść ze swego brzegu, to i ja ze swego potrafię. Wtedy będzie już koniec nad końce, bo jeszcze dziś ja o niej myślę. Widzę to i stwierdzam ze złością.

Być może, iż to już jest nienawiść, ale to jeszcze nie obojętność.

Pani Kromicka sądziła zapewne, że odrywam się od niej dlatego, że muszę — ja jej dowiodę, że także chcę. A myślę, że im grubszy mur między nami postawię, im bardziej on mi ją zasłoni, tem prędzej i dokładniej o niej zapomnę.

Co do Klary, powtarzam, że nie kocham jej, ale wiem, że ona mnie kocha. Prócz tego winienem jej wdzięczność. W chorobie mieszałem w duchu sentymentalizmem niemieckim, ale swoją drogą, na taki sentymentalizm tamtaby się nie zdobyła. Byłoby przecie godniejszym tej wysokiej cnoty dać człowiekowi skonać bez pomocy, niż zobaczyć go bez krawata, bo taki przywilej przysługuje tylko prawnie poślubionemu małżonkowi. Klara nie zważała na nic; zaniedbała dla mnie muzykę, naraziła się na trud, na bezsenność, prawdopodobnie na obmowę ludzką, i wytrwała przy mnie.

Zaciągnąłem względem niej dług — i spłacam go. Spłacam źle i ze złą wiarą, bo ofiaruję się dlatego, że sam o siebie nie stoję, że mi teraz wszystko jest obojętne, i że jestem tylko

strzępem człowieka, nie człowiekiem. Ale skoro ona ten strzęp ceni nad życie własne — niechże on należy do niej.

Dla ciotki jednej będzie zmartwienie; zrani to i jej uczucia narodowe i rodowe. Gdyby jednak ciotka mogła odczytać, co działo się w ostatnich czasach w mojem sercu, wołałaby to małżeństwo, niż tamtą miłość. Pod tym względem nie mam najmniejszej wątpliwości.

A cóż z tego, że przodkowie Klary byli prawdopodobnie tkaczami! Ja zasad nie mam żadnych, mam tylko nerwy, moje zaś przygodne poglądy są raczej liberalne. Dawno myślę, że jeżeli ludzie, wyznający zasady liberalne, są często jeszcze ciśniejsi od konserwatystów, to natomiast zasady liberalne, same w sobie, są szersze od konserwatywnych i zgodniejsze z nauką Chrystusa — co mi jest zresztą wszystko jedno.

Ale o tych względach nawet mówić nie warto. Dopiero w nieszczęściu czuje się całą ich nicość.

Mimowoli myślę ciągle, jak Anielka przyjmie wiadomość o mojem postanowieniu? Tak przywykłem odczuwać wszystko przez nią, że mi ten bolesny nalóg jeszcze pozostał.

22 października.

Dziś rano wysłałem list do Klary. Odpowiedź otrzymam jutro — albo być może, iż sama Klara przyjedzie jeszcze dziś wieczorem.

Po południu odesłano mi drugą depeszę Kromickiego. Ile rozpacz może się mieścić w kilkunastu wyrazach, tyle w niej jest. Musiało się nam wszystko jak najgorzej obrócić, bo nie spodziewałem się, żeby ruina przyszła tak prędko. Zaszły chyba jakieś niespodziewane okoliczności, których nie przewidywał sam Kromicki.

Strata, jaką ponoszę, nie czyni wielkiego uszczerbku w mej fortunie — i mimo tej straty pozostanę zawsze więcej niż zamożnym człowiekiem — ale Kromicki!...

Dlaczego mam się zwodzić! Jest w sercu nojem zakątek, w którym wylęгло się zadowolenie z tej ruiny. Pomyśleć, że jeśli ci ludzie będą mieli w przyszłości z czego żyć, to tylko dzięki ciotce, która, jak sama mówi, jest administratorką majątku Płoszowskich.

Tymczasem nie mam zamiaru odpowiadać Kromickiemu. Gdybym jednak się na to zdecydował, za całą odpowiedź powinszowałbym mu potomka. Potem będzie co innego! — potem dam obójgu chleb — nawet obfity.

23 października.

Klara wczoraj nie przyjechała, a dziś, do tej godziny, to jest do wieczora, nie przyszła jej odpowiedź. Jest to tem osobliwsze, że dotąd pisywała codziennie, dopytując się o moje zdrowie. Jej milczenie nie dziwiłoby mnie, gdybym mógł przypuścić, że się będzie namyślała chociaż przez dziesięć minut.

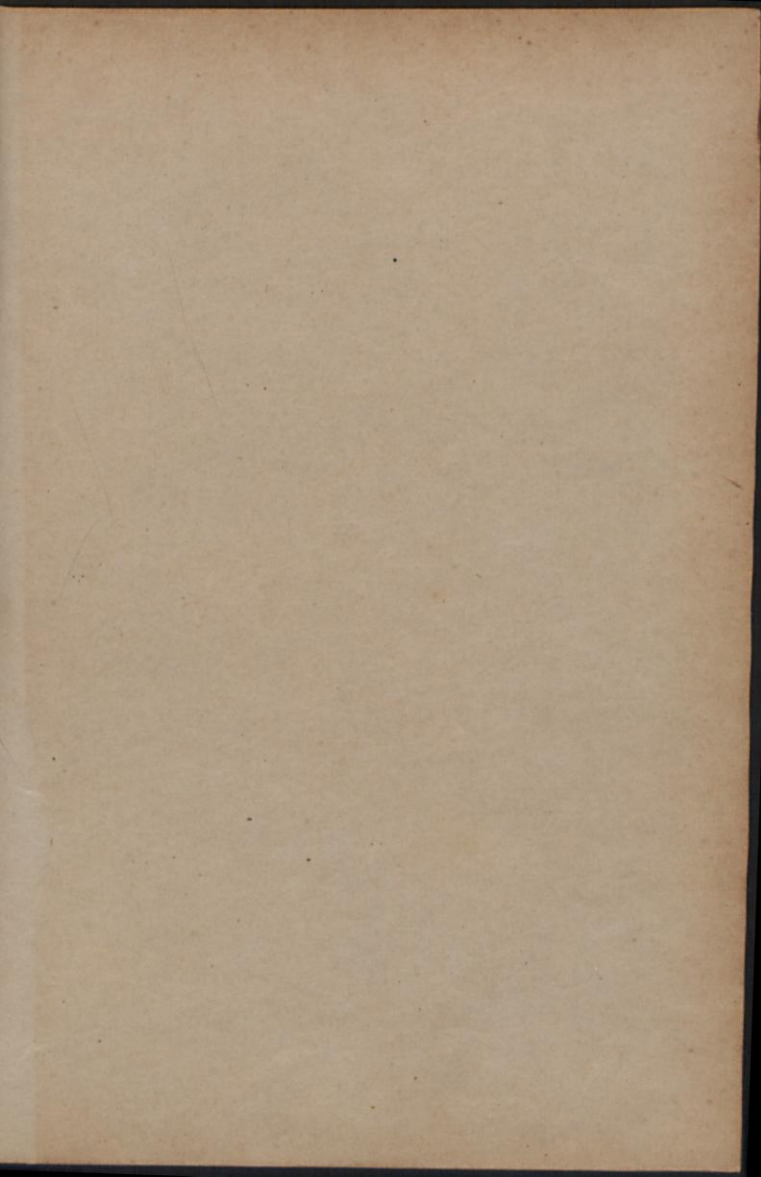
Będę czekał cierpliwie — lepiejby jednak uczyniła, nie zwłócząc. To jedno wiem i czuję, że gdyby mój list nie był wysłany, może być, że wysłałbym drugi podobny, ale gdyby tamten można cofnąć, to prawdopodobniebym go cofnął.

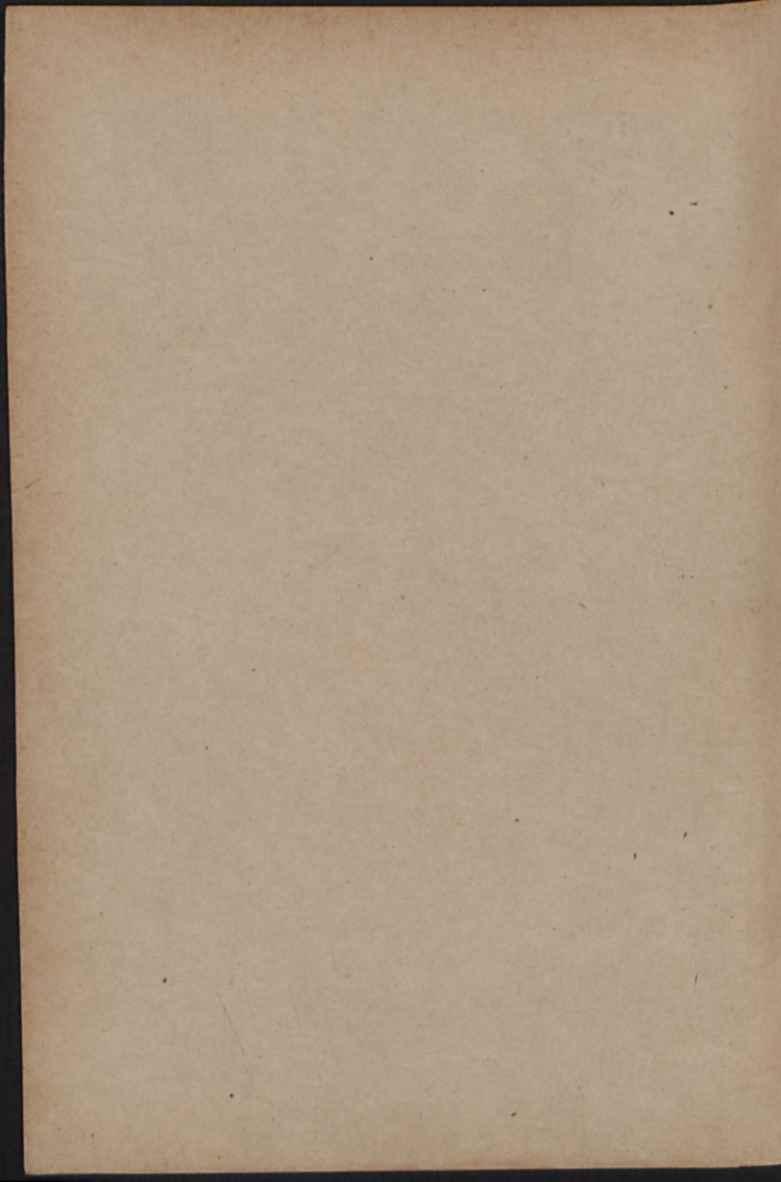
24 października.

Oto, co Klara mi pisze:

«Drogi mój panie Leonie! Po otrzymaniu listu pańskiego, byłam jak odurzona ze szczęścia i chciałam zaraz wracać do Berlina. Ale właśnie dlatego, że pana bardzo głęboko kocham, posłuchałam głosu, który mi mówił, iż najwyższa miłość nie powinna być najwyższym egoizmem, i że mi nie wolno poświęcać pana dla siebie.

«Pan mnie nie kocha, panie Leonie. Oddała-





rok, czy kiedykolwiek w życiu, że mnie pan chce jeszcze, wówczas wszystko mi się nagrodzi — i to, co już przecierpiałam, i te lzy, których nie mogę wstrzymać teraz.

Klara» X

Jest we mnie człowiek, który umie odczuć i ocenić każde słowo tego listu. Nic z niego dla mnie nie ginie i mówię sobie: tembardziej warto wrócić, im bardziej to serce jest uczciwe, proste i kochające.

Ale jest we mnie także człowiek zmęczony, któremu odebrano siłę życia, który, współczując, nie kocha, bo w tamto uczucie włożył wszystko, co w nim było — i który widzi jasno, że gdy raz odejdzie, to już mu będzie niepodobieństwem wrócić.

28 października.

Jestem zupełnie pewny, że Klara wcale nie wróci do Berlina, a co więcej, że ona, wyjeżdżając do Hanoweru, wyjeżdżała już ze stanowczym zamiarem niewracania. Chciała uniknąć moich podziękowań. Myślę o niej z żalem i wdzięcznością, a żal mi najbardziej tego, że ona nie trafiła na innego, niż ja człowieka. Jest w tem

wszystkiem jakaś ironia losu; gdybym ja Klare choć w setnej części tak kochał, jak kochałem Anielkę, możnaby z tego stworzyć cały świat szczęścia. Ale co mi z tego przyjdzie, jeżeli będę sam siebie ludził? Ja dotąd jestem pod jarzmem wspomnień. Przypominam sobie tę Anielkę taką, jaką była w Płoszowie, w Warszawie, w Gasteinie — i od tej przeszłości nie mogę oderwać myśli. Zresztą tyle weszło w nią sił i życia, że się nawet sobie nie dziwię. Jak może być inaczej? Człowiekowi najtrudniej jest niepamiętać.

✕ Co chwila chwytam się na rozpamiętywaniach o Anielce — i chcąc się od nich uwolnić, muszę sobie przypomnieć, że ona już jest inna, że uczucia jej popłyną, a prawdopodobnie już popłynęły, w zupełnie innym kierunku, i że ja jestem już dla niej niczem. ✕

Dawniej wołałem o tem nie myśleć, bo mi głowa pękała, teraz czasem czynię to umyślnie, bo inaczej nie umiem się bronić głosom, które podnoszą się we mnie i coraz częściej pytają: «Co ona winna, że jej narzucono to dziecko? skąd wiesz, co się dzieje w jej sercu? nie byłaby kobietą, gdyby nie pokochała dziecka, skoro ono na świat przyjdzie, ale kto ci powie-

dział, że nie czuje się teraz równie nieszczęśliwa, jak ty?».

I chwilami zdaje mi się, że ona może być jeszcze nieszczęśliwszą, a wówczas chciałbym dostać drugiego zapalenia płuc. Życie z takim chaosem myśli jest niemożliwe.

30 października.

Im czuję się zdrowszy, tem częściej wracam do dawnego błędnego koła. Doktor twierdzi, że za kilka dni będę mógł wyjechać. I pojedę, bo tu mi jest za blisko do Warszawy i Płozowa. Jest to może jedno z moich nerwowych dziwactw, ale wydaje mi się, że w Rzymie, na Babuino, będzie mi spokojniej. Nie obiecuję sobie nie myśleć o przeszłości — owszem, będę o niej myślał od rana do wieczora, ale to już będą rozmyślania, podobne chyba do takich, jakie się snują za kratą klasztorną. Zresztą, czy ja wiem, co będzie?! — wiem tylko, że tu nie wysiedzę. Po drodze wstąpię do Angelego. Muszę w Rzymie mieć jej portret.

2 listopada.

Porzucam Berlin, wyrzekam się Rzymu i wracam do Płozowa. Dawniej już napisałem:

«To nietylko najbardziej kochana kobieta, to już moja najdroższa w świecie głowa». Tak jest! tak jest! Niech to się sobie nazywa newrozem czy szaleństwem starczem, czy czem chce, wszystko mi jedno: ja mam to już we krwi i w duszy. Pojadę do Płoszowa, będę jej służył, będę jej doglądał, pilnował — i za całą nagrodę chcę tylko patrzeć na nią.

Dziwię się, jak mogłem przypuszczać, że potrafię żyć bez jej widoku. Jeden list ciotki wyprowadził na jaw to, co było we mnie. Ciotka mówi: «Nie rozpisywałam się o nas, bo nie mogłam ci donieść nic wesołego, a że nie umiem kłamać, więc wołałam milczeć, niż cię niepokoić, wiedząc, że nie jesteś zdrow. Mam wielkie zmartwienie z powodu Kromickiego, i chciałabym zasięgnąć twej rady. Stary Chwastowski pokazywał mi list syna, w którym ten donosi, że interesa Kromickiego są w najokropniejszym stanie, a on sam zagrożony odpowiedzialnością sądową. Wszyscy go tam zawiedli. Zażądano nagle olbrzymich dostaw, że zaś termin był krótki, więc on nie mógł sprawdzić, czy materiał, jakiego mu dostarczono, był dobry. Otóż wszystko okazało się złe, zepsute i fałszywe — i wszystko zostało odrzucone — a w dodatku

wisi nad Kromickim proces o oszustwo. Oby Bóg dał, żeby choć to na niego nie spadło, tembardziej, że jest zupełnie niewinny. Mniejsza o ruinę, byleby nie było hańby. Ale ja tracę głowę, co zrobić i jak go ratować? Boję się narazić tej sumy, którą przeznaczyłam dla Anielki, a tu trzeba koniecznie uwolnić go przynajmniej od procesu. Radź, Leonie, bo ty masz rozum i zawsze umiesz jakiś plan wymyślić. Ani Celinie, ani Anielce, nie powiedziałam dotąd ani słowa, bo zwłaszcza Anielka niepokoi mnie okropnie. Nie wyobrazisz sobie, co się z nią teraz dzieje. Celina jest zająca kobieta, ale zawsze przesadzała w pruderyi i tak samo wychowała Anielkę. Nie wątpię, że Anielka będzie najlepszą matką, ale teraz aż złość mnie czasem bierze, bo kiedy się wychodzi za mąż, to trzeba być gotową na następstwa, a tymczasem Anielka jest w takiej rozpacz, jakby to była hańba. Codziem widuję na jej twarzy ślady łez. Litość bierze patrzeć na jej zmizerowaną twarz, podbite oczy, na tę gotowość do płaczu, na ten wyraz jakiejś boleści i upokorzenia, który ma w oczach. Jak życie moje, nie widziałam, żeby kobieta tak znosiła ten stan. Próbowałam perswazyi i lajania, ale to nic nie pomaga. Powiem

ci szczerze, że nadto ją kocham, a może być, iż na starość tracę dawną energię. Przytem, to takie skądinąd pocziwe! Żebyś ty wiedział, jak ona codzień dopytuje się o ciebie: czy nie było listu? czyś zdrow? dokąd zamierzasz jechać? jak długo zabawisz w Berlinie? Ona wie, że ja lubię rozmawiać o tobie, i umyślnie po całych godzinach rozmawia. Żeby tylko Bóg zlitował się nad nią i dał jej siłę do zniesienia tych zmartwień, które ją czekają. Ja wprawdzie, tak boję się o jej zdrowie, że nie mam odwagi jednym słowem jej napomknąć o położeniu męża. Ale przecie prędzej, później, musi to wyjść na jaw. Nie mówiłam nic także i Celinie, bo ona ogromnie przygnębiona rozdrażnieniem Anielki i zachodzi w głowę, dlaczego Anielka bierze tak tragicznie swój stan?»

Dlaczego? Ja jeden w świecie to rozumiem, ja jeden mógłbym odpowiedzieć na to pytanie — i dlatego — wracam do Płoszowa.

Nie! Ona nie swój stan bierze tragicznie, ale moją ucieczkę, moją rozpacz, której się domyśla, ale potarganie tego stosunku, który stał jej się drogim od czasu, jak po tylu trudach, tylu cierpieniach i wysileniach, zdołała go wreszcie zmienić na czysty. Teraz oto wchodzę

w jej duszę i myślę za nią. Jej tragedia jest warta mojej. Od chwili, gdym wrócił do Płoszowa, uczucie walczyło w tej niepowszednio szlachetnej istocie z obowiązkiem. Chciała pozostać czystą i wierną temu, komu zaprzysięgła wiare, bo natura jej duchowa wyłącza brud i kłamstwo, a jednocześnie nie mogła oprzeć się uczuciu dla człowieka, którego pokochała pierwszą miłością — i nie mogła tembardziej, że ten człowiek był przy niej, że ją kochał i był nie-szczęśliwy.

Cale miesiące płynęły jej w najstraszniejszej rozterce. Nareszcie, gdy nastala chwila uspokojenia, gdy wydało się jej, że to uczucie przeszło w związek dusz tak nadziemski, iż ani czystość myśli, ani zaprzysiężona wiara na nim nie tracą — nagle wszystko rozerwało się, i ona została sama, z taką pustką przed sobą, jak moja. Oto powód jej terażniejszej niedoli.

Czytam obecnie w jej duszy, jak w książce — i dlatego wracam.

Również, widzę dopiero teraz, że ja prawdopodobnie nie byłbym jej opuścił, gdybym był miał zupełną pewność, że jej uczucie dla mnie przetrwa wszelkie wypadki. Sama zwierzęca zazdrość, która przepelnia serce wściekłością,

a wyobraźnię ohydnych widzeniami tych praw, z których korzystał kto inny, nie miałaby dość siły, aby mnie oderwać od tej kobiety, w której był mój świat. Ale ja sądziłem, że to dziecko, nim jeszcze przyjdzie na świat, już owdłanie wszystkimi jej uczuciami, że zbliży ją do męża, a mnie wymaże na zawsze w jej sercu z listy żyjących.

I nie luję się; wiem, że nie będę dla niej tem, czem byłem, a zwłaszcza czem mogłem zostać, gdyby nie ten zbieg rzeczy. Mogłem bowiem zostać jej jedyną drogą istotą, wiążącą ją z życiem i szczęściem — teraz zaś tak już nie będzie. Ale póki będzie się w niej tliła choć isierka uczucia dla mnie, nie odejdę, bo odejść nie mogę i nie mam dokąd.

Więc wrócę i zacznę tę iskrę rozdmuchiwać i zacznę się rozgrzewać przy niej. Gdybym tego nie uczynił, zmarzłbym niechybnie.

Odczytuję jeszcze raz te słowa ciotki: «Żebyś ty wiedział, jak ona codzień dopytuje o ciebie, czy nie było listu, czyś zdrów, jak długo zabawisz w Berlinie» — i nie mogę się nimi nasycić. Zupełnie mi jest tak, jakbym umierał z głodu i jakby mi ktoś niespodzianie przyniósł kawałek chleba. Jem — i z wdzięczności chce

mi się płakać. Może to już miłosierdzie Boże zaczyna się nade mną?

Bo jednak czuję, że ja się zmienił przez te ostatnie dni — i że dawny człowiek zmarł we mnie. Ja już się nie będę burzył przeciw jej woli, przeniosę wszystko, uspokoję ją, uciszę, wyratuję nawet jej męża...

4 listopada.

Po namyśle zatrzymałem się jeszcze w Berlinie przez dwa dni. Jest to z mojej strony ofiara, bo ledwie mogę tu usiedzieć, ale trzeba było koniecznie wysłać naprzód list, donoszący, że przyjeżdżam. Depesza mogła Anielkę nastraszyć, równie jak moje niespodziewane przybycie. Wysłałem list wesoły, a zakończyłem go tak serdecznem pozdrowieniem dla Anielki, jakby nigdy nie między nami nie zaszło. Chcę, żeby zrozumiała, iż pogodziłem się z moim losem i że wracam takim, jakim byłem dawniej.

Ciotka zapewne spodziewała się trochę mego przyjazdu.

Warszawa, 6 listopada.

Przyjechałem dziś rano. Ciotka, uprzedzona moim listem, czekała mnie w Warszawie.

W Płoszowie nieźle, Anielka spokojniejsza. Od Kromickiego nie było żadnych w ostatnich czasach wiadomości.

Biedne ciotczysko powitało mnie okrzykiem: «Co się z tobą stało, Leonie!» Nie wiedziała nic, żem chorował, a oczywiście tak długa choroba musiała mnie mocno wycieńczyć. Prócz tego, włosy moje posiwiały tak przy skroniach, że waham się, czy ich sztucznie nie przyciemniać. Nie chcę teraz być starym, ani wyglądać na starego.

Ale i ciotka zmieniła się w ostatnich czasach ogromnie. Przecie nie tak dawno, jakeśmy się rozłączyli, a znalazłem ogromną różnicę. Twarz jej straciła jakoś dawny stanowczy wyraz, rysy stały się jednak więcej nieruchome. Zauważyłem zaraz, że głowa poczyną jej się nieco trząść, co się szczególnie daje widzieć, gdy czego słucha z uwagą. Gdym się jej wypytywał z niepokojem, jak się ma, odpowiedziała mi z całą, właściwą sobie otwartością:

— Po powrocie z Gestainu miałem się wybornie, ale teraz obróciło się wszystko na złe, i czuję, że już na mnie czas.

Po chwili zaś dodała:

— Wszyscy Płoszowscy kończą na paraliż —

mnie zaś lewa ręka drętwieje co rano. Ale nie warto o tem mówić — wola Boska.

I nie chciała więcej mówić. Natomiast naradzaliśmy się obszernie, jak przyjąć w pomoc Kromickiemu, i postanowiliśmy nie dopuścić do procesu, choćby kosztem największych ofiar, Ratować go od ruiny nie mogliśmy, chyba za cenę naszej własnej ruiny, na co niepodobna się było zgodzić ze względu na Anielkę. Uczynilem projekt sprowadzenia, po usunięciu procesu, Kromickiego do kraju i osadzenia go na gospodarstwie. Bóg widzi, że cała dusza wzdrygała się we mnie na samą myśl jego obecności przy Anielce, ale żeby ofiara była zupełną, postanowiłem wypić i tę truciznę.

Ciotka ofiaruje się oddać mu jeden ze swoich folwarków, przyległych do Płoszowa, ja dostarczę odpowiedniego kapitału, i wszystko to, razem wzięte, utworzy wiano Anielki. Kromicki musi się tylko zobowiązać do porzucenia raz na zawsze spekulacyi.

Tymczasem wysłamy mu w pomoc jednego z adwokatów tutejszych, zaopatrzzonego we wszelkie środki, potrzebne do umorzenia procesu.

Skończywszy tę naradę, począłem wypytywać o Anielkę. Ciotka opowiadała mi o niej bar-

dzo obszernie; powiedziała mi między innemi, że zmieniła się już znacznie i zbrzydła. Usłyszawszy to, uczulem tylko większą litość dla niej. Nie już nie potrafi odwrócić od niej mego serca.

To moja głowa najdroższa!

Chciałem dziś, zaraz po narodzie, jechać do Płoszowa, ale ciotka oświadczyła, że jest zmęczona i że pragnie zanocować. Ponieważ przyznałem się jej, że byłem chory na zapalenie płuc, więc podejrzewam ją, że została umyślnie, by mnie nie narażać na drogę w powozie podczas niepogody.

Deszcz pada od rana.

Zresztą, nie mogliśmy dziś wyjechać, a jutro wyjedziemy prawdopodobnie dopiero wieczorem. Sprawa Kromickiego wymaga pośpiechu. Trzeba zaraz jutro umówić adwokata i wysłać go jak najprędzej.

7 listopada.

Przyjechaliśmy do Płoszowa o siódmej wieczorem; teraz jest północ i cały dom już śpi. Chwała Bogu, powitanie nie wzruszyło jej nadto. Wyszła do mnie zmieszana, z przymusem, z niepewnością, z zawstyżeniem i jakby ze strachem w oczach, ale ja sobie przysiągłem, że powitam

ją tak swobodnie, tak naturalnie, jakbyśmy się wczoraj rozstali. I odjąłem powitaniu wszelki odcień przejednania, przebaczenia i wszelki nastrój uroczysty. Spostrzegłszy ją, zbliżyłem się do niej śpiesznie i, wyciągnąwszy ręce, zawołałem prawie wesolo:

— Jak się masz, Anielko kochana! Tak stęskniłem się do was, żem odłożył swoją morską podróż do późniejszych czasów.

A ona zrozumiała natychmiast, że takie powitanie jest aktem zgody, przejednania, powrotu do niej i zarazem ofiarą z siebie samego dla jej spokoju. Przez chwilę przemknęło po jej twarzy rozrzewnienie tak wielkie, że bałem się, iż nie zdoła nad niem zapanować. Chciała coś przemówić i nie mogła, ścisnęła tylko silnie moją rękę. Myślałem, że się rozplacze.

Ale nie zostawił jej na to czasu i zacząłem pośpiesznie mówić tym samym tonem:

— Cóż portret? Głowa już była skończona, jakieś wyjeżdżała — nie prawda? Angeli tak prędko go nie przysze, bo sam mi mówił, że to będzie jego arcydzieło. Wystawi go pewno w Wiedniu, w Monachium i Paryżu. Całe szczęście, żem zamówił drugi egzemplarz, bo inaczej cze-

kalibyśmy jeszcze z rok. Ale chciałem cię mieć, koniecznie i dla siebie.

Ona zaś, mimo wszystkiego, co się działo w jej sercu, musiała się przystosować do tego tonu, zwłaszcza, że do rozmowy wmieszała się ciotka i pani Celina. Tak przeszły te pierwsze chwile. Wszystko, com mówił, było zagadywaniem naszych wzajemnych uczuć. Nie wyszedłem jednak przez cały wieczór z mej roli, choć czułem, że pot osiada mi na czole z wysilenia. Byłem jeszcze bardzo osłabiony niedawną chorobą i prócz tego — to był przecie okropny przymus! Widziałem, że podczas wieczerzy Anielka z przestrachem i wzruszeniem spogląda na moją wybladłą twarz i siwiejące skronie; widziałem, że odgaduje wszystko, com przeszedł. Ale ja opowiadałem i o moich dolegliwościach berlińskich także niemal wesoło. Musiałem unikać nawet spojrzenia na jej zmienioną postać, by jej nie dać uczuć, że te zmiany widzę i że ich widok wstrząsa mną. W końcu wieczora czyniło mi się kilkakrotnie słabo, jednakże przemogłem się, i ona czytała w moich oczach tylko pogodę, tylko najgłębsze przywiązanie, a zarazem zupełne pogodzenie się z położeniem. Ona jest bardzo przenikliwa; wie, odczuwa i rozumie wszystko, ale ja przeszedłem

siebie samego: byłem tak naturalny i swobodny, że wreszcie mogła i ona mniemać, iż powiedziałem sobie; «Z czem nie można waleczyć, z tem trzeba się pogodzić». Jeżeli nawet zostały w jej duszy co do tego pewne wątpliwości, to natomiast pod jednym względem nie zostawiłem jej żadnej: mianowicie, że ją zawsze kocham, jak dawniej, że jest zawsze moją uwielbioną, dawną Anielką.

I widziałem, że jej jest lepiej w tem cieple. Mogłem zaiste być z siebie dumny, bo odrazu wniosłem jakiś promień weselszy do tego domu, którego nastrój był ponury. I ciotka i pani Celina umiały to ocenić. Pani Celina w chwili, gdym im mówił dobranoc, rzekła mi wprost:

— Chwała Bogu, żeś przyjechał. Zaraz nam z tobą rażniej.

A Anielka, ściskając serdecznie moją rękę, spytała:

— Ale teraz już prędko nie odjedziesz?

— Nie, Anielko — odpowiedziałem: — teraz już wcale nie odjadę.

I odszedłem, a raczej uciekłem do siebie na górę, bo czułem, że sił mi braknie. Zebrało się we mnie przez ten wieczór tyle płaczu nad

moją nędzą, że mnie dusi. Są małe poświęcenia, które więcej kosztują od wielkich.

8 listopada.

Ja dlatego tak często powtarzałem: «To moja głowa najdroższa», że istotnie trzeba kobietę kochać nad życie, nie tylko jako kobietę, ale jako głowę najdroższą, by od niej nie uciec w tych warunkach. Czuję doskonale, że sam fizyczny wstręt odpędziłby mnie od każdej innej — że zaś przy tej zostaję i zostanę, więc znów mi wraca myśl, że moja miłość jest jednakże poniekąd chorobą, jakimś zboczeniem nerwowem, które nie miałoby miejsca, gdybym był zupełnie zdrowym i normalnym okazem ludzkiego rodzaju. Dzisiejszy człowiek, który wszystko tłumaczy sobie newrozą i wszystko uświadamia, niema nawet tej pociechy, jakaby mu mogło dać przeświadczenie o jego wierności. Bo gdy sobie powie: twoja wierność i wytrwanie to choroba, nie zasługa — pozostaje mu tylko jedna więcej gorycz. Jeśli świadomość takich rzeczy uniemożliwia coraz bardziej ludziom życie — to po co my się o nią staramy?

Dziś dopiero, przy świetle dziennem, dostrzegłem, jak dalece nawet twarz Anielki jest zmie-

niona — i serce rozdzierało się we mnie na ten widok. Usta jej są obrzmiałe; to czoło, niegdyś takie niepokalane, straciło swoją jasność i czystość. Ciotka miała słuszność! Piękność jej prawie zniknęła. Zostały tylko oczy dawnej Anielki. Ale dla mnie to dosyć. Ta zmieniona twarz zwiększa tylko moją litość i tkliwość — i staje się tembardziej ukochaną. Choćby dziesięć razy więcej zbrzydła — będę ją zawsze kochał. Jeśli to jest choroba — to dobrze! Jestem więc chory i nie życzę sobie wyzdrowieć — i wolę umrzeć z tej choroby, niż z każdej innej.

9 listopada.

Przyjdzie czas, że stan jej minie, że piękność wróci. Myślałem dziś o tem, a zarazem zadawałem sobie pytanie: jakie też będą nasze stosunki w przyszłości i czy nie ulegną odtąd żadnej zmianie? I jestem pewien, że nie. Ja wiem już, co to jest żyć bez niej, i nie uczynię nic takiego, za coby mnie mogła odepchnąć — ona zaś pozostanie taką, jaką była. Nie mam teraz żadnej wątpliwości, że jestem jej potrzebny do życia, ale wiem również, że tego uczucia, jakie ona ma dla mnie, sama przed sobą nawet nie nazwie nigdy inaczej, tylko wielką siostrzaną miło-

ścią. Wszystko jedno, czem ono będzie w gruncie rzeczy — dla niej zostanie zawsze idealnem przywiązaniem duszy do duszy — to jest czemś dozwolonem, bo możliwem nawet między rodzeństwem. Gdyby było inaczej, zaczęłaby natychmiast z sobą walkę.

Pod tym względem nie mam złudzeń. Powiedziałem już, że ten stosunek stał jej się drogim od czasu, jak zmieniła go na czysty. Niechże sobie takim zostanie, byle był jej zawsze drogi!

10 listopada.

Co za fałszywe pojęcie, że uczuciowość ludzi nowożytnych zmniejsza się. Czasem myślę, że jest przeciwnie. Kto nie ma dwóch płuc, ten gwałtowniej oddycha jednym, a nam odjęto wszystko, czem dawniej człowiek żył, — pozostawiono tylko nerwy bardziej rozdrażnione i bardziej wrażliwe, niż u dawnego człowieka. To inna rzecz, że brak czerwonych kulek w naszej krwi będzie wytwarzał uczucia nienormalne i chorobliwe; tragedia uczuciowa ludzka raczej się przez to zwiększy, niż zmniejszy. Zwiększy się dlatego, że dawny człowiek, w razie zawodu miłosnego, mógł znaleźć pociechę, czy to w religii, czy w poczuciu obowiązków społecznych;

dzisiejszy już jej nie znajduje. Dawniej w zapędach uczuciowych hamulcem bywał charakter; dziś charaktery nikną i muszą niknąć z przyczyny sceptycyzmu, który jest czynnikiem psychicznym rozkładającym. Stoczył on, jak bacillus, duszę ludzką — zmiękczył ją i zniweczył jej oporność na fizyologiczne zachcenia nerwów, które nadomiar wszystkiego są chore. Człowiek dzisiejszy wszystko uświadamia, a na nie nie umie poradzić.

11 listopada.

Od Kromickiego nie było dość dawno żadnej wiadomości; nawet Anielka nie miała listu. Ja wysłałem do niego depeszę z wiadomością, że adwokat wysłany, a następnie list — ale wysłałem prawie naoslep, trudno bowiem wiedzieć, gdzie on w danej chwili bawi. I list i depesza dojdą go z czasem, ale zupełnie nie wiem, kiedy. Stary Chwastowski pisał do syna; może on pierwszej coś odbierze.

Z Anielką spędzam teraz całe godziny — i nikt mi w tem nie przeszkadza, bo sama pani Celina, którą wtajemniczyliśmy w istotny stan rzeczy, prosiła, żebym przygotował cokolwiek Anielkę na wiadomości, jakie lada dzień

może od samego Kromickiego otrzymać. Ja wypowiedziałem już Anielce moje obawy co do rezultatu przedsięwzięcia jej męża, ale uczyniłem to w formie osobistych moich przypuszczeń. Mówiłem jej, że nawet zupełnej ruiny Kromickiego nie powinna brać do serca, i że byłby to pod pewnym względem najpomyślniejszy wypadek, jakiby mógł ją spotkać, wówczas bowiem zacząłby się dla niej okres prawdziwego spokoju. Uspokoilem ją zupełnie co do moich pieniędzy, pożyczonych Kromickiemu, i utwierdziłem w przekonaniu, że te w żadnym razie przepaść nie mogą; nakoniec wspomniałem coś o planach ciotki. Wysłuchiwała mnie stosunkowo spokojnie, choć bez wzruszenia. Jej głównie dodaje siły to, że czuje koło siebie kochające serce, a tego przecie jej nie brak. Ja kocham ją teraz nad wszelki wyraz — i ona to widzi, ona to czyta we mnie. Gdy mi się uda rozweselić ją, wywołać jej uśmiech, wówczas i mnie porywa taka radość, że nie mogę jej w sobie pomieścić. Jest obecnie w mojej miłości dla niej coś ze ślepego przywiązania sługi do uwielbionej pani. Czuję czasem niepowstrzymaną potrzebę upokorzenia się przed nią. Mam ciągle poczucie, że moje właściwe miejsce jest u jej nóg. Już ona nie może

dla mnie zbrzydnąć, zmienić się, zestarzeć — wszystko przyjmę, na wszystko zgodzę się, wszystko uwielbię.

12 listopada.

Kromicki nie żyje! Katastrofa spadła na nas, jak piorun. Niech Bóg ochrania Anielkę od takiego wypadku ze zdrowiem! Dziś przyszła depesza, że oskarżony o oszustwo i zagrożony więzieniem, odebrał sobie życie. Wszystkiego bym się był prędzej spodziewał, niż tego... Kromicki nie żyje! Anielka jest wolna! — ale jak to przeniesie? Od kilku godzin odczytuję co chwila depeszę, i zdaje mi się, że śnię. I nie śmiem oczom wierzyć, chociaż nazwisko: Chwastowski, podpisane pod depeszą, ręczy mi za jej prawdę. Ja wiedziałem, że to się musi źle skończyć, ale nie przypuszczałem, żeby koniec był tak nagły i tak tragiczny. Nie! nie podobnego przez myśl mi nie przeszło! To też dostałem jakby obuchem w głowę. Jeśli teraz nie pomiesza mi się w mózgu, to już wytrzymam wszystko. Przyszedłem i tak Kromickiemu raz z pomocą; obecnie znów wysłałem mu na ratunek adwokata, więc sumienie nie mi nie wyrzuca. Był czas, żem życzył mu z całej duszy śmierci — prawda, ale

właśnie tem większa moja zasługa, żem go mimo wszystkiego ratował. A tu śmierć przyszła, nie tylko nie wskutek moich usiłowań, ale wbrew im — i Anielka jest wolna! Dziwna rzecz: ja to wszystko wiem, ale jeszcze w to dostatecznie nie wierzę. Jestem jakby nieprzytomny. Kromicki był mi przecie obcym i zarazem największą zawadą w życiu. Ta zawada nie istnieje, więc powinienbym uczuwać radość bez granic, a jednak nie mogę i nie śmiem jej odczuwać, może dlatego, że łączy się do niej przerażenie o Anielkę. Pierwsza myśl moja po odebraniu depeszy była: co się stanie z Anielką? jak ona tę wiadomość przeniesie? Niechże ją Bóg ochrania! Nie kochała tego człowieka, ale w dzisiejszych warunkach wstrząśnienie może ją zabić. Myślę o tem, żeby ją wywieźć.

.

Co za szczęście, że depeszę oddano mi w moim pokoju, nie zaś w sali jadalnej, albo w salonie. Nie wiem, czybym zdołał zapanować nad wrażeniem. Przez jakiś czas nie mogłem przyjść do siebie. Następnie zeszedłem do ciotki, ale i jej nie pokazałem odrazu telegramu — rzekłem tylko:

— Odebrałem bardzo złą wiadomość o Kromickim.

— Co? co się stało? — spytała.

— Niech się ciotka nie przestraszy.

— Już jest pod sądem?... tak?...

— Nie... coś gorszego... to jest — już jest pod sądem, ale nie pod ludzkim.

Ciotka poczęła mrugać oczyma.

— Co ty mówisz, Leonie?

Wówczas pokazałem jej depeszę. Ciotka, przeczytawszy ją, nie odpowiedziała ani słowa, tylko poszła do klęcznika, klękla i, ukrywszy twarz w dłonie, poczęła się modlić.

Nakoniec wstała i rzekła:

— Anielka może to życiem przyłacić. Co robić?

— Ona nie powinna wiedzieć o niczem póty, póki dziecko nie przyjdzie na świat.

— Jak tu ją ustrzedz? Cały świat będzie o tem mówił, i gazety również... Jak tu ją ustrzedz?

— Ciotko kochana, — rzekłem — ja widzę tylko jedną radę. Należy sprowadzić doktora i powiedzieć mu, żeby nakazał wyjazd Anielce, niby dla zdrowia. Wówczas ja wywiozę ją i panią Celinę do Rzymu, gdzie mam przecie własny

dom. Tam ją ustrzegę przed każdą wiadomością. Tu będzie trudno, zwłaszcza, gdy i służba się dowie.

— Ale czy jej zdrowie pozwoli na wyjazd?

— Nie wiem; to musi powiedzieć doktor. Sprowadzę go jeszcze dziś.

Ciotka przystała na mój projekt. Rzeczywiście nie mogliśmy nic lepszego wymyślić. Postanowiliśmy wciągnąć panią Celinę do tajemnicy, żeby popierała zamiar wyjazdu. Służbie zapowiedziałem najsurowiej, że nie wolno zbliżać się do młodej pani z żadną wiadomością. Gazety, depesze i wszystkie listy, bez względu na to, do kogo będą adresowane, kazałem odnosić do swego pokoju.

Ciotka przez długi czas była jakby ogłuszona. Podług niej, samobójstwo jest jedną z największych zbrodni, jakich człowiek może się dopuścić — więc z uczuciem litości, jakie ma dla nieboszczyka, łączy się w niej żal, zgroza i oburzenie. Co chwila powtarza: «Nie powinien był tego czynić, wiedząc, że ma zostać ojcem». Ale ja przypuszczam, że on mógł nie odebrać tej wiadomości. W ostatnich czasach musiał pewnie rzucać się gorączkowo i przejeżdżać z miejsca na miejsce, w miarę jak tego wymagały jego

popłątane i rwące się sprawy. Ja go nie śmiem potępić i powiem otwarcie, że nie mogę się oprzeć pewnemu dla niego uznaniu. Są ludzie, którzy nawet słusznie posądzeni o nadużycia lub oszustwa i skazani wyrokiem sądowym, spijają w kowie szampana i pędzą wesołe życie. On do tego nie doszedł — i wołał się oczyścić z niesłusznych zarzutów śmiercią. Może pamiętał i o tem, kim jest. Mniej miałbym dla niego współczucia, gdyby odebrał sobie życie z powodu samej tylko ruiny. Przypuszczam jednak, że i toby mu wystarczyło. Przypominam sobie, jakie poglądy wygłaszał w Gasteinie. Jeśli moja miłość jest newrozą, to niewątpliwie była nią jego gorączka robienia pieniędzy. Gdy to chybiło, gdy ta podstawa usunęła mu się z pod nóg, zobaczył przed sobą taką samą otchłań i pustkę, jaką ja widziałem w Berlinie. A wówczas, co go mogło zatrzymać? Myśl o Anielce? Wiedział przecie, że jej nie odmówimy opieki — a przytem — kto wie? — może i to czuł, że nie jest bardzo kochany. W każdym razie ja myślałem, że to jest człowiek niższy, niż był; nie spodziewałem się po nim takiej energii — i przyznaję, że mu czyniłem krzywdę.

.

Złożyłem już pióro, ale do niego wracam, bo nie mogę nawet marzyć o śnie, a oprócz tego, pisząc, myślę spokojniej i mniejszy mam młyn w głowie. Anielka wolna, Anielka wolna! — powtarzam te wyrazy i nie ogarniam jeszcze całego ich znaczenia. Czuje, że mógłbym oszaleć z radości, i zarazem chwytą mnie niezrozumiała bojaźń. Miałożby się naprawdę rozpocząć dla mnie nowe życie? Co to jest? czy to zasadzka losu, czy to miłosierdzie Boże nade mną za to, żem się tak ogromnie wymęczył, a tak bardzo kochał? A może istnieje jakieś prawo bytu, jakaś siła mistyczna, która oddaje kobietę najbardziej kochającemu ją mężczyźnie, po to, aby się spełniała odwieczna zasada wszechstworcza — nie wiem! Mam tylko takie uczucie, jakby mnie i wszystkich koło mnie niosła niezmierna fala, zatapiająca wszelką ludzką wolę i ludzkie wysilenia

Przerwałem znów, bo wrócił powóz, wysłany po doktora. Doktor nie przybył. Ma dziś operację i obiecuje się na jutro rano. Musi zamieszkać u nas w Płoszowie aż do chwili naszego wyjazdu — i odprowadzić nas do Rzymu. Tam znajdę innych

.. Noc późna... Anielka śpi i ani się domyśla

co nad nią zawisło, jaka zupełna zmiana zaszła w jej losach... Oby jej przyniosła szczęście i spokój! Jej się to należy. Może to nad nią poczyną się miłosierdzie Boże?...

Nerwy moje są tak podniecone, że gdy doleci mnie szczekanie psa na folwarku, albo grzechotka stróża nocnego, zdaje mi się, że to znów nadchodzi jakaś wiadomość i chce się dostać wprost do Anielki.

Staram się jednak sam uspokoić i tłómaczę sobie, że jakaś dziwna bojaźń, która mnie przejmuje, płynie głównie z obawy o Anielkę, i że gdyby nie stan jej, nie odczuwałbym tego niepokoju. Powtarzam sobie, że te obawy miną, jak wszystko mija, i potem zacznie się nowe życie.

Potrzebuję się oswoić z myślą, że Kromicki już nie żyje... Z tej katastrofy wypłynie dla mnie szczęście, o jakim marzyć nie śmiałem, ale istnieje w człowieku pewien zmysł moralny, który zabrania się radować ze śmierci nawet nieprzyjaciela. A przytem w samej śmierci tkwi pewna groza. Ludzie przy trupie zawsze rozmawiają po cichu... Oto dlaczego i ja nie śmiem się radować.

13 listopada.

Wszystkie moje plany na nic. Doktor przyjechał zrana i po zbadaniu Anielki oświadczył, że o podróży mowy być nie może i że groziłaby ona wprost niebezpieczeństwem dla życia Anielki. Zachodzą w jej stanie jakieś nieprawidłowości. Co za męka słuchać tego specjalnego języka, w którym każdy termin zdaje się grozić śmiercią ukochanej istocie! Wtajemniczyłem doktora w nasze położenie, na co odpowiedział mi, że z dwóch niebezpieczeństw woli wybrać mniejsze i mniej pewne.

Co mnie wzburzyło i zaniepokoiło najokropniej, to jego rada, by, po odpowiednim przygotowaniu, powiedzieć Anielce o śmierci męża. Niestety, nie mogę odmówić pewnej słuszności jego rozumowaniom. On powiedział tak: «Jeżeli państwo jesteście zupełnie pewni, że potraficie upilnować, by wiadomość nie doszła do pani Kromickiej jeszcze przez kilka miesięcy, to niewątpliwie lepiej nie mówić, ale jeżeli nie — lepiej ostrożnie przygotować i w końcu powiedzieć, bo gdyby się dowiedziała nagle, wówczas mogłaby nastąpić druga katastrofa».

Co tu robić? Zaprowadzę chyba zupełną kwa-

rantannę wokół Płoszowa; nie puszcze człowieka, listu, gazety, przepiszę służbie, co ma mówić, nawet jak patrzeć... Bo jakie wrażenie robią tego rodzaju wieści, nawet po odpowiedniem przygotowaniu, miałem dziś przykład na pani Celinie, której musieliśmy wreszcie powiedzieć prawdę. Mdląła dwukrotnie i dostała spazmów, które przyprawiły mnie niemal o szaleństwo, bo mi się zdawało, że cały dom je słyszy. A przecie ona tak znów nie przepadała za tym zięciem. Ale i ją przeraziła głównie myśl o Anielce.

Sprzeciwiałem się radzie lekarza jak mogłem — i zdaje mi się, że się nigdy na nią nie zgodzę. Ja im nie mogę powiedzieć jednej rzeczy: że Anielka nie kochała męża — i właśnie dlatego tem ją straszniej wstrząśnie jego śmierć.

Tu już nie chodzi o ten żal, jaki się odczuwa po śmierci drogiej istoty, tu chodzi o te wyrzuty, które ona sobie będzie czyniła, że gdyby go kochała więcej, toby i jemu życie było droższe. Czcze, blahe, niesłuszne wyrzuty, bo to, co przez wolę można sobie nakazać, ona nakazała sobie i spełniła — i oparła się mojej miłości i pozostała czysta i wierna. Ale trzeba znać tę duszę, pełną skrupułów, żeby ocenić, w jaką popadnie zgryzotę i jak zacznie się zaraz podej-

rzewać, czy czasem śmierć ta nie odpowiada jakimś utajonym jej życzeniom swobody i wolności, czy nie dogadza takim jej chęciom, których nie śmiała wypowiedzieć? Mnie włosy powstają na głowie, gdy o tem myślę, bo przecie istotnie ta śmierć otwiera przed nią nowe życie, więc to będą dwa wstrząśnienia, dwa gromy, które uderzą w tę biedną drogą głowę... Tego ani doktor, ani ciotka, ani pani Celina nie rozumieją.

Nie! ona nie powinna nic wiedzieć aż do końca.

Co za klęska, że ona nie może wyjechać!

Bo tu trudno, prawie niepodobna, będzie jej ustrzedz. Tu ona wyczyta w twarzach, że coś zaszło. Lada słowo, lada spojrzenie może zwrócić jej uwagę i zrodzić w jej głowie najrozmaitsze przypuszczenia. Dziś zdziwił ją nagły przyjazd doktora — i wiem od pani Celiny, że zaczęła się wypytywać: dlaczego przyjechał i czy jej co nie zagraża? Szczerściem, ciotka znalazła się przytomnie i odrzekła jej, że w podobnych warunkach zawsze zasięga się od czasu do czasu porady lekarskiej, Anielka zaś tak mało ma doświadczenia, że uwierzyła odrazu.

Jakim naprzykład sposobem potrafię wymódz

na służbie, by nie miała tajemniczych min? A oni już coś miarkują, właśnie z powodu moich ostrzeżeń i zakazów, dowiedzą się zaś o wypadku z pewnością. Nie mogę jednak wszystkich rozpędzić.

Samo częste przychodzenie telegramów zwraca uwagę. Dziś odebrałem drugą depeszę z Baku od Chwastowskiego, z zapytaniem: co ma z ciałem zrobić? Odpowiedziałem, żeby je tymczasowo pogrzebał na miejscu. Prosiłem starego Chwastowskiego, żeby pojechał do Warszawy i wysłał odpowiedź, a zarazem przekaz telegraficzny na pieniądze, potrzebne na koszt. Ale nie wiem nawet, czy do Baku można wysłać z Warszawy taki przekaz.

13 listopada.

Dziś przeglądałem wczorajsze dzienniki. W dwóch były telegramy o śmierci Kromickiego. Jeśli młody Chwastowski przesłał te depesze, to chyba zwaryował. Służba już wie o wszystkim. Twarze są takie, iż dziwię się, że Anielka nie zwróciła na nie uwagi. Przy obiedzie była jakaś wesoła i niezwykle ożywiona. Dodaje mi otuchy tylko obecność doktora. Jego śmierć Kromickiego nic nie obchodzi, więc zagaduje Anielkę,

żartuje z nią — i uczy ją grać w szachy. Za to pani Celina doprowadza mnie do rozpacz. W miarę, jak Anielka była dziś coraz weselsza, ona przybierała coraz bardziej grobową fizyognomię. Czynilem jej dziś z tego powodu nader ostre wyrzuty.

14 listopada.

Jesteśmy wszyscy w Warszawie, z porady doktora. Anielce powiedziano, że w domu, w Płoszowie będą zaprowadzali kaloryfery, wskutek tego trzeba się wynieść na kilka tygodni. Droga zmęczyła ją mocno. Pogoda zła. Ale jestem kontent, żeśmy przyjechali, bo tu jestem pewniejszy mojej służby. Dom trochę w nieładzie. Mnóstwo obrazów wypakowanych. Anielka, mimo zmęczenia, chciała je oglądać, więc służyłem jej jako cicerone. Powiedziałem, że mojem najmilszym marzeniem jest być kiedyś jej przewodnikiem po Rzymie, ona zaś odrzekła jakby z odzieniem smutku:

— Ja także często myślę o Rzymie, ale czasem zdaje mi się, że tam już nigdy nie będę.

Mnie się serce ścisnęło, bo teraz boję się wszystkiego, nawet przeczuć, i w byle słowie

gotówem upatrywać wróżbę. Odpowiedziałem jednak wesoło:

— Ja ci to przyrzekam uroczyście, że tam pojedziesz — i to na długo.

Dziwna rzecz, jak prędko natura ludzka przystosowywa się do każdego położenia i wchodzi w swoje nowe prawa: ja już mimowoli uważam Anielkę za swoją i strzegę jej, jak mojej własności.

Doktor miał jednak słuszość. Dobrze zrobiliśmy, przeniósłszy się do Warszawy. Naprzód, łatwiej tu o wszelką pomoc; powtóre, tu można nie przyjmować żadnych wizyt, w Płoszowie zaś byłoby niepodobna zawracać ludzi od ganku. A niezawodnie różni znajomi wybraliby się z kondolencyą. Nakoniec w Płoszowie już wytworzyła się jakaś tajemnicza i ponura atmosfera, w której moje usiłowania, by nadać rozmowom ton wesoły, stały się czemś rażącym. Przypuszczam, że tego nastroju nie unikniemy i w Warszawie, ale tu przynajmniej umysł Anielki będzie zajęty i rozerwany tysiącem tych drobnych wrażeń, których dostarcza życie miejskie, podczas gdy w takim Płoszowie byłaby uważniejszą na wszystkie zmiany, jakieby mogła w otoczeniu spostrzedz.

Na ulicę nigdy nie będzie wychodziła sama, i będzie wychodziła mało. Doktor nakazuje jej wprowadzić ruch, ale znalazłem już na to radę. Za stajniami domu mam dość obszerny ogród, z drewnianą galeryą przy murze. Każę tę galeryę oszklić, i tam będzie w zimie, a zwłaszcza w czasie niepogody, miejsce przechadzek Anielki.

Okropnie jednak męczącą rzeczą jest ten ciągły strach, który nad nami wisi.

15 listopada.

Jak się to stało? dlaczego? skąd jej jakiegokolwiek podejrzenie mogło przyjść do głowy? — nie mogę zgadnąć. A jednak przyszło. Dziś, przy śniadaniu, podniosła nagle oczy i, spoglądając na nas bacznie po kolei, rzekła:

— Nie rozumiem, co to jest, ale mam takie wrażenie, jakbyście coś ukrywali przede mną.

Ja uczulem, że błędne; pani Celina zachowała się jak najfatalniej; jedna pocziwa, kochana ciotka nie straciła przytomności i poczęła natychmiast zrzedzić na Anielkę.

— Owszem, owszem — rzekła: — ukrywaliśmy ci dotąd, że cię mamy za niemądrą główkę, ale dłużej ci tego nie będziemy ukrywali. Leon wczoraj mówił, że się nigdy nie nauczysz grać

w szachy, bo ci zupełnie brak zmysłu kombinacyi.

Ja, ochłonawszy, pochwycilem oczywiście ten wątek rozmowy i począłem śmiać się i żartować. Anielka odeszła niby uspokojona, byłem jednak pewien, żeśmy nie zdołali rozproszyć zupełnie jej podejrzeń, i że moja wesołość mogła się jej wydawać sztuczną. I ciotka i pani Celiną były ogromnie przestraszone, a mnie ogarnęła rozpacz, bom odrazu ujrzał całą bezowocność naszych wysiłków, by rzecz utrzymać długo w zupełnej tajemnicy. Przypuszczam, że obecnie Anielka posądza nas tylko o to, że ukrywamy przed nią jakieś niepomyślne wieści finansowe; ale co będzie, gdy przez tydzień, dwa, miesiąc, nie przyjdzie żaden list od Kromickiego? Co jej wówczas powiemy? czem wytłómaczymy jego milczenie?

Koło południa przyszedł doktor. Powiedzieliśmy mu zaraz, co zaszło — on zaś począł powtarzać swoje poprzednie zdanie, że trzeba jednak powiedzieć Anielce prawdę.

— Bo — rzekł — naturalnie, że pani Kromicka zacznie się niepokoić wkrótce brakiem listów i będzie czyniła wszelkie najgorsze przypuszczenia.

Ale ja usiłowałem oddalić jeszcze tę ostateczność i powiedziałem, że w najgorszym razie ten niepokój przygotowuje ją właśnie do wiadomości.

— Tak, — odrzekł doktor — ale długi niepokój źle przygotowuje organizm do przejścia, które go czeka, a które prawdopodobnie i w pomyślnych warunkach nie byłoby zbyt łatwe.

Może to być prawda, a jednak we mnie serce poprostu zamiera ze strachu. Wszystko ma swoje granice, a zatem i odwaga ludzka. Coś jest we mnie, co się temu rozpaczliwie sprzeciwia i opiera, i boję się jakiegoś głosu, który mi mówi: nie! Tymczasem te panie już są prawie zdecydowane, żeby jej jutro powiedzieć całą prawdę. Ja nie chcę się w to wdawać. Nie miałem pojęcia, że człowiek może się czegoś bać do tego stopnia. Ale tu przecie o nią chodzi.

16 listopada.

Do wieczora było dobrze — wieczorem przyszedł nagle krwotok. A ja mówiłem!... Trzecia w nocy... Usnęła teraz. Doktor jest przy niej. Muszę być spokojny — muszę! To dla niej potrzebne, żeby ktoś w domu nie stracił głowy. Muszę!...

17 listopada.

Doktor mówił, że pierwszy okres choroby rozwija się prawidłowo. Co to znaczy? Czy to znaczy, że ona umrze?

Gorączka niewielka. Tak podobno zawsze bywa przez pierwsze dwa dni. Przytomność ma zupełną, odczuwa ogólny rozstrój i osłabienie, ale mało cierpi. Doktor uprzedził nas jednak, że następnie gorączka może dojść do czterdziestu stopni: przyjdą wielkie bóleści, mdłości, opuchnięcie nóg... To nam obiecał!

Niechże przyjdzie także i koniec świata!

O Boże! jeśli to ma być na mnie kara, to przysięgam, że odjadę, nie będę jej widział nigdy w życiu — tylko Ty ją ratuj!

18 listopada.

Nie byłem u niej dotąd. Waruję przy jej drzwiach, ale nie wchodzę, bo się boję, że mój widok pogorszy jej stan i wzmoże gorączkę.

Chwilami przychodzi mi do głowy straszna myśl, że mogę wpaść w obłąd i zabić Anielkę jakim porywem szaleństwa. Dlatego zmuszam się do pisania — i będę pisał ciągle, bo mi się zdaje, że się przez to opanowuję i trzymam na wodzy zmysły.

19 listopada.

Słyszałem przezedrzwi jej głos i jej jęki. W tej chorobie boleści są straszne. Według doktora, to jest zwykły objaw, ale według mnie, to ślepe okrucieństwo! Ciotka mówiła, że ona ustawicznie wyciąga ręce, obejmuje to ją, to matkę za szyję i prosi o ratunek. A tu nic nie można pomódz, choćby ściany drapać!

Mdłości ciągle. Bóle coraz większe. Nogi jej opuchły zupełnie.

Doktor nic nie orzeka i powiada, że wszystko może się obrócić na złe lub na dobre. To wiedziałem i bez niego! Gorączki czterdzieści stopni. Przytomna ciągle.

20 listopada.

Już teraz wiem. Nikt mi tego nie powiedział, ale wiem z pewnością: ona umrze! Panuję nad wszystkimi zmysłami i jestem już nawet spokojny. Anielka umrze! Dzisiejszej nocy, siedząc przy jej drzwiach, zobaczyłem to tak jasno, jak teraz widzę słońce. Człowiek w pewnym stanie widzi rzeczy, o jakich się ludziom roztargnionym nie śniło. Nad samem ranem coś takiego stało się we mnie, żem ujrzał tę konieczność

odrazu, jakby mi kto zdjął zasłonę z oczu i mózgu. Nic na świecie nie może Anielki uratować. Ja to wiem lepiej od wszystkich lekarzy.

I właśnie dlatego już się nie szarpie. Co to pomoże jej i mnie? Wyrok na nas jest wydany. Musiałbym być ślepym, żeby nie widzieć, że jakaś siła mocna, jak cały świat, dzieli nas. Kto ona jest i jak się nazywa — nie wiem. Wiem tylko, że gdybym uklęknął i bił głową o podłogę i modlił się i błagał, to góry mogłyby poruszyć — ale jej nie ublagam.

Ponieważ teraz zdołałaby mi Anielkę odebrać tylko śmierć — więc ona musi umrzeć.

Wszystko to może być bardzo logiczne — tylko — ja się na rozłączenie nie zgodzę.

21 listopada.

Anielka zażądała dziś widzieć mnie. Ciotka wyprowadziła wszystkich z pokoju, w przekonaniu, że chora chce mi polecić matkę, i tak było rzeczywiście. Widziałem tę moją ukochaną, tę duszę mojego życia. Jest zawsze przytomna; oczy ma błyszczące, władze umysłowe podniecone. Boleści prawie ustały. Wszystkie ślady jej poprzedniego stanu znikły, i twarz ma teraz anielską. Uśmiechnęła się do mnie, a ja także

odpowiedziałem jej uśmiechem. Od wczoraj wiem, co nas czeka, i zdaje mi się, że już umarł, więc panuję nad sobą. Chwyciwszy mnie za rękę, poczęła mówić o matce, następnie patrzyła na mnie długo, jakby mi się chciała napatrzeć przedtem, nim jej oczy zgasną — i rzekła:

— Nie bój się, Leonie, ja się czuję znacznie lepiej, tylko na wszelki wypadek, chcę, żeby ci po mnie coś zostało... Może nie powinnam czyścić takich wyznań zaraz po śmierci męża, ale ponieważ mogę umrzeć, więc teraz chcę ci powiedzieć, że ja ciebie bardzo, bardzo kochała.

Jam jej odpowiedział: «Wiem o tem, moja najdroższa!» Trzymałem ją za rękę i patrzyliśmy sobie w oczy. Ona po raz pierwszy w życiu uśmiechała się do mnie, jak narzeczoną. A ja też zaślubiałem ją w tej chwili ślubem, trwałszym od wszystkich doczesnych. Było nam dobrze w tej chwili, choć nad nami był smutek, mocny jak śmierć. Opuściłem ją dopiero, gdy dano znać, że nadszedł ksiądz. Przedtem jeszcze prosiła mnie, bym się jego przybyciem nie przestraszał, bo go wezwała nie dlatego, że myśli umierać, ale że przy każdej chorobie lepiej się uspokoić.

Po wyjściu księdza wróciłem do niej. Po

tylu nocach bezsennych była zmęczona i usnęła. W tej chwili śpi. Gdy się obudzi, już jej nie będę odstępował, chyba żeby znowu usnęła.

22 listopada.

Polepszenie jest znaczne. Pani Celina traci zmysły z radości. Ja jeden z rodziny wiem, co to jest. Nie potrzebował mi doktor mówić, że to przychodzi paraliż kiszek.

23 listopada.

Anielka umarła dziś rano.

.
.

Rzym, 5 grudnia.

Mogłem stać się twojem szczęściem, a stałem się nieszczęściem — i ja to jestem przyczyną twojej śmierci, bo gdybym był innym człowiekiem, gdyby mi nie brakło wszystkich podstaw życiowych — nie przyszłyby na Ciebie te wstrząśnienia, które Cię zabiły.

Jam to już, podczas ostatnich twych chwil na świecie, zrozumiał i przyrzekłem sobie, że pójdę za Tobą. Jam Ci to przy twojem łożu śmiertelnem ślubował, i pierwszy mój obowiązek jest teraz przy Tobie.

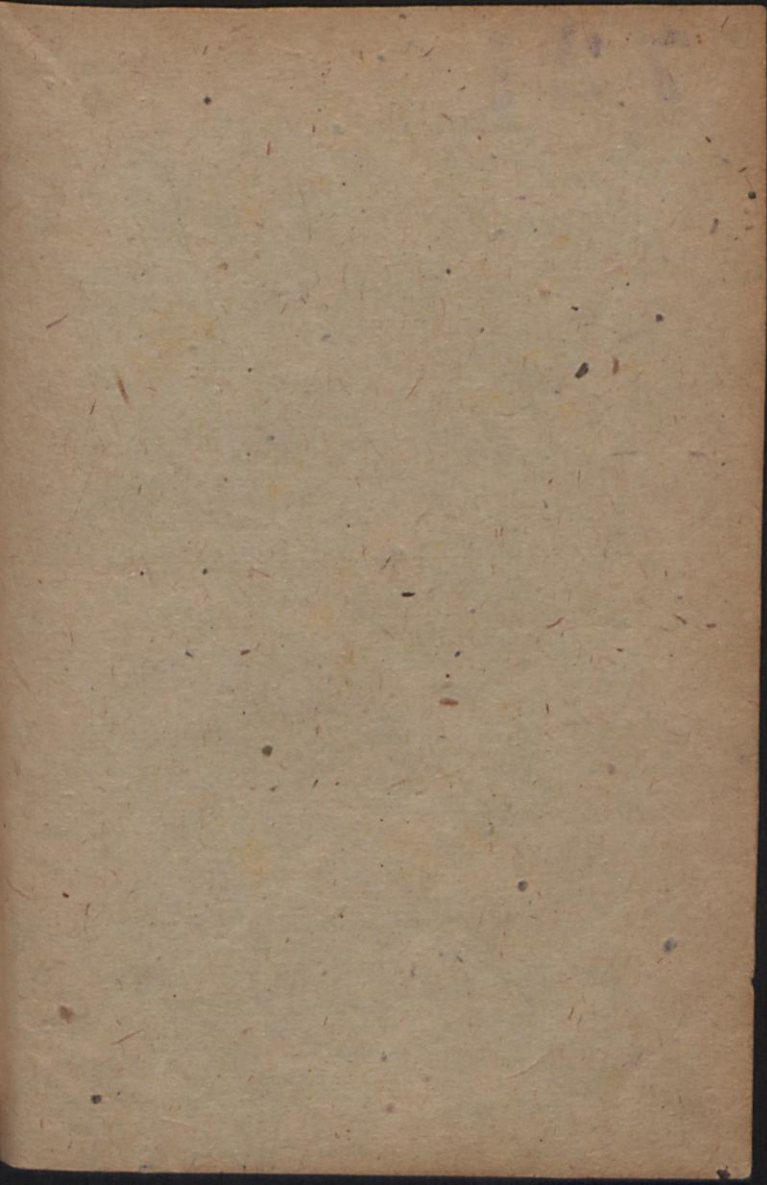
Matce twej zostawiam moje mienie; ciotce — Chrystusa, w którego miłości znajdzie na te ostatnie dni pociechę, a sam idę za Tobą, bo — muszę.

A czy ty myślisz, że ja się śmierci nie boję? Boję się, ponieważ nie wiem, co tam jest, i widzę tylko ciemność bez granic, przed którą się wzdrygam. Nie wiem, czy tam jest nicość, czy jakiś byt bez przestrzeni i czasu, czy może jakiś wicher międzyplanetarny nosi monadę duchową z gwiazdy na gwiazdę i wszczepia ją w coraz nowe istnienia; nie wiem, czy tam jest niezmierny Niepokój, czy Spokój, równie niezmierny, a tak doskonały, jaki tylko Wszehmoc i Wszehdobroć dać może.

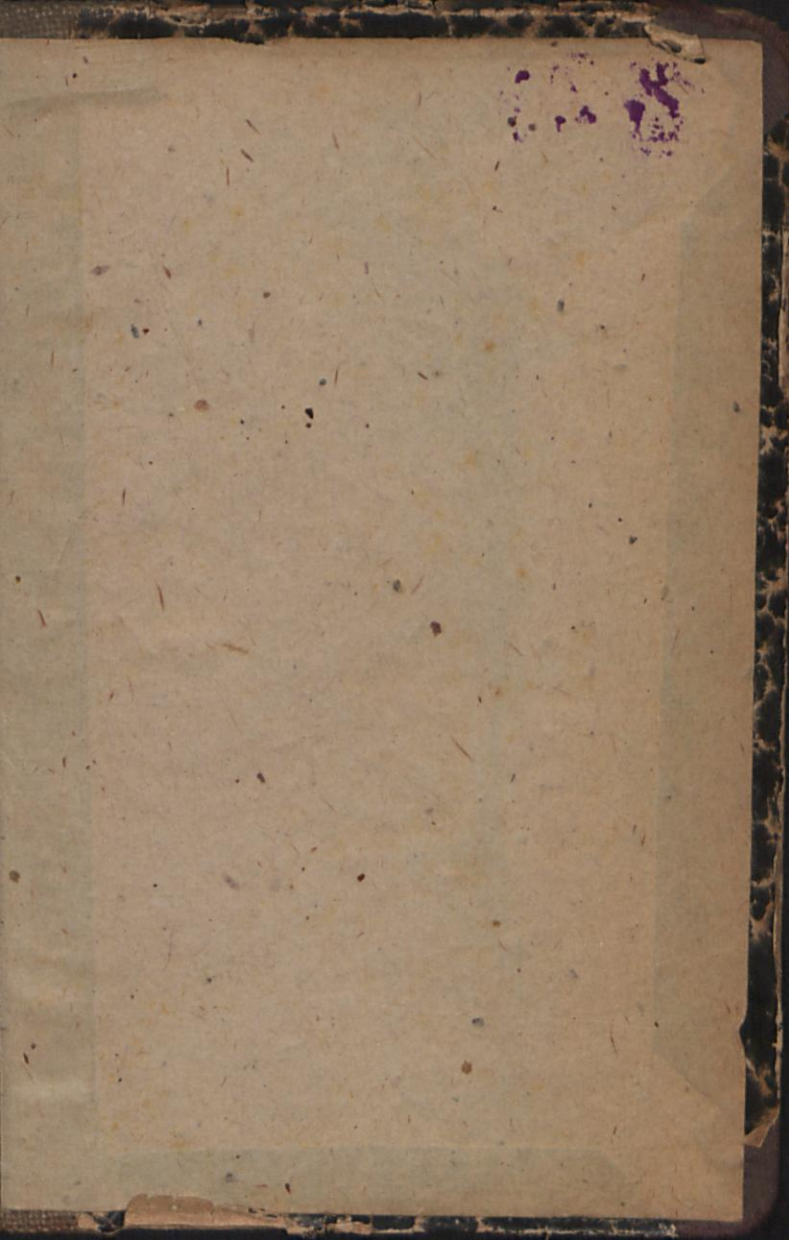
Ale jeśliś Ty przez moje «nie wiem» umarła — jakże ja mam tu zostać i żyć?

Więc im bardziej się boję, im bardziej nie wiem, tembardziej nie mogę Cię tam samej puścić — nie mogę, moja Anielko — i idę.

Albo tam wspólnie utonimy w Nicości, albo niech wspólna będzie nasza droga, a tu, gdzieśmy się tyle namęczyli, niech zostanie po nas tylko milczenie.



721



Księgozbiór BP



10074548

Zamość ul. Pereca 14
Biblioteka Publiczna